

Polski wiek XX

POLSKI WIEK XX

TOM I

pod redakcją
Krzysztofa Persaka i Pawła Machcewicza

WYDAWCA – BELLONA I MUZEUM HISTORII POLSKI
WARSZAWA 2009

Redakcja: Elżbieta Lewczuk

Korekta: Joanna Bartoń

Skład: Andrzej Bohun

Okładka: Muzeum Historii Polski w Warszawie

© Copyright by Muzeum Historii Polski w Warszawie

© Copyright by Bellona SA, Warszawa 2009

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment książki nie może być w jakikolwiek sposób powielony albo włączony do jakiejkolwiek bazy odtwarzania elektronicznego oraz mechanicznego bez uzyskania wcześniejszej zgody właściciela praw autorskich.

Bellona SA prowadzi sprzedaż wysyłkową wszystkich swoich książek z rabatem.

www.ksiegarnia.bellona.pl

Nasz adres: Bellona SA

ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa

Dział Wysyłki: tel. 22 457 03 06, 22 652 27 01

fax 22 620 42 71

www.bellona.pl

ISBN 978-83-11-11629-0

Spis treści

ANDRZEJ CHWALBA DZIEDZICTWO ZABORÓW	7
TOMASZ NAŁĘCZ POLSKA I SPRAWA POLSKA W I WOJNIE ŚWIATOWEJ	25
PIOTR ŁOSSOWSKI 11 LISTOPADA 1918 – ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI	49
ANDRZEJ NOWAK WALKA O GRANICE: 1918–1921	71
KRZYSZTOF KAWALEC SPORY O KSZTAŁT USTROJU II RZECZYPOSPOLITEJ	103
WŁODZIMIERZ SULEJA ZAMACH MAJOWY	135
ANDRZEJ CHOJNOWSKI RZĄDY POMAJOWE	161
MARIUSZ WOŁOS SZKIC O POLSKIEJ POLITYCE ZAGRANICZNEJ W MIĘDZYWOJENNYM DWUDZIESTOLECIU	195
WOJCIECH MORAWSKI GOSPODARKA II RZECZYPOSPOLITEJ	271
SZYMON RUDNICKI POLSKA MOZAIKA SPOŁECZNA	301
BIOGRAMY	329

Andrzej Chwalba

DZIEDZICTWO ZABORÓW

Co wniosły ziemie zaborcze i ich mieszkańcy w historię odrodzonej II Rzeczypospolitej? Jakie walory i wartości, jakie sukcesy, porażki i troski, jakie poczucie świadomości lokalnej, państwowej, narodowej? I w jakim zakresie granice zaborów trwają do dzisiaj?

Odrodzona w latach 1918–1921 Rzeczpospolita składała się z ziem należących wcześniej do czterech państw: Rosji, Niemiec (Prus), Austrii oraz Węgier. Do Rosji przez 100 lat należało Królestwo Polskie, które powstało z ziem Księstwa Warszawskiego. Do 1832 r. Królestwo cieszyło się statusem państwa samodzielnego, aczkolwiek niesuwerennego, a jego mieszkańcy mieli odrębne od rosyjskiego obywatelstwo i paszporty. Po powstaniu listopadowym Królestwo zostało włączone do Rosji, ale zachowało autonomię gospodarczą i kulturalną, utrzymało Bank Polski, polską w większości administrację, wyłącznie polskie sądy. Choć po powstaniu styczniowym władze rosyjskie przystąpiły do pospiesznej depolonizacji i rusyfikacji, to jednak te działania do 1914 r. nie zakończyły się pełnym sukcesem. Dalej większość stanowisk administracyjnych, lecz tylko wyjątkowo wyższe, sprawowali Polacy, aczkolwiek w rosyjskich mundurach. Szyldy na ulicach, sklepach, dworcach kolejowych były dwujęzyczne, polsko-

-rosyjskie; były polskie teatry, wychodziły polskie, aczkolwiek cenzurowane, czasopisma, gazety i książki, a car dalej nosił tytuł króla Królestwa Polskiego. Pozostały – co prawda nieliczne – instytucje mające w tytułaturze Królestwo Polskie, pozostało w znacznym zakresie polskie prawo, w tym nieznaną w Rosji hipoteka, pozostał Kodeks Napoleona.

W okresie krwawej rewolucji 1905–1907 r. tysiące polskich patriotów i polskich socjalistów wypełniło więzienia, setki zginęły, z tego część na szubienicach. Uczestnicy rewolucji nie osiągnęli zakładanych celów. Mimo to po 1907 r. położenie Polaków z Królestwa w pewnym stopniu się poprawiło, choć należy pamiętać o takich zdarzeniach, jak oderwanie od Królestwa Chełmszczyzny czy rusyfikacja „sztandarowej” polskiej kolei, Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Pojawiły się prywatne szkoły z polskim językiem wykładowym, w tym półwyższe i zawodowe, tolerancja religijna stała się faktem, w Dumie byli posłowie z Królestwa walczący o polskie prawa. Dzięki liberalizacji nastąpiła eksplozja polskiego życia narodowego, powstały stosunkowo liczne stowarzyszenia, fundacje, organizacje kulturalne, gospodarcze, oświatowe, sportowe, religijne. Dobrze rozwijała się prasa. W 1914 r. tylko w Warszawie wychodziło 14 polskich dzienników i 61 tygodników, nie licząc tytułów żydowskich.

Kilkudziesięcioletnia rusyfikacja nie była nadmiernie dotkliwa i jeszcze mniej efektywna. Ale trudno, by była skuteczna, skoro nawet polscy chłopci patrzyli z wyższością na „Moskali”, na „Ruskich”, nie ceniąc zbytnio narodu Puszkina, Czechowa, Czajkowskiego. Niemniej rusyfikacja, choć nie uczyniła Rosjan z Polaków, przyniosła jednak pewne zmiany w sferze wartości, mentalności, sposobie bycia, języku, zachowaniach i poglądach politycznych. Autokratyczny system carski skutecznie łagodziła wszechobecna korupcja. Dzięki niej wiele można było w Kró-

lestwie i w Rosji uzyskać. W państwie autokratycznym korupcję inaczej oceniamy niż w demokratycznym. Prawo zatem wyglądało groźnie, lecz głównie na papierze, w praktyce nie było rygorystycznie przestrzegane.

W sumie po 1907 r. w Królestwie Polskim mógł nastać czas działań pozytywnych, bardziej dynamicznych niż w okresie wcześniejszym, angażujących większą liczbę osób. Szybko postępowały zmiany cywilizacyjne, aczkolwiek nie były w stanie złagodzić dysproporcji społecznych i doprowadzić do zmniejszenia obszarów nędzy i zacołania. Zachodnia część Królestwa, od Warszawy, przez Łódź i Częstochowę, po Sosnowiec, silnie zurbanizowana, szybko się bogaciła i modernizowała. Różnice między zachodem z wschodem Królestwa tym samym stawały się coraz bardziej wyraźne. Względnie nowoczesne i zamożne miejskie wyspy wciąż otaczało morze biedy, ubóstwa, niegospodarności, wymuszających emigrację zarobkową.

Miast było zresztą stosunkowo niewiele, liczniejsze zaś miasteczka, pozbawione praw miejskich, zamieszkiwała często w większości ludność wyznania mojżeszowego. Na szczególną uwagę zasługuje Warszawa, która stała się blisko milionową metropolią, dziesiątym co do wielkości miastem Europy, leżącym na pograniczu kultur i cywilizacji, na granicy dwóch kontynentów. Dla Rosjan Warszawa była pierwszym przystankiem w Europie, dla ludzi Zachodu – pierwszym miastem Wschodu. Z kolei dynamiczna Łódź, trzeci obok Manchesteru i Lyonu ośrodek przemysłu lekkiego Europy, miasto „tysiąca kominów”, mimo owej witalności, a może po części z jej powodu, była miastem głębokich kontrastów społecznych.

Najsilniejsze wpływy polityczne w Królestwie miała w owym czasie endecja. Socjaliści, poza ośrodkami przemysłowymi, w zasadzie się nie liczyli, również ludowcy nie przedstawiali większej siły. Mieszkańcy Królestwa zasadniczo podzie-

lali stanowisko endecji, że wrogiem przyszłej niepodległej Polski są Niemcy, a nie Rosja. Dlatego, wbrew polskim tradycjom niepodległościowym i antyrosyjskim, niechętnie, a nawet wrogo, witali wkraczające oddziały państw centralnych w 1914 r. i czule żegnali „swoich”, czyli oddziały rosyjskie. Dlatego również chłodno przywitali strzelców Piłsudskiego, co było dla nich dużym zaskoczeniem. Ludzie się już jakoś z Rosją oswoili, nauczyli się żyć w rosyjskim państwie, sprawnie po nim poruszać, wiedzieli, gdzie i jak trafić, by osiągnąć to, co planowali. Niejeden spośród Polaków dorobił się w głębi Rosji wielkiej fortuny. Polacy byli właścicielami kopalń, fabryk, lasów, ziemi, pól naftowych na Kaukazie, Syberii, w Azji Centralnej, budowali koleje i mosty, mieli spory udział w penetracji kulturowej Syberii, należeli do czołowych jej odkrywców i badaczy, a ich ranga w świecie nauki była wysoka. Do dziś w języku mieszkańców Syberii i Dalekiego Wschodu zachowały się ślady polskich wpływów. Są to sprawy w Polsce bliżej nieznanne, a godne przypomnienia, tym bardziej że te rozliczne dobra na Syberii i Kaukazie przepadły po przewrocie bolszewickim.

Inny status miały tzw. Ziemie Zabrane, nazywane przez Polaków Kresami, a przez Rosjan zachodnią Rosją, leżące na wschód od Bugu. Na pierwszy rzut oka nie różniły się od gubernii wewnątrzrosyjskich, bo na przełomie wieku XIX i XX silne kiedyś polskie wpływy i znacząca obecność polskiej kultury były wyraźnie już ograniczone, a polskich śladów, np. w ustroju sądownictwa czy w administracji, zostało już niewiele. Nieliczni polscy pracownicy służb cywilnych zajmowali prawie wyłącznie niższe stanowiska. Do 1905 r. nie było polskich wydawnictw, gazet ani instytucji kulturalnych, takich jak teatry czy muzea. Obowiązywał język rosyjski. Próbowano nawet – bez powodzenia – uczynić go językiem liturgii katolickiej. Kościół katolicki był prześladowany, parafie i biskupstwa osierocone,

a katolicy dyskryminowani. Dyskryminowani byli też polscy ziemianie, których majątki stale uszczuplano. Polskość i łacińska kultura religijna znajdowały się w odwrocie, w siłę rośli natomiast Rosjanie oraz narody „kresowe”: Litwini, Łotysze, Białorusini, Ukraińcy.

Po 1905 r. władze zniosły szereg antypolskich i antykatolickich przepisów, odrodziła się polska społeczność i obywatelska posługa, powstały instytucje kulturalne, szkoły, stowarzyszenia itp. Centrum polskiej aktywności na Kresach stało się Wilno. Mniejsze znaczenie miały: Mińsk, Kowno, Grodno, Żytomierz oraz Kijów. Jednak po półwieczu represji i dyskryminacji środowiska polskie były dość ospałe. Brakowało ducha społecznikowskiego, szerszego zrozumienia dla idei służby społecznej, pracy dla dobra innych. Nieliczna była warstwa inteligencji. Polacy byli słabo zorganizowani i mało przedsiębiorczy, niekonsekwentni w działaniu, często niesummienni. Ich entuzjazm szybko stygł, a zaangażowanie się wypalało.

Było to jeszcze w istocie społeczeństwo stanowe; elity szlacheckie gardziły „gorzej” urodzonymi, pracą fizyczną i ludźmi pracy, a inteligentów nie považwały. Związek tamtejszych elit polskich z nowoczesnością, z prądami europejskimi był ograniczony. Polscy ziemianie i arystokraci do swych dawnych podanych, chłopów, niezależnie od ich języka i wyznania, mieli stosunek pogardliwy, naznaczony poczuciem wyższości. Najbliższe były im środowiska konserwatywne, rzadko pociągały ich natomiast idee nacjonalistyczne, gdyż nie bardzo mogli sobie wyobrazić, jak miałyby wyglądać w praktyce solidarność narodowa z brudnym, niechlujnym polskim chłopem, analfabetą.

Ziemie Zabrane, przyszłe województwa wileńskie, poleskie, nowogródzkie, wołyńskie, wschodnia część białostockiego

(Grodno), jako wiano wniosły do dziejów II Rzeczypospolitej nie tylko biedę i cywilizacyjne zacofanie, ale i bogactwo kulturowe. Największym bowiem bogactwem tych ziem było zróżnicowanie językowe, religijne, obyczajowe. Zdecydowaną większość mieszkańców stanowili prawosławni Ukraińcy i Białorusini oraz białoruskojęzyczni, a na Litwie etnicznej, katolicy, Litwini. Poza Wilnem, Wileńszczyzną, Grodnem i Grodzieńszczyzną Polacy i polskojęzyczni byli w mniejszości, nieraz wyraźnej, jak na północnym Wołyniu i Polesiu.

W momencie zakończenia wojny, tj. w 1921 r., większość mieszkańców tych terenów była analfabetami (na Polesiu ponad 90 proc. ogółu ludności). Polesie zresztą pod każdym względem było jednym z najbardziej zacofanych regionów Europy. Jego mieszkańcy nie mieli poczucia odrębności narodowej, uważali się za „tutejszych”. Ich przyszła przynależność narodowa była zatem sprawą otwartą. Z reguły mieszkali w kurnych chatach, bez komina i podłóg, pomiędzy trudno dostępnymi lasami i moczarami. O świecie zewnętrznym wiedzieli niewiele i nie martwili się tym, że nie widzieli lampy elektrycznej, samolotu czy samochodu itp. Nie uczestniczyli w życiu lokalnych społeczności, a tym bardziej w szerszym życiu publicznym. Żyli w świecie zabobonów, magii, wróżb. Ich wiedza religijna była bardzo powierzchowna i zniekształcona. Nie rozumieli pojęcia przynależności państwowej.

Na południe od Polesia, na Wołyniu mieszkali głównie chłopci rusińscy, rzadko jeszcze uważający się za Ukraińców, żyjący jednak na wyższym poziomie rozwoju niż Poleszycy. Część z nich miała poczucie odrębności kulturowej i narodowej, ale ich aktywność publiczna również była jeszcze skromna, bo i nie mieli ku temu szczególnych możliwości. Najpełniejszą świadomością narodową mogli się poszczycić Litwini. Mieszkańcy ziem północno-wschodnich znajdowali w 80 proc. zatrudnienie w rolnictwie, które cechowała jednak niska pro-

duktywność i niska kultura rolna. Wydajność tamtejszego rolnictwa, nawet na Wołyniu, słynącym z bardzo dobrej ziemi, była trzykrotnie niższa niż w Polsce zachodniej. Produkowano głównie na własne potrzeby, a nie na sprzedaż, toteż gospodarka pieniężna była w powijkach. Jedyne w wypadku alkoholu produktywność rolników była wysoka. Nierzadko za pracę w polu ziemianie płacili robotnikom rolnym wiadrami wódki. Alkohol bowiem ci ostatni uznawali za atrybut honoru, znak szacunku dla ich pracy. Przemysłu w zasadzie nie było, ograniczał się do niewielkich i nielicznych zakładów przetwórstwa płodów ziemi i lasu. Sieć komunikacyjną tworzyło kilka linii kolejowych, dróg bitych, poza dużymi miastami, nie było. Jakość podróży, tak jak w wiekach średnich, zależała od kaprysów pogody. Ziemie te, zamieszkane przez 6–7 mln ludzi, były bardzo słabo zurbanizowane, jedynym większym miastem było Wilno. Natomiast stosunkowo sporo znajdowało się miasteczek na prawach osad, zamieszkałych głównie przez Żydów, żyjących tak jak przed wiekami, w izolacji od ludności chrześcijańskiej, która była dla nich klientem, a nie partnerem. W miastach i miasteczkach rzadkością były elektryczność, kanalizacja, wodociągi, gaz, podobnie jak publiczne toalety, łaźnie oraz kina, teatry, sale koncertowe. Wejście wojsk bolszewickich na te terytoria stało się dla Polaków traumatycznym doświadczeniem. Gwałty, zniszczenia, palenie dworów i pałaców, rozkradanie majątków, likwidacja polskich instytucji kulturalnych i społecznych, burzenie kościołów i kaplic, mordowanie kapłanów i ziemian były na porządku dziennym. To wówczas utrwalił się obraz bolszewików jako bezbożników, okrutników i sadystycznych morderców.

Z kolei część wschodnia Galicji w dzieje II Rzeczypospolitej wniosła poważny konflikt, rozgrywający się między społecznością polską i ukraińską oraz między państwem polskim a częścią środowisk ukraińskich. Skutki konfliktu polsko-ukraińskie-

go lat 1918–1919 okazały się dla Polski międzywojennej i lat późniejszych niezwykle poważne. Zachodni politycy i generałowie w 1919 r. proponowali obu stronom podział Galicji Wschodniej na część polską ze Lwowem i zagłębiem naftowym w Borysławiu oraz ukraińską. Jednak ani Polacy, ani Ukraińcy nie byli temu pomysłowi przychylni. Obie nacje walczyły o wszystko. Podziały w Galicji Wschodniej biegły nie tyle według kryterium językowego, ile wyznaniowego. Niezależnie od używanego języka, grekokatolicy stawali się Ukraińcami, a łacinnicy Polakami. Częścią dziedzictwa Galicji jest społeczność łemkowska, zamieszkująca zachodnią część Karpat, od Sanu po Szczawnicę, która do dzisiaj zachowała poczucie kulturowej i etnicznej odrębności.

Galicja wniosła do odrodzonej Rzeczypospolitej tradycje i zasoby ludzkie kraju mającego przez kilkadziesiąt lat polską administrację, polskich w większości urzędników, sędziów i prokuratorów, tradycje kraju praworządnego, względnie liberalnego, ulegającego, aczkolwiek wolno, procesom demokratyzacji.

Jeszcze trwała I wojna światowa, gdy po akcie dwóch cesarzy 5 listopada 1916 r., kiedy utworzono satelickie Królestwo Polskie, na opróżnione przez Rosjan wyższe posady zostali skierowani urzędnicy z Galicji. Galicja wniosła też doświadczenie całkiem niezłe pracującego samorządu terytorialnego, skupiającego nierzadko ludzi, którym nieobcy był etos służby publicznej i obywatelskiej, zatroskanych o wspólną przestrzęń, dbających o powierzone im dobra i współobywateli. Samorządy troszczyły się o przestrzeń kulturową, o ład urbanistyczny w miastach i miasteczkach, o to, by budowano nie tam, gdzie się komuś podoba, lecz zgodnie z interesem lokalnych społeczności. Władze samorządowe urządzały skwery i parki, dbały, w miarę skromnych finansowych możliwości, o higienę i czystość, budowały drogi bite, a w mia-

stach wodociągi i kanalizację, organizowały straż pożarną. Polski charakter Galicji oraz obowiązujące prawo sprzyjało organizowaniu stowarzyszeń oświatowych, śpiewaczych, kulturalnych, naukowych, charytatywnych, gospodarczych.

Galicja była centrum polskiej nauki, kultury artystycznej i sztuki. Do 1914 r. tam właśnie działały jedyne na ziemiach polskich polskie uczelnie, w tym dwa uniwersytety, Jagielloński oraz Lwowski, a we Lwowie żywotna była Politechnika i Wyższa Szkoła Rolnicza oraz Akademia Weterynaryjna, jedna z nielicznych w Austro-Węgrzech, w Krakowie Akademia Sztuk Pięknych.

Poziom nauczania i badań naukowych był przyzwoity, a w kilku dziedzinach wysoki. Liczba studentów w 1914 r. przekroczyła 10 tys., z czego blisko $\frac{1}{3}$ stanowili studenci pochodzący z pozostałych zaborów. W Krakowie od 1872 r. działała Akademia Umiejętności, mająca w swoich szeregach uczonych polskich z kraju i emigracji, utrzymywana m.in. dzięki szczodrobliwości rodaków. Akademia Umiejętności dysponowała środkami na badania naukowe, na koordynację wysiłków uczonych, współfinansowała konferencje i seminaria naukowe, wspierała wydawanie książek i czasopism naukowych, urządzała zjazdy, zorganizowała w Wiedniu, Paryżu i Rzymie stacje naukowe.

Galicja wniosła do Rzeczypospolitej efektywnie działające instytucje kultury wysokiej, teatry, wydawnictwa, sale koncertowe, muzea, w tym Narodowe w Krakowie, Ossolineum we Lwowie, Muzeum Baworowskich, lwowskie galerie obrazów. Około 1900 r. królewski Kraków stał się stolicą polskiej kultury, w tym sztuki awangardowej, miastem Wyspiańskiego, Malczewskiego, Jasieńskiego, Przybyszewskiego, „Zielonego Balonika”, secesji, miastem pamiątek narodowych, do którego pielgrzymowali patriotyczni polscy chłopcy i Ślązacy. Niewiele

mu pod tym względem ustępował Lwów, trzecie co do wielkości miasto Polski i największe w Galicji, także trzecie w Przedlitawii (Austrii), centrum kultury polskiej, żydowskiej i ukraińskiej, siedziba uczelni, towarzystw naukowych, kulturalnych, teatrów. Galicja przekazała Polsce piękną tradycję ruchu gimnastycznego „Sokół”, z lwowskim, najstarszym towarzystwem sportowym na czele, oraz ruchu skautowego.

Galicja wniosła bogate doświadczenia życia politycznego i udziału obywateli w życiu publicznym. W zaborze austriackim uformowały się stronnictwa i partie, które działały w okresie międzywojennym, a ślady ich obecności w historii możemy odnaleźć jeszcze dzisiaj. Szczególne znaczenie miał ruch konserwatywny, stańczycy, oraz ruch socjalistyczny z Ignacym Daszyńskim, a także ruch ludowy z Wincentym Witosem na czele. Ludowcy stworzyli wręcz państwo w państwie, stworzyli gęstą sieć stowarzyszeń i organizacji ludowych, w tym patriotycznych. W Galicji też narodził się ruch chrześcijańsko-społeczny ks. Stanisława Stojałowskiego, odwołujący się do społecznej nauki Kościoła i papieskiej encykliki *Rerum Novarum*. Zabór austriacki był stolicą pracy niepodległościowej, pracy organizacji politycznych i wojskowych, w tym strzeleckich, skupionych wokół Józefa Piłsudskiego, a następnie Legionów Polskich. Galicja wniosła do oswobodzonej Polski tradycję silnych więzi społecznych, solidarności lokalnych społeczności, zachowawczość postaw, konserwatyzm w zakresie wartości, wierność ludowej religijności. Ludzie żyli tutaj dosyć moralnie (liczba przestępstw była znacznie niższa niż w sąsiednim Królestwie Polskim). Autorytet kapłanów był wysoki. Kościół katolicki, lojalny wobec Habsburgów i zachowawczy, nawet umiarkowanych w poglądach ludowców traktował jak rewolucjonistów. Za tekst rewolucyjny uchodziła encyklika *Rerum Novarum*, której biskupi w ogóle nie dostrzegali; byli za

zachowaniem tradycyjnej zależności wsi od dworu, a robotników od kapitalistów. Prądy wolnomyślicielskie i ateści to margines marginesu w Galicji, sporo natomiast zwolenników miała idea monarchistyczna. Kult dobrego cesarza Franciszka Józefa był wszechobecny, i to w różnych środowiskach, inteligenckich nie wyłączając. Polacy z Galicji nosili poczucie wyższości w stosunku do Polaków z zaboru rosyjskiego, zwanych przez nich Moskalami, a Warszawa w Krakowie i we Lwowie nie miała najwyższych notowań. Już wtedy krakowianie i lwowiaczy zarzucali warszawianom nadmierny pośpiech. Polscy „Galicjanie” kochali spokój i poczucie bezpieczeństwa socjalnego i rodzinnego.

Ale zabór austriacki miał też największe w skali Polski ukryte bezrobocie na wsi, sięgające 2–3 mln tzw. ludzi zbędnych, mieszkających w przeludnionych wsiach. Na skutek podziałów rodzinnych i braku komasacji gruntów rolnicy mieli niewielkie gospodarstwa w wielu kawałkach, co z punktu widzenia gospodarki rynkowej było absurdem. Galicja była krajem słabo zurbanizowanym, liczba mieszkańców miast sięgała zaledwie 20 proc. ludności. Ponieważ gospodarka rozwijała się stosunkowo wolno, miasta nie były w stanie wchłonąć „ludzi zbędnych”. Brakowało wielkich ośrodków przemysłowych, a górnicze były co najwyżej średniej wielkości. Poza tradycyjną solą wielicką, węglem kamiennym w Jaworznie i Trzebini, liczyła się ropa naftowa wydobywana w Karpatach, przede wszystkim w Borysławiu. Galicja należała do większych producentów ropy w skali świata i do największych Europy. Eksploatacja ropy i jej przetwórstwo zdynamizowały procesy industrializacyjne, zwłaszcza we wschodniej części kraju. Tutaj sytuowały się największe skupiska ludności żydowskiej, żyjącej w większości tak jak przed wiekami. Modernizacja i asymilacja Żydów do kultury polskiej objęła bardzo nielicznych. W porównaniu

z sąsiednim Królestwem Galicja wyróżniała się na plus pod względem gęstości linii kolei żelaznej, dróg bitych oraz liczby osób objętych kształceniem w zakresie szkoły powszechnej. W niektórych gminach Galicji Zachodniej do szkół uczęszczało ponad 90 proc. dzieci, na wschodzie jednak w wielu miejscach poniżej 40 proc.

Od końca XIX w. zacieśniały się więzi między Galicją a Śląskiem Cieszyńskim, należącym do Królestwa Czeskiego w ramach państwa Habsburgów. W Cieszyńskim powstawało coraz więcej polskich instytucji, kształtował się stan średni. Działały polskie gimnazja i szkoły zawodowe. Dzięki temu Śląsk Cieszyński, choć do Polski nie należał od sześciu wieków, zachował z nią poczucie jedności. Tamtejsze rodziny, w tym Buzków i Małyszów, włączały się czynnie w polskie życie oświatowe, kulturalne i polityczne. Cieszyńskie było najlepiej uprzemysłowionym, zorganizowanym i najzamożniejszym regionem w skali ziem polskich. Przewyższało bogactwem, jakością pracy oraz aktywnością ludzi sąsiedni Śląsk Pruski. Większość ludności stanowili Polacy, katolicy i ewangelicy, a $\frac{1}{4}$ Czesi. Niemcy zamieszkiwali głównie enklawę bielską. Po wojnie w skład odrodzonej Rzeczypospolitej weszła tylko północno-wschodnia część księstwa z Bielskiem i Cieszynem, co doprowadziło do wieloletniego konfliktu z Czechosłowacją. Polska część księstwa wniosła do Rzeczypospolitej mądrość i pracowitość ludności, jej solidność i sumienność, zrozumienie konieczności pracy dla dobra wspólnego, potrzeby życia w schludności, czystości, zdrowego, aktywnego. Cieszyńskie to najbardziej nowoczesna i europejska polska dzielnica, mieszczańska i robotnicza, kultywująca zachodnie wartości i sposób życia.

W skład państwa polskiego weszły północne skrawki Orawy i Spiszu, które przez 1000 lat należały do Węgier, jednak górale orawscy i spiscy, kierowani przez patriotycznych

kapłanów, znaleźli drogę do polskiej ojczyzny. Jest to jeden z fenomenów XX w., fenomenów pogranicza. Górale tamtejsi wnieśli, podobnie jak ich bracia z Podhala, te same wartości rodzinne, solidarność, ukochanie swobody, przywiązanie do narodowych pryncypiów, nawet jeśli były one dla nich świeżej daty. Region spisko-orawski, choć skromny pod względem liczby ludności, peryferyjny, biedny i zagubiony, niemniej ze względu na urodę miejsca, malowniczo usytuowane zamki i dzielnych ludzi, godzien jest wzmianki.

Trzecią, zasadniczą część odrodzonej Rzeczypospolitej stanowiły ziemie zaboru pruskiego – Wielkopolska i Pomorze Gdańskie. Region ten, zupełnie odmienny od pozostałych, był integralną częścią cywilizacji zachodniej. Należał do państwa dobrze zorganizowanego, sprawnego, funkcjonującego według racjonalnych zasad, praworządnego. Dlatego Polacy z tych ziem byli legalistami, a swojego dochodzili na drodze prawnej i nieraz na tej drodze wygrywali, aczkolwiek prawo było wobec nich jawnie dyskryminujące. Umieeli świetnie się organizować, tworząc silny ruch obywatelski w postaci licznych organizacji i stowarzyszeń, społecznych i kulturalnych. Analfabetyzm faktycznie nie był tu znany, wszyscy dorośli przeszli co najmniej przez szkołę stopnia pierwszego. Polacy działali bez fajerwerków, ale skutecznie. Cenili pracę, pracy fizycznej się nie brzydźili. Sumienni, zdyscyplinowani, terminowi, słowni, oszczędni i uczciwi, potrafili się dostosować do zmieniających się warunków. Solidarni w grupie narodowej i sąsiedzkiej, mieli silnie rozwinięte poczucie wspólnotowości, niezbędne w warunkach ostrej konfrontacji z II Rzeszą, prowadzącą politykę germanizacji, oraz społeczeństwem niemieckim, coraz wyraźniej nacjonalistycznym. Polacy koncentrowali się na sprawach konkurencji, walce ekonomicznej, inwestowaniu w gospodarstwa rolne, hodowlane, przetwórstwie rolnym, usługach

i drobnej wytwórczości w mieście, dlatego nie mieli już zbyt wiele czasu i ochoty na udział w kulturze wysokiej i na jej tworzenie. Pod tym względem ustępowali mieszkańcom pozostałych zaborów, gdzie aż się roilo od instytucji artystycznych, zespołów i twórców. Tamtejsi polscy artyści mieli stosunkowo skromny udział w tworzeniu najwyższych narodowych wartości i treści artystycznych. Ale Polacy pocieszali się, że wojnę gospodarczą z niemieckimi rolnikami zasadniczo wygrali, gdyż produktywność ich gospodarstw był jedną z najwyższych w Europie. Wydajność zbóż z ha przekraczała 20 q z ha (w Czechach 17 q z ha, we Francji 13 q z ha). Jedynie na zachodnich rubieżach Niemiec oraz w Danii, Holandii i Wielkiej Brytanii kultura rolna była wyższa. Poziom życia Polaków na Pomorzu i w Wielkopolsce był stosunkowo wysoki, aczkolwiek niższy niż mieszkańców Berlina, Westfalii czy Nadrenii. Korzystali z licznych urządzeń komunalnych, bieżącej wody, kanalizacji, dróg bitych i gęstej sieci linii kolejowych. Abonowali i czytali gazety, czasopisma specjalistyczne, zakładali domowe biblioteczki, uczęszczali na zebrania instytucji samorządowych, śpiewaczych, sportowych, gimnastycznych.

W zaborze pruskim nie było wielkich miast, ale sieć miast średnich i miasteczek była gęsta, stopień urbanizacji Pomorza i Wielkopolski był najwyższy spośród zaborów. W miastach mieszkali Niemcy i Polacy, liczba Żydów, zresztą uważających się za Niemców, była niewielka, co zresztą dowodziło przewagi kultury niemieckiej, atrakcyjniejszej dla Żydów niż polska, inaczej niż w pozostałych zaborach. Przedziały klasowe i warstwowe były nieostre, a procesy demokratyzacji społeczeństwa zaawansowane. Ziemianin mógł zasiadać w lokalu stowarzyszenia obok rolnika, rolnik obok kupca czy przedsiębiorcy, a wszyscy obok księdza, co było nie do pomyślenia w innych zaborach. O ile na Kresach wschodnich ziemianie

z reguły wywodzili się ze szlachty, o tyle w zaborze pruskim legitymizujący się pochodzeniem szlacheckim byli w mniejszości, a na Pomorzu stanowili jedynie $\frac{1}{6}$ ogółu polskiego ziemiaństwa. „Znakiem firmowym” Polaków był nowoczesny, światły i aktywny w pracy społecznej kapłan katolicki, wykształcony, czytany, często o walorach menedżerskich. Kapłani byli jednocześnie strażnikami kultury i tradycji polskiej, walczyli z germanizacją języka potocznego. Potrzeba narodowej solidarności w zaborze pruskim prowadziła do akceptacji tych idei, które głosiły siłę i wartości narodu oraz wspierały walkę z żywiołem niemieckim, tj. idei narodowej demokracji. Prawie nie było tutaj miejsca na klasowy ruch socjalistyczny, a ruch chłopski w ogóle nie przejawiał żywotności, gdyż nie było takich konfliktów między wsią a dworem, jak w Galicji.

Typ mentalności mieszkańców zaboru pruskiego dobrze oddaje scena z 1920 r. z miasteczka Brodnica na Pomorzu, gdzie stacjonowały wojska polskie. Żołnierze wywodzili się z dawnych polskich korpusów w Rosji. Oficerowie i żołnierze, zgodnie z rosyjskim zwyczajem, regularnie ucztowali, tłukąc tony kieliszków. Po kilkunastu tygodniach do dowódcy garnizonu wpłynął protest podpisany przez burmistrza i radnych miejskich, w którym ci występowali przeciwko grzechowi marnotrawstwa wśród żołnierzy. Według ustaleń brodniczian, gdyby spieniężyć szkło, które zostało rozbite podczas libacji alkoholowych, można by wybudować czteroklasową szkołę i ochronkę.

W skład Rzeczypospolitej weszły też wschodnie skrawki Górnego Śląska, czyli ziemie, które do Polski nie należały od sześciu wieków. Śląsk to jedyny w swoim rodzaju region górniczy i przemysłowy, a polscy i „śląscy” Ślązacy to ludzie głęboko religijni, troszczący się o zachowanie własnej tożsamości, ceniący wartości i cnoty ludzi ciężkiej pracy, serio traktujący etos pracy.

Kulturowe i cywilizacyjne dziedzictwo zaborów bardzo silnie rzutowało na dzieje Polski i jej mieszkańców w II Rzeczy-

pospolitej. Miało też wpływ na historię w okresie PRL-u, a także na współczesne dzieje Polski. Dziedzictwo, co oczywiste, ulegało ewolucyjnym zmianom w tempie niespiesznym, stanowiąc stały punkt odniesienia dla naszego losu w przeszłości i dzisiaj.

Tomasz Nałęcz

POLSKA I SPRAWA POLSKA
W I WOJNIE ŚWIATOWEJ

Nieobecność sprawy polskiej w wojennych planach mocarstw

Nadciągająca od kilku lat wielka wojna między dwoma blokami militarnymi w Europie wzbudzała w Polakach nadzieję na zasadniczą odmianę losu. Po raz pierwszy od ponad stu lat, nie licząc krótkiej wojny pomiędzy Prusami i Austrią w 1866 r., zaborcy, a wraz z nimi cała Europa, mieli zetrzeć się w śmiertelnym konflikcie. Było jasne, że odmieni on kształt kontynentu. Polacy liczyli, że ożywi także sprawę polską i marzyli o odbudowaniu własnego państwa.

Powszechnie oczekiwano, że zaborcy, chcąc zwiększyć własne szanse na zwycięstwo, odwołają się po rozpoczęciu działań militarnych do swoich polskich poddanych, a także do ich rodaków mieszkających poza linią frontu. Wojna wymagała przecież daniny krwi i mienia, za którą zaborcy powinni zapłacić ustępstwami politycznymi.

Żadne z trzech mocarstw, które przed ponad wiekiem podzieliły Rzeczpospolitą, nie zamierzało jednak podejmować

na serio sprawy polskiej. Owszem, planowały drobnymi gestami zyskać przychylność Polaków, aby ułatwić sobie walkę, ale nie zamierzały przesuwać rozbiorowych kordonów. Nie chciały tego zwłaszcza Rosja i Niemcy, bo i tak miały wiele kłopotów z dotychczasowymi polskimi poddanymi, dla których nie miały innej oferty poza ograniczaniem ich aspiracji narodowych.

Największą sympatią darzył Polaków sędziwy władca Austro-Węgier Franciszek Józef I. Miła mu była myśl o polskiej koronie, po którą chciał sięgnąć po przyłączeniu do Galicji Królestwa Polskiego i przekształceniu monarchii w państwo trialistyczne: Austro-Węgry-Polskę. Skutecznie storpedowali te plany wpływowi politycy niemieccy i węgierscy, dla których Królestwo Polskie było terenem mało atrakcyjnym, o wiele mniej interesującym od Bałkanów i Bliskiego Wschodu, ku którym kierowali swoją uwagę.

W jeszcze mniejszym stopniu w sprawę polską zamierzali angażować się Niemcy. W Berlinie rozmyślano o drobnych korektach granicy wschodniej, ale starannie unikano koncepcji, które mogłyby się przyczynić do umocnienia oporu ludności polskiej, i tak skutecznie przeciwstawiającej się germanizacji. Nie było też celem Niemiec trwałe antagonizowanie się z Rosją, do czego niechybnie prowadziłoby podniesienie kwestii polskiej.

Również w Petersburgu posłużenie się kartą polską nie miało zbyt wielu orędowników. Gotów był to uczynić minister spraw zagranicznych Sergiusz Sazonow, który w wykorzystaniu odśrodkowych ruchów słowiańskich upatrywał najlepszą drogę podważenia mocarstwowej pozycji Austrii. Jednak większość dworu i elit władzy widziała w Polakach źródło kłopotów, a nie szansy na zwiększenie rosyjskich wpływów.

Zachodni sojusznicy Rosji, Francja i Anglia, uznawali problem polski za wewnętrzną sprawę monarchii Romanowów

i starannie unikali jakiegokolwiek posunięcia, które mogłoby rzucić cień na stosunki z Petersburgiem i osłabić jego zaangażowanie w wojnę.

Po wybuchu wojny, w sierpniu 1914 r., wszyscy zaborcy ograniczyli się do niewiele znaczących propolskich gestów, demagogicznych i nadzwyczaj umiarkowanych w sferze konkretnych obietnic. Najdalej posunęli się Rosjanie, zapowiadając 14 sierpnia 1914 r. w odezwie naczelnego wodza, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza zatarcie granic dzielących naród polski i jego zjednoczenie pod berłem imperatora Wszechrosji. Można to było odczytać jako wkroczenie na drogę pojednania z Polakami, od lat proponowaną Rosjanom przez lidera Narodowej Demokracji, Romana Dmowskiego. W rzeczywistości ów gest poczyniono wyłącznie ze względów taktycznych, aby zyskać przychylność miejscowej ludności i ułatwić sobie walkę z Niemcami i Austriakami.

Prorosyjska postawa Narodowej Demokracji i powstańcze plany Piłsudskiego

Polacy zamieszkujący Królestwo nie znali rzeczywistych intencji Rosji i w odezwie Mikołaja Mikołajewicza dostrzegli zapowiedź uwzględnienia ich narodowych aspiracji i poprawy warunków bytu. Na fali tych nastrojów wzrosła popularność, i tak dominującej w Królestwie, Narodowej Demokracji. Jej politycy stanęli na czele powołanego w listopadzie 1914 r. Komitetu Narodowego Polskiego, aspirującego do roli ogólnonarodowej reprezentacji politycznej. Komitet przystąpił do tworzenia oddziałów polskich, mających walczyć w ramach armii rosyjskiej. Władze przyjęły tę inicjatywę niechętnie, potwierdzając tym samym brak zainteresowania kwestią polską. W tej

sytuacji KNP skoncentrował się na udzielaniu pomocy milionom rodaków, których coraz boleśniej dotykały skutki wojny. Owe społeczno-obywatelskiej aktywności sprzyjała coraz większa dezorganizacja władz rosyjskich, źle radzących sobie w nadzwyczajnych okolicznościach wojny.

Ta bardzo pożyteczna aktywność w niewielkim tylko stopniu rekompensowała bezruch sprawy polskiej. Dmowski nie tracił jednak nadziei, że ciężko doświadczana przez wojnę Rosja zrozumie w końcu potrzebę współdziałania z Polakami. Czekał cierpliwie, to samo zalecając swoim zwolennikom. Wierzył, że czas pracuje na korzyść jego koncepcji.

Diametralnie inną drogą podążył Józef Piłsudski, który głównego wroga Polski upatrywał w Rosji. Jego zdaniem wybuch wojny stworzył niepowtarzalną szansę wywołania antyrosyjskiego powstania, walczącego z poparciem Austrii i Niemiec, liczących, że polska dywersja poważnie utrudni Rosjanom prowadzenie wojny.

6 sierpnia, zaraz po wybuchu wojny rosyjsko-austriackiej, dowodzone przez Piłsudskiego oddziały strzeleckie wkroczyły z Galicji do Królestwa. Jednak już pierwsze godziny akcji przyniosły zapowiedź klęski. Ludność Królestwa nie poparła strzeleckiego czynu zbrojnego i do kadrowych kompanii nie napłynęli oczekiwani ochotnicy. Koncepcja insurekcyjna załamała się. Rozczarowani brakiem antyrosyjskiej dywersji Austriacy postawili Piłsudskiemu nader ciężkie warunki. Miał albo rozwiązać podległe mu oddziały, albo wcielić je do austriackiego pospolitego ruszenia. Było to nie do przyjęcia dla przepełnionej patriotyzmem młodzieży strzeleckiej i równało się z politycznym samobójstwem.

Ratunek przyniosła inicjatywa zwolenników rozwiązania trialistycznego. 16 sierpnia 1914 r. powstał w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy, popierany przez większość stron-

nictw galicyjskich. Pod jego patronatem rozpoczęto tworzenie Legionów Polskich. Formalnie były one częścią pospolitego ruszenia austriackiego. W powszechnej opinii uchodziły jednak za zaczątek wojska narodowego. Oddziały strzeleckie zostały przekształcone w 1. pułk piechoty LP, dowodzony przez Piłsudskiego. On sam przeszedł oficjalnie do grona zwolenników trializmu. W głębi duszy nie wyrzekł się jednak programu niepodległościowego. W pierwszej kolejności podjął starania mające na celu zdobycie komendy nad całymi Legionami. Liczył, że pod jego dowództwem staną się one kadraj wymarzonej armii polskiej, zaświadczej swymi czynami o odrodzeniu sprawy polskiej.

W ciągu pierwszego roku wojny Legiony rozrosły się do trzech brygad, skupiających łącznie około 15 tys. żołnierzy w oddziałach liniowych i dalsze 10 tys. w jednostkach tyłowych i aparacie werbunkowym, kierowanym przez Władysława Sikorskiego. Zbyt mała to była siła, aby zaważyć na zmaganiach milionowych armii. Samo jednak jej powstanie i dalsze bohaterskie walki tworzyły atmosferę sprzyjającą zainteresowaniu sprawą polską. Pod Uliną Małą, Łowczówkiem, Konarami, Jastkowem, Rokitną i w wielu innych miejscach legionowych bitew rodziła się legenda czynu żołnierskiego, która w przyszłości odegrała swoją rolę w polityce.

Przytłaczająca większość Polaków walczyła i ginęła na wojnie w imię obcej sprawy. Szacuje się, że w latach 1914–1918 zaborecy zmobilizowali ponad 3 mln polskich poddanych, z których w armii austriackiej poległo 220 tys., w niemieckiej 110 tys., a w rosyjskiej 55 tys. Zwłaszcza w pierwszych tygodniach, kiedy ścierały się korpusy mobilizowane w okęgach nadgranicznych, wojna miała dla Polaków wybitnie bratobójczy charakter.

Pierwsze oznaki zmian

W pierwszym roku wojny sprawa polska tkwiła w martwym punkcie, w jakim ulokowała ją polityka zaborców. Dopiero latem 1915 r., wraz ze zwycięską ofensywą państw centralnych podjętą na froncie wschodnim, dzięki której Niemcy i Austriacy wyparli Rosjan z ziem polskich aż po rubież: Dyneburg, Baranowicze, Pińsk i Łuck, padł pierwszy sygnał zapowiadający zmianę tego stanu rzeczy. W dwa tygodnie po zajęciu Warszawy, 19 sierpnia 1915 r. kanclerz Bethmann Hollweg oświadczył w Reichstagu, że „kraj wyzwolony z rosyjskiego jarzma będzie mógł pielęgnować i rozwijać właściwości swego narodowego życia”. Na razie były to tylko słowa, ale w listopadzie 1915 r. Niemcy zgodzili się na otwarcie w Warszawie polskiego uniwersytetu i politechniki, zapoczątkowując politykę realnych ustępstw.

Ułatwiło to działania politykom, liczącym, że dzięki państwom centralnym „kwestia polska” zostanie podniesiona na forum międzynarodowym. Coraz częściej zwano ich „aktywistami”, z racji gotowości do współpracy z nowymi panami zaboru rosyjskiego. W obozie tym doszło do poważnej różnicy zdań. Piłsudski i jego zwolennicy rozbudowę Legionów uzależnili od jednoznacznej deklaracji Niemiec i Austrii w sprawie niepodległości Polski. Nie podzielali tego stanowiska liderzy NKN, w tym szef Departamentu Wojskowego – Sikorski. Uważali oni, że właśnie rozbudowa Legionów doprowadzi do umocnienia polskiej pozycji politycznej.

Aby skłonić Berlin i Wiedeń do ustępstw, Piłsudski wstrzymał we wrześniu 1915 r. werbunek do Legionów. Jednocześnie intensywnie rozbudowywał tajną Polską Organizację Wojskową, wcześniej konspiracyjną przeciw Rosjanom. Miała ona, obok Legionów, dostarczyć kadr polskiej sile zbrojnej, którą Piłsudski

gotów był tworzyć po odnowieniu sprawy polskiej przez mocarstwa centralne.

Zajęcie ziem polskich przez Niemców i Austriaków bardzo skomplikowało sytuację obozu orientującego się na Rosję. Kierująca nim Narodowa Demokracja trwała na pozycjach antyniemieckich, polecając swym zwolennikom zachowanie bierności wobec nowych okupantów. Dlatego coraz częściej zwano ten obóz „pasywistami”. Pasywiści znaleźli się w trudnym położeniu także dlatego, że kraj opuścili wraz z wycofującymi się wojskami rosyjskimi liderzy tego obozu, z Romanem Dmowskim na czele. Pośpiesznie awansowany drugoplanowy zespół polityków nie zawsze potrafił sobie poradzić z komplikującą się sytuacją polityczną.

Niełatwe było położenie Dmowskiego, który po ewakuacji osiedlił się w Piotrogradzie, jak na fali walki z niemieczyzną nazwano Petersburg. Rosja, z którą wiązał los sprawy polskiej, ponosiła militarne klęski i coraz bardziej traciła w oczach Polaków. Mogła wprawdzie podnieść swoje akcje, deklarując zgodę na pewne ustępstwa, ale do tego potrzebna była dobra wola, której caratowi, nawet w tej krytycznej sytuacji, brakowało.

Z myślą o przełamaniu impasu Dmowski wyjechał w końcu 1915 r. do Anglii. Nie zrywał z dotychczasową koncepcją. Wciąż za śmiertelnego wroga uznawał Niemcy. Widząc jednak, że Rosja nie ma Polakom niczego do zaoferowania, chciał doprowadzić do zmiany jej polityki pod wpływem presji Anglii i Francji. Przekonywał polityków i opinię publiczną w tych krajach, że nieingerowanie w stosunki polsko-rosyjskie zaczyna zagrażać ich własnym interesom, gdyż oddaje inicjatywę w ręce państw centralnych. Jeśli Berlinowi i Wiedniowi udałoby się, za cenę obietnicy odbudowania Polski, pozyskać sympatie Polaków i zmobilizować ich do wojska, Entencie znacznie trudniej będzie osiągnąć zwycięstwo, a kto wie, może nawet przegra wojnę.

Latem 1916 r. Niemcy, którzy coraz bardziej dominowali nad Austriakami, zdecydowali się na podniesienie kwestii polskiej. Stracili nadzieję na zawarcie separatystycznego pokoju z Rosją i stanęli wobec konieczności ułożenia przyszłości na zdobytych terenach. Co istotne, wyczerpywały się rezerwy ludzkie Niemiec i to kierowało ich uwagę na polskich rekrutów, niezmobilizowanych przez wycofujących się Rosjan. Wcielenie ich do wojsk cesarskich nie było jednak możliwe. Zabraniało tego prawo międzynarodowe. Nawet gdyby przejść nad nim do porządku dziennego, to i tak trudno byłoby polegać na żołnierzu zmobilizowanym przy użyciu siły. Kłopoty te zniknęły w przypadku odbudowania państwa polskiego i sformowania polskiej armii.

Niemcy kierowali się własną racją stanu i nie myśleli o suwerennej Polsce, lecz o podporządkowanym Rzeszy organizmie państwowym, stanowiącym jeden z elementów nowej, powojennej Europy Środkowo-Wschodniej. Realizację tej koncepcji blokował jednak Wiedeń, od początku wojny twardo broniący swoich interesów.

Supremację Berlina umocniły wypadki wojenne. W czerwcu 1916 r. Rosjanie rozgromili Austriaków na Wołyniu. Ostatecznej klęsce zapobiegły niemieckie posiłki. Ceną za ocalenie była zgoda Wiednia na rozwiązanie niemiecko-polskie.

Berlinowi zależało na tym bardziej, że walki na Wołyniu ukazały bojowe zalety polskiego żołnierza. Rosyjskie natarcie w rejonie Kostiuchnówki, trwające trzy dni, mimo przeważającej przewagi ludzkiej i ogniowej, rozbijało się o legionowe pozycje. W końcu pułki legionowe musiały się wycofać, ale ich odwrót w niczym nie przypominał bezładnej ucieczki oddziałów austriackich. W dziesięć dni po bitwie gen. Ludendorff, numer dwa w niemieckiej armii, wspomniawszy uprzednio, że „Austriacy zachowują się jak świnie”, napisał: „Wzrok mój znowu

zwraca się na Polskę. Polak to dobry żołnierz. [...] Trzeba zrobić Wielkie Księstwo Polskie z Warszawą i Lublinem, a następnie armię polską pod dowództwem niemieckim”.

Akt 5 listopada 1916 roku

12 sierpnia 1916 r. Niemcy i Austro-Węgry zawarły porozumienie w sprawie odbudowania „samodzielnej” Polski. Miała ona być konstytucyjnym królestwem, pozostającym pod niemiecką kuratelą, obejmującym tereny byłego Królestwa Kongresowego, ale z uwzględnieniem cesji granicznych zarówno na korzyść Niemiec, jak i Austrii.

Akt dwu cesarzy proklamujący odrodzenie Królestwa Polskiego ogłoszony został 5 listopada 1916 r. Niemcy podjęły sprawę polską z myślą o własnych korzyściach, ale niezależnie od ich intencji kwestia polska zaczęła żyć własnym życiem na arenie międzynarodowej. Wystartowała licytacja, w której gracze zmuszeni byli podbijać stawkę, by nie pozostawić puli konkurentom.

Ruch Berlina poważnie zaniepokoił Ententę. Dobrze rozumiała, że wystawienie przez Niemców kilkuset tysięcznej armii polskiej zmieni na jej niekorzyść wojenny układ sił. Może nawet odbierze zwycięstwo. Rozpoczęły się dyskretne naciski na Rosję, by przelicytowała niemieckie obietnice. Piotrogród, acz z oporami, dostrzegł potrzebę działania. Car w noworocznym rozkazie do wojska uznał za jeden z celów wojennych „stworzenie Polski wolnej, złożonej z wszystkich trzech części, dotąd rozdzielonych”. A w rozmowie z jednym z polskich polityków, zrelacjonowanej przez prasę rządową, wyjaśnił, że określenie „wolna Polska” oznacza własny ustrój państwowy, z polskim parlamentem i armią. W licytacji obietnic Rosja z ostatniego wyszła na pierwsze miejsce.

Zaledwie w dwa miesiące sprawa polska posunęła się o wiele dalej niż przez poprzednie dwa lata, nie wspominając już o dziesięcioleciach przedwojennego bezruchu. Prezydent neutralnych jeszcze Stanów Zjednoczonych, Woodrow Wilson, mógł 22 stycznia 1917 r. w głośnym orędziu do Senatu oświadczyć, że przywódcy obu wojujących stron są zgodni co do konieczności odrodzenia Polski zjednoczonej i niezależnej. Wilson świadomie poszedł dalej niż politycy, na których się powoływał. Niemcy nie myśleli przecież o zjednoczeniu, a Rosjanie o państwowej niezależności. Żadna ze stron nie zdecydowała się jednak zaprzeczyć takiemu postawieniu sprawy.

Znacznie gorzej od deklaracji wyglądały realne ustępstwa czynione przez zaborców na rzecz Polaków. Rosjanie nie zdobyli się nawet, aż do marca 1917 r., na zniesienie prawnych ograniczeń krępujących Polaków przebywających na terenie cesarstwa.

Aktywniejsi byli Niemcy i Austriacy. Ale oni również nie spieszyli się z odbudowywaniem Królestwa Polskiego. Natychmiast za to przystąpili do formowania polskiej armii, pozostającej pod niemieckim dowództwem. Zmroziło to nastroje, także wśród wielu „aktywistów”. Piłsudski i lewica niepodległościowa uzależniali poparcie dla werbunku od powołania rządu narodowego, sprawującego zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi i gwarantującego ich użycie tylko zgodnie z polskimi interesami. Niemcy nie chcieli o tym słyszeć i wymusili na Austriakach usunięcie Piłsudskiego z Legionów. Werbunek powierzyli Władysławowi Sikorskiemu, który gotów był stworzyć armię szybko i bez dodatkowych warunków, bo w niej widział siłę motoryczną odradzającej się polskiej państwowości. Doprowadziło to do ostrego konfliktu pomiędzy Piłsudskim i Sikorskim, którego lewica niepodległościowa uznała za swego głównego wroga.

Większość „aktywistów” nie poparła niemieckich planów budowy armii. Niewielu też zgłosiło się do niej ochotników. Aby przełamać impas, Berlin poszedł na ustępstwa. W styczniu 1917 r. utworzona została Tymczasowa Rada Stanu, będąca namiastką polskiego rządu. Weszli do niej przedstawiciele najważniejszych ugrupowań aktywistycznych, w tym Piłsudski, któremu powierzono w TRS kierownictwo spraw wojskowych. Kwestia wojska nie ruszyła jednak z martwego punktu, gdyż Niemcy nie chcieli jej wypuścić z rąk. Narastał kolejny kryzys, któremu towarzyszyło coraz większe rozczarowanie, ogarniające nie tylko polityków, ale i całe społeczeństwo.

O niechęci do Niemców i Austriaków zadecydowało nie tylko zmrozenie nadziei wywołanych przez akt 5 listopada. Na nastrojach ważyły też trudne warunki egzystencji. Okupanci, boleśnie dotknięci skutkami blokady stosowanej przez Ententę, bezlitośnie eksploatowali ziemie polskie. Wieś dotknęła plaga rekwizycji. W zasobnym przed wojną kraju teraz racjonowano żywność, drastycznie obniżając i tak skromne przydziały. Dość powiedzieć, że w 1914 r. dzienna wartość posiłków wynosiła 3100 kalorii, a w 1918 r. już tylko 890 kalorii. Nagminnym zjawiskiem stał się głód, a wraz z nim choroby. Okupanci systematycznie rujnowali przemysł Królestwa, konfiskując wszystko, co tylko mogło wesprzeć ich przemysł wojenny. Przy okazji pozbywali się konkurencji, bo powojennemu Królestwu Polskiemu przeznaczali rolę rolniczego zaplecza Rzeszy, zalewanego niemiecką produkcją przemysłową.

Rewolucja w Rosji

Kiedy polityka „aktywistów” coraz wyraźniej brnęła w ślepy zaulek, Polakami wstrząsnęła wieść o wybuchu rewolucji

w Rosji. Po trwających kilka dni zamieszkach i walkach w Piotrogradzie, 15 marca 1917 r. abdykował car Mikołaj II, a w dzień później Rząd Tymczasowy objął pełnię władzy. Skończyło się panowanie caratu, od ponad stulecia strzegącego nienaruszalności rozbiorów.

Walka o to, kto i jak będzie rządził nową Rosją, dopiero się zaczynała. Rząd Tymczasowy opowiadał się za ustanowieniem demokratycznej republiki. Napotkał jednak ogromne kłopoty, wynikające z narastającego chaosu i wycieńczenia kraju przez wojnę. Na jego zapleczu ścierały się wpływy ugrupowań umiarkowanych, z kadetami, tj. konstytucyjnymi demokratami na czele, z którymi rywalizowały stronnictwa lewicy, w pierwszej kolejności eserowcy i mienszewicy. Na razie nie liczyli się w tej rozgrywce najbardziej radykalni bolszewicy, ale radykalizacja nastrojów zwiększała ich popularność.

Rywalizacja w zwycięskim obozie rewolucji odcisnęła się także na kwestii polskiej. 27 marca 1917 r. orędzie „Do Narodu Polskiego” wydała zdominowana przez mienszewików i eserowców Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Oświadczyła, że „demokracja w Rosji stoi na stanowisku uznania samookreślenia politycznego narodów i oznajmia, że Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym”. Rada funkcjonowała poza oficjalną strukturą władz, ale reprezentowana w niej lewica coraz bardziej liczyła się w grze o oblicze Rządu Tymczasowego.

Orędzie zdopingowało rząd, który 29 marca 1917 r. wydał manifest skierowany do Polaków. Zadeklarował w nim, że „naród rosyjski, który zrzucił jarzmo, przyznaje także polskiemu bratniemu narodowi pełne prawo samostanowienia o swoim losie według własnej woli”. Ale jednocześnie dokument mówił o „wolnym sojuszu wojskowym” Polski i Rosji, co nie pozostawiało złudzeń, że warunkiem odbudowania państwa polskiego jest jego pozostawanie w rosyjskiej strefie wpływów. W rozmowach dyplomatycznym z zachodnimi aliantami Rząd

Tymczasowy nie ukrywał, aż po dzień swego upadku, że do niego musi należeć ostatnie słowo w sprawach polskich. Nie ulegało wątpliwości, że Rosja wyegzekwuje to żądanie na przyszłej konferencji pokojowej.

Na razie nikt się tym nie przejmował. Liczyło się, że rewolucyjna Rosja uznała prawo Polski do niepodległości. Stworzyło to, niezależnie od stopnia szczerości intencji, nową sytuację na arenie międzynarodowej. Państwa centralne zostały przelicytowane, i to bardzo wysoko. Na ich niekorzyść dodatkowo przemawiał fakt, że akt 5 listopada praktycznie nie był realizowany. Jeśli nie chciały oddać inicjatywy Entencie, musiały zaoferować Polakom kolejne ustępstwa.

Propolskie deklaracje Piotrogradu rozwiązały ręce jego zachodnim sojusznikom. Już bez obawy narażenia się na gniew wschodniego alianta Francja i Anglia mogły zaangażować się w sprawę polską, do czego gorąco namawiał Dmowski, wyrastający w nowych warunkach na niekwestionowanego przywódcę polskiego na Zachodzie. Skorzystał z tej możliwości prezydent Francji Raymond Poincaré i 4 czerwca 1917 r. wydał dekret o organizowaniu we Francji armii polskiej. Polityczne zwierzchnictwo objął nad nią utworzony 15 sierpnia 1917 r. Komitet Narodowy Polski, działający pod prezesurą Dmowskiego. 20 września 1917 r. Francja uznała KNP za „oficjalną organizację polską”, czyli surogat rządu polskiego. 15 października uczyniła to Wielka Brytania, 30 października – Włochy, a 10 listopada – Stany Zjednoczone. Państwa zachodnie włączyły się do rozgrywki w sprawie polskiej. Ciągłe jednak priorytetowo traktowały interesy rosyjskiego sojusznika.

Reorientacja sojuszy na ziemiach polskich

Rewolucja w Rosji w zasadniczy sposób zmieniła strategię części sił politycznych na ziemiach polskich. Obóz narodowy

pozostał na swoich dotychczasowych pozycjach, choć za głównego alianta – zgodnie z linią Dmowskiego – uznał już nie Rosję, lecz państwa zachodnie. Za to największy rywal endecji, Józef Piłsudski, zdecydował się na reorientację sojuszy. Kiedy Piotrogród potwierdził prawo Polski do niepodległości, stracił sens alians z mocarstwami centralnymi. Tym bardziej, że ciągle nie realizowały one swoich obietnic, utwierdzając przekonanie, iż chodzi im wyłącznie o wyciśnięcie z Polski rekruta.

Na dodatek, główną wojenną ideę Piłsudskiego – budowania armii polskiej, przejęła nowa Rosja. Pierwszy zjazd Związków Wojskowych Polaków, obradujący w czerwcu 1917 r. w Piotrogródzie, wybrał nawet Piłsudskiego na swego honorowego przewodniczącego. Nie bez znaczenia było pogarszanie się sytuacji wojennej państw centralnych. Wprawdzie chaos rewolucyjny coraz bardziej osłabiał siłę bojową armii rosyjskiej, ale stratę z nawiązką zrekompensowało wypowiedzenie 6 kwietnia 1917 r. wojny Niemcom przez Stany Zjednoczone.

Okazji do zerwania z państwami centralnymi dostarczyła Piłsudskiemu mało patriotyczna formuła przysięgi, jaką miały składać Legiony Polskie, wcielane do wojska tworzonego przez Niemców. Komendant ustąpił z TRS i polecił swoim zwolennikom odmówić złożenia przysiężenia. W konsekwencji 22 lipca 1917 r. został przez Niemców aresztowany i internowany w Magdeburgu. Ryzykował nie tylko wolność, ale i życie. Mógł przecież z wyroku sądu wojennego stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Uniknął jednak najgorszego, a zyski polityczne płynące z uwięzienia były olbrzymie. Z sojusznika państw centralnych, których wojenne zwycięstwo było coraz bardziej wątpliwe, przeistoczył się w ofiarę ich prześladowań. Każdy dzień uwięzienia przysparzał mu dodatkowego kapitału. Zwolennicy ogłosili go mężem opatrnościowym i coraz więcej osób, widząc zaostrzającą się rywalizację stronnictw, wierzyło tej tezie.

Politycy coraz ostrzej spierali się o to, czy trwać przy sojuszu z Berlinem, który w nowej konfiguracji stworzonej przez rewolucję w Rosji poszedł, acz niechętnie, na kolejne ustępstwa. Jesienią 1917 r. Niemcy mianowali najwyższą władzę Królestwa Polskiego – Radę Regencyjną, a ta, w grudniu 1917 r., desygnowała Radę Ministrów. Urzędy te nie miały zbyt dużo realnej władzy, ciągle twardo sprawowanej przez okupantów, ale samo ich powołanie świadczyło o nowym kursie polityki niemieckiej.

Chaos towarzyszący rewolucji rosyjskiej, który ogarnął także armię, sprawił, że Berlin nie potrzebował już polskiego mięsa armatniego. Zaczął za to rozmyślać o odgródzeniu swych granic od zrewoltowanej Rosji barierą państw podległych Rzeszy. By stać się ogniwem tego łańcucha, państwowość polska musiała zostać oparta na siłach niepodatnych na rewolucyjną propagandę. Bez najmniejszego żalu przyjęli więc Niemcy opuszczenie ich przez Piłsudskiego i obóz lewicy niepodległościowej. Nieprzypadkowo w dwa miesiące po aresztowaniu sztandarowego do tej pory „aktywisty” – Piłsudskiego – do Rady Regencyjnej weszli nie mniej sztandarowi „pasywiści”: książę Zdzisław Lubomirski, arcybiskup Aleksander Kakowski i hrabia Józef Ostrowski. Wszyscy oni związani byli z konserwatystami, zwanymi w zaborze rosyjskim „realistami”, którzy do tej pory współpracowali z endecją. Porzucili swoją dotychczasową wstrzeźliwość wobec Niemców, widząc w nich gwaranta stabilności zagrożonej burzą huczącą na wschodzie.

Nadal nieprzejednana i „pasywna” wobec Niemców pozostała endecja, uważająca ich klęskę za nieuniknioną i zbawieną w skutkach dla Polski. Narodowi demokraci prowadzili za to z wielką energią prace państwowe na terenie Rosji. Patrowali powstającym na Białorusi i Ukrainie trzem Korpusom Polskim. Dominowali także w Radzie Polskiej Zjednoczenia

Międzypartyjnego w Piotrogradzie, na której czele stał dawny socjalista, Stanisław Wojciechowski.

W pierwszych miesiącach rewolucji żywe były nadzieje na uczynienie z Rosji zasadniczej bazy polskich działań niepodległościowych. Zaostrzająca się walka o przyszłość rewolucji oraz postępujący chaos przekreśliły te zamierzenia. Ostatecznie, jak już mówiono, centrum takie powstało na zachodzie Europy, co ułatwiło politykom z kręgu Dmowskiego zbliżenie z mężami stanu Ententy, którzy już wkrótce decydować mieli o obliczu pokoju.

Upadek Rosji i awans sprawy polskiej

Nadzieje na odnowienie sprawy polskiej z pomocą Rosji pogrzebała rewolucja październikowa. 7 listopada 1917 r. bolszewicy dokonali przewrotu i zdobyli władzę w Piotrogradzie. Z polskich ugrupowań współpracowali ze skrajną lewicą, wrogo nastawioną do odbudowania własnego państwa i stawiającą na międzynarodowy przewrót socjalny. Inne polskie ugrupowania, w tym lewicę niepodległościową, nie mówiąc już o lojalnej wobec starego reżimu endecji, bolszewicy traktowali z wrogością, widząc w tych siłach konkurencję dla własnych wpływów. Prace niepodległościowe na terenie bolszewickiej Rosji uległy zablokowaniu. Mnożyły się szykany, a z czasem i represje, które uzasadniano współpracą Polaków z rosyjskimi przeciwnikami bolszewików.

Niezwykle korzystne były natomiast międzynarodowe konsekwencje rewolucji październikowej. Rosja pogrążyła się w wojnie domowej, która pozbawiła sił obydwie zwalczające się strony. A im bardziej spadały akcje Rosji, tym mocniej zyskiwała na znaczeniu sprawa polska. Dawało to Polakom swobodę ruchów, jakiej w stosunkach z Rosją nie mieli od ponad dwustu lat.

Władze bolszewickie hojnie szafowały hasłami o niezawisłości narodów ujarzmionych przez carat. Już w deklaracji z 16 listopada 1917 r. uznały one prawo każdego narodu w Rosji do samookreślenia, w tym do oderwania się i utworzenia własnego państwa. Czas pokazał, że formułowano te zasady wyłącznie na użytek propagandowy, tak naprawdę planując zbudowanie nowego, sowieckiego imperium, które prawa narodów do samostanowienia wcale nie zamierzało szanować. Ale na razie na arenie międzynarodowej liczył się fakt, że nowe władze rosyjskie uznały pełne prawo Polski do niepodległości, czego poprzednie rządy uczynić nie chciały albo obwarowywały szeregiem zastrzeżeń, lokujących Polskę w rosyjskiej strefie wpływów.

Bardzo też liczył się fakt, że przewrót w Piotrogradzie uwolnił Ententę od wcześniejszych zobowiązań, dających Rosji wolną rękę w sprawach polskich. Zachód mógł otwarcie i zdecydowanie poprzeć działania na rzecz niepodległej Polski. Uczynił to w słynnym programie pokojowym z 8 stycznia 1918 r. prezydent USA Wilson, zapisując w punkcie trzynastym, że winno odrodzić się niepodległe państwo polskie, zamieszkane przez ludność polską i mające wolny i bezpieczny dostęp do morza. Wprawdzie w Waszyngtonie rozumiano to jako wolną żeglugę na dolnej Wiśle i ułatwienia handlowe w niemieckim Gdańsku, ale Polacy i opinia międzynarodowa dopatrzyła się w tej deklaracji potwierdzenia polskich praw do Pomorza.

Umacnianie się bolszewików u władzy zmuszało Ententę do zweryfikowania całej jej wschodniej polityki. Zachód ciągle liczył na zwycięstwo sił antybolszewickich, ale nie mógł wykluczyć odmiennego scenariusza. W przypadku trwałego sukcesu bolszewików wręcz niezbędna stawała się niepodległa i silna Polska, mogąca skutecznie przeciwstawić się komunizmowi na wschodzie i rewizjonistycznym dążeniom niemie-

ckim na zachodzie. Wszystko zależało od rozwoju wydarzeń. Ententa mogła postawić tylko na jedną kartę: rosyjską albo polską.

Upadek aktywistów

Przewrót bolszewicki i wojna domowa w Rosji sprawiły, że dzieła rozbiorów strzegli już tylko dwaj zaborcy. W początkach 1918 r. ich siły uległy przejściowemu wzmocnieniu. W lutym tego roku cesarskie armie rozpoczęły ofensywę na wschodzie, która doprowadziła do opanowania ogromnych terenów, od Tallina i Pskowa na północy, przez Charków i Kijów, po Morze Azowskie na południu. Rosja Radziecka zmuszona została do podpisania 3 marca 1918 r. w Brześciu bardzo niekorzystnego układu pokojowego, dającego Berlinowi wolną rękę w Europie Wschodniej.

Niepotrzebne już na wschodzie wojska Niemcy przerzucili na zachód, próbując również tam rozstrzygnąć wojnę na własną korzyść. W wyniku trzykrotnie wznawianej ofensywy wojska niemieckie stanęły, jak we wrześniu 1914 r., nad Marną i bezpośrednio zagroziły Paryżowi. Był to jednak ostatni przyptyw siły przed nadciągającą agonią.

Nagłaśniane przez propagandę sukcesy militarne nie ożywiły idei polsko-niemieckiego współdziałania. Ostatecznie pogrzebał ją traktat pokojowy podpisany 9 lutego 1918 r. w Brześciu pomiędzy mocarstwami centralnymi a utworzonym z ich przyzwolenia rządem ukraińskim. Oddawał on Ukrainie wschodni pas Królestwa Polskiego, rozleglejszy nawet od wyodrębnionej jeszcze przez Rosjan guberni chełmskiej.

Przeciwko temu gwałtowi zaprotestowały wszystkie dzielnice. Do dymisji podał się działający z nominacji Rady Regencyjnej rząd Jana Kucharzewskiego. Politycy galicyjscy

odesłali cesarzowi noszone wcześniej z dumą odznaczenia. Masy zareagowały strajkiem powszechnym, który sparaliżował Królestwo i Galicję. Poruszyło się nawet twardą ręką trzymane w posłuchu Poznańskie.

Zwolniony z przysięgi poczuł się Polski Korpus Posiłkowy, sformowany na bazie II Brygady Legionów Polskich. Porzucił on służbę austriacką i w okolicach Rarańczy, pod dowództwem płk. Józefa Hallera, przeszedł na rosyjską stronę frontu. Kilka tygodni później osaczyła go niemiecka ofensywa. 11 maja 1918 r. z bronią w ręku stanął pod Kaniowem czoła niedawnym sprzymierzeńcom i uległ dopiero po krwawym boju, kończąc w ten sposób epopeję legionową. Dwa tygodnie później rozbrojony został przez Niemców I Korpus Polski, najpoważniejsza siła zbrojna powołana do życia przez Polaków dzięki rewolucji rosyjskiej. W tej sytuacji przyszłość Polski wiązała z Niemcami tylko mała garstka zdeklarowanych germanofilów. Społeczeństwo izolowało ich coraz szczelniej, pozabawiając jakiegokolwiek znaczenia politycznego.

Przygotowania do zrzucenia władzy zaborców

Szansę przejęcia władzy z rąk zaborców miały dwa obozy: lewicy niepodległościowej, zdominowany przez piłsudczyków, oraz centroprawicowy, kierowany przez endecję.

Atutami pierwszego było energiczne kierownictwo, działające w imieniu uwięzionego Piłsudskiego, odpowiednia siła zbrojna oraz należycie przygotowane zaplecze społeczne. Sprawne działanie zapewniał obozowi zhierarchizowany system podległości. Najwyższy krąg wtajemniczenia stanowił tzw. Konwent, którego pracami politycznymi kierował Jędrzej Moraczewski, a pionem wojskowym – płk Edward Rydz, już od czasów strzeleckich bardziej znany pod pseudonimem

Śmigły. Konwentowi podlegała Organizacja „A”, kierująca z kolei Związkiem „W”, którego członkowie odgrywali decydującą rolę w Polskiej Organizacji Wojskowej oraz w partiach lewicy niepodległościowej, przede wszystkim Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskim Stronnictwie Ludowym „Wyzwolenie”.

Sformułowany przez Konwent w pierwszych dniach lutego 1918 r. plan działania nawiązywał do przedwojennych koncepcji Piłsudskiego i przewidywał podjęcie walki powstańczej z wyćienzoną porażką na frontach Niemcami i Austriakami. Rozmach tej akcji zapewnić miały masy ludowe, przyciągnięte do walki wysunięciem radykalnego programu społecznego. Doświadczenia 1905 r. pouczyły jednak, że ten rodzaj agitacji sprzyjać może zwolennikom przewrotu socjalnego. Dlatego też, przygotowując plan powstania, piłsudzcy ogromną wagę przywiązywali do struktur militarnych, rządzonych zasadami dyscypliny wojskowej. W końcu października 1918 r. mogli liczyć na dwadzieścia kilka tysięcy członków POW i kilkanaście tysięcy byłych legionistów, rozproszonych po kraju, ale nadal uznających autorytet dawnych dowódców.

Konwent starał się o zapewnienie powstaniu odpowiedniego wsparcia międzynarodowego. Najskuteczniejszego dostarczyłaby Ententa, ale stosunki z nią monopolizowała Narodowa Demokracja. Pozostało więc liczyć na samodzielne opanowanie kraju i wykorzystanie tego atutu w kontaktach z tryumfującą w wojnie Ententą.

Lewica niepodległościowa górowała nad obozem narodowym na terenie Królestwa Polskiego. W Galicji, gdzie obydwie obozy były słabsze, panowała pomiędzy nimi równowaga sił, co zwiększało rolę wpływowych tu ludowców i konserwatystów. Narodowi demokraci dominowali w zdecydowanie w dzielnicy pruskiej. Niepodzielnie też kontrolowali sprawy polskie na

Zachodzie, co z każdym miesiącem 1918 r. nabierało coraz większego znaczenia, zważywszy na nadciągające wielkimi krokami rozstrzygnięcie wojenne.

Niemieckie ofensywy załamały się i wsparci ogromnym potencjałem amerykańskim Francuzi i Anglicy, poczynając od lata 1918 r., coraz skuteczniej gromili niezwykłą do tej pory armię niemiecką. W Rosji nadal utrzymywali się u władzy bolszewicy, co upewniało Ententę w zamiśle opowiedzenia się za suwerenną i rozległą terytorialnie Polską. Obradująca w Wersalu Konferencja Międzysojusznicza oświadczyła 3 czerwca 1918 r., że „utworzenie Polski zjednoczonej, niepodległej, z dostępem do morza stanowi jeden z warunków trwałego i sprawiedliwego pokoju oraz przywrócenia panowania prawa w Europie”.

Rolę budowniczych tego państwa Ententa przeznaczała dla od dawna sprzymierzonych z nią narodowych demokratów, kierowanych przez Dmowskiego. Poparcie potężnych protektorów dawało nie tylko gwarancję odbudowania silnej Polski, ale niosło także nadzieję wyeliminowania piłsudczyków i objęcia władzy w odrodzonym państwie. Atutem w tej rozgrywce miała być tworzona we Francji Armia Polska. Latem 1918 r. prace nad jej rozbudową zostały znacznie przyspieszone. Zatrószono się między innymi o odpowiedniego głównodowodzącego, który potrafiłby podjąć skuteczną rywalizację z Piłsudskim. Powierzono to zadanie specjalnie ściągniętemu z Rosji i awansowanemu do stopnia generała Józefowi Hallerowi, który z Piłsudskim rywalizował jeszcze w Legionach Polskich. Wybór okazał się fatalny, bo Haller talentem militarnym i politycznym Piłsudskiemu do pięt nie dorastał.

Na niekorzyść sprzymierzonego z Ententą obozu narodowego działały też nastroje w kraju. Zwłaszcza w Królestwie Polskim szybko się radykalizowały, o czym w pierwszej kolejności przesądzały nadzwyczaj trudne warunki egzystencji.

Nastroje podgrzewały też wieści ze wschodu, skąd, niezależnie od niechęci do bolszewików, czerpano zachętę do buntu przeciwko konserwyzmowi zaborców i rodzimych, polskich polityków. Społeczny radykalizm rósł, w miarę jak słabła władza okupantów i miał się stać jednym z najistotniejszych czynników w chwili, w której odrodziła się Polska. Rzecz jasna, ułatwiało to sięgnięcie po władzę przez lewicę niepodległościową i Piłsudskiego.

Politycy przez cały okres wojny gorąco spierali się o to, czyja koncepcja walki o niepodległość jest bardziej zasadna. Werdykt historii wskazał na remis. Dzięki polityce Narodowej Demokracji sprawa polska związana została ze zwycięską w wojnie Ententą, która uznała Polaków za jeden z narodów sprzymierzonych. Ale nie poszedł na marne także trud Piłsudskiego. Jego czyn zbrojny i determinacja, aby służył on w pierwszej kolejności Polsce, dały krajowi przesiąknięte gorącym patriotyzmem kadry wojskowe, będące na wagę złota w momencie odradzania się Polski.

Piotr Łossowski

**11 LISTOPADA 1918 – ŚWIĘTO
NIEPODLEGŁOŚCI**

Bywają w życiu narodów chwile przełomowe, kiedy dni liczą się za miesiące, a miesiące za lata. Taki właśnie moment przeżyła Polska w listopadzie 1918 r. Na ziemiach centralnej Polski doszło do załamania się okupacji, co Polacy wykorzystali, przywracając swe własne rządy po 120 latach obcego panowania. Przejście od niewoli do wolności było gwałtowne, ale też pokłady zniecierpliwienia i pragnienia swobody nagromadziły się ogromne.

Polska w tych listopadowych dniach uniknęła wielu zagrożeń i niebezpieczeństw. Wielką w tym była zasługa polskich konspiratorów i osobiście Józefa Piłsudskiego, który 10 listopada powrócił do Warszawy.

Dla pełniejszego zrozumienia tych wydarzeń cofnąć się trzeba nieco w czasie, by przypomnieć w największym skrócie, jak przedstawiała się sprawa polska.

W drugiej połowie XIX w. mogło się wydać, że rozbiory Polski są faktem trwałym i nieodwracalnym. Zakorzenił się pogląd, że rozdzielone na trzy części ziemie polskie coraz bardziej zrastają się z obszarem państw zaborczych, czemu sprzyjają dynamiczne przemiany społeczne i gospodarcze, że odrodzenie Polski staje się coraz mniej realne. Na arenie międzynarodowej przestano interesować się sprawą polską. Nie występowała ona w działaniach dyplomatów.

Przyczyną tego była współpraca i solidarność państw, które dokonały rozbiorów Rzeczypospolitej, a które łączyło poczucie wspólnego interesu i pragnienie utrzymania swego stanu posiadania. „Istniał mur nieprzyjazny – pisał badacz problemu Tadeusz Piszczkowski – o który wysiłki polskie się rozбивały. Była nim niekorzystna sytuacja zewnętrzna, wynikająca z łącznej niezmiernej przewagi w Europie tych trzech potęg, które Polskę rozebrały i były zainteresowane w jej utrzymaniu w niewoli. Jak długo były one solidarne w swej polityce, tak długo nie było dla sprawy polskiej nadziei”.

Jednak od końca XIX w. można było dostrzec, iż podstawy współpracy między państwami zaborczymi ulegają zachwianiu, że ujawnia się między nimi konflikt. Rzesza Niemiecka i Austro-Węgry stawaly coraz wyraźniej przeciwko Rosji, która znalazła sojuszników we Francji i Wielkiej Brytanii. Konflikt, jak wiadomo, doprowadził latem 1914 r. do wojny, ta zaś stworzyła nową sytuację, która dawała nadzieję Polakom.

Jednakże początkowa wiara nie przybierała konkretnych kształtów. Walczące ze sobą państwa zaborcze, mimo obietnic, których nie skąpiono Polakom, nie myślały o przyznaniu Polsce niepodległości. Dążyły tylko do wykorzystania Polaków dla własnych wojennych celów.

Wszakże przebieg wojny, w którą zaborcy wnikali się coraz bardziej, zaczął ich zmuszać do zmiany taktyki. Zwłaszcza Niemcy odczuwali coraz bardziej brak rezerw ludzkich, niedostatek surowców. Spoglądać więc zaczęli z rosnącą uwagą na okupowane ziemie polskie, dociekając, czy nie zdoła się coś jeszcze z nich wyciągnąć za nowe obietnice. 5 listopada 1916 r. dwaj cesarze – niemiecki i austro-węgierski – wystąpili z manifestem, mówiącym o utworzeniu „samodzielnego państwa z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem”. Odezwa wywołała nawet początkowo zaciekawienie ludności. Obudziła na nowo nadzieje.

Świadek tamtych wydarzeń, Józef Rokoszyński, tak odnotował ten dzień: „Prześliczny jesienny, jędrny poranek. Odezwa wielka rozlepiona, gromada ludności czyta: niepodległość, konstytucyjne państwo, monarchia dziedziczna, armia! Bierze mnie to silnie. Dwóch monarchów, dwóch zaborców głosi publicznie wobec świata niepodległość Polski”.

Ale już najbliższe dni i miesiące miały pokazać, iż były to tylko puste, dawane w złej wierze obietnice. Okupantom chodziło wyłącznie o polskiego rekruta. Niewiele znaczyła też powołana przez okupantów w 1917 r. Rada Regencyjna i utworzone przez nią, a pozbawione wszelkiej siły rządy.

Okupanci zachowali nadal pełnię władzy i sprawowali ją w sposób bezwzględny, myśląc tylko o tym, jak nadal wyzyskiwać zajęte ziemie polskie dla potrzeb prowadzonej przez siebie wojny, ogoławając kraj z wszystkiego i łupiąc, co się tylko dało.

Oznaczało to dalszy bezwzględny rabunek z różnego rodzaju surowców, zwłaszcza żywności. Pozrywano nawet „starodawne organy i dzwony i przetapiano następnie na szmelc do wyrobu szrapneli”.

Dopiero rok 1918 – piąty rok wojny – przyniósł wreszcie oczekiwany przełom. Najpierw, od wiosny, wojska niemieckie kilkakrotnie podejmowały ofensywę na froncie zachodnim, usiłując przerwać front Aliantów i przedostać się do Paryża. Ale w krwawych bitwach, przeciągających się do lata 1918 r., okazało się wyraźnie, iż nie starcza im sił. Decydującą rolę odegrały świeże dywizje amerykańskie, które wzmocniły wojska Francuzów i Anglików. Inicjatywa przeszła w ręce sojuszników. Cały świat z zapartym tchem obserwował, jak Niemcy zaczynają się chwiać i cofać.

Również w Polsce obserwowano uważnie te wydarzenia. Wiadomości nadchodzące z frontu robiły olbrzymie wrażenie. W październiku 1918 r. stawało się jasne, że koniec wojny zbliża się szybkimi krokami, a z nim klęska mocarstw centralnych.

W „Kurierze Warszawskim” z 5 listopada 1918 r. ukazał się reportaż mówiący o nastrojach na prowincji: „Dwa tygodnie nie byłem na wsi – pisał autor reportażu. – Ogólne wrażenie jest, że prowincja ożyła. Letarg, w którym była pogrążona, minął. Pomimo niedostatków wszelkiego rodzaju i gatunku, pomimo niedojadania, często nawet głodówki, na pierwszy plan życia wyłania się nie kwestia aprowizacji kraju, lecz sprawa szerzącej się w myślach i marzeniach wolnej Polski”.

W nowych warunkach również Rada Regencyjna zdobyła się na odruch sprzeciwu i samodzielności. 7 października 1918 r. ogłosiła orędzie do narodu, w którym, opierając się na zasadach pokojowych prezydenta Stanów Zjednoczonych Thomasa W. Wilsona, mówiła o „utworzeniu niepodległego państwa obejmującego wszystkie ziemie polskie” oraz zapowiadała zwołanie sejmu, „w którego ręce władzę swą złoży”.

Okupanci zaczęli rozumieć, że zbliża się kres ich panowania. Wyrażali gotowość przekazania Polakom części władzy administracyjnej, lecz jak najdłużej chcieli utrzymać władzę wojskową, a zwłaszcza szlaki komunikacyjne wiodące przez Polskę na zachód.

Demonstrowali też swą siłę. A przecież Niemcy dysponowali na terenie okupacji w Polsce około 80 tys. wojska, gdy występujące ze strony polskiej konspiracyjne formacje liczyły zaledwie kilkanaście tysięcy zaprzysiężonych, lecz co najważniejsze prawie zupełnie nieuzbrojonych ludzi.

Tymczasem rozkład władzy okupacyjnej nastąpił najwcześniej na obszarach zaboru i okupacji austro-węgierskiej. Na przełomie października i listopada wyswobodziła się Zachodnia Małopolska, Lubelskie i Kieleckie, nie napotykając prawie oporu ze strony Austriaków.

Władze austriackie nie miały ani sił, ani ochoty, ażeby się dążeniom Polaków przeciwstawić. Działając jednak zgodnie

z długoletnimi nawykami, czekały na odgórne polecenia. Do końca też myślały o interesach Austrii, zabezpieczenia pozostawionego przez nią mienia. Opór stawiany przez austriackich wojskowych i urzędników nie był jednak stanowczy, nosił więcej cech bezsilności niż zdecydowania.

Przejęcie władzy w Galicji nastąpiło stosunkowo sprawnie i bez większych wstrząsów, i z tego powodu, iż wobec zatrudnienia Polaków w administracji, szkolnictwie czy w żandarmerii ci sami ludzie, zaznajomieni z tokiem spraw, przeszli niezwłocznie na służbę odradzającego się państwa polskiego.

Dużą rolę w przejęciu władzy w Galicji odegrali także wojskowi Polacy z armii austriackiej. Ich wystąpienie i przejście do wojska polskiego symbolizowało ten moment zwrotny, w którym samo przejęcie władzy następowało. Organizacje niepodległościowe, POW, legionści również byli aktywni, odgrywając swą rolę.

Podczas przewrotu w Galicji wystąpiła od samego początku sprawa stosunków z innymi narodami. Problem ujawnił się od razu jako trudny i kontrowersyjny. Dotyczył przede wszystkim ustalenia granic na wschodzie i zachodzie. Do otwartych walk doszło we Lwowie, gdzie władzę chcieli przechwycić Ukraińcy, a sprzeciwili się temu polscy mieszkańcy miasta.

Przewrót w Galicji wyzwolił wielką falę migracji żołnierzy, która stała się istotnym składnikiem rozgrywających się wydarzeń. Tysiące obcych wojskowych ruszyło do swych domów, stwarzając wiele problemów młodej władzy. Z drugiej strony tysiące żołnierzy Polaków wyruszyło z różnych frontów w drogę powrotną do ojczyzny i często wymagali oni pomocy.

Również wyzwolenie austriackiej strefy okupacyjnej nastąpiło szybko i bez rozlewu krwi. Władze austriackie wiedziały, że muszą ustąpić. Chciały dokonać tego, doprowadzając do porozumienia z rządem polskim w Warszawie. Zmiana władzy nastąpiła jednak na skutek faktów dokonanych, w rezultacie

wystąpienia Polaków, którzy po prostu usunęli okupantów. Sytuacja dojrzała ku temu: nastąpił bowiem całkowity rozkład austriackiego aparatu okupacyjnego, Polacy zaś byli wystarczająco przygotowani do szybkiego przejęcia władzy.

Podobnie jak w Galicji, ustępujących Austriaków potraktowano wielkodusznie i z wyrozumiałością, ale też rygorystycznie przestrzegano, ażeby okupanci nie ogołocili kraju podczas wyjazdu. W zasadzie udało się to osiągnąć.

Oswobodzenie z okupacji austriackiej było wydarzeniem bardzo ważnym dla dalszego rozwoju wypadków. Obszar wyzwolony zbliżył się na odległość kilkudziesięciu kilometrów do Warszawy, gdzie wciąż trwały rządy niemieckie.

Wszakże zniecierpliwienie wznosiło się coraz silniejszą falą. Ludzie przeczuwali, że zbliża się doniosła chwila, na którą czekali od dawna.

1 listopada 1918 r. wieczorem w Teatrze Wielkim w Warszawie odbywało się przedstawienie opery *Carmen* Georges'a Bizeta. Nagle spektakl został przerwany. Na scenę wszedł aktor Wacław Brzeziński. Odczytał otrzymaną właśnie depeszę, mówiącą o tym, że Polacy przejęli władzę w Krakowie. Trudno opisać reakcję zebranych. Sala szalała z radości – Kraków, stara stolica Polski, jest już wolny. Na ogólne żądanie orkiestra odegrała dwukrotnie *Jeszcze Polska nie zginęła* oraz *Boże, coś Polskę*. Muzyce towarzyszył chóralny śpiew zebranych.

Jednak po opuszczeniu teatru ludzie dostrzegli niezmienną wokół rzeczywistość. Opustoszałe ulice, patrole żołnierzy niemieckich na każdym kroku.

W dniu następnym ukazały się gazety, które donosiły o zachodzących wypadkach. Pisały, że „brygadier Roja objął komendę nad oddziałami polskimi w Krakowie i w Galicji, aż po Przemyśl”. Informowano, że „wśród podniosłego nastroju i manifestacji ludności rozbrojono załogi austriacko-węgierskie”.

Władze niemieckie usiłowały zachować spokój i udawały, że nic się nie dzieje. 5 listopada, w drugą rocznicę cesarskiego manifestu, zorganizowały nawet na ulicach Warszawy defiladę wojskową, jako pokaz swej siły i sprawności.

Jednak wymowa napływających z Niemiec wiadomości była nieubłagana. Przełomowy pod tym względem był dzień 9 listopada. „Dodatki nadzwyczajne dzienników, które kilkakrotnie ukazywały się na mieście, publiczność rozchwytywała chciwie”. A przynosiły one nie byle jaką nowinę – mianowicie wiadomość o wybuchu rewolucji w Niemczech, o abdykacji, o ucieczce do Holandii cesarza Wilhelma.

Rzecz oczywista, że w tym czasie dowództwo niemieckie nosiło się już z myślą o konieczności opuszczenia Polski. Pragnęło tego dokonać jednak na własnych warunkach – zachowując w swych rękach strategiczne linie komunikacyjne i rozciągając ewakuację na miesiące. W ten sposób огоłocono by kraj ze wszelkich zapasów. Setki tysięcy żołnierzy wracałyby drogami wiodącymi przez Polskę. Oczywiście, że w takich warunkach o przejęciu pełnej i faktycznej władzy przez Polaków trudno było mówić. Wyzwolenie Polski przeciągnęłoby się, kraj zostałby rozgrabiony ostatecznie, podobnie jak to się stało w krajach bałtyckich, gdzie Niemcy przebywali aż do jesieni 1919 r.

Jednakże wypadki potoczyły się innym torem. Rankiem 10 listopada do Warszawy przyjechał, zwolniony z więzienia w Magdeburgu, Józef Piłsudski. Szybko zorientował się w sytuacji i przejął kierownictwo całej akcji. Oficerowie towarzyszący w podróży Piłsudskiemu proponowali mu, ażeby po przyjeździe podjął rokowania z dowództwem niemieckim. Zdecydował jednak inaczej. Zapoczątkował mianowicie rozmowy z przedstawicielami Rady Żołnierskiej, która właśnie została utworzona. Komendant trafnie przewidział, iż będą oni o wiele

bardziej skłonni do ustępstw. Naczelnym dążeniem Rady było bowiem zorganizowanie jak najszybszego powrotu żołnierzy niemieckich do ich ojczyzny.

Zaczęły się negocjacje, podczas których ze strony polskiej wysunięto warunek oddania broni i sprzętu wojskowego, a także taboru kolejowego. W zamian za to obiecano zorganizowanie ewakuacji za pomocą kolei. Taka platforma porozumienia została przez Radę Żołnierską przyjęta.

Tymczasem na ulicach Warszawy zdarzały się wypadki rozbijania pojedynczych żołnierzy niemieckich i zdejmowania im oznak wojskowych. Zabraną broń „ładowano na dorożki lub automobile i odwożono”. Nie były to wszakże duże ilości.

Późnym wieczorem 10 listopada dowódca Polskiej Organizacji Wojskowej Adam Koc, składając Piłsudskiemu meldunek o rozwoju sytuacji w mieście, informował, że „niezorganizowane luźne grupy” atakują i rozbijają Niemców na własną rękę, „co grozi wywołaniem chaosu i zerwaniem rozejmu”. W paru miejscach doszło nawet do poważniejszych starć. Piłsudski nakazał, ażeby tam, „gdzie były lub grożą walki, zalecić Niemcom cofnięcie się do wnętrza”. „Nie dopuszczać do starć – podkreślał Piłsudski – i nie wypuszczać Niemców na ulicę. Porozumienie musi być dotrzymane”.

Jak wielkie znaczenie do tego przywiązywał Piłsudski, świadczy fakt, iż z samego rana 11 listopada 1918 r. udał się do siedziby Rady Żołnierskiej w Pałacu Namiestnikowskim. Wystąpił tam z przemówieniem do delegatów żołnierskich. Zapewnił ich o przychylności władz polskich i zaręczył pomoc w zorganizowaniu powrotu do domu. „Znajdujecie się wśród narodu, który wasz rząd traktował z całą brutalnością – mówił – Ja jako przedstawiciel narodu polskiego oświadczam wam, że naród polski za grzechy waszego rządu nad wami mścić się nie będzie! Pamiętajcie, że dosyć krwi już popłynęło, ani jednej kropli więcej”.

Postępowanie Józefa Piłsudskiego było przewidujące i słuszne. W rezultacie pokrzyżowany został zamiar niemieckiego dowództwa, ażeby ewakuację przeprowadzić na swój sposób, co mogło oznaczać, jak już zostało wskazane, znaczne przedłużenie obecności wojsk niemieckich na ziemiach polskich. Przyczyniano się również do tego, że okupacyjne wojsko niemieckie przestawało być sprawnie działającym aparatem. Natomiast silniej doszły do głosu dążenia żołnierzy, wyrażane przez Radę, skończenia z wojną i powrotu do kraju.

Dlatego też w decydujących chwilach żołnierze niemieccy, w swej większości, nie zdobyli się na stawienie oporu, do czego nakłaniało ich dowództwo. Skuteczne okazały się stanowcze, ale jednocześnie powściągliwe, działania strony polskiej, a także natychmiastowe interwencje Rad Żołnierskich.

Spójrzmy, jak to wyglądało w działaniach praktycznych. Wielce charakterystyczna scena rozegrała się przed Dworcem Wiedeńskim (Głównym). Wobec gromadzącego się i coraz bardziej agresywnego tłumu wystąpił oddział niemieckiego wojska z oficerami i stanął koło głównego wejścia z bronią u nogi. Żołnierze, wyraźnie zdezorientowani, czekali rozkazów. Nagle „jak spod ziemi” wypadł żołnierz niemiecki i przystąpiwszy do oficera, coś mu powiedział. Potem zwrócił się do żołnierzy i gorąco ich przekonywał. Niemcy „stali jak wryci” – mówiła relacja dyżurującego na dworcu policjanta. Skorzystał z tego tłum i wtargnął do wnętrza. Żołnierzom zabrano karabiny. Wkrótce zajęto cały dworzec i zabezpieczono kasy kolejowe.

Zajmowanie gmachu Dyrekcji Kolei, które rozpoczęto jeszcze wieczorem 10 listopada, przeciągnęło się. Strzelanina trwała przez całą noc. Dopiero koło południa 11 listopada Niemcy zgłosili gotowość „oddania gmachu w ręce przedstawiciela wojska polskiego”. Wkrótce przybył oficer polski i nastąpiło przejście gmachu. Przed bramą stanęli polscy żołnierze.

Dość ostro wzbraniali się Niemcy przed oddaniem obiektów bankowych. W lokalu Ost-Banku, w budynku Galerii Luksemburg, zagrozili powstańcom polskim użyciem broni. Skapitulowali dopiero po kilku godzinach. Powodując tę zwłokę, Niemcy chcieli uzyskać możliwość rozdysponowania przynajmniej części pieniędzy. Wskazuje na to ich postępowanie w innym miejscu, mianowicie w wydziale finansowym Zarządu Okupacyjnego na rogu ulicy Kredytowej i placu Zielonego (dziś plac Dąbrowskiego). Tam właśnie, zanim kasy przejęli Polacy, wypłacono urzędnikom duże sumy.

Z kolei z przejściem biur General-Gubernatorstwa Warszawskiego „uporano się nadzwyczaj szybko”. Tutaj, jak wynika ze źródeł niemieckich, „urzędnicy administracji, pozbawieni ochrony wojskowej, zostali zaskoczeni przez polskich powstańców i dosłownie od swoich biur ek przepędzeni i aresztowani”.

Miało to wymiar wręcz symboliczny. 11 listopada 1918 r. miejsca w najwyższych urządach administracyjnych zostały opróżnione. Zajęli je Polacy, występując po raz pierwszy od wielu lat jako gospodarze we własnym kraju. Na zewnątrz symbolizowały to biało-czerwone chorągwie wywieszane na gmachach publicznych.

Na ogół porozumienie zawarte z Radą Żołnierską spełniło swoją rolę. Okupanci ustępowali, aczkolwiek niechętnie i pod naciskiem. Chowali się do koszar, a przede wszystkim do Cytadeli, która obejmowała cały zespół budynków wojskowych.

Zorganizowanie wyjazdu dla wielotysięcznej rzeszy żołnierzy i urzędników niemieckich urastało do rangi pierwszoplanowego zadania. Ażeby mu sprostać, kolejarzy polscy, korzystając z pomocy wojska, przystąpili do obejmowania stacji, odcinków drogowych, taboru kolejowego. Pracowano dosłownie dzień i noc. To, co Niemcy unieruchomili, starano się

jak najszybciej doprowadzić do stanu używalności. Na przykład unieruchomioną przez kolejarzy niemieckich elektryczną centralę zwrotnic warszawskich zastąpiono doraźnie ręcznym sterowaniem.

Rezultatem tych wszystkich wysiłków było to, że już 12 listopada przed południem zaczęto wysyłać z Warszawy pierwsze pociągi służbowe i wojskowe w kierunku Sosnowca, Kalisza, Aleksandrowa Kujawskiego, Mławy, to jest do punktów na ówczesnej granicy niemieckiej.

W ciągu tygodnia ewakuacja Niemców z Warszawy dobiegła w zasadzie końca. Odjechały 22 zorganizowane transporty, którymi zabrano się 26 940 osób. Oprócz tego jeszcze około 3 tys. Niemców wyjechało z Warszawy na własną rękę. Żołnierze wyjeżdżali z bronią, którą oddawali na przejściach granicznych.

Tą drogą w ręce polskie przeszły znaczne ilości broni. Tylko z Mławy odesłano do Warszawy 12 tys. karabinów ręcznych i 120 maszynowych, około 2 mln naboju, mnóstwo granatów ręcznych, pistoletów i broni białej.

Ostatnią jednostką wojskową, która opuściła Warszawę, był szpital wojskowy nr 3. Wyjechał on 2 grudnia 1918 r. W związku z tym poseł niemiecki w Warszawie Harry Kessler tak napisał w swym dzienniku: „To była nasza ostatnia zwarta jednostka w Polsce. Tak zakończyła się okupacja kraju, do którego w 1914 r. wkroczyliśmy z wielką otuchą i tyłoma nadziejami. Dziś muszę być zadowolony, że ostatni nieboracy, którzy tutaj nie mogli pozostać, odjeżdżają stąd cało”.

Opuszczenie przez Niemców stolicy przesądziło o rozwoju wypadków na prowincji. Niemcy generalnie godzili się na wyjazd, oddawali broń, siadali do pociągów. Były jednak wypadki, gdy sytuacja układała się inaczej. Dochodziło do sprzeciwu i walk. Konspiratorzy i wszelakiego rodzaju działacze niepodległościowi, przede wszystkim działacze Polskiej

Organizacji Wojskowej, rozproszeni w terenie w stopniu znacznie większym niż w Warszawie, zdani byli na własne siły i inicjatywę. W Łodzi, drugim co do wielkości mieście Królestwa Polskiego, nacisk ze strony ludności był tak wielki, że Niemców starano się skłonić do jak najszybszego wyjazdu. W rezultacie doszło do strzelaniny i walk na ulicach. Byli zabici i ranni. Za przykładem Warszawy rozpoczęto rokowania, które 12 listopada doprowadziły do porozumienia w sprawie ewakuacji Niemców. Tu jednak starano się odebrać im broń na miejscu.

W wielu innych miejscowościach słabo uzbrojeni członkowie POW występowali wobec dowódców miejscowych garnizonów i żądali złożenia broni. W większości wypadków to się udawało. Wszakże nie wszędzie. Tam, gdzie okupanci mieli dogodną drogę ewakuacji, tam starali się zabrać swe mienie i uzbrojenie, uchylając się od wszelkiej kontroli ze strony Polaków.

Tak było na przykład w Płocku. Tu Polacy zajęli miasto już 11 listopada. Niemcy odmówili jednak oddania broni, twierdząc, że „nikt im bezpieczeństwa i spokojnego powrotu do domu nie może zagwarantować”. Pod osłoną nocy wycofali się z koszar, zmierzając ku Wiśle, gdzie załadowali się na statki i barki. Odplynęli nimi w dół rzeki.

Następnego ranka na Wiśle można było zaobserwować całe flotylle statków i barek płynących z Warszawy, Zegrza, Modlina, wypełnionych żołnierzami niemieckimi. Jeden z łączników POW tak napisał o tym w swym meldunku: „Jadąc rano, zauważyłem wielki ruch na rzece. Statki dążyły w stronę granicy, wioząc ze sobą wielkie ilości pak, towarów i Niemców”. Próby zatrzymania ich we Włocławku nie dały rezultatów. Statki docierały do Torunia, leżącego już po drugiej stronie granicy.

Największą próbą przedarcia się Niemców przez pierścień otaczających ich Polaków był przemarsz zgrupowania liczącego

ponad 1,5 tys. żołnierzy z okolic Łodzi. Mieli oni do przebycia dość daleką drogę. Trzon formacji stanowiła kawaleria, dragoni, do której przyłączyły się oddziały piechoty i grupy żandarmów. Na drodze ich przemarszu leżał Sieradz, wyzwolony już przez Polaków. W mieście wywiązała się walka. Żołnierze POW walczyli z wielkim męstwem i poświęceniem, ale siły nieprzyjaciela były zbyt wielkie. Poległo pięciu peowiaków, kilku zostało rannych. W rezultacie Niemcy utorowali sobie drogę przez Sieradz. Przejście przez miasto nastąpiło nocą z 12 na 13 listopada. Żołnierze maszerowali w dużym pośpiechu, obawiając się ataku ze strony Polaków. „Gdy wóz z bagażami im się zepsuł – czytamy w relacji świadka wydarzeń – to go z dobytkiem zostawili, żeby tylko jak najszybciej wydostać się z miasta”.

Z Sieradza pomaszerowali na zachód. W miasteczku Błaszki Niemcy napotkali tłum, żądający oddania broni. Wówczas „szarżę na tłum wykonali dragoni, rozpraszając ludzi na wszystkie strony”.

W Błaszczach kolumna skręciła na Grabów nad Prosną, gdzie też po 30-kilometrowym marszu osiągnęła granicę zaboru, to jest ówczesnych Niemiec.

Wydarzenie to nabrało rozgłosu. Gazety niemieckie pisały, że „oddziały z Łodzi maszerowały z pełnym ekwipunkiem, z bronią i ubezpieczeniami, jak walczące jednostki w kraju wroga”. Podkreślano, że żołnierze po powrocie dali wyraz przekonaniu, że „na skutek tchórzostwa i zdrady przepadły dla Niemców olbrzymie zapasy uzbrojenia i żywności”.

Dla nas wszakże pozostanie w pamięci przede wszystkim bohaterska postawa i walka żołnierzy POW, którzy nie żałując swego życia, starali się przegrodzić drogę okupantom. Wspierani w tym byli przez ludność cywilną.

A oto jeszcze parę przykładów, jak różnie, często dramatycznie, przebiegały wówczas wypadki. Oto w nadgranicznej

Mławie już z rana 11 listopada urzędnicy niemieccy dali znać, że wkrótce opuszczą miasto. Wobec tego przedstawiciele polscy zgłosili się do naczelnika powiatu, który zgodził się przekazać im agendy. W ciągu dnia wszystko zostało przejęte. Rozbrojenie żołnierzy przy pomocy 50 peowiaków i młodzieży szkolnej odbyło się spokojnie. Zebrano 60 karabinów.

Żandarmi natomiast stanowczo odmówili wydania broni i w pełnym rynsztunku zaczęli wycofywać się w stronę pobliskiej granicy. Podążała za nimi gromada ludzi, przeważnie młodzieży, „nie szczędząc docinków pod ich adresem”. Żandarmi nie reagowali na zaczepki, dopiero na samej granicy kilku z nich odwróciło się nagle i dało do tłumu salwę z rewolwerów. Padł zabity uczeń z gimnazjum mławskiego Henryk Sokalski. Na jego pogrzebie zgromadziło się „całe miasto”.

W Łomży członkowie POW przystąpili do rozbrajania okupantów 11 listopada. Niemcy stawili opór. Doszło do walki ulicznej, podczas której zginął komendant okręgu POW, zasłużony działacz niepodległościowy, Leon Łuczyński „Kaliwoda”. Walka nie trwała długo. Niemcy skapitulowali i zostali rozbrojeni. Prasa doniosła, że „W Łomży panuje spokój”. Miasto było wolne. Ale sukces ten okupiony został bolesną stratą.

Konin – tu przebieg wypadków był bardzo burzliwy i krwawy. Do akcji przeciwko okupantom przystąpili członkowie POW, harcerze, uczniowie gimnazjalni. Ruszono na starostwo, gdzie zdobyto kilka karabinów. Gdy w otoczeniu tłumu młodzi powstańcy wkroczyli na rynek, zetknęli się tam z zaalarmowaną kompanią niemiecką, która od razu przyjęła ich ogniem. 6 osób zostało zabitych, sporo było rannych. Powstańcy zabarykadowali się w szkole i, choć była ich garstka, bronili się zawzięcie. Po dłuższym czasie Niemcy dali za wygraną i wycofali się do koszar. Następnego dnia wojsko wyszło z Konina w pełnym uzbrojeniu. Polacy mieli za słabe siły, żeby temu przeszkodzić. Okupanci nie zdolali jednak zabrać większości zapasów z magazynów.

Podobnych wypadków było znacznie więcej. Najtragiczniejsze wszakże rozegrały się na Podlasiu. Już po podpisaniu formalnego porozumienia pomiędzy władzami polskimi a Radą Żołnierską z 15 listopada 1918 r., które uregulowało tryb i sposób ewakuacji żołnierzy niemieckich, 16 listopada doszła do Warszawy wiadomość o ruchach wojsk niemieckich w rejonie Białej i Międzyrzecza Podlaskiego.

Informację tę potraktowano w sztabie polskim jako bardzo ważną, mogącą oznaczać, iż wojska niemieckie stacjonujące na wschodzie będą próbowały utorować sobie drogę przez Polskę do Niemiec. Niezwłocznie też podjęto wysiłki, ażeby przy pomocy Rady Żołnierskiej w Warszawie odwieść wojska niemieckiej armii wschodniej od tego zamiaru. Było jednak za późno, aby odwrócić bieg wypadków.

Wczesny ranek 16 listopada 1918 r. upływał w Międzyrzeczu spokojnie i sennie. W kilku miejscach na mieście oraz na stacji czuwały wystawione posterunki, ale większość żołnierzy polskich znajdowała się w swojej kwaterze w pałacu Potockich. Było jeszcze ciemno, gdy zbliżać zaczęły się do miasta samochody ciężarowe wypełnione wojskiem.

Trzyosobowy posterunek polski u wylotu z miasta, nie przeczuwając niczego złego, podpuścił samochody, nie otwierając ognia. Ale żołnierze niemieccy rzucili się od razu na peowiaków, jak w boju na wroga. Dwóch z nich zginęło na miejscu, trzeci ratował się ucieczką. Zabity został także przypadkowo znajdujący się w tym miejscu 7-letni chłopiec.

Droga przed napastnikami stanęła otworem. Ruszyli w stronę pałacu Potockich. Tam niezwłocznie przystąpili do akcji. Działali wprawnie i metodycznie. Ogień jednego karabinu maszynowego skierowali na drzwi wejściowe i schody, z drugiego ostrzeliwać zaczęli poddasze budynku. Peowiacy, mimo zaskoczenia, usiłowali się bronić, lecz zostali dodatkowo zarzućeni granatami. Wybuchł pożar. Kto usiłował wyskoczyć przez

okno, ginął od kuli. Jak pisze świadek wydarzeń: „Okrucieństwo pijanego żołdactwa nie miało granic. Mordowano, bito, pastwiono się, dobijając rannych żołnierzy polskich”. Wkrótce cały budynek był już tylko jednym morzem płomieni. Wszyscy, którzy w nim pozostali, zginęli.

Następnie działania Niemców przeniosły się do miasta, gdzie urządzony został prawdziwy pogrom. „Wyciągano z domów i mordowano bezbronnych ludzi, nie należących do żadnej organizacji. Rzucano do mieszkań granaty, raniąc i zabijając mieszkańców”.

Bilans masakry był uderzający. Zabito 19 żołnierzy POW oraz 26 cywilów, wiele osób zostało rannych. Celem napastników było sterroryzowanie ludności, złamanie wszelkich odruchów oporu dla utworzenia sobie drogi na zachód. Zresztą niezwłocznie ruszyli w tym kierunku. Dawało to przedsmak tego, co czekać może wyzwolone już ziemie polskie w wypadku nowego wtargnięcia Niemców.

Ale drogę przegrodziły im pospiesznie zebrane oddziały POW, wspieranej przez ludność. Pod wsią Kąkolewnica maszerujący Niemcy wpadli w zasadzkę. Do walk doszło też w wielu innych miejscach.

Dowództwo niemieckie musiało zdać sobie sprawę, że w miarę przesuwania się w stronę Warszawy, opór Polaków będzie narastał. Dużą rolę odegrały także naciski Rady Żołnierskiej, która wzywała do rokowań z Polakami.

W rezultacie doszło do pertraktacji, które w sposób bardzo umiejętny zostały poprowadzone przez stronę polską. Uzgodniono, że Polacy wycofają się z już zajętego Grajewa i nie będą blokować linii kolejowej, wiodącej z Ukrainy przez Brześć nad Bugiem, Białystok i właśnie Grajewo do Prus Wschodnich. Za to Niemcy zaniechają swych planów przemarszu przez ziemie centralnej Polski i pojadą wskazaną drogą okrężną.

Miało to ogromne znaczenie. Jak napisał ówczesny premier Polski Jędrzej Moraczewski: „Największe niebezpieczeństwo groziło Polsce ze strony półmilionowej blisko armii niemieckiej, wracającej z głębi Rosji do swojej ojczyzny. Najlepsze linie kolejowe i najbliższa droga prowadziła przez Polskę [...]. Trudno było sobie wyobrazić pomyślnie dla Polski zakończenie wojny ukraińskiej w razie, gdyby Niemcy ponownie zajęli Królestwo Polskie i przetrzymali Warszawę w swych rękach przez 3 do 4 miesięcy, to jest przez cały czas powrotu wojsk niemieckich do Rzeszy”. „Jednak trzon armii niemieckiej – pisał premier – wracał przez Grajewo i Prusy Wschodnie. Był to wielki sukces polityczny, za mało znany i dlatego niedoceniony do dziś dnia należycie”.

Według obserwacji polskich po linii Brześć – Białystok – Grajewo przejeżdżało na dobę około 30 pociągów załadowanych zrabowanym mieniem z Ukrainy – bydłem, świniami, końmi. Wieziono także sprzęt wojskowy, w tym samoloty, a nawet wagoniki kolejek wąskotorowych. Szosą, wzdłuż kolei, bez przerwy w stronę granicy ciągnęły tabory, pędzono konie, około 500 wozów i dwóch tysięcy koni dziennie. Okupanci wieźli i wieźli zrabowane mienie, lecz z coraz większymi obawami oglądali się do tyłu i przyspieszali kroku.

Osiągnięty powrót 3. korpus rezerwowy opuścił Białystok 18 lutego. Nazajutrz wkroczyły do miasta oddziały wojska polskiego. Wyjście Niemców z Białegostoku odbyło się planowo i bez zatargów. Ale w Osowcu cofające się oddziały podpaliły koszary.

Jako straż tylna cofającego się wojska przeszła granicę niemiecką 20 lutego, idąca marszem konnym z Ukrainy I brygada kawalerii. Tym samym zamknął się wreszcie odwrót wielotysięcznej armii z Ukrainy.

*

Ziemie Polski centralnej od Karpat aż po granicę Prus Wschodnich, od Prosny po Bug, były wolne i nie było już od tego odwrotu. W następnej kolejności pomyśleć można było o dalszych zadaniach – o wyzwoleniu ziem zaboru pruskiego – Wielkopolski i Pomorza, a także Ziemi Śląskiej. Z drugiej zaś strony, o odzyskaniu „ziem zabranych” na wschodzie, które stanowiły niegdyś integralną część Rzeczypospolitej. Prowadziło to do odbudowania Polski w nowych jej granicach.

A wszystko to zrealizować można było dzięki udanemu zrywowi z listopada 1918 r., który pozwolił młodemu państwu od razu stanąć mocno na nogach. Uwidoczniło się to w sprawnym przejęciu władzy, zorganizowaniu własnej administracji. Ale przede wszystkim pozwoliło bardzo szybko zbudować armię.

Po przełomie listopadowym żołnierzy polskich pod bronią było w różnych formacjach zaledwie 30 tys. Ale już w połowie stycznia 1919 r. liczba ich osiągnęła 100 tys., by pod koniec lutego przekroczyć 150 tys., wykazując nadal stałą tendencję wzrostu. Powstawało wojsko polskie, które mogło coraz skuteczniej bronić odrodzonego państwa.

Zwycięstwo, które symbolizuje dzień 11 listopada, miało także swój ogromny wymiar moralny. Po wiekowej niewoli, po klęskach kolejnych powstań narodowych – kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego, po niepowodzeniach zrywów z lat 1846 i 1848 – nadszedł wreszcie oczekiwany i wypatrywany przez pokolenia moment zwycięstwa. Przerwał, zakończył długi okres obcej dominacji i prześladowań Polaków. Stali się oni wreszcie panami na własnej ziemi.

W listopadzie 1918 r. zaszły wypadki wyjątkowe, kiedy to na ulicach miast i w opłotkach wsi bezbronna niemal młodzież rzucała się na Niemców i wydzierała im karabiny. Działania zorganizowanych grup – peowiaków, straży obywatelskich,

milicjantów miejskich, harcerzy, „sokołów” – wspierała cała ludność, przyczyniając się niejednokrotnie samą swą postawą i obecnością do obezwładnienia okupantów. Działo się tak, gdyż siły Niemców były nadwątlone przez klęskę wojenną i rewolucję, ale także dlatego, że Polacy górowali moralnie nad okupantami, przeważali zapałem, determinacją, gotowością do walki i ofiar.

Były to niepowtarzalne, niezapomniane dni. „Niepodobna oddać tego upojenia – wspomina Jędrzej Moraczewski – tego szalu radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach przysły kordony! Nie ma «ich»! Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Na zawsze! [...] Kto tych krótkich dni nie przeżył, kto nie szalał ze szczęścia w tym czasie wraz z całym narodem, ten nie dozna w swym życiu najwyższej radości. Cztery pokolenia czekały nadaremnie na tę chwilę, piąte doczekało”.

Wielkie znaczenie dla przebiegu wydarzeń miało i to, że główna linia działania była ze strony polskiej wyraźnie określona i konsekwentnie realizowana. I dzięki temu w dużym stopniu udało się tak wiele uzyskać. Józef Piłsudski w tych decydujących dniach obrał trafny kurs na wykorzystanie czynników rewolucyjnych w wojsku niemieckim, na porozumienie z Radami Żołnierskimi w sprawie ewakuacji. I porozumienie takie zdołał zrealizować z wielką korzyścią dla odradzającego się państwa. W literaturze przedmiotu rozpowszechniony jest pogląd, że Józef Piłsudski dlatego został Naczelnikiem Państwa, gdyż jak nikt inny potrafił pacyfikować konflikty społeczne. Tutaj dodać warto, że nie mniej ważnym, choć tylko przejściowym, czynnikiem i poważnym jego atutem stała się umiejętność porozumienia z Niemcami, zorganizowania ich ewakuacji w sposób pokojowy, a także odwrócenia niebezpieczeństwa niemieckiego najazdu grożącego ze wschodu.

A podkreślmy jeszcze raz, niebezpieczeństwo to zwłaszcza w początkowym okresie było duże i całkowicie realne, gdyż nowo odrodzone państwo było jeszcze słabe, niezorganizowane, posiadało tylko zawiązki wojska i mogło, jak wówczas mówiono, zostać „rozdeptane przez Niemców”. Jak pisał przed wojną autor francuski Benoist-Méchin: „Polska była niby wyspa, która zaledwie wyłoniła się z oceanu i w każdej chwili pochłonięta być mogła przez nowe fale”.

Jednak we wspomnieniach Polaków wydarzenia listopadowe zapisały się jako dni triumfu i chwały. Polska została wyzwolona. Niemcy odjechali w większości rozbrojeni, zostawiając karabiny, amunicję i sprzęt, które posłużyły za podstawę wyposażenia tworzącego się wojska polskiego. Odjechali, pozostawiając nagromadzone w magazynach zapasy żywności, na stacjach i szlakach kolejowych dość znaczne ilości wagonów i lokomotyw. Wszystko to miało ogromne znaczenie dla odradzającego się państwa.

Zwycięstwo okupione zostało jednak stratami. Według niepełnych obliczeń na obszarze okupacji niemieckiej podczas akcji rozbrajania i usuwania Niemców poległo około stu osób, kilkaset odniosło rany.

W tym sensie walki listopadowe miały wyraźne znamiona powstania zbrojnego. Stawano orężnie przeciwko okupantom, walczono z nimi, były ofiary. Wprawdzie siły okupantów były osłabione, chociaż najczęściej przeciwnik po krótkim czasie kapitulował, ale nie zmienia to istoty rzeczy, że w listopadzie 1918 r. miał miejsce zryw zbrojny.

A jeśli było to powstanie – to uzyska ono zapewne miano drugiego powstania listopadowego, tym razem zakończonego zwycięsko.

Andrzej Nowak

WALKA O GRANICE: 1918–1921

Widmo krążyło po Europie wieku XIX – widmo Rzeczypospolitej: wielkiego państwa, o wielowiekowej tradycji swego szczególnego istnienia w mniej więcej stabilnych, okrawanych tylko stopniowo od wschodu granicach. Granice z 1772 r., z chwili przed pierwszym rozbiorem, wryte były głęboko w świadomości historycznej nie tylko jego obywateli i ich dziedziców, ale także w pamięci elit politycznych mocarstw, które rozbiory przeprowadziły i na nich skorzystały. To było groźne dla nich *memento*. Te granice tworzyły silny, oczywisty niemal układ odniesienia dla potencjalnych aspiracji niepodległościowych Polaków. Każda próba zamknięcia ich w węższych ramach, w imię „politycznego realizmu”, kończyła się w XIX w. niepowodzeniem, a raczej katastrofą: najpierw Księstwa Warszawskiego – w próbie jego rozszerzenia w 1812 r., potem kongresowego Królestwa Polskiego (1815–1830) – w buncie przeciw odcięciu odeń wschodnich Ziem Zabrzanych, wreszcie polityki przywracania autonomii dla tegoż Królestwa przez margrabiego Wielopolskiego – zakwestionowanej radykalnie jako niewystarczająca przez powstanie styczniowe.

Rzeczpospolita bezprecedensowym aktem wymazana została z mapy kontynentu w momencie, gdy jej elity weszły już – jako pierwsza wspólnota polityczna w Europie Wschodniej i Środkowej – na drogę budowy nowoczesnego narodu. Ale

jakiego? Polskiego oczywiście. Po polsku mówiącego (co potwierdzały podręczniki Komisji Edukacji Narodowej), mniej politycznie zdecentralizowanego niż dawniej (Konstytucja 3 maja nic nie wspomina o Litwie). Gdyby Rzeczpospolita przetrwała europejski kryzys końca XVIII w. i realizowała nadal swój program modernizacji, musiałby on prędzej czy później ujawnić potężne napięcia właśnie wokół tych kwestii: języka edukacji, administracji, armii – trzech instytucji, które w innych państwach XIX w. przekształcały „chłopów we Francuzów”, czy Niemców, czy Włochów. Czy chłop z Ukrainy albo z Litwy (białoruski czy „żmudzki”) nie znalazłby inteligenckich przewodników, którzy uświadomiliby mu, że powinien domagać się uznania najpierw publicznych praw dla swojego języka (przeciw polskiemu), potem autonomii, potem...?

W sytuacji rozbiorów tworzenie się nowych, konkurencyjnych wobec polskiego, projektów narodowych w granicach dawnej Rzeczypospolitej nakładało się na inne zjawisko: mniej lub bardziej systematyczne wysiłki administracji mocarstw rozbiorowych, by „wypolszczyć” uzyskane tereny, by osłabić siłę dominującego na nich kulturalnie i ekonomicznie elementu polskiego – po to, by umocnić nad nimi kontrolę imperialnego centrum, łączącą się z innym substratem kulturalno-etnicznym: rosyjskim czy niemieckim. W tej politycznej konkurencji nowych panów z dziedzictwem dawnych dojrzałość zyskiwały programy narodowe etnicznych gospodarzy tych ziem, w szczególności litewski i ukraiński, ale także białoruski. Z drugiej strony, w procesie modernizacji, edukowania – także politycznego – biernych wcześniej w życiu publicznym „mas”, polskość przesuwiała się na zachód, poza granice z 1772 r., w głąb ziem utraconych przez państwowość polską na rzecz jej zachodnich, niemieckojęzycznych sąsiadów już przed wiekami – na Pomorze, na Śląsk.

Między historycznym zobowiązaniem, jakie tworzyła granica przedrozbiorowa, a konsekwencjami polityki depolonizacyjnej prowadzonej przez ponad sto lat przez mocarstwa rozbiorowe (z wyjątkiem Austro-Wegier po 1866 r.), i wreszcie realiami zmiany w pojęciu narodu – jako podstawy legitymacji do budowy i określania kształtu własnego państwa – tworzyła się nowa „mentalna mapa” Polski na progu XX w. Mapa o niejasnych konturach. Pisała o tym Maria Dąbrowska: „Granice Polski, te miejsca, gdzie ona się kończy, gdzie styka z innymi ziemiami, któż z nas umie je dziś wskazać bez omyłki? Myśmy prawie granic naszych zapomnieli! Kiedy mówimy «Polska, Polska», nie wiemy nawet, co to za obszar, gdzie się kończy, jak daleko sięgają w cztery strony te ziemie, które były dziedzictwem naszych ojców i stają się na nowo Polskim Państwem. Granice dawnej Rzeczypospolitej Polskiej przed stu z górą laty wsiąkły w dziedziny trzech obcych państw, zostały przez nie wessane i pożarte. Zrobili nasi wrogowie wszystko, aby zatracić ich ślad” (M. Dąbrowska, *O zjednoczonej Polsce, jej mieszkańcach i gospodarstwie*, Warszawa–Kraków 1921, s. 9–10). Te słowa zapisane zostały w 1921 r., kiedy to widmo nieistniejącej przez 123 lata Rzeczypospolitej zaczęło przybierać kształt realny – nowy: kształt II Rzeczypospolitej.

Był on rezultatem walki. Udział w niej wzięli geopolityczni spadkobiercy mocarstw rozbiorowych: Rosja Sowiecka (i, przez pewien czas, Rosja „biała”), Niemcy, a także... Czechosłowacja. Uczestniczyły w niej także te siły, które wspierały programy narodowo-polityczne konkurujące z polskim o miejsce na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej: ukraiński, litewski i najsłabszy z nich, białoruski. W dużym stopniu wpływały na bieg i rezultat tej walki także zwycięskie w I wojnie światowej mocarstwa zachodnie – przede wszystkim Wielka Brytania i Francja, w mniejszym stopniu USA – które miały ambicje

podyktowania nowego porządku europejskiego na zasadzie kompromisu między głoszonymi przez siebie pryncypiami (prawa narodów do samostanowienia) i swoimi strategiczno-ekonomicznymi interesami. Oczywiście, uczestnikiem owej walki było samo społeczeństwo polskie, jego wybory i jego determinacja; konkurujące w nim (ale przecież zarazem – o tym pamiętajmy – w zasadniczym celu zbieżne) programy polityczne i wizje odbudowanej Rzeczypospolitej, a nade wszystko armia, która swym „duchem” i organizacją mogła do owych programów dorosnąć albo im nie sprostać.

Walka o granice zagrożonej, a potem zlikwidowanej Rzeczypospolitej trwała od konfederacji barskiej, poprzez dzieło Sejmu Czteroletniego, wojnę polsko-rosyjską 1792 r., kolejne powstania i lata cichej pracy organicznej. W fazę rozstrzygającą jednak weszła wtedy, gdy trzy imperia, które dokonały rozbiorów i stały na ich straży, runęły we wzajemnym konflikcie i rewolucji. Polska, a raczej siły polityczne ją reprezentujące, przygotowywały się do tego momentu od dawna. I nie zmarnowały czasu do jesieni 1918 r. Stawka na dwie orientacje przyniosła rezultaty. Dobre i złe. Od 1916 r. na terenie zajętego przez Niemcy i Austro-Węgry Królestwa Polskiego tworzyły się legalne związki polskiej administracji, policji, wojska także. Orientacja na Ententę dała sprawie polskiej reprezentację dyplomatyczną wobec zwycięskich ostatecznie w wojnie mocarstw, ale także uformowane u ich boku jednostki wojskowe: we Francji i w Rosji. Istnienie dwóch orientacji w czasie wojny powodowało jednak także, iż z chwilą jej zakończenia i wejścia wraz z tym w decydującą fazę „sprawy polskiej” – czas odpowiedzi na pytania o kształt i granice odbudowanego państwa – Polska nie miała wspólnego programu i wspólnej reprezentacji. W szczególności w odniesieniu do kwestii związanych z granicami i układem stosunków z sąsiadami na wschodzie.

Zanim jednak przyszło do decydujących rozstrzygnięć tych kwestii, trzeba było najpierw zlikwidować okupację niemiecko-austriacką kraju, uzgodnić ewakuację blisko półmilionowej armii niemieckiej z Ukrainy, Białorusi i Litwy tak, aby nie skończyła się ona katastrofą dla młodego państwa polskiego, dalej – stworzyć jeden, uznany przez całe społeczeństwo i zarazem przez zwycięskie mocarstwa zachodnie, rząd, jednolitą administrację i armię. I to się udało! Ten, zdumiewająco szybki, sukces organizacyjny oparty był na szerokim poparciu społecznym dla budowy polskiego państwa, na woli walki o to państwo, wyrażonej już w powszechnej akcji rozbrajania niemieckich i austriackich posterunków i garnizonów na przełomie października i listopada 1918 r. Podobną wolę wykazywali jednak także nowi (w sensie politycznym) sąsiedzi Polski – Ukraińcy, Litwini czy Czesi. Powstawało od razu pytanie, czy stosunki pomiędzy nimi i naturalne w punkcie wyjścia spory o ich rozgraniczenie, rozstrzygnie kompromis – czy siła?

Kiedy pod wpływem nieuchronnej już klęski Niemiec w końcu października 1918 r. zaczął się w Europie Wschodniej i Środkowej rozwiewać fantom *Pax Germanica*, odpowiedzi na te pytania zaczęły tworzyć fakty dokonane. W pierwszej kolejności ujawnił się konflikt polsko-czechosłowacki (a ściślej: polsko-czeski) wokół Śląska Cieszyńskiego. Wielka manifestacja Polaków w Cieszynie zobowiązała 27 października powołaną kilka dni wcześniej Radę Narodową do działania na rzecz zjednoczenia tego obszaru z Polską. Dzień później w Pradze ogłoszone zostało utworzenie państwa czechosłowackiego. Cztery dni później Polacy rozbili austriacki garnizon, uprzedzając podobną akcję szykowaną przez Czechów. 5 listopada wydawało się, że kompromis jest do osiągnięcia: Polska Rada Narodowa i czeski Národní Výbor pro Slezsko zawarły układ o podziale Śląska Cieszyńskiego według zasady etnograficznej

(powiat bielski i cieszyński do Polski, frydecki do Czech, frysztacki podzielony). Przywódcy czechosłowackiego państwa, z późniejszym prezydentem Tomášem Masarykiem na czele, byli jednak zdeterminowani, by zagarnąć cały Śląsk Cieszyński (choć według ostatniego spisu z 1910 r. ludność polska stanowiła tu ok. 55 proc., a czeska 27 proc.), z jego bogatymi złożami węgla, silnym hutnictwem i ważnym węzłem kolejowym. 23 stycznia 1919 r. wojska czechosłowackie napadły na przyznaną Polsce w ramach porozumienia z 5 listopada część Śląska Cieszyńskiego. Słabe w tym rejonie siły polskie nie były w stanie stawić skutecznego oporu. Większość polskich sił zbrojnych była w tym czasie zaangażowana w Galicji Wschodniej w walce z Ukraińcami.

Kolejna próba kompromisu, zawieranego z początkiem lutego pod naciskiem mocarstw zwycięskiej Ententy między Romanem Dmowskim i Edvardem Benešem, nie zamknęła sprawy. Próba zbrojnego opanowania całego Śląska Cieszyńskiego przez Czechów zatrzymana została przez polskie oddziały dopiero 26 lutego na linii Olzy: przy Polsce pozostał tylko wschodni Cieszyn. Dyplomacja czeska okazała się cierpliwa i skuteczna w swych staraniach na rzecz potwierdzenia dokonanego zbrojnie zaboru. Doczekała się na właściwy moment, kiedy w lipcu 1920 r. Polska, pod naciskiem sowieckiej ofensywy, zmuszona była prosić o pomoc mocarstwa Ententy. Premier Władysław Grabski, w zamian za obietnicę uzyskania takiej pomocy, zgodził się na konferencji w Spa (10 lipca 1920) przyjmując niekorzystne dla Polski decyzje Rady Najwyższej Ententy w sprawie podziału Śląska Cieszyńskiego. 28 lipca taka decyzja została ogłoszona: ze spornych terenów Śląska Cieszyńskiego, a także Spiszu i Orawy, Polska otrzymała 1000 km² ze 143 tys. mieszkańców, Czechosłowacja zaś 1250 km² z 283 tys. mieszkańców (w tym ponad stutysięczną mniejszość-

cią polską). W związku z tą krzywdzącą Polskę decyzją Ignacy Paderewski złożył protest w liście do przewodniczącego Rady Najwyższej, premiera Francji Alexandre'a Milleranda, gdzie stwierdził, iż wykopała ona „przepaść pomiędzy dwoma narodami, której nic wypełnić nie zdoła”.

Walkę o tę granicę – południową – Polska przegrała. Ale przegrała ją także Czechosłowacja. Współpraca między Polską i Czechosłowacją, geopolitycznie jakże uzasadniona, została u zarania nowej niepodległości obu państw zrujnowana przez nieugięte, niegotowe na żaden kompromis stanowisko Pragi, która zdecydowała się wykorzystać śmiertelne zagrożenie niepodległości swego północnego sąsiada latem 1920 r., byle tylko wykroić z jego terytorium pożądany kawałek terytorium. Zmiał współpracy, w 1938 r. przyszedł czas na polski, jakże smutny rewanż.

Dlaczego jednak aspiracje terytorialne Pragi zostały poparte przez liderów Ententy, a racje Warszawy, mimo iż opierały się w tym wypadku na zasadzie woli zainteresowanej ludności, zostały w 1920 r. odrzucone przez zachodnie mocarstwa? Jedną z istotnych przyczyn tego nastawienia, negatywnie wpływającego na zabiegi polskiej dyplomacji nie tylko w sporze terytorialnym z Czechosłowacją, było to, iż próba przyobleczenia w ciało owego widma Rzeczypospolitej, jakie krążyło od końca XVIII w., musiała uderzyć w same fundamenty geopolitycznego „porządku” wschodniej połowy Europy, do jakiego przyzwyczajona była wyobraźnia polityczna elit także tych mocarstw, które go w I wojnie podważyły. Tymczasem Czechosłowacja powstawała wyłącznie na gruzach monarchii habsburskiej, której zagłada została w pełni zaakceptowana przez zwycięskie mocarstwa. Jej istnienie, nawet w tak ekstrawaganckim kształcie, jaki uzyskała po dołączeniu do niej jeszcze Rusi Zakarpackiej, w niczym nie niepokoiło wyobraźni

politycznej przywódców Ententy. Ewentualny rewanżyzm ze strony Austrii ani nawet (choć to już był poważniejszy problem) Węgier, ani tym bardziej Polski – nie spędzał im snu z powiek. Polska natomiast musiała być odbudowana przede wszystkim kosztem i Niemiec, i Rosji imperialnej.

Czy można zapewnić w Europie trwałą porządek międzynarodowy, jeśli wyalienuje się zeń i Niemcy, i Rosję – jeśli oba te mocarstwa będą zdeterminowane, by ten porządek podważyć? To pytanie stawiali sobie przywódcy zwycięskich mocarstw, stawiają je *post factum* także historycy dyplomacji tego czasu. I wskazują najczęściej „nienasycone polskie apetyty”, „polski imperializm” – jako jedną z istotnych przyczyn niepowodzenia wersalskiego systemu. Polska „wzięła” za dużo. Komu „wzięła”? Oczywiście – Niemcom i Rosji (już sowieckiej), przez co te dwa mocarstwa nie pogodziły się nigdy z układem wersalskim i doprowadziły ostatecznie do jego zniszczenia. Tak brzmi „werdykt” m.in. Henry’ego Kissingera czy George’a Kennana. I z tej perspektywy patrzyli – i działali przeciw polskim aspiracjom terytorialnym po I wojnie – przywódcy anglosascy Ententy, z najbardziej konsekwentnym pod tym względem premierem brytyjskim Davidem Lloydem George’em (choć pierwszy, przed nim jeszcze, geopolityczną „szkodliwość” istnienia Polski, w każdym razie silnej i niezależnej od obu jej wielkich sąsiadów, zauważył jeszcze w 1916 r. ówczesny sekretarz Foreign Office, lord Arthur Balfour).

Dyplomatyczna aktywność Romana Dmowskiego oraz Ignacego Paderewskiego na konferencji pokojowej w Paryżu, a z drugiej strony fakty dokonane, tworzone przez kolejne polskie powstania: najpierw wielkopolskie (od grudnia 1918 do lutego 1919), potem trzy kolejne śląskie (sierpień 1919, sierpień 1920 i maj–czerwiec 1921) wpłynęły na ostateczny kształt granicy polsko-niemieckiej, ograniczając skutki zdecy-

dowanej woli brytyjskiego premiera, by „nie rozdrażniać Niemców” ustępstwami terytorialnymi wobec Polski: Gdańsk, choć był częścią I Rzeczypospolitej, do II Rzeczypospolitej nie został włączony; plebiscyty, zarządzane na Warmii, Mazurach i Powiślu przyniosły rezultat, jakiego oczekiwał Lloyd George – sporne ziemie pozostały przy Niemczech; plebiscyt na Śląsku (oraz trzecie powstanie) doprowadziły do podziału, z którym (tak jak z utratą pomorskiego „korytarza” na mocy decyzji konferencji paryskiej) Niemcy się nie pogodziły. Tu kompromis nie był możliwy. Z kalkulacji prowadzonej w imię „wyższego”, europejskiego porządku wynikało, że można go było osiągnąć tylko kosztem słabszego – by zaspokoić silniejszego.

To był także punkt wyjścia refleksji politycznej zwycięskich mocarstw Ententy nad rozgraniczeniem Polski i Rosji. Żywa przez 1919 rok wiara, że możliwa będzie Rosja niebolszewicka, „biała”, powodowała, że Paryż stał wówczas na tym samym stanowisku co Londyn: nie akceptować żadnych zmian terytorialnych kosztem Rosji, wykraczających poza wytyczoną już na kongresie wiedeńskim granicę Królestwa Polskiego. Podsumowaniem tego stanowiska stała się deklaracja Rady Najwyższej Ententy z 8 grudnia 1919 r. w sprawie tymczasowej wschodniej granicy Polski, która miała przebiegać od północnej części Suwalszczyzny wzdłuż wschodniej granicy Białostockiego i wzdłuż Bugu do dawnej granicy Królestwa Polskiego i Galicji, nie wchodząc na teren Małopolski. Uchwała ta nie przekreślała co prawda na przyszłość roszczeń terytorialnych Polski na wschód od tej linii, ale mogła być (i była później – przez dyplomację Rosji w jej sowieckim wcieleniu) wykorzystywana jako potwierdzenie tezy, iż takie roszczenia byłyby już tylko wyrazem „polskiego imperializmu”. Kiedy w lipcu 1920 r. Polska zmuszona była prosić mocarstwa zachodnie o pomoc w obliczu bolszewickiej ofensywy, brytyjski minister spraw zagranicznych, lord George Curzon wystosował notę do

sowieckiego komisarza spraw zagranicznych, Georgija Czi-czerina, w której przedłużył ową linię z 8 grudnia na południe, przecinając nią Małopolskę na wschód od Przemyśla. Ta linia, choć faktycznie narysowana przez sekretarza Lloyda George'a, Philipa Kerra, przeszła następnie do historii pod nazwiskiem nadawcy noty – jako linia Curzona. W nocy z 11 lipca 1920 r. miała ona oznaczać granicę, której przekroczenie przez Rosję Sowiecką spowoduje jakąś formę interwencji mocarstw Ententy na rzecz Polski. W II wojnie światowej przybrać miała inny sens: uzasadnienia zaboru, jakiego dokonał Związek Sowiecki w pakcie z Hitlerem we wrześniu 1939 r. – wzdłuż podobnej linii.

W latach 1919–1920 jednak mocarstwa zachodnie nie decydowały ostatecznie o biegu granic na wschodzie Europy. Rozstrzygały o nich relacje sił, interesów, determinacji politycznych i społecznych aktorów tej części kontynentu, a także... granice wyobraźni politycznej ich elit. Polska i jej elity polityczne odgrywały w tej grze rolę współdecydującą (co tylko powiększało irytację niezdolnych do ich okiełznania na tym odcinku mocarstw zachodnich). Kiedy mówimy o tej roli, jaka wiąże się z próbą urzeczywistnienia polskiej „polityki wschodniej”, pytanie, czy był w owej polityce możliwy kompromis, wydaje się może jeszcze bardziej istotne niż w relacjach z południowym sąsiadem. Powraca ono najboleśniej w historii rozstrzyganego się w latach 1918–1920 sporu polsko-litewskiego i polsko-ukraińskiego. Najczęściej przedstawia się ten spór i próbuje odpowiedzieć na owo pytanie, przeciwstawiając dwa programy czy dwie wizje polskiej polityki wschodniej: „federacyjną” (Józefa Piłsudskiego) oraz „inkorporacyjną” (Romana Dmowskiego) i szukając w tej pierwszej szansy na kompromis ze wschodnimi sąsiadami. Przyjrzyjmy się tej kwestii nieco bliżej.

Hasło federalizmu, dobrze zakotwiczone już we wcześniejszych koncepcjach Piłsudskiego z lat 1893–1905, oznaczać miało praktycznie chęć oderwania od Rosji ziem zabranych

I Rzeczypospolitej i odbudowania – jak to najefektowniej ujął Michał Römer, świadek narodzin tych koncepcji – Imperium Wschodniego, opartego na fundamentach historycznych Wielkiego Księstwa Litewskiego. Według jednych miało ono przybrać postać ścisłej federacji polsko-litewskiej (czy też litewsko-białoruskiej) i polsko-ukraińskiej, wedle innych, w tym i samego Römera, miały je tworzyć trzy co najmniej, albo i cztery, posiadające odrębną państwowość człony: Polska, Ukraina, Litwa, z ewentualnie wyodrębnioną Białorusią. Inni jeszcze badacze podkreślają raczej pragmatyczne nastawienie Piłsudskiego, jego polityczny realizm i dystans wobec wszelkiego rodzaju doktryn politycznych, w tym i federalizmu, reprezentowanego wiernie przez część jego otoczenia (m.in. Leona Wasilewskiego czy Tadeusza Hołówkę). Sam Naczelnik Państwa dał niezwykle dobitne świadectwo swego stanowiska w słynnym liście do Wasilewskiego z 8 kwietnia 1919 r., gdzie pisał m.in.: „Nie chcę być ani imperialistą, ani federalistą, dopóki nie mam możliwości mówienia w tych sprawach z jaką taką powagą – no i z rewolwerem w kieszeni” (J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. V, red. K. Świtalski, Warszawa 1937, s. 72–74). Ów rewolwer w kieszeni, gromadzenie realnej siły we własnej dyspozycji, polityka faktów dokonanych – taka miała być przede wszystkim zasada działania Piłsudskiego, także w jego polityce wschodniej, której celem była po prostu wielkość Polski i jej maksymalne zabezpieczenie.

Dla rozstrzygnięcia kwestii federalizmu zasadnicze znaczenie praktyczne miała Litwa (łącznie z Białorusią). Dla sprawy zabezpieczenia Polski przed wielkim sąsiadem ze wschodu i możliwości zbudowania nowego, trwałego porządku, nowej równowagi strategicznej na wschodzie Europy kamieniem probierczym pozostawała natomiast Ukraina. Bez Litwy – ze stolicą w Wilnie – nie mogła powstać federacja, nawiązująca

do spuścizny I Rzeczypospolitej. Bez stabilnej niepodległości 30-milionowej Ukrainy nie było możliwe trwałe zaryglowanie ekspansjonizmu i Rosji, i bolszewizmu w kierunku zachodnim. Pierwsza z tych kwestii, odnowa tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, była bezspornie bliska sercu Piłsudskiego – świadomego dziedzica tej tradycji. Sprawa druga, ukraińska, była już przede wszystkim zagadnieniem czystej kalkulacji strategicznej.

Gdy Piłsudski wracał z magdeburgskiego więzienia do Warszawy, stosunki odradzającej się Polski z Ukrainą i Rosją nie były, rzecz jasna, czystym polem. Trwała już faktyczna wojna polsko-ukraińska o Lwów i panowanie nad całą Galicją Wschodnią. Bolszewicy szykowali się do wielkiego marszu na zachód – na ziemie litewsko-ruskie dawnego Wielkiego Księstwa i dalej, przez Polskę, do Niemiec. Politycy zwycięskiej Ententy nie zamierzali tymczasem jeszcze rezygnować z odbudowania nie-bolszewickiej Rosji, gotowi na razie do uznania Polski wyłącznie w granicach etnograficznych, i Finlandii. W tej sytuacji swój debiut w roli sternika polityki wschodniej odnowionego państwa polskiego musiał Piłsudski ograniczyć do przyjęcia linii minimum: przygotowania do obrony przed zagrożeniem bolszewickim, powstrzymania ostatecznych, unie możliwiających na przyszłość porozumienie, rozstrzygnięć w stosunkach z Ukrainą, przy jednoczesnym poszukiwaniu możliwego do przyjęcia przez Ententę kompromisu z faworyzowaną przez nią, ale na razie nieco widmową, „białą Rosją”.

Tę linię, nawiązującą świadomie do projektów Narodowej Demokracji i kierowanego przez nią polskiego przedstawicielstwa politycznego w Paryżu, wyrażały jasno nieopublikowane do dzisiaj w całości instrukcje Naczelnika Państwa z listopada i grudnia 1918 r., przeznaczone dla delegacji mającej go reprezentować na konferencji w Paryżu oraz dla gen. Tadeusza

Rozwadowskiego, dowodzącego Wojskiem Polskim na froncie ukraińskim. W instrukcjach dla Rozwadowskiego Piłsudski zwracał uwagę na stanowisko Ententy, „która według wszelkich dotychczasowych wiadomości nie chce uznać Ukrainy i pragnie kwestię ruską traktować jako kwestię rosyjską”. Zalecał w tej sytuacji przejściową okupację wojskową Galicji Wschodniej, która pozwoliłaby tymczasowo nie rozstrzygać kwestii politycznych. O nich chciał Piłsudski dyskutować, gdy wyklaruje się sytuacja tam, gdzie – jak pisał – było „źródło sprawy ruskiej, to znaczy w Kijowie” (odpis listu J. Piłsudskiego do gen. T. Rozwadowskiego z 28 listopada 1918 r. znajduje się w Papierach Aleksandra Kawałkowskiego w Bibliotece Polskiej w Paryżu – akc. 3505, t. IV, dok. 392). Tam, po upadku postawionego przez Niemcy hetmanatu Pawła Skoropadskiego, o przewagę miała walczyć prąca od wschodu bolszewicka armia, trwająca na brzegach Morza Czarnego rosyjska Armia Ochotnicza, i wreszcie gospodarze tej ziemi – Ukraińcy, rzecznicy niepodległości swojego kraju, skupieni wokół Dyrektoriatu i Symona Petlury.

W trwałość panowania bolszewików na wschodzie Europy nikt wciąż jeszcze nie wierzył, choć strach przed ich ekspansją, nie tylko ideologiczną, ale wprost militarną, po zwinięciu niemieckiego Ober Ostu, stał się na przełomie 1918 i 1919 r. uczuciem nader realnym i dobrze uzasadnionym. Ten strach, docierający także do Paryża, Piłsudski – podobnie jak Dmowski – pragnął wykorzystać do uzyskania zgody mocarstw Ententy na wyjście Polski, jako bastionu obronnego przed owym zagrożeniem, poza bezdyskusyjnie uznane wschodnie granice minimum: granice Królestwa Polskiego z 1914 r. Linia argumentacji przyjęta przez Dmowskiego, a zaprezentowana Piłsudskiemu osobiście przez Stanisława Grabskiego w czasie grudniowego spotkania w Belwederze, została przez Naczelnika

Państwa tymczasowo zaakceptowana. Nie miał jeszcze żadnych realnych argumentów, argumentów siły, które pozwoliłyby mu ją podważyć (warto pamiętać, że wciąż zabiegał dopiero o uznanie swej władzy w Warszawie przez mocarstwa, a silniejszą od Wojska Polskiego w kraju armią gen. Józefa Hallera dysponował nadal Komitet Narodowy Polski). W Instrukcji dla swej delegacji na konferencję pokojową do Paryża pisał więc Piłsudski wprost: „We wszystkich sprawach kresów wschodnich od Galicji wschodniej po Litwę i we wszystkim, co związane jest z Rosją należy reprezentować jednolicie kierunek obrany przez nar[odową] demok[rację]. Trzeba się starać wytłumaczyć rządowi Entente, że Rosja przeszedłszy długotrwałą ciężką chorobę wewnętrzną pozostanie na dłuższy okres czasu słaba, chora, ze wpływem demoralizującym na swych sąsiadów dokoła”. Receptą na ową zogniskowaną w Rosji chorobę powojenną Europy Wschodniej miało być „rozbudowanie Polski”. Zdania instrukcji dotyczące „kwestii ruskiej i litewskiej” wskazywały jednak na zgoła inaczej niż u Romana Dmowskiego rozłożone przez Piłsudskiego akcenty w wizji zabezpieczenia owej rozbudowy od wschodu. Jego przedstawiciele w Paryżu mieli się „wypowiadać za samodzielną formacją ukraińskiego państwa i w stosunku do tego nowo powstałego organizmu państwowego zachować przyjaźń i neutralność”, uznając jednocześnie odrębność Litwinów i próbując przekonywać ich do korzyści płynących dla nich także ze wznowienia tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego (Instrukcja J. Piłsudskiego z 18/19 grudnia 1918 r., Archiwum Michała Mościckiego, t. 3/4, nr 529, Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku).

W jednym już zatem z pierwszych dokumentów myśli politycznej Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa o rozwiązywaniu spraw wschodnich pojawiają się obok siebie co najmniej rozbieżne wątki: zgoda na inkorporacyjną koncepcję Narodowej

Demokracji, jako być może łatwiejszą podstawę do kompromisu z nie-bolszewicką Rosją i popierającymi ją mocarstwami Ententy, z drugiej zaś – zachęta do próbnego bodaj zaprezentowania na szerszym, dyplomatycznym forum stanowiska zawierającego ideę oddzielenia Rosji i Polski państwowością ukraińską oraz litewską (litewsko-białoruską), sfederowaną ewentualnie z Polską. Obydwa te, tak sprzeczne z pozoru, kierunki spotykały się jednak w punkcie, który stanowiło wspólne (i Piłsudskiego, i Dmowskiego) przekonanie, że między Rosją a Niemcami nie ma miejsca na słabą, ściągniętą do minimum etnograficznych granic Polskę. O ile porywająca wyobraźnię spadkobiercy rodu Billewiczów wizja federacji narodów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego wydawała się niemal całkowicie nierealna, o tyle koncepcja inkorporacyjna mogła być przyjęta jako gwarancja swego rodzaju przestrzeni ochronnej, osłaniającej Polskę przed niebezpieczeństwem ze wschodu, dającej jej szansę rozwoju i bardziej wyrównanej rywalizacji także z pokonanym przeciwnikiem na zachodzie. O tym, że w niesprzyjających warunkach politycznych nie należy przeciwstawiać idei federacji i inkorporacji, mówił Piłsudski otwarcie i w lutym 1919 r. do Władysława Baranowskiego, swego zaufanego wysłannika do Paryża, a powtórzyć musiał w grudniu 1919 r., co zapisał z kolei w swoim *Diariuszu* Kazimierz Świtalski (W. Baranowski, *Rozmowy z Piłsudskim 1916–1931*, oprac. R. Świętek, Warszawa 1990, s. 64; K. Świtalski, *Diariusz 1919–1935*, oprac. A. Galićki i R. Świętek, Warszawa 1992, s. 40–41). Najwyraźniej jednak uzupełnianie się obu tych perspektyw w poszukiwaniu praktycznych koncepcji rozwiązania spraw wschodnich przez Piłsudskiego ukazuje obszerny, wart jednak zacytowania, fragment innej z jego instrukcji – z 30 listopada 1918 r.:

„Granice przyszłej Polski winny jej zabezpieczać **możność ekspansji na wschód** [to podkreślenie i następne podajemy za

oryginałem] i pełnię działań kolonizacyjnych. Kolonizacja na wschodzie stanowi konieczny warunek odrodzenia i rozwoju zrujnowanego przemysłu, jedyne pole zatrudnienia masy bezrobotnych, inaczej skazanych na emigrację przymusową. [...] Stwierdzić należy, iż chcemy dobrych sąsiedzkich **stosunków z Rosją**. Ułożenie przyjazne tych stosunków jest tym łatwiejsze, że ekspansja obu narodów idzie w kierunku wschodnim. Rosja zrujnowana, wycieńczona upływem krwi, nie jest zdolną do powrotu ekspansywnego na zachód. Nie odbierając przeto Rosji żadnych ziem jej własnych, a w szczególności nie sięgając po żadne jej bogactwa rolne, Polska zabezpieczyć sobie musi dostatecznie teren ekspansji własnej, oraz ustalić wygodną i trwałą granicę państwową na wschodzie. Ta granica wkluczać [sic] powinna Litwę, Pińszczyznę, zachodnią część Wołynia i tereny przemysłowe środkowej Galicji. **Litwa** winna być złączona z Polską z uwagi na konieczność kolonizacji, na wspólnotę historyczną, na tradycję religijną, wspomnienia unickie [sic] i wreszcie na to mnóstwo pracy kulturalnej, jaką Polacy w nią włożyli. [...] W ostateczności jednakże, gdyby Litwa jako całość nie weszła w skład państwa polskiego i przyłączoną została do innego państwowego organizmu, w takim wypadku Polska nastawać by musiała na to, by właściwa Litwa została ograniczoną do jej obszaru etnograficznego, bez Mińszczyzny białoruskiej i Wileńszczyzny polskiej. Polskie wpływy na Litwie są w obecnej chwili jedyną ostoją społeczną tego kraju przeciwko bolszewizmowi i jeżeli nie będzie nam danem Litwę jako zapórę budować, niechybny jest wylew bolszewizmu na te kraje. **W Galicji** nasze minimum narodowe jest linią obejmującą Lwów i Kałusz; ewentualnie w układzie dobrowolnym z Rosją gotowi jesteśmy ustąpić z części Galicji wschodniej w zamian za ustępstwa ze strony rosyjskiej na terenach litewskich i białoruskich. Wschodnia granica Polski

musi być w porozumieniu z Rosją wyrównana, dawać Polsce osłonę bezpośredniej linii kolejowej z Wilna przez Kowel do Lwowa, zaś między Rosją a Polską winna zostawiać pas błot i lasów Prypeci. Obszar Pińszczyzny całkowicie zniszczony, stanowi granicę błotną, teren niezdatny do poruszania wielkich mas wojskowych. Przez ten teren przechodzić winna wschodnia linia kolejowa Polski, Równo [sic] – Pińsk – Wilno, co najmniej zaś Polska powinna posiadać w swym ręku linię kolejową Drohobycz – Lwów – Kowel – Pińsk – Łuniniec – Baranowicze – Wilno. W ten sposób Rosji ustępuje się wszystkie tereny urodzajne, nie potrzebujące wkładów ani pracy rekonstrukcyjnej. Sobie zaś samym bierzemy zniszczone kraje podatne na nasz silny kolonizacyjny materiał” (Instrukcja J. Piłsudskiego, 30 listopada 1918 r., Archiwum Michała Mościckiego, t. 3/4, nr 210, Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku).

Program terytorialny przedstawiony w powyższej instrukcji, nieodbiegający od wizji Dmowskiego prezentowanej równoległe na posiedzeniach Komitetu Narodowego Polskiego, stanowił minimum, o jakie również Piłsudski gotów był walczyć w każdych warunkach – by powstałe państwo polskie mogło się w ogóle utrzymać między potężnymi sąsiadami. Na taki program miał niewątpliwe przyzwolenie zdecydowanej większości polskiej opinii politycznej. Z hołubionego od lat w wyobraźni politycznej bardziej ambitnego projektu rozbitcia rosyjskiego imperium przez podtrzymanie niepodległej Ukrainy Naczelnik Państwa wszakże nie rezygnował.

W pierwszych miesiącach 1919 r., korzystając z militarne go zwarcia z bolszewikami na froncie litewsko-białoruskim, a także z ówczesnej słabości rozproszonych ośrodków „białej” Rosji, mógł Piłsudski spróbować polityki faktów dokonanych w dziedzinie federacji, odnowienia związku z historyczną Litwą. Liczył, że przekona do tej idei prezydenta Wilsona za

pośrednictwem premiera Paderewskiego, a także uzyska bodaj *désinteressement* Anglików i Francuzów, którzy chwilowo nie mieli mocniejszego oparcia dla swych nadziei odbudowania silnej nie-bolszewickiej Rosji.

Do tej idei jednak nie przekonał Piłsudski przede wszystkim jej głównych, pierwszych adresatów: Litwinów. Próbował do nich dotrzeć na progu swej akcji militarnej, mającej na celu odebranie Wilna z rąk sowieckich w kwietniu 1919 r. Realizatorem tej misji został Michał Römer, skierowany w połowie kwietnia 1919 r. przez Naczelnika Państwa do tajnych rozmów z czołowymi politykami istniejącego już przecież państwa litewskiego. Nie dali się oni jednak pozyskać do koncepcji federacyjnej: na Litwie bowiem przeważała zdecydowanie pod względem politycznym ta orientacja, którą w Polsce reprezentowała linia Romana Dmowskiego: idea budowy państwa narodowego. Chwila krótkiego wahania w tych rozmowach, prowadzonych potajemnie w Kownie 17 kwietnia, była może jedyną, kiedy kompromis polsko-litewski wydawał się możliwy (najobszerniej zrelacjonował i przeanalizował zarazem tę nieudaną misję jej główny uczestnik: M. Römer, *Kulisy misji kowieńskiej*, „Arcana”, nr 70–71 (lipiec–październik 2006), s. 33–81). Kiedy mimo fiaska misji Römera Piłsudski wkroczył na czele wojska polskiego do Wilna – mimo ponawianych deklaracji federacyjnych – oznaczało to kres nadziei na dobrowolne dla obu stron wytyczenie granicy polsko-litewskiej. Zaczynała się otwarta walka: o stolicę dla Litwy, o historyczno-kulturalne centrum – dla Polaków. Litwini, w przytłaczającej większości, pozostali na stanowisku wytyczonym już w nocy swego rządu z 23 grudnia 1918 r., domagającej się od Polski uznania niezawisłości Litwy ze stolicą w Wilnie. Polacy, w przytłaczającej większości, uznali za swoją rezolucję Sejmu Ustawodawczego z 4 kwietnia 1919 r., wzywającą do „trwałego

zjednoczenia z Rzeczpospolitą Polską północno-wschodnich dzielnic Polski z ich stolicą Wilnem”. Odezwa wydana przez Piłsudskiego po wkroczeniu do wyzwolonego z rąk sowieckich Wilna, 22 kwietnia – *Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego* – nie była już w stanie przywrócić unii. Pozostawało już tylko otwarte pytanie: jak się podzielić? Litwini poprosili w tej sprawie o interwencję mocarstwa Ententy. Marszałek Ferdinand Foch wyznaczył 26 lipca 1919 r. na ich prośbę linię rozgraniczenia wojsk polskich i litewskich na Suwalszczyźnie. Linia Focha, jak się okazało, miała na tym odcinku trwale wytyczyć przebieg granicy. Walki jednak trwały jeszcze ponad rok. W lipcu 1920 r. Litwini, byle tylko odzyskać Wilno, postawili na sukces zagrażającej istnieniu Polski ofensywy Armii Czerwonej, zawierając 12 lipca układ z Rosją Sowiecką. Kiedy Polakom udało się odeprzeć Armię Czerwoną spod Warszawy, rozpoczęły się regularne walki zbrojne z Litwinami – odzyskano z ich rąk Suwałki i Sejny, powracając do linii Focha. Po krótkich rokowaniach potwierdziła ją umowa polsko-litewska z 7 października 1920 r. W tym samym dniu, licząca 14 tys. żołnierzy grupa gen. Lucjana Żeligowskiego, pozorując niesubordynację wobec rozkazów Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, podjęła przygotowania do wymarszu na Wilno, zajęte przez Litwinów na mocy ich układu z bolszewikami. Uzgodniona faktycznie z Piłsudskim akcja była próbą obejścia trudności dyplomatycznych, jakie oficjalna próba odwojowania Wilna przez Polskę napotkałaby ze strony mocarstw zachodnich. Dwa dni później Żeligowski opanował sporną stolicę. W imieniu rządu litewskiego protest przeciwko tej akcji złożył w Lidze Narodów Oskar Miłosz. Przygotowane przez Ligę projekty podziału Litwy na autonomiczne kantony zostały odrzucone przez obie strony. Liga zrezygnowała w styczniu 1922 r. z dalszego pośrednictwa, a w marcu tego roku Sejm

Ustawodawczy uchwalił objęcie władzy państwowej na ziemi wileńskiej przez Rząd RP.

Siła miała także rozstrzygnąć toczący się równolegle spór polsko-ukraiński, choć w nim kompromis wydawał się – teoretycznie – bliższy. Spór bowiem nie dotyczył formalnie stolicy, a tylko peryferii obu „obszarów narodowych”. Lwów, Galicja Wschodnia nie były jednak zwyczajną peryferią: dla ukraińskiego ruchu narodowego był to teren, na którym mógł ten ruch rozwijać się najswobodniej i zakorzenić najgłębiej – utrata tego miasta i tego obszaru oznaczała podcięcie siły narodowej tożsamości Ukrainy w skali całego kraju. Dla Polski – Lwów był drugą obok Warszawy, a może nawet wskutek większej swobody pod austriackim zaborem – pierwszą kulturalną stolicą, historycznym centrum polskości. Konflikt wybuchł zatem natychmiast, kiedy tylko załamała się kontrola austriackiego zaborcy (rozjemcy) na tym obszarze. Rozpoczęli go 1 listopada 1918 r. Ukraińcy, zajmując nieoczekiwanie Lwów i ogłaszając w nim suwerenność Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Zorganizowana samorzutnie przez miejscowych Polaków obrona przeciwstawiła się tej akcji. Państwo polskie, stopniowo – od połowy listopada – w miarę swoich możliwości, udzielać zaczęło rodakom, obrońcom Lwowa militarnego wsparcia. Walki o miasto przekształciły się w ukraińsko-polską wojnę o Galicję Wschodnią. Tę wojnę Polska militarnie wygrała – do połowy 1919 r. Politycznie mogła ją wygrać, wraz z Ukrainą, bodaj tylko w jednym momencie. Wtedy mianowicie, kiedy skierowana przez przedstawicieli Ententy, zainteresowanych przerwaniem walk polsko-ukraińskich i stworzeniem wspólnego frontu antybolszewickiego, misja gen. Josepha Barthelemy’ego, doprowadziła do przejściowego zawieszenia broni we wchodniej Galicji. Z końcem lutego 1919 r. gen. Barthelemy zaproponował przyjęcie rozgraniczenia, które po stronie polskiej

pozostawiałoby Lwów oraz zagłębie naftowe z Drohobyczem i Borysławiem, pozostała część – 70 proc. – Galicji Wschodniej pozostałaby pod kontrolą Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Jeśli kiedykolwiek była szansa na polsko-ukraiński kompromis, to w tym momencie. Politycy ZURL wierzyli jednak w siłę swojej armii, która wznowiła oblężenie Lwowa z początkiem marca. Nie dali się przekonać nie tylko misji alianckiej, ale także występującemu w imieniu ich pobratymców znad Dniepru, atamana Ukraińskiej Republiki Ludowej, Symona Petlury, który podpowiadał im, że od wschodu zbliża się niebezpieczeństwo większe niż Polacy – ofensywa bolszewickiej Rosji. Po odrzuceniu linii kompromisu, program pełnej aneksji Galicji przez Polskę, broniony na konferencji pokojowej w Paryżu przez polskiego delegata, Romana Dmowskiego, zyskał dodatkowo – poza poparciem większości polskiej opinii publicznej – argument. „Nienawiść zatrąła krew pobratymczą” – raz jeszcze. Ale czy bez reszty?

Do próby wyjścia poza program aneksjonistyczny w stosunku do Ukrainy Piłsudski potrzebował dużo więcej sił militarnych niż na wyprawę wileńską z kwietnia 1919 r. Musiał także faktycznie czekać na zwycięskie dla Polski wygaszenie wojny z Ukraińcami w Galicji Wschodniej – innego rozwiązania nie zaakceptowałaby wielka część polskiej opinii politycznej. Musiał wreszcie czekać na to, aż minie – trwający od wiosny do jesieni 1919 r. – okres triumfów najpierw adm. Kołczaka, a potem gen. Denikina, odnawiający nacisk zachodnich mocarstw Ententy na rzecz odbudowania sojuszniczego imperium rosyjskiego (oczywiście z całą Ukrainą jako jego częścią).

Wiosną 1920 r. Piłsudski był wreszcie gotów rzucić na stół wielkiej strategicznej gry o przyszłość Europy Wschodniej po I wojnie światowej własną, starannie przygotowaną kartę ukraińską. Przeciw nie tylko bolszewikom, ale przeciw Rosji,

każdej Rosji. Zabiegał zatem o skuteczne, przygotowane na podyktowanych przez siebie warunkach, porozumienie narodów zachodnich „okrain” imperium, którego osią był sojusz Warszawy i Kijowa, o postawienie Ukrainy jako „przegrody między Polską i Rosją”. Tłumacząc sens całego przedsięwzięcia niechętnie nastawionej do przedłużania wojny, a zwłaszcza do popierania ukraińskich aspiracji niepodległościowych, znacznej części opinii politycznej w Polsce, Piłsudski odwoływał się przede wszystkim do argumentu przeciwrosyjskiego, nie przeciwbolszewickiego. Ukraina miała być tamą dla rosyjskiego imperializmu. Komunikat polityczny Dowództwa Frontu Wołyńskiego z 1 marca 1920 r. głosił to bez ogródek: „Naczelnik Państwa i rząd polski stoją na stanowisku bezwzględnego osłabienia Rosji, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo grożące Polsce od Rosji tak bolszewickiej, jak i monarchicznej. [...] Rząd polski zamierza poprzeć ruch narodowy ukraiński, aby stworzyć samodzielne państwo ukraińskie, a przez to znacznie osłabić Rosję, odbierając jej okolice najbogatsze w zboże i skarby ziemne” (cyt. za: *Sąsiedzi wobec wojny 1920 r. Wybór dokumentów*, oprac. J. Cisek, Londyn 1990, s. 159–160). Niekiedy, jak w rozmowie Piłsudskiego z nuncjuszem apostolskim, arcybiskupem Rattim, ale także w publicystyce politycznej, przygotowującej propagandowo przyjęcie sojuszu z Petlurą, pojawiały się akcenty pogłębiające wizje konfliktu do rangi zderzenia cywilizacyjno-kulturowego, w którym Polska wracała do roli „tarczy i miecza” Zachodu w jego „odwiecznej walce” z naporem Wschodu. Ukraina, jak przedkładał Naczelnik Państwa późniejszemu papieżowi Piusowi XI, miała być swego rodzaju przedłużeniem i kontynuatorką misji Polski w tej dziedzinie (informuje o tym notatka K. Świtalskiego z 26 maja 1920 r. z wcześniejszego spotkania J. Piłsudskiego z nuncjuszem A. Rattim, w: K. Świtalski, *Diariusz...*, s. 49).

Ofensywa na Kijów miała dać szansę Petlurze, by ustabilizować państwowość ukraińską. Sens polityczny tej akcji, bez ujawniania najgłębiej skrytych planów dotyczących samej Rosji, najdobitniej wyłożył Piłsudski mającemu go zastąpić w dowodzeniu na Froncie Ukraińskim gen. Antoniemu Listowskiemu: „Idąc w głąb Ukrainy, ale tylko do granic [17]72, przez to samo nie uznajemy rozbioru i głosząc *samostijnosc* na tych ziemiach jakby poprawiamy błędy naszych przodków. Chcemy dać [Ukrainie] możność samookreślenia i rządzenia się przez własny naród. [...] Postawiłem na kartę, gram ostatnią stawkę, żeby coś zrobić na przyszłość dla Polski, choć takim sposobem osłabić możliwość przyszłej potężnej Rosji i, jeżeli się uda, dopomóc stworzeniu Ukrainy [...] Ale w tym sęk, czy ta Ukraina powstanie, czy ma dostatecznie sił i ludzi, żeby się stworzyć i zorganizować, bo przecież wiecznie tu siedzieć nie możemy. [...] Granic [17]72 r. tworzyć nie mogę, jak kiedyś chciałem, Polska nie chce tych kresów, Polska nie chce ponosić ofiar, wszystkie partie się wyraźnie wypowiedziały, nie chcemy ponosić kosztów, ani nic dać. A bez wysiłków, ofiar, nic stworzyć nie można! Zatem innego wyjścia nie ma – jak spróbować stworzyć samostijną Ukrainę. Petlura tu nie odgrywa żadnej roli, jest narzędziem, nic więcej. A jeżeli nic się nie uda zrobić, pozostawimy ten chaos własnym losom. Niech się burzy, trawi, wyniszcza, osłabia, zjada. W takim stanie nie będzie też nam groźnym na długie lata! A dalej... przyszłość wskaże!” (cyt. za: A. Nowak, *Rozmowy z Józefem Piłsudskim. Z Dziennika gen. Antoniego Listowskiego*, „Arcana”, nr 23 (5/1998), s. 42–44).

Piłsudski zakładał polską osłonę militarną Ukrainy maksimum do jesieni. Własne błędy militarne, sowieckie uderzenie na północy, a przede wszystkim brak istotnego wsparcia ludności ukraińskiej dla kolejnej próby budowania od nowa własnej państwowości wspieranej przez obce bagnetny, wreszcie

faktyczny brak determinacji (a może i sił po prostu) społeczeństwa polskiego, by realizować półkonspiracyjnie przygotowany plan wielkiej polityki wschodniej Naczelnika Państwa – wszystko to złożyło się na niepowodzenie tego planu. W lipcu Piłsudski z rozdrażnieniem konstatował, że Ukraińcy sami muszą robić fakty dokonane, wbrew opinii Europy Polska nie może dłużej angażować się w militarne wspieranie Petlury, z drugiej zaś strony, wbrew opinii zdecydowanej większości Polaków sam nie może pomóc Petlurze zaczerpnąć sił z tego źródła ukraińskiego żywiołu niepodległościowego, które na pewno jeszcze nie wyszło – z Galicji Wschodniej. Wcześniej już, w maju 1920 r., w czasie rozmowy z Romanem Dmowskim, wyrażającym oczywiście swoje zastrzeżenia co do akcji tworzenia niepodległej Ukrainy, która według niego odwrócić się miała z pewnością przeciw Polsce, Piłsudski dał upust swemu rozdrażnieniu słabością narzędzia, jakie ofiarowała mu historia: „jak Polacy są tacy durnie, że opanować jej [Ukrainy] nie potrafią, to nie są lepszego losu warci” (cytuje tę wypowiedź Juliusz Zdanowski w zapisie rozmowy z R. Dmowskim z 29 maja 1920 r., zanotowanej w swoim *Dzienniku*, t. 3, s. 122 rkps 7862, Biblioteka PAU w Krakowie).

Latem 1920 r. rozgrywał się najbardziej dramatyczny akt – już nie walki o granice, ale o istnienie, i to nie tylko niepodległej Polski, ale także sporej części Europy. Bolszewicy, którzy już od listopada 1918 r. obiecywali (ustami Stalina) zburzyć „polskie przepierzenie” oddzielające rewolucję rosyjską od spodziewanego centrum rewolucji w Niemczech, po nieudanej próbie z przełomu 1918–1919 r. wykonania tego zadania, ponowili ją – zgodnie z planem strategicznym wytyczonym jeszcze na przedwiośniu 1920 r. „Przez trupa białej Polski – na Berlin” – to głośne hasło wydanego na progu lipca 1920 r. rozkazu dowódcy idącego na Warszawę Frontu Zachodniego, Michaiła

Tuchaczewskiego, opisywało już świat bez granic: świat (a raczej na razie tylko Europę) sowieckiej wspólnoty. 23 lipca Lenin pisał do Stalina: „Zinowiew, Bucharin i także ja uważam, że należałoby w tej chwili pobudzić rewolucję we Włoszech. Uważam osobiście, że należy w tym celu sowietyzować Węgry, a być może także Czechy i Rumunię”. Stalin, który obiecywał w ciągu tygodnia zająć Lwów, następnego dnia odpowiadał: „Teraz, kiedy mamy Komintern, pokonaną Polskę i mniej czy bardziej przyzwoitą Armię Czerwoną [...] byłoby grzechem nie pobudzić rewolucji we Włoszech. [...] Należy postawić kwestię organizacji powstania we Włoszech i w takich jeszcze nie okrzepłych państwach, jak Węgry, Czechy (Rumunię przyjdzie rozbić). [...] Najkrócej mówiąc: trzeba podnieść kotwicę i puścić się w drogę, póki imperializm nie zdążył jako tako podreperować swojej rozwalającej się fury” (telegram Lenina do Stalina z 23 lipca 1920 r., cyt. za: *Komintern i idea mirowej rewolucji. Dokumenty*, Moskwa 1998, s. 186; telegram Stalina do Lenina z 24 lipca 1920 r., cyt. za: *Bolszewistskoje rukowodstwo. Pieriepiska. 1912–1927*, Moskwa 1996, s. 148). Podniecony otwierającymi się perspektywami Lenin jeszcze 12 sierpnia nawoływał ze zniecierpliwieniem: „Z politycznego punktu widzenia jest arcyważne, aby dobić Polskę” (cyt. za: W. I. Lenin, *Niezwiestnyje dokumenty 1891–1922*, red. J. N. Amiantow, J. A. Achapkin i W. T. Łoginow, Moskwa 1999, s. 361–362).

Polska jednak dobić się nie dała. Rozczarowanie Lenina było wielkie. Zderzenie z siłą ugruntowanego w zdecydowanej większości społeczeństwa dojrzałego patriotyzmu było dla bolszewików zjawiskiem nowym. Kolejna, druga już próba sowietyzacji Polski, o wiele poważniejsza od tej z przełomu 1918 i 1919 r., rozbiła się o to, co Richard Pipes nazwał europejskim nacjonalizmem, a co tak korzystnie wyróżniło Polskę od anomii

społecznej, na której bolszewicy zbudowali swój sukces w Rosji, na Ukrainie czy na Białorusi. „Przekłęta, ciemna Polska” – jak pisał 4 września Kliment Woroszyłow, towarzysz Stalina z walk pod Lwowem – wykazała „szowinizm i tępą nienawiść do «ruskich»” (cyt. za: *Bolszewistskoje rukowodstwo...*, s. 156–157). Nie było już mowy – przez następnych 20 lat – o sowieckiej Czechosłowacji, Węgrzech, Rumunii, w mocy pozostały traktaty pokojowe bolszewików z „burżuazyjnymi” rządami małych republik bałtyckich. System wersalski został na 20 lat ocalony w bitwie warszawskiej, a później niemeńskiej. Wraz z nim ocalała szansa niepodległego rozwoju Europy Środkowo-Wschodniej. Przynajmniej jej części i przynajmniej na pewien czas.

To był najważniejszy rezultat polskiej walki o granice: granice Europy Wschodniej. Zmęczone już sześciolletnią wojną społeczeństwo polskie, przy braku wsparcia dla jakiegokolwiek samodzielnej akcji polskiej ze strony mocarstw zachodnich, gotowe już było przyjąć ten kompromis graniczny, jaki tylko zaoferuje pokój, a zarazem da Polsce minimum strategicznego bezpieczeństwa na najbliższe lata. Piłsudski ten werdykt zaakceptował – werdykt, którego podsumowaniem stały się ustalenia polsko-sowieckiej konferencji pokojowej w Rydze.

Czy mogło być inaczej? obrońcy tezy o nieugiętej wierności Piłsudskiego ideałom federalizmu i walki za wolność naszą i waszą ostatnią linię obrony dla takiego poglądu znajdują właśnie w interpretacji rokowań pokojowych w Rydze. Zgodnie z ową tezą, mocno zresztą utrwaloną w historiografii, a zwłaszcza w publicystyce – Piłsudski chciał wznowić swój program federacyjny i wojnę z bolszewikami o jego zrealizowanie. Znakomici znawcy tematu, Janusz Cisek i Włodzimierz Suleja, twierdzą wręcz, że jesienią 1920 r. Piłsudski nie wyrzekł się jeszcze idei połączenia węzłem federacyjnym Polski, Ukrainy

i Białorusi, a w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach nawet Łotwy. Na przeszkodzie stanąć miała „zdrada” jego programu, dokonana w Rydze przez przedstawicieli Sejmu w delegacji pokojowej (z reprezentantem Narodowej Demokracji, Stanisławem Grabskim na czele). W szczególności przejawem owej paraliżującej inicjatywę Naczelnika Państwa „zdrady” miało być przeforsowane rzekomo wyłącznie z inicjatywy przedstawiciela endecji wyrzeczenie się opanowanego już przez Wojsko Polskie Mińska białoruskiego – jako potencjalnego ośrodka nowej akcji federacyjnej na wschodzie.

Nie dysponujemy żadnym świadectwem na temat ewentualnego sprzeciwu Piłsudskiego wobec decyzji terytorialnych podejmowanych w Rydze: decyzji o faktycznym podziale Ukrainy i Białorusi między Polskę i Rosję sowiecką. Piłsudski wiedział niewątpliwie, że decyzja o wyrzeczeniu się Mińska nie została podjęta przez samego Grabskiego, ale była w rzeczywistości efektem współpracy lidera endecji z przedstawicielem PPS na rokowaniach w Rydze – Norbertem Barlickim. To oni, wraz z Władysławem Kiernikiem z PSL „Piast”, przeforsowali nie tyle wyrzeczenie się, ale raczej zamianę Mińska na strategiczny korytarz oddzielający Rosję sowiecką od Litwy i dający Polsce wspólną granicę z Łotwą. Wydaje się, że ta zamiana bardziej zgadzała się z zasadniczo nastawionym na strategiczne „konkrety” myśleniem Piłsudskiego, niż wyrażana wobec oddania Mińska opozycja Leona Wasilewskiego i Feliksa Perla, którzy istotnie chcieli potraktować stolicę Białorusi jako magnes dla skupienia wokół niej propolskiego ruchu narodowego.

Wobec niepowodzenia na odcinku litewskim – widocznego wyrażnie już w 1919 r., oraz załamania się planów związanych z Ukrainą – latem 1920 r., w czasie rokowań ryskich Piłsudski nie wiązał już żadnych odrębnych nadziei z kwestią białoruską. Ta pozostawała zawsze dla niego funkcją powodzenia na

odcinku litewskim bądź ukraińskim. Sam Naczelnik Państwa nie znajdował w Mińsku sił do wsparcia jakiegokolwiek poważniejszej akcji narodowej białoruskiej, akcji federacyjnej. „Nie podobał się mnie wasz Mińsk – zwierzał się po wizycie w tym mieście jeszcze 18 września 1919 r. – zanadto rusko-żydowskim duchem pachnie, na ulicy nie słyhać innego jak rosyjski języka” (cytuje tę wypowiedź jej świadek, Jerzy Osmołowski, w swoich *Wspomnieniach*, t. 3, Oddział Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej, rkps 9819 III, k. 602–603).

Piłsudski nie protestował przeciw ustaleniom pokojowym w Rydze, gdyż zdawał sobie sprawę z faktu, że nie ma społecznego przyzwolenia na kontynuowanie wojny. Widział niepowodzenie swoich wielkich planów i wyciągał z tego praktyczne wnioski. Wracał świadomie do swego planu strategicznego minimum, opisanego jeszcze w instrukcjach dla delegacji Naczelnika Państwa na konferencję pokojową w Paryżu. Ten plan, koncentrujący się na zabezpieczeniu Polski przed agresją ze wschodu najprostszyimi środkami, oznaczał przekreślenie federacji. Jak wspominał jeden z najbardziej zaufanych współtwórców polityki wschodniej Komendanta, Michał Sokolnicki, przed podpisaniem pokoju ryskiego Piłsudski tak formułował swoje postulaty: „Podstawą strategicznej obrony państwa muszą być błota pińskie [...] Granica przyszła musi dać Polakom możliwość ruchu roszującego, czyli linię przez Łuniniec; Polska nie powinna sięgać po Mińsk, obejmując jedynie mieszane [!] ludnościowo rusko-litewsko-polskie okręgi, bez przewagi liczebnej czy kulturalnej ludności obcej; wreszcie na Wołyniu tyle tylko, ile potrzeba dla łączności z Małopolską wschodnią. [...] «Ja nie chcę stwarzać między Polską a Rosją spornych na przyszłość problemów granicznych»” (M. Sokolnicki, *Józef Piłsudski a zagadnienie Rosji*, „Niepodległość”, t. II, Londyn 1950, s. 65).

Czy była to cyniczna zdrada własnego programu? Była to raczej nieuchronna konsekwencja jego porażki w 1920 r. Warto na koniec zastanowić się nad jej przyczynami. Strategia realizowana przez Piłsudskiego w 1920 r., choć nawiązywała do 200-letniej tradycji polskiej myśli o rozbiciu rosyjskiego imperium siłami zniewolonych w jego granicach narodów, była w istocie drugą po niemieckiej praktyczną próbą znalezienia alternatywy dla panowania Rosji nad obszarem bałtycko-czarnomorskiego Międzymorza. Litwini i Ukraińcy – główni potencjalni partnerzy tej strategii – znajdowali się już w chwili jej praktycznego podjęcia w stanie otwartej walki z Polską o granice. To w oczywisty sposób utrudniało porozumienie. Również same tradycje I Rzeczypospolitej okazywały się bardziej przeszkodą niż pomocą w budowaniu zaufania do intencji planów Piłsudskiego. Polska wreszcie, inaczej niż kilka lat wcześniej Cesarstwo Niemieckie, nie budziła swymi możliwościami militarnymi czy potencjałem gospodarczym respektu. Piłsudski korzystał raczej ze swoistej luki siły, jaka powstała po I wojnie światowej, w czasie wojny domowej w Rosji na wschodzie Europy. Nie chciał zmarnować tego krótkiego momentu, gdy maksymalne naprężenie polskiego wysiłku mogło przeważać przejściowo sparaliżowane potencje wielkich sąsiadów. Jednak nie tylko Ententa, ale również ludność wschodnioeuropejskiego Międzymorza zachowywała w pamięci raczej doświadczenie potęgi Rosji (i Niemiec), którą mogłyby zrównoważyć – gdyby chciały – mocarstwa zachodnie, nie zaś osamotniona Polska, startująca przecież w 1918 r. z tego samego pułapu co pozostałe, pozbawione własnej państwowości narody tego regionu.

Fantom *Pax Polonica* ulotnił się jeszcze przed podpisaniem pokoju w Rydze. Nie dowiemy się więc nigdy, jak praktycznie byłby on wyglądał. Piłsudski musiał porzucić marzenia o doko-

naniu geostrategicznej rewolucji w Europie Wschodniej. Mówił, że potrzebuje do jej przeprowadzenia ludzi, co potrafią bicze kręcić z piasku i mur głową przebijać. Znalazł ich za mało. Nie zdobył zaufania, a może inaczej – nie przełamał nieufności – tych, od których udziału zależało powodzenie jego projektów: narodów dawnej Rzeczypospolitej. W tragicznym splocie historycznych okoliczności, zawiązanym przecież nie dopiero w 1918 r., ale wieki wcześniej, uwięzła szansa na porozumienie (kompromis) między nimi.

Do rangi symbolu urasta bliskość daty, która kończy polityczny proces formowania granic II Rzeczypospolitej i innej – która zapowiada likwidację tego państwa. 24 marca 1922 r. Sejm Ustawodawczy uchwalił objęcie władzy państwowej na ziemi wileńskiej przez Rzeczpospolitą. Trzy tygodnie później, 16 kwietnia, Niemcy i Rosja Sowiecka podpisały w Rapallo we Włoszech traktat w sprawie wznowienia stosunków przyjacielskich i handlowych. Dwa mocarstwa, które od XVIII w. kontrolowały los Europy Wschodniej i Środkowej i po 1918 r. nie pogodziły się ani z istnieniem niepodległej Rzeczypospolitej między nimi, ani tym bardziej z jej granicami, wchodziły na drogę strategicznej współpracy. Jej celem była nade wszystko zmiana granic.

Krzysztof Kawalec

SPORY O KSZTAŁT USTROJU
II RZECZYPOSPOLITEJ

Pierwsza wojna światowa zakończyła się bezprecedensowym triumfem krajów demokracji liberalnej nad dawnym porządkiem. Upadły konserwatywne monarchie, dominujące w Europie Środkowo-Wschodniej przez cały wiek XIX. Co prawda o ostatecznym rezultacie konfrontacji militarnej zdecydowały zasoby materialne bogatych państw państw zachodnich: koalicji brytyjsko-francuskiej, zasilonej w 1917 r. przez Stany Zjednoczone, ale równocześnie zależał on od nastrojów społecznych. To dlatego w opinii współczesnych wynik wojny oznaczał zwycięstwo demokracji nad autokracją; rządów ludu nad panowaniem się autorytetu. Pozornie kruchy, uzależniony od kaprysu wyborców, system polityczny, okazał swą stabilność i siłę. W obliczu ogniowej próby ogół obywateli zdobył się na poczucie odpowiedzialności i na bezprzykładną cierpliwość w znoszeniu cierpień oraz trudności spowodowanych wojną.

Inaczej działało się w krajach, gdzie władza dystansowała się od poddanych: w cesarskich Niemczech oraz Austro-Węgrzech, wcześniej zaś w Rosji. Kiedy ludzie poczuli swą siłę, wystąpili z siłą burzącego wszystko żywiołu. Ale nawet tam zaznaczył się łagodzący wpływ instytucji demokracji przedstawicielskiej. Radykalizacja nastrojów wpłynęła na preferencje wyborcze, które z reguły przesunęły się znacznie na lewo, ale nigdzie

– nawet w Rosji – na tyle, by w sposób decydujący przybliżyć perspektywę rewolucji proletariackiej. W przeprowadzonych bezpośrednio po przewrocie bolszewickim wyborach do Zgromadzenia Konstytucyjnego zwycięzcy otrzymali zaledwie jedną czwartą głosów – co przesądziło o rychłym rozwiązaniu rosyjskiej Konstytuanty.

Przeciwstawność tendencji demokratycznej z jednej, rewolucyjnej zaś z drugiej strony zaznaczyła się i na polskim gruncie. Wynik przeprowadzonych w styczniu 1919 r. wyborów do Sejmu Ustawodawczego pokazał, że ujawniające się z wielką siłą nastroje radykalne nie są podzielane przez większość społeczeństwa, pragnącego przede wszystkim stabilizacji. Drugim czynnikiem, który silnie wpłynął na wynik wyborczy, było ożywienie postaw narodowych. Trudno powiedzieć, w jakiej mierze sytuacja ta była widoczna od początku. Stosunek do wyborów podzielił lewicę. Ta jej część, która opowiadała się za rewolucją w majestacie prawa, poddała się regułom wyborczej konfrontacji, później zaś wzięła aktywny udział w budowie państwa. Pozostali, od grudnia 1918 r. zorganizowani w Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, podjęli nieudaną próbę zbojkotowania wyborów. Agresywna, często obrażająca uczucia narodowe agitacja (jej próbką może być hasło „precz z białą gęsią”) z pewnością miała swój udział w ostatecznej porażce; właściwą jej przyczyną było wszakże to, że większość spośród tłumnie głosujących dążyła po prostu do czegoś innego niż powielenie wzorca radzieckiego. Niefortunna decyzja zaowocowała marginalizacją ruchu komunistycznego, pogłębioną wraz z jego faktyczną delegalizacją, w kwietniu 1919 r.

W literaturze historycznej przywykło się akcentować różnice poglądów na zagadnienie ustrojowe, dzielących reprezentowane w sejmie ugrupowania polityczne. Uzasadnieniem było to, co dzisiaj się nazywa obrazem medialnym wydarzenia. Debacie

konstytucyjnej towarzyszyły wystąpienia poza sejmem: manifestacje, strajki oraz inne akcje protestacyjne, organizowane w czytelnej intencji wpłynięcia na rezultat obrad. Spierano się o wzajemne relacje najwyższych władz państwowych, kompetencje oraz sposób obioru głowy państwa, uprawnienia posłów oraz organizację parlamentu (jedno- czy dwuizbowy), wreszcie zakres i charakter ingerencji państwa w życie społeczne. Jak ujął to historyk myśli politycznej, Michał Śliwa, spierano się „m.in. o to, czy konstytucja usankcjonuje liberalny model państwa w jego dziewiętnastowiecznym wydaniu, czy też przyjmie rozwiązania prawne, umożliwiające np. ingerencję państwa w stosunki własnościowe”. Spór dzielący stanowiska zwolenników demokracji liberalnej i demokracji społecznej był ważny; ale nie miał charakteru tak zasadniczego, jak przepaść pomiędzy dążeniami tych, którzy pragnęli wprowadzenia systemu politycznego opartego na przyzwoleniu rządzonych, oraz tych, którzy chcieli oprzeć jego stabilność na terrorze i przymusie. Ci ostatni nie byli jednak reprezentowani w sejmie – spośród zaś obecnych w nim środowisk żadne nie brało pod uwagę ustroju zasadniczo odmiennego od tego, co uważano za normę dla krajów zachodnich.

Ilustracją zbieżności poglądów były projekty konstytucji, składane od lutego 1919 r. Wszystkie zakładały republikańską formę państwa, prawie wszystkie też – poza projektem wysuniętym przez konserwatywny Klub Pracy Konstytucyjnej – postulowały wprowadzenie systemu rządów parlamentarnych. Wolności polityczne postrzegano jako ściśle związane z niepodległością. Rozumiano, że władza własna to nie tylko taka, która odwołuje się do symboliki narodowej, ale również taka, którą można sobie wybrać, a w razie potrzeby zmienić.

Aprobata dla modelu państwa, w którym elita rządząca opiera swoje uprawnienia na przyzwoleniu rządzonych, realizo-

wanym za pośrednictwem kartki wyborczej, przybierała różne formy, wyrażające się w różnej retoryce. Lewica niepodległościowa, dla której miarodajne były poglądy rozwijane w obrębie Polskiej Partii Socjalistycznej, ostentacyjnie podkreślała swoje przywiązanie do demokracji jako formy rządów w najpełniejszym stopniu sprzyjającej realizacji ideałów postępu. Z kolei politycy prawicowi, związani z Narodową Demokracją, chętnie akcentowali konieczność potwierdzenia przynależności Polski do zachodniego kręgu cywilizacyjnego – grupującego społeczeństwa wolne, a zarazem zdyscyplinowane. W obu wypadkach wskazywano na państwa zachodnie jako pozytywny wzorzec. Krajem, który podziwiano szczególnie, była Wielka Brytania; wszakże brytyjskie instytucje polityczne z różnych powodów nie nadawały się do skopiowania. W Polsce jednak odmienna była tradycja prawna, inne struktury społeczne, a przede wszystkim system partyjny. Partii było o wiele więcej; silnie zaznaczały się antagonizmy środowiskowe i regionalne. Zaadaptowanie w polskich warunkach systemu wzorowanego na brytyjskim groziłoby niepożądanymi skutkami. Przykładowo, przy istniejącym rozdrobnieniu partyjnym, wprowadzenie większościowego systemu wyborczego wzorowanego na brytyjskim pociągnęłoby za sobą niewielką reprezentatywność parlamentu: w wyniku łatwego do przewidzenia rozdzielenia się głosów wyborców większość z nich zostałaby zmarnowana, bez szans na otrzymanie mandatu. Innym niebezpieczeństwem takiej sytuacji byłaby możliwość konserwowania lokalnych układów i kultywowania na tym tle separatyzmów.

Z tych powodów bardziej przydatny wydawał się wzorzec ustrojowy francuski. Poprzez wierne odwzorowanie w parlamencie nastrojów wyborców – co oznaczało przeniesienie tam mozaiki zwalczających się stronnictw – uniemożliwiał wytworzenie się tam stałej większości. Kilkadziesiąt zmian gabinetów we Francji przed 1914 r. mogło stanowić ostrzeżenie. Był to jednak ustrój

dostosowany do systemu wielu partii, zaakceptowany przez liczące się państwo, które wyszło zwycięsko z Wielkiej Wojny – co mogło uchylać, przynajmniej początkowo, wątpliwości co do walorów jego instytucji politycznych. Dodatkowym argumentem na ich rzecz mogło być i to, że pochodziły z kraju uważanego za szczególnie bliski Polsce.

Rodzime doświadczenia ustrojowe nie bardzo wchodziły w grę. Te dawniejsze, sprzed 1795 r., były zbyt odległe, najnowsze zaś, związane z funkcjonowaniem tymczasowego modelu rządów, określonego Małą Konstytucją, nie przedstawiały się zachęcająco. Silna władza Naczelnika Państwa oraz jednoizbowego parlamentu paraliżowały się nawzajem. W spektakularnej formie zaznaczyło się to zresztą już po uchwaleniu konstytucji marcowej, w początkach lata 1922 r., gdy spór głowy państwa oraz sejmowej większości o prawo powołania gabinetu doprowadził do klasycznego pata, trwającego ponad miesiąc.

Ostatecznie zatem punktem odniesienia dla dyskutowanych rozwiązań ustrojowych stała się konstytucja Republiki Francuskiej z 1875 r. Dodać warto, że także w tej materii Polska nie stanowiła wyjątku – na konstytucji francuskiej wzorowana była także ustawa zasadnicza Republiki Czechosłowackiej.

Sygnalizowano, że temperatura obrad podczas debaty konstytucyjnej była wysoka. Chociaż to nie stosunek do kwestii prawnych decydował o podziałach sceny politycznej, miały one znaczenie jako argument propagandowy i instrument działania stosowany doraźnie do mobilizowania opinii publicznej. W dalszej perspektywie liczyły się jako czynnik wpływający na ustalenie reguł, które miały obowiązywać przy wyłanianiu władzy: to był także powód, dla którego stanowiska poszczególnych stronnictw były jedynie pozornie sztywne. To, co w propagandzie przedstawiano jako wyraz zasadniczej koncepcji ustrojowej, w praktyce okazywało się mniej ważne od rachub na wymanewrowanie przeciwnika.

Wystąpiło to wyraźnie przede wszystkim w sporze o kompetencje głowy państwa. Prawica przeszła tu do porządku dziennego nad swoim stanowiskiem w kwestii silnej władzy wykonawczej: w przekonaniu, że prezydentem zostanie Piłsudski, zdecydowała się drastycznie okroić kompetencje tego urzędu. Stanowisko to często bywa komentowane jako modelowy przykład poświęcenia zasad programowych na ołtarzu korzyści doraźnych. Tak też niewątpliwie było. Postawy, które dzisiaj nazywa się partyjniactwem (a wówczas „partyjnictwem”) sąsiadowały z całym racjonalnymi obawami przed możliwością nadużycia przez Piłsudskiego władzy. Charakterystyczne, że lewica nie czyniła inaczej. Lustrzanym odbiciem kalkulacji prawicy było stanowisko Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”, konsekwentnie angażujących się w poparcie poczynań Piłsudskiego – bez względu na to, co czynił, i czy dawało się to pogodzić z procedurami prawnymi. Jakkolwiek zasadniczo lewica opowiadała się raczej za ścisłą kontrolą poczynań władzy wykonawczej przez organa państwowe pochodzące z wyboru niż za daniem im swobody działania – to w czasie debaty konstytucyjnej zajęła stanowisko przeciwne, opowiadając się za rozbudową uprawnień głowy państwa. Traktowano tu bowiem problem nie abstrakcyjnie, ale bardzo konkretnie i – podobnie jak na prawicy – myślano o Piłsudskim. Jeśli zatem w wystąpieniach publicznych prawica ostantacyjnie opowiadała się za silną władzą wykonawczą, lewica zaś za rozszerzeniem sfery swobód obywatelskich, to kiedy w grę wchodziło określenie stanowiska wobec realnie wyłonionego silnego przywództwa, strony zamieniały się rolami.

Analogicznie przedstawiał się spektakularny spór o drugą izbę parlamentu. Prawica, podkreślając konieczność zabezpieczenia państwa przed inflacją aktów ustawodawczych i angażując się w związku z tym z wielką siłą w obronę senatu, nie czyniła tego bynajmniej od początku debaty konstytucyjnej, a poza tym – sądząc

z opinii wypowiedzianych przed wiele postaci, i to znaczących – jej stanowisko w tej materii wcale nie było jednolite. Dlatego też opowiedzenie się prawicy za dwuizbowością parlamentu było nie tyle refleksem zasadniczej koncepcji ustrojowej, ile przejawem dążeń do zrównoważenia skutków radykalizmu niższej izby parlamentu, którego się obawiano. Wyrażając się obrazowo, konserwatywny senat miał ingerować w wypadku, gdyby sejm uchwalił coś niemądrego. Z kolei lewica, pryncypialnie opowiadająca się za jednoizbowością parlamentu, była przeciwna senatowi, ale... równocześnie domagała się powołania tzw. Izby Pracy – *de facto* też swego rodzaju drugiej izby parlamentu, tyle że stanowiącej przeciwwagę dla sejmu, gdyby miał on okazać się prawicowy...

Tego rodzaju konfrontacyjna logika rzutowała na stanowisko rywalizujących środowisk politycznych także w kwestiach mniejszej wagi. Ogólnie rzecz biorąc, skutkiem działań obliczonych na zabezpieczenie się przed poczynaniami przeciwnika, podejmowanych przez wszystkie znaczące środowiska polityczne, było doprowadzenie do sytuacji, w której stan równowagi – by nie powiedzieć pata – pomiędzy rywalizującymi środowiskami doczekał się swoistego odbicia w zapisach ustawy zasadniczej, określających relacje najwyższych władz państwowych. Zgodny z demokratycznymi standardami stan ich równowagi stwarzał możliwości wzajemnego paraliżowania się. W teorii, wobec przewagi pochodzącego z demokratycznych wyborów sejmu, wyposażonego w rozbudowane uprawnienia, sytuacja taka nie powinna mieć miejsca. Ale tylko w teorii. Jakkolwiek wejście w życie konstytucji – po wyborach przeprowadzonych jesienią 1922 r. – otworzyło w dziejach odrodzonego państwa okres zwany „sejmowładztwem”, to ukute w walce politycznej, obraźliwe określenie miało niewiele wspólnego z rzeczywistością. Sejm był bowiem jedynie pozornie silny – w rzeczywistości będąc zdolny do efektywnego sprawowania władzy jedynie w takim stopniu,

w jakim był w stanie wytworzyć operatywną i zdolną do działania większość. To zaś okazało się zupełnie niemożliwe w istniejącym układzie sił w społeczeństwie oraz przy ordynacji wyborczej, która za sprawą nieznacznie jedynie skorygowanej zasady proporcjonalności odzwierciedlała go wiernie na forum sejmu.

Ów stan pata okazał się trwały. Jeśli porównać rezultat wyborów zarówno do Sejmu Ustawodawczego z 1919 r., jak i późniejszych, przeprowadzonych w 1922 r. – dotyczy to zresztą także wyborów z 1928 r. – to uderza charakterystyczna zbieżność. Wybory nie wyłaniały zdecydowanego zwycięzcy, później zaś, w toku pracy parlamentu, rozdrobnienie sejmu raczej powiększało się, niż malało. Jak to często w parlamencie bywa, posłowie przechodzili wprawdzie z jednego klubu do drugiego – ruchy te jednak nie przyczyniały się do zbudowania stałej większości. Tendencje do tworzenia koalicji zaznaczały się słabiej niż ruchy odśrodkowe.

Dobrze ilustrują to koleje losu tzw. Chjeno-Piasta – centroprawicowej koalicji, utworzonej wiosną 1923 r. Utworzony przez nią gabinet przetrwał zaledwie pół roku, a co gorsza nie okazał się zdolny do prowadzenia spójnej polityki gospodarczej. Przesądziło to jego losy w obliczu licznych trudności, także zewnętrznych, oraz nacisku opozycji. Upadek rządu zadecydował o losach koalicji, cały czas niemogącej uzgodnić stanowiska w sprawie reformy rolnej, dodatkowo zaś, niejako przy okazji, ilustrując największą słabość polskiego modelu demokracji parlamentarnej: trudności tworzenia gabinetów koalicyjnych. Co gorsza, po upadku rządu możliwości ponowienia podobnej próby wydatnie zmalały. Przede wszystkim przy istniejącym w sejmie układzie sił nie była możliwa inna koalicja większościowa. Rozłam zaś, do którego doszło w obrębie wspierającej gabinet Chjeno-Piasta partii chłopskiej, okazał się trwały i utraconej jedności nie udało się w niej przywrócić – to zaś oznaczało znikome prawdopodobień-

stwo powtórzenia próby. Najgorsze jednak, że jej podjęcie podsycało społeczne antagonizmy na skalę niebezpieczną dla systemu jako całości: upadek rządu poprzedziły krwawe starcia na ulicach Krakowa, podjęta zaś trzy lata później próba stworzenia gabinetu opartego na podobnej koalicji zakończyła się jego obaleniem w wyniku zbrojnego zamachu stanu.

Sytuacja ta, jak w soczewce, ilustrowała i niestabilność sytuacji politycznej, i główne niebezpieczeństwa grożące systemowi demokracji liberalnej w Polsce. Przy niskiej kulturze prawnej silnie zaznaczała się skłonność do posługiwania się siłą – bądź groźbą jej użyciem – i to był problem największy. Jego skalę powiększały trudności w funkcjonowaniu elementów konstytuujących porządek prawny. Sygnalizowano trudności związane z rosnącą atomizacją sejmu i – co było konsekwencją – z powiększaniem się trudności w tworzeniu koalicji. Dodać trzeba, że system wyborczy nie stwarzał silniejszej motywacji dla łączenia się w większe struktury. Ugrupowania, które otrzymały najwięcej głosów, mogły co prawda liczyć na dodatkowe mandaty z tzw. listy państwowej – mandatów tych nie było jednak wiele, za sprawą oporu mniejszych partii, które bały się majoryzacji i aby jej przeciwdziałać, potrafiły zdobyć się na solidarne i skuteczne działanie.

W sytuacji, gdy utworzenie rządu opartego na stabilnej większości było niemożliwe, a prawdopodobieństwo utworzenia koalicji większościowej wielu partii nie przedstawiało się wiele lepiej, regułą stały się różne formy gabinetów mniejszościowych bądź pozaparlamentarnych, popieranym bądź przynajmniej – w imię „konieczności państwowych” – tolerowanym przez często odległe od siebie kluby polityczne. Jakkolwiek dostrzeganie tego rodzaju konieczności dobrze świadczy o poczuciu odpowiedzialności ówczesnych elit, a i dorobek rządów działających w trudnym położeniu, gdy się go ocenia z pewnej perspektywy, może budzić

podziw, taka sytuacja ani nie sprzyjała sprawnemu funkcjonowaniu państwa, ani nie gruntowała zaufania do ustroju konstytucyjnego. W rezultacie prestiż parlamentu, początkowo bardzo wysoki, rychło zaczął maleć. Rosła natomiast irytacja opinii publicznej, która postrzegała te rozgrywki jako stratę czasu, zajęcie jałowe, niepozwalające na konstruktywną pracę. Tego rodzaju wątpliwości w znacznej mierze były skutkiem niskiej kultury politycznej: spory bowiem są częścią debaty publicznej i powodowane przez nie koszty społeczne są mniejsze niż koszty decyzji nietrafionych lub nieskorygowanych w porę. Co mogło jednak irytować, to styl prowadzenia owej debaty, język propagandy, brutalność ataków personalnych, a także niedostrzeganie konieczności utrzymania działań w granicach prawa.

Uzasadnione były również obawy związane ze zbyt częstymi zmianami dokonującymi się na szczycie. Oceniana przez przyzmat doświadczeń z państwami zaborczymi II Rzeczpospolita sprawiała wrażenie bytu prowizorycznego. Między jesienią 1922 a majem 1926 r. rządy zmieniły się pięć razy, jeśli zaś liczyć od listopada 1918 r., należałoby liczbę tę potroić. Jeszcze częstsza była rotacja na stanowiskach ministerialnych oraz w wyższej administracji. I jeśli trudno mieć większe zastrzeżenia co do trafności decyzji podejmowanych przez kolejne gabinety, to w znacznej mierze dlatego, że krótki czas funkcjonowania modelu wprowadzonego przez konstytucję 1921 r. nie pozwolił w pełni ujawnić się wszystkim niebezpieczeństwom, jakie pociągała za sobą nadmierna płynność władzy wykonawczej. W warunkach stałej presji, związanej z groźbą utraty zaufania posłów, relatywnie łatwiej było podejmować decyzje związane z bieżącym zarządzaniem państwem, trudniej natomiast te o znaczeniu długofalowym i większej wadze, zwłaszcza w sytuacji, gdy w grę wchodziły działania o charakterze niejako wyprzedzającym, a nie związane z reagowaniem na pojawiające się problemy. W innej

sytuacji niż stan wyższej konieczności trudno było zdobyć w parlamencie aprobatę dla rozwiązań naruszających interesy którejs z bardziej wpływowych grup i bez ryzyka popełnienia większego błędu można przyjąć, że gdyby demokratyczny eksperyment nie został tak szybko przerwany, to tego rodzaju trudności nasilałyby się w miarę upływu czasu.

Prawidłowość tę ilustrowały już losy reformy walutowej, zrealizowanej wprawdzie w końcu, ale relatywnie późno – w momencie, gdy rozmiary inflacji wymknęły się spod kontroli. Dopiero panika spowodowana widmem katastrofy finansowej wymusiła zgodę na zmianę systemu podatkowego w taki sposób, by wykluczyć łatanie budżetu drukiem pieniędzy. Trudniejszy okazał się problem ustroju najwyższych władz wojskowych. Przygotowywana ustawa, która zastąpić miała sprzeczny z konstytucją dekret Piłsudskiego, wydany w 1921 r., nie została uchwalona przed majem 1926 r. – choć w sejmie niezbyt silny, obóz Piłsudskiego był w stanie skutecznie ją blokować. Najlepszą wszakże ilustracją owego parlamentarnego pata była niemożność korekty ustroju – której nie można było przecież przeprowadzić tak, by nikt na niej nic nie stracił. Było to o tyle ważne, że właśnie prawo wyborcze wyznaczało rzeczywisty punkt ciężkości systemu politycznego, a po wyborach 1922 r. stało się jasne, że bez zmiany reguł liczenia głosów układ sił w kraju nie daje szans na wyłonienie stabilnej większości. Ograniczenie mozaiki sejmowej mogło się dokonać albo przez odejście od proporcjonalności, albo poprzez jej wydatne ograniczenie – na przykład za pomocą preferencji dla ugrupowań, które w wyborach zdobędą najwięcej głosów.

Perspektywa tego rodzaju rozwiązania, forsowanego przez prawicę, budziła wszakże protesty słabszych ugrupowań, obawiających się majoryzacji. Także mniejszości narodowe były jej wrogię. W rezultacie, w atmosferze silnych walk partyjnych oraz narastającej wzajemnej nieufności, nie było realne ani przekonanie

większości sejmu do tego rodzaju rozwiązań, ani mechaniczne przegłosowanie oponentów – co prawda działających w rozproszeniu, ale w tym wypadku zgodnie. W ten sposób została zablokowana możliwość korekty systemu politycznego w drodze prawnej.

Prawdopodobieństwo utrwalenia się sytuacji patowej w sejmie dodatkowo zwiększało istnienie w nim – używając politycznego żargonu – „martwego pola”. Trudno było wyobrazić sobie parlament bez reprezentacji mniejszości narodowych, będących obywatelami Rzeczypospolitej i mających pełne prawo wyboru swoich przedstawicieli. W dobie rozwoju nacjonalizmów oznaczało to jednak obecność w sejmie polityków reprezentujących opozycję nie wobec poszczególnych rządów, ale wobec całego państwa, postrzeganego jako instytucja obca (gdyż polska) i wroga. Pod tym względem, przy absencji komunistów i szczątkowej reprezentacji mniejszości, Sejm Ustawodawczy miał wyjątkowy komfort pracy. Było do przewidzenia, że to się już nie powtórzy. Obawa przed konsekwencjami wejścia mniejszości do sejmu w znacznej mierze przyczyniła się do odwlekania wejścia w życie uchwalonej w 1921 r. konstytucji – obawiano się bowiem wyniku wyborów, które trzeba było przeprowadzić. Gdy w końcu doszły one do skutku, odbyły się w atmosferze narodowej polaryzacji, podgrzewanej przez ogłoszenie przez Ukraińców bojkotu głosowania. Mimo że bojkot miał charakter powszechny, odsetek mniejszości w sejmie przekroczył 20 proc.

Wbrew pozorom polskie elity były dość jednolite w ocenie tego problemu. Jakkolwiek retorykę endecji z jednej strony, z drugiej zaś socjalistów oraz orientującej się na Piłsudskiego liberalnej inteligencji dzieliła przepaść, i jedni, i drudzy zdawali sobie sprawę z niemożności traktowania reprezentacji mniejszości po prostu jak jednego z partnerów w parlamentarnej grze. Istotna różnica polegała na tym, że lewica uważała współpracę

z reprezentantami mniejszości za pożądaną i możliwą – ale dopiero w przyszłości, gdy przekonają się do polskiego państwa i wybędą nacjonalizmu. Nie ukrywano, że perspektywa ta jest odległa. Sceptycyzm prawicy przejawiał się nie tylko w deklaracjach, ale i spekulacjach na temat zmian w prawie wyborczym, które ograniczyłyby reprezentację mniejszości w sejmie. Rzecz w tym, że ponad jej siły okazało się wypracowanie rozwiązań możliwych do przyjęcia choćby tylko w obrębie własnego obozu politycznego. Preferencje dla wielkich stronnictw, stosowane także tam, gdzie ludność polska stanowiła mniejszość (przede wszystkim na wschodnich Kresach), potencjalnie groziły tym, że nie będzie ona w stanie wybrać swojej reprezentacji; inne zaś rozwiązania, sprowadzające się do projektów zmiany prawa wyborczego jedynie w okręgach o większości polskiej, przy pozostawieniu proporcjonalności na Kresach – były po prostu karkołomne. Wątpliwe było, czy dałyby się pogodzić z międzynarodowymi zobowiązaniami państwa polskiego, nadto – naruszało jeden z ważniejszych elementów właściwej prawicy wizji państwa, to jest jego unitarną strukturę.

Brak realnych perspektyw zmiany prawa wyborczego w sytuacji politycznego pata przyczyniał się do erozji autorytetu sejmu, gruntując przekonanie, że na drodze prawnej nie da się nic zmienić. Torowało to drogę myśli o użyciu siły.

W takiej sytuacji krąg krytyków ustawy zasadniczej szybko się poszerzał. Początkowo – poza okazującymi otwarcie wrogość komunistami – nie był on szeroki. Relatywnie szybko obiekcje ujawniły się w obrębie elitarnych środowisk, które, chociaż wpływowe i dysponujące możliwościami oddziaływania na opinię, były zepchnięte na margines przez system oparty na głosowaniu powszechnym. Odnosiło się to przede wszystkim do konserwatystów, ale w pewnej mierze rozciągało się także na środowiska radykalnej inteligencji. Poczucie wyobcowania sprzy-

jało narastaniu krytycyzmu stosunku nie tylko do polskiej mutacji demokracji liberalnej, ale także kwestionowania całej filozofii politycznej, na której opierały się ustroje demokratyczne – także w krajach zachodnich, wcześniej traktowanych jako wzorce do naśladowania. Decydujące jednak znaczenie miało pojawienie się tego rodzaju wątpliwości w obrębie środowisk, które wcześniej zdecydowały o jego wprowadzeniu w życie.

Dotyczyło to w szczególności endecji, stanowiącej trzon szerszego obozu centroprawicowego, na lewicy zaś Polskiej Partii Socjalistycznej oraz PSL „Wyzwolenie”. Sygnalizowano już dwuznaczności stanowiska, jakie zaznaczyły się w trakcie debaty konstytucyjnej. W krótkim wszakże czasie dwuznaczności owe ustąpiły pola przejawom dystansowania się wobec systemu politycznego, zaznaczanymi coraz silniej, chociaż w różnych formach. Na prawicy wyrażało się to przede wszystkim w formie publicystycznych pochwał poczynań Mussoliniego. Bez względu na to, że enuncjacje prasowe nie zapowiadały działań inspirowanych przez wzorec włoski ani nie wyrażały stanowiska kierownictwa Związku Ludowo-Narodowego – trudno przecenić ich destrukcyjne znaczenie. Przede wszystkim źle służyły politycznej edukacji społeczeństwa, a ponadto nie sprzyjały gruntownemu zaufaniu do poczynań najliczniejszego w sejmie klubu parlamentarnego – Klubu Narodowego. Tym samym w jakimś stopniu przyczyniały się do destabilizowania sytuacji.

Te same uwagi odnieść można do tendencji, jakie zaznaczyły się na lewicy. Dotyczy to przede wszystkim zaznaczających się w różnej formie przejawów dystansu wobec demokracji liberalnej. Jeśli zestawić stanowisko PPS z socjaldemokracjami zachodnimi, to swój dystans wobec instytucji dyktatury jako środka instrumentu przyśpieszającego przemiany socjalistyczne zaznaczała zdecydowanie słabiej. Można dyskutować, jaką wymowę miała demonstracja PPS i PSL „Wyzwolenie” 17 marca

1921 r., kiedy obie partie lewicy zdecydowały się głosować przeciw przyjęciu ustawy zasadniczej. Nawet jeśli uznać, że nie był to wyraz zasadniczego stanowiska, ale przejaw gry politycznej – to czy takie demonstracje są bez znaczenia? Dotyczy to także ostentacyjnie uprawianego kultu Piłsudskiego – w coraz większym zakresie kierującego się przeciw sejmowi i reprezentowanym w nim stronnictwom.

Zjawisko to było przejawem szerszej prawidłowości także o tyle, że ilustrowało jeszcze jedną słabość rodzimej mutacji systemu parlamentarnego: trudność wyłonienia wyrazistych przywódców politycznych. Jakkolwiek na czele rywalizujących środowisk znalazły się postacie o wielkim autorytecie i zdolnościach, uformowały się one w toku działalności spiskowej i z trudnością jedynie adaptowały się do reguł demokracji liberalnej. W równej mierze dotyczyło to Piłsudskiego, jak i Dmowskiego. Jakkolwiek w różnym czasie i w wyniku różnych okoliczności, obaj w pewnym momencie znaleźli się na bocznym torze, bez większych szans na powrót do dawnej roli. O ile jednak Dmowski, osiadając w Chłudowie pod Poznaniem, swój dystans wobec krytycznie przez siebie ocenianego systemu wyrażał w sposób niejako bierny, o tyle Piłsudski przeciwnie – z pasją go atakował, w miarę upływu czasu skupiając wokół siebie szybko powiększające się grupy niezadowolonych. Sprzyjało mu i pojawienie się nastrojów rozczarowania własną państwowością – nieuchronne w obliczu nazbyt idealistycznego jej pojmowania, jak i oczekiwań, że wszystko załatwi. Bieda sprzyjała animowaniu napięć na tle społecznym, a także irytacji z powodu sejmowych rozgrywek, postrzeganych jako bezproduktywne marnowanie czasu. Prasa podsyciała tego rodzaju nastroje, bombardując czytelników rewelacjami o kolejnych aferach – oględnie się wyrażając, dalekimi od ścisłości. Tutaj trzeba zastrzec, że jakiegokolwiek analogie z czasami współczesnymi są zupełnie nieuzasadnione z uwagi na znikomą wręcz skalę tam-

tych „przekrętów”. Bez względu jednak na „twarde” realia, przekonanie o wszechobecności korupcji istniało, rzutując na stosunek do posłów oraz parlamentu. Niezwykle skutecznie odwoływał się do niego Piłsudski i jego zwolennicy. Zamiast szukać odpowiedzi na pytania, co zmienić w systemie prawnym i jak osiągnąć w tym celu większość głosów, wskazywał, że wystarczy odsunąć od władzy ludzi niegodziwych: nie tylko sprzedajnych, ale także mających krew na rękach. Prócz prasowych rewelacji o kolejnych zmianach rządu, kłótniach w parlamencie, gospodarczych aferach, uzasadnieniem dla takiego stanowiska mogło być także to, że rodzimy – wprowadzony postanowieniami konstytucji marcowej – model demokracji politycznej zadebiutował w sposób najgorszy z możliwych: głębokim kryzysem politycznym, uwieńczonym śmiercią pierwszego prezydenta.

Jeśli przyjąć, że istotą demokracji jest przestrzeganie reguł przez uczestników politycznej gry, przede wszystkim poruszanie się w granicach prawa, to w atmosferze narastającej wrogości i pogłębiającej się na tym tle polaryzacji politycznej staje się to wątpliwe. Rozbuchane emocje torują drogę przemocy – to, jaki program ustrojowy formułują wówczas poszczególni politycy, jest rzecz jasna ważne, ale dopiero wtedy, gdy emocje te opadną. Uwaga ta nie dotyczy Piłsudskiego, który w pełni panował nad sobą. Działał na zimno. Kiedy się analizuje jego poczynania przynajmniej od lata 1922 r., to widać, że dążył do celów, które nie były możliwe do zrealizowania w warunkach konstytucyjnego porządku. Nie tylko takiego, jaki zafundowaliśmy sobie w 1921 r., ale także tworzącego ramy prawne krajów wyznaczających cywilizacyjną czołówkę. Wyrażając tę myśl w sposób bardziej kurtuazyjny, stosownie do rangi postaci, można powiedzieć, że jej indywidualność dalece wykraczała poza ramy systemu prawnego, niezależnie od tego, jak byłyby rozległe i ile swobody pozostawiały.

Swego rodzaju paradoksem było, że Piłsudski, dążąc do pełni władzy, oparł się na środowiskach, które – w obliczu dwuznacznej postawy prawicy, ujawniającej sympatie dla faszyzmu włoskiego – w realiach połowy lat 20. w sposób najbardziej ostentacyjny i w większości wypadków szczerze opowiadały się za demokracją. Tyle, że w odróżnieniu od niego, za sprawą resentymentów z przeszłości, a także zacierzwienia, czasowo utraciły one zdolność oceny sytuacji. Tak często były na alarm, przestrzegając przed zagrożeniem dla demokratycznych zdobyczy, zawartym a to w planach redukcji pensji urzędniczych, forsowanych przez endecka, ministra skarbu, a to w klerykalizacji szkoły, forsowanej przez innego endecka, odpowiadającego za poczynania resortu oświaty (wedle przedwojennej nomenklatury Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego); a to w tekstach publicystycznych różnych dziennikarzy zachwycających się poczynaniami Mussoliniego – że kiedy na ulicach pojawiło się wojsko, odczuły ulgę. Nie dostrzegły problemu w tym, że gabinet, który im nie odpowiadał, został obalony siłą. Lektura komentarzy prasowych, proklamujących erę „demokracji wojskowej”, przede wszystkim zaś na różne sposoby uzasadniających tezę, że w imię demokracji należy ograniczyć swobodę działań nie-demokratów, wskazuje, jak szeroki zasięg w gronie obrońców wolności miała wówczas choroba przedkładania „słuszności” nad procedurami prawnymi. Prawica przerobiła tę lekcję wcześniej, w grudniu 1922 r., dla lewicy były nią właśnie wydarzenia maja–czerwca 1926 r. Otrzeźwienie przyszło później, gdy otaczany sentymentem i kultem dawny przywódca zwrócił się przeciw swoim dotychczasowym sprzymierzeńcom. Mogli się jedynie pocieszać, że przewrót majowy uprzędził zamach przygotowywany przez prawicę. Nie było to prawdą, co nie zaszkodziło trwałości legendy. Jej echa odzywają się do dziś – bez względu na to, że nie ma ona żadnego uzasadnienia w stanie wiedzy o tej coraz lepiej znanej epoce.

Maj 1926 r., a przede wszystkim jego konsekwencje, w sposób decydujący określiły kierunek toczącej się debaty ustrojowej. Jest bowiem tak, że najważniejszym punktem odniesienia są w tym wypadku ramy systemu władzy. Decydują o postrzeganiu problemów, określają hierarchię potrzeb, a także tworzą określone nawyki działania, przekładające się na doświadczenia postaci oraz środowisk. W tym względzie skutki „maja” były trudne do przecenienia, bez względu na to, że nie wszystkie ujawniły się od razu. Bezpośrednio po przewrocie silne były złudzenia, że sytuacja wróci do normy, w tym sensie, że Piłsudski zadowolony kontrolą nad wojskiem, sejm zaś odzyska znaczenie, jakie miał przed przewrotem. Miarą w dezorientacji, jak i rachubą na możliwości wyzyskania chwilowego – jak sądzono – uchylecia pata, blokującego wcześniej możliwości korekt ustrojowych, były składane bezpośrednio po przewrocie przez poszczególne środowiska polityczne projekty reformy ustroju. Ogólnie rzecz biorąc, sprowadzały się one wszystkie do zaledwie kosmetycznych zmian systemu politycznego. W przypadku prawicy na uwagę zasługują dwa elementy: po pierwsze to, że każde z działających dotąd w obrębie bloku centroprawicowego środowisk zdecydowało się wystąpić z osobnym projektem (co sygnalizowało pogłębianie się atomizacji politycznej poprzez rozpad bloku centroprawicowego), po wtóre zaś, że wszystkie projekty zakładały wzmocnienie władzy wykonawczej kosztem parlamentu. Bez względu na to, że nawiązywały one do propozycji wysuwanych przed przewrotem, w zmienionej sytuacji politycznej ich sens był problematyczny. Na ich obronę powiedzieć można tylko tyle, że pośrednio dowodziły faktycznego przywiązania do zasad, na których opierał się system demokracji parlamentarnej. Stronnictwa prawicowe nie mogły przecież nie dostrzegać, że przewrót kierował się przeciw nim, jak i tego, że proponując wzmocnienie władzy wykonawczej, dostarczają broni przeciw

sobie. Jeśli idzie o propozycje wzmocnienia władzy wykonawczej, to szły one dalej niż sugestie obozu rządzącego, przyjęte wbrew stanowisku stronnictw lewicy w sierpniu 1926 r. – co niekiedy, także w literaturze naukowej, przedstawiane bywa jako wyraz umiaru Piłsudskiego i jego otoczenia. Pogląd ten opiera się jednak na takim samym nieporozumieniu, jak rachuby tych wszystkich, którzy liczyli na powrót rządów parlamentarnych i pragnęli co najwyżej skorygować system. Istotą zmian, jakie zaszły po maju, nie była bowiem ewolucja prawa, ale praktyki rządzenia. Do połowy lat 30., formalnie rzecz biorąc, obowiązywała kosmetycznie jedynie zmieniona dawna konstytucja. Tyle tylko, że – inaczej niż przed przewrotem – to nie jej postanowienia określały reguły przetasowań na szczytach władzy.

Decydował Piłsudski, który tolerował postanowienia ustawy zasadniczej w takiej mierze, w jakiej nie stwarzały przeszkód jego woli, w innym zaś wypadku omijał je – niekiedy w formie swoiście finezyjnej, naginając prawo; innym razem przez jego ignorowanie (na przykład przez przeforsowanie dekretu prasowego, ustanawiającego cenzurę, mimo wyraźnego w tym względzie zakazu zawartego w ustawie zasadniczej). Gdy to nie wystarczało, sięgał do brutalnego języka („konstytuta–prostyta”), w niedwuznacznej intencji onieśmienia oponentów i przypomnienia im, kto tu rządzi. Gdy i to nie pomagało, sięgał po represje. Spektakularny charakter miała tzw. sprawa brzeska, później zaś haniebna decyzja o powołaniu „miejsca odosobnienia” w Berezie Kartuskiej.

Rosnący nacisk aparatu władzy na życie społeczne sprawiał, że możliwości protestu były ograniczone. Istotą dyktatury jest zresztą to, że opiera się na sile, a nie na prawie. Prawo – zmienione i przykrawane do jej potrzeb, może być jej narzędziem, ale nie ogranicza swobody jej ruchów. W razie potrzeby, władza przechodzi nad nim do porządku dziennego. Tak działo się w latach

1926–1935 z dawną konstytucją. Niewątpliwie nie odpowiadała ona zmienionej sytuacji, ale... także kolejnej, przeforsowanej w latach 1934–1935 ustawy zasadniczej, nie przestrzegano wtedy, gdy stwarzałoby to dla grupy rządzącej problemy.

Faktyczna zmiana systemu rządów przesądziła o tym, że przestała istnieć prawna możliwość obalenia ekipy rządzącej. Po 1926 r. wybory do sejmu odbyły się jeszcze cztery razy, z tego dwa razy, w latach 1928 i 1930, wedle niezmienionej ordynacji wyborczej. Rosnąca ingerencja władz administracyjnych w ich przebieg pozbawiały złudzeń, że za pomocą kartki wyborczej uda się zmienić ten stan rzeczy. Istnym festiwalem nacisków oraz fałszerstw były wybory do samorządów w latach 1932–1933. Później zaś, w wyniku zmiany ordynacji wyborczej, stronnictwa opozycyjne utraciły możliwość samodzielnego zgłaszania kandydatów – co w naturalny sposób przesądzało o wyniku wyborów w latach 1935 i 1938. Gdy do wyborczej próby sił startuje jeden tylko obóz polityczny, wynik łatwo przewidzieć...

Trudno przecenić destrukcyjny wpływ tej sytuacji na kształt toczącej się publicznej debaty. Zaznaczał się on na wielu płaszczyznach. Przede wszystkim oddziaływał przykład politycznego sukcesu w postaci trwałego przejęcia władzy oraz możliwości jej sprawowania z pominięciem mechanizmów społecznej oraz prawnej kontroli. Innym skutkiem przewrotu było zwiększenie się dystansu między poszczególnymi środowiskami politycznymi. I przed majem 1926 r. nie był on mały – później wszakże doszły resentymenty „kombatanckie”, w miarę zaś upływu czasu coraz silniej zaznaczały się skutki trwałego odsunięcia od władzy. Zmalało znaczenie odpowiedzialności za słowo, co wpłynęło na mechanizmy selekcji działaczy: ludzie doświadczeni i rozsądni zaczęli ustępować miejsca nawiedzonym, co najmniej zaś dużo młodszym od siebie. Proces ten zaznaczył się we wszystkich środowiskach politycznych, przyjmując różne

formy i zaznaczając się w różnym nasileniu, ale skala zbieżności była zastanawiająca. Po pierwsze, wzrosła rola młodzieży, uzyskującej możliwości samodzielnego działania w obrębie poszczególnych nurtów (Ruch Młodych Obozu Wielkiej Polski, ruch młodowiejski, Akcja Socjalistyczna), po wtóre, pojawiły się symptomy militaryzacji struktur politycznych (odznaki, mundury organizacyjne, przemarsze, musztra, odprawy zamiast zebrań), po trzecie wreszcie, regułą było przenoszenie punktu ciężkości działań politycznych w teren, poza obręb sejmu. Proces ten po części wiązał się z dokonującą się wymianą pokoleń, decydującym wszakże czynnikiem była zmiana warunków działania, coraz silniej zaznaczający się nacisk aparatu administracyjnego, erozja znaczenia parlamentu. Mimo swoich ułomności pozostawał on instytucją, która uczyła wypracowywania kompromisu. W nowej sytuacji, gdy stronnictwa stanęły przed koniecznością walki o przetrwanie – umiejętności te przestawały jednak być ważne. Liczyło się utrzymanie ściślejszych więzi z elektoratem politycznym, to zaś wymagało demonstrowania sztywności zasad i jednoznaczności haseł. W sytuacji, gdy całe doświadczenie parlamentarzystów stawało się mało przydatne, ich czas mijał. Mogli się tylko łudzić – do czasu – perspektywą powrotu parlamentarnych reguł gry.

Spośród działaczy starszego pokolenia w nowych warunkach lepiej czuli się – i sprawdzali – ci, którzy wcześniej nie zdążyli żyć się z demokracją parlamentarną. Przewrót legitymizował ich wątpliwości wobec walorów ustroju opartego na kartce wyborczej. A także uwiarygodnił ich argumenty. Dowodzenie, że w polityce rządzi siła, brzmiało mimo wszystko abstrakcyjnie, jak długo odwoływało się do faktów znanych jedynie z gazet. Tak było – wyłączając grono osób, które przyżyły to na własnej skórze – z rewolucją rosyjską, później z „marszem na Rzym” Mussoliniego. Natomiast skutki zmian systemu władzy w Polsce

w taki czy inny sposób odczuli wszyscy – oceniali go różnie, widzieli wszakże, kto wygrał i czemu zawdzięczał sukces. A później oddziaływanie tej sugestii zostało wzmocnione przez ciąg zbieżnych w swojej wymowie zjawisk, jakie dokonywały się dookoła. W rezultacie fali zamachów stanu w ciągu dosłownie kilku lat państwa, w których źródłem władzy przestała być wola rządzonych, wyrażana za pośrednictwem procedur prawnych, stały się nieliczne: nie tylko we wschodniej Europie, także na Zachodzie stan posiadania demokracji liberalnej stopniał, a ogólne wrażenie dekadencji pogłębiała dodatkowo pacyfistyczna retoryka. W takim samym stopniu, co polityczne instrumenty demokracji liberalnej, wątpliwe zaczęły się wydawać – w wyniku kataklizmu Wielkiego Kryzysu – nawet jego instrumenty ekonomiczne, dotąd niekwestionowane.

Wszystko to składało się na spektakularną zmianę klimatu politycznego. Jej wpływ na stanowisko poszczególnych środowisk politycznych w kwestiach ustrojowych wyrażał się w coraz dalej idącym kwestionowaniu założeń, uważanych za oczywiste podczas debaty konstytucyjnej zaledwie kilkanaście lat wcześniej. Niekiedy nawiązywano do koncepcji formułowanych wcześniej przez konserwatystów – dotyczyło to przede wszystkim różnych pomysłów związanych z osłabieniem pozycji sejmu poprzez spętanie jego swobody w dziedzinie ustawodawczej i kontrolnej: poprzez rozbudowę uprawnień ciał badających zgodność ustaw z obowiązującym prawem (przede wszystkim senatu), a także poprzez ograniczenie możliwości ingerencji w pracę władzy wykonawczej. W tym ostatnim punkcie spotykały się stanowiska prawicy (tej konserwatywnej) oraz tej części lewicy, która orientowała się na Piłsudskiego.

Dotyczy to także zainteresowania perspektywą zwiększenia uprawnień głowy państwa. Dysponując atutem w postaci wyrazistego, cieszącego się powszechnym szacunkiem przywódcy,

obóz rządzący domagał się, aby głowa państwa była wyłaniana w wyborach powszechnych. W początkach lat 30. zmienił tu jednak zdanie – być może zdając sobie sprawę, że stan zdrowia Piłsudskiego szybko się pogarsza. Równie prawdopodobna była wszakże inna przyczyna: koncepcje ustrojowe nie powstają w próżni i trudno je rozpatrywać w oderwaniu od ewolucji i stosunków w kraju oraz przemian w obrębie obozu rządzącego. W obliczu zaostrzających się antagonizmów politycznych i społecznych, związanych z kryzysowym załamaniem, a pogłębianych przez zaostrzający się kurs polityczny, poleganie na popularności lidera było coraz bardziej ryzykowne.

W obrębie środowisk prawicowych – przede wszystkim Narodowej Demokracji – rosnącym zainteresowaniem cieszył się inny pomysł, zasadniczo zaczerpnięty z arsenału konserwatystów, ale przetworzony, stosownie do ducha nowych czasów. Chodzi o ograniczenie kręgu uprawnionych do głosowania. Pomysł o tyle nie był nowy, że w XIX stuleciu prawo wyborcze nie było powszechne, ale rozciągało się jedynie na grupy obywateli uważane przez prawodawcę za wystarczająco dojrzałe do wpływania na losy państwa. Praktyczne rozwiązania były różne, wprowadzano cenzus majątkowy, wykształcenia, tzw. domicylu (stałego zamieszkania), w końcu zaś wieku głosujących. W obowiązującym prawie wyborczym zachował się jedynie ten ostatni. Inaczej niż konserwatyści, którzy – obrazowo się wyrażając – pragnęli po prostu cofnąć wskazówki zegara, endecy zastanawiali się nad nowymi rozwiązaniami. Niektóre, chociaż trąące ekstrawagancją, z trudem mieściłyby się jeszcze w kanonie liberalnego państwa – można tutaj na przykład przywołać pomysł Romana Dmowskiego z końca lat 20., aby głosowali jedynie ojcowie rodzin (w przypadku kobiety samotnie wychowującej dziecko takim „ojcem” byłaby oczywiście ona).

Inne pomysły, forsowane przez młodzież, zdradzały już ducha nowej, wrogiej liberalizmowi epoki. Dotyczyło to przede wszystkim rozwiązania ważnego dla nacjonalistów dylematu, jak pogodzić suwerenność narodu z ograniczeniem prawa wyborczego – uszczuplającego tę suwerenność w takim zakresie, jak daleko szły restrykcje. A chodziło o to, by jej jednak nie uszczuplić. Zasadniczo wszyscy (dotyczyło to w równej mierze młodzieży, jak i polityków starszego pokolenia) zgodni byli co do tego, że świadomość narodowa nie rozkłada się równo, że są – także wśród etnicznych Polaków, nie mówiąc o mniejszościach – osobnicy zupełnie jej pozbawieni, a także że idealny system polityczny powinien ograniczać krąg uprawnionych do decydowania o losach państwa jedynie do owych rzeczywistych obywateli. Problem polegał tylko na tym, jak określić granice tej grupy, przebiegające przecież niezależnie od podziałów społecznych, bardziej uzależnione od poziomu wykształcenia, ale też nie w sposób ścisły. O ile jednak starsi politycy – w tym Dmowski – otwarcie przyznawali się do pewnej bezradności w tym względzie, to młodzież skłaniała się do poglądu, że znalezienie rozwiązania jest możliwe i bliskie. Widząc, że stabilizacja stosunków w takich krajach, jak Włochy Mussoliniego, a potem hitlerowskie Niemcy opiera się na masowej partii politycznej, w większym lub mniejszym stopniu przyjmowali sugestię, że poprzez swoją masowość skupia ona wszystkich czynnych obywateli. Działając w obrębie silnego liczebnie środowiska, jakim był Obóz Wielkiej Polski, poddawali się innej, kuszącej sugestii – że to oni sami stanowią narodową elitę, uprawnioną do rządów. Nie tylko zapatrzenie się w totalitarne wzorce zagraniczne, ale i obserwacja rodzimego życia politycznego prowadziła do podobnych wniosków: wszak grupa rządząca, podkreślając swoje zasługi dla odzyskania przez Polskę niepodległości, nie kryła, że uważa się za taką właśnie

elitę. Zainteresowanie koncepcją „elity narodowej” w jakiejś mierze wynikało po prostu z pragnienia zamienienia się rolami – i to był powód, dla którego koncepcja ta była krytykowana i przez polityków starszego pokolenia, zarzucających jej zapatrzenie się w „sanacyjne” wzory (o ile nie amoralność), i przez grupy najbardziej ekstremistyczne, dla których z kolei nie była dość radykalna.

Obserwując funkcjonowanie dyktatury Piłsudskiego, potem zaś jego następców, dostrzegano słabość systemu biurokratycznego, marnującego energię na zwalczanie sprzeciwu, którego nie potrafił okiełznać. Fascynację budziły natomiast państwa, które poradziły sobie z tym problemem – już nawet nie Włochy, ale Niemcy, a nawet ZSRR. Państwa te zerwały z liberalizmem nie tylko w sferze politycznej, ale także gospodarczej, całe życie społeczne włączając w struktury rozbudowywanego coraz bardziej aparatu państwowego. Dla większej części środowiska, także jego młodzieży, była to perspektywa odrażająca, ale bynajmniej nie dla wszystkich działaczy – na przykład nie dla Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falangi”, którego struktura organizacyjna powieliała nawiązujący do wzorców faszystowskich model partii wodzowskiej, program zaś nawoływał do rozszerzenia zainteresowania państwa na całą sferę gospodarczą – czego logicznym rozwinięciem była wizja nacjonalizacji i wywłaszczeń.

Nie może dziwić, że tym silniej zainteresowanie eksperymentem radzieckim zaznaczyło się na lewicy, gdzie perspektywa gospodarki kontrolowanej przez państwo nigdy nie budziła tak zasadniczych oporów. Doświadczenie kryzysu lat 30., a także nieznamość rzeczywistych realiów „państwa proletariatu” odgradzonego „żelazną barierą” sprzyjały braniu za rzeczywistość doniesień o jego sukcesach gospodarczych. Fascynacje tego rodzaju zaznaczyły się silnie w obrębie części

środków młodzieżowych obozu rządzącego, który pochłonięty walką z opozycją, tolerował – do czasu – powiększający się zamęt w głowach młodych ludzi. Podobny zamęt w szeregach partii socjalistycznej zaowocował niebezpiecznym fermentem wewnętrznym, którego przewyciężanie trwało kilka lat. Chodziło tutaj nie tyle o pochwały eksperymentu radzieckiego, ile o próbę zmiany linii politycznej środowiska, poprzez zerwanie z dotychczasowymi sojusznikami w centrum życia politycznego (głównie ruchu ludowego, oskarżanego o „faszyzm agrarny”) i nawiązanie kontaktu z komunistami, jako siłą dążącą i do przebudowy społecznej, i – rzekomo – do demokratyzacji ustroju. Wiązanie się z partią komunistyczną, nie tylko nielegalną, ale i kierowaną zza granicy oraz nieuznającą istniejącego państwa (w jego kształcie terytorialnym, nie tylko ustrojowym), było aktem ekstremizmu – widomym znakiem politycznej demoralizacji części lewicy.

W tym miejscu ekstremizmy na prawicy i lewicy spotykały się, choć dzieliła je przepaść odmiennych systemów wartości. Mimo że zaciekle się zwalczały, były podobne w tym sensie, że wobec zastanego porządku prezentowały podobnie burzycielską (a może rewolucyjną) postawę; nadto – jak często bywa – ekstremizmy starały się budować swoją siłę na zwalczaniu drugiej strony. Formułowanym przez komunistów i lewicę socjalistyczną wezwaniom do tworzenia jednolitego frontu i rozprawy z rodzimym „faszyzmem” odpowiadały nawoływania do przeciwstawienia się poczynaniom „fołksfrontu” (inaczej „żydokomuny”). „Frontowa” retoryka w nie mniejszym stopniu niż enuncjacje ustrojowe ilustrowała pogłębiającą się atrofie liberalnej kultury.

Za kwestię sporną uznać można, w jaki sposób w naszkicowany tu, mało budujący, obraz wpisywały się postanowienia nowej ustawy zasadniczej, zatwierdzonej w 1935 r. Część literatury historycznej akcentuje pozytywne znaczenie pomi-

nięcia w niej pojęcia narodu, co różniło jej postanowienia od analogicznych aktów prawnych przyjmowanych w innych krajach rządzonych przez dyktatury. Wszakże do pojęcia narodu odwołują się i liberalne konstytucje: naród jest w nich bytem politycznym, z jednej strony uzasadniającym suwerenność państwa, z drugiej zaś gwarantującym, że państwo to nie będzie dla zamieszkującej je ludności narzędziem opresji i ucisku, lecz przeciwnie – instytucją pomocną w realizowaniu ich potrzeb, gwarantującą bezpieczeństwo i opiekę. W tym względzie brak odniesień do pojęcia narodu miał raczej wymowę anty-liberalną niż antynacjonalistyczną. Odnosi się to rzecz jasna także do tych postanowień konstytucji, które akcentowały prymat władzy wykonawczej nad innymi organami władzy państwowej, w tym rolę nieodpowiedzialnej prawnie głowy państwa, a także artykułów normujących prawa obywatelskie. Sygnalizowano już wcześniej zmiany, jakie zaszły w 1935 r. w prawie wyborczym, które zrywając z krytykowaną zasadą proporcjonalności, przy okazji kasowały instytucję stanowiącą fundament demokratycznych standardów w tym zakresie – to jest prawo obywateli (oraz powoływanych przez nich zrzeseń) do swobodnego zgłaszania kandydatur. W narzuconej przez nowe prawo praktyce decydujący głos miała biurokracja państwowa. Trudno to akceptować, chociaż rzecz jasna można się pocieszać, że za wschodnią, a także zachodnią miedzą było o wiele gorzej.

Uchwalenie konstytucji nie zamknęło debaty ustrojowej. Wbrew nadziejom w obozie rządzącym, wyrażanym najpełniej przez Walerego Ślawka, nie otworzyła ona ery, w której prawo będzie ściśle przestrzegane. Okazało się to niebawem, kiedy korektę do zasadniczej ustawy wniósł w drodze pisma okólnego (!) urzędujący premier, ustanawiając drugą osobą w państwie osobę odpowiedzialną za siły zbrojne... To, że w nie-

demokratycznych systemach prawo stanowi konstrukcję fasadową, nie może dziwić – znakiem czasu wszakże, a także efektem wytworzonych stosunków było dopasowywanie się do tego stanu rzeczy także stronnictw opozycyjnych. Jeśli bowiem analizować treść różnych komentarzy prasowych, poświęconych sprawom ustrojowym, a równocześnie mieć na uwadze oficjalne dokumenty poszczególnych ugrupowań, precyzujących stanowisko w tych sprawach, to widać pogłębiający się rozdział. Deklaracje nie nadążały za praktyką. Uleganie poszczególnych nurtów politycznych tendencjom antyliberalnym i antyparlamentarnym niemal nie przekładało się na zapisy w programach. Wszystkie wielkie nurty polityczne, formalnie rzecz biorąc, stały bowiem na gruncie demokracji parlamentarnej – niekiedy, jak w wypadku Narodowej Demokracji, dlatego, że stosowny dokument uchwalono jeszcze w latach dwudziestych... Nawyk instrumentalnego traktowania prawa, w tym wypadku wyrażonego w stanowisku zawartym we własnych dokumentach programowych, był złym symptomem, nie dowodzącym wysokiej kultury politycznej i nie wróżącym dobrze perspektywom ewolucji systemu politycznego Polski w jakimś sympatyczniejszym kierunku.

Zarysowany tu pesymistyczny obraz wymaga jednak korekt, bez względu na trudność wyrokowania o możliwych wariantach rozwoju wydarzeń w państwie, którego byt został w dramatycznych okolicznościach przecięty. Być może bowiem diagnoza jest zbyt surowa. Polska nie tkwiła w próżni, a dokonująca się w niej ewolucja stosunków wewnętrznych odzwierciedlała nie tylko wewnętrzną ich logikę, ale i presję otoczenia. Trudno tu abstrahować od sytuacji, że poza Polską triumfowały – odwołując się do Reaganowskiej stylistyki – „siły zła”.

Zasadniczy charakter ma pytanie o główne przyczyny załamania się polskiego modelu demokracji liberalnej. Inaczej niż wcześniej w Rosji, przewrotu majowego nie poprzedziła atrofia

struktur państwowych, nie było też tak, jak później w Niemczech, że upadek demokracji poprzedzony został stopniowym narastaniem w kraju sił konsekwentnie kwestionujących podstawowe jej zasady. System upadł, ponieważ... rywalizacja sił politycznych wymknęła się poza ramy bezpieczne dla systemu jako całości i doprowadziła do wytworzenia się sytuacji, której chyba nikt nie chciał, ale której nie można było odwrócić. Użycie siły określiło logikę dalszych wydarzeń, w tym i kierunek ewolucji poglądów i postaw orientującego się na Piłsudskiego środowiska, na swój sposób szczerze przywiązane do ideałów demokratycznych i z oporami przyjmującego do wiadomości, że sprawowanie władzy wymaga zdystansowania się od idealistycznych wizji.

Odnotujmy też, że zaznaczały się także symptomy świadczące o trwałej atrakcyjności idei wolnościowych. Nawet w warunkach paniki spowodowanej katastrofą gospodarczą początku lat 30., wraz z towarzyszącym jej zaognieniem się antagonizmów narodowościowych i społecznych, zaostrenie się kursu politycznego dokonywało się relatywnie wolno, napotykając silny opór – w miarę upływu czasu raczej nasilający się niż słabnący. Niewątpliwie oprócz innych czynników oddziaływały w Polsce także szeroko rozpowszechnione nawyki sprzeciwiania się władzy. Warto także podkreślić żywotność dawnego świata wartości, w jakimś stopniu personifikowanego przez wpływy Kościoła – siły konserwatywnej wprawdzie, ale w realiach lat 30. przez to właśnie zdecydowanie antytotalitarnej. Swoją żywotność zachowywał mit Zachodu, w Polsce powiązany z przywiązaniem do etosu wolnościowego.

Wyrażając się obrazowo, można powiedzieć, że narastanie u nas skrajności (i przyzwolenia na nią) – inaczej niż w krajach totalitarnych – nie miało charakteru swego rodzaju kataklizmu, pustoszącego polityczną scenę. Można je raczej porównać do choroby, rozwijającej się stopniowo, ale z wyraźnym trudem;

okresowo zaś hamowanej przez siły odporne organizmu. Wydaje się, że wynik tej choroby nie był przesądzony. Po śmierci Piłsudskiego ostry kurs dość szybko się załamał i nawet postacie kojarzone z rządami silnej ręki próbowały szukać jakiejś formy współpracy ze społeczeństwem. To prawda, szło to opornie i trudno powiedzieć, jaką formę przybrałoby w przyszłości. O tej już jednak zdecydowali nasi sąsiedzi.

Włodzimierz Suleja

ZAMACH MAJOWY

W historii całego bodaj międzywojennego dwudziestolecia niewiele jest równie kontrowersyjnych wydarzeń, jak majowy zamach Józefa Piłsudskiego. Spór, toczony nie tylko na historiograficznym, ale z większą jeszcze siłą na publicystycznym polu, dotyczy przede wszystkim genezy samego zamachu i jego konsekwencji, niemniej jednak po dzień dzisiejszy nie do końca wyjaśniony został przebieg owych jakże dramatycznych dni. Autor niniejszego szkicu zamierza zatem skoncentrować się na okresie zamach bezpośrednio poprzedzającym i tym, co się działo – przede wszystkim w Warszawie, ale też w całej Polsce – w drugiej dekadzie maja 1926 r.

Nie ulega wątpliwości, iż „samotnik z Sulejówka” po zrezygnowaniu w połowie 1923 r. z ostatniej publicznej funkcji, szefa Sztabu Generalnego, a zarazem przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej, nie zamierzał dożywać swych dni, tak jak oczekiwali jego przeciwnicy, na politycznej emeryturze. Niemal od zaraz sposobił się do powrotu, jednakowoż, jak świadczą o tym poczynania zarówno samego Marszałka, jak i jego najbliższego otoczenia, do przejęcia władzy pragnął zmierzać stopniowo, ewolucyjnie. Jeszcze w połowie 1925 r., a zatem już po słynnej oficerskiej demonstracji w Sulejówku, przedstawianej niemal powszechnie jako zamachowe preludium, zastanawiając

się nad najbliższymi krokami, zakładał, że kolejne rządowe przesilenie trzeba będzie, jak odnotował to Kazimierz Świtalski, „starać się załatwić bez Sejmu. Dostać się do wojska. Pójść, zapewne w roli ministra spraw wojskowych, ostro i brutalnie przeciw Sejmowi”, wszelako nie rozwiązywać go, a jedynie „ograniczyć jego zbieranie się”. Sam Marszałek zaś, „siedząc w gabinecie”, przypatrywałby się jego członkom „dla orientacji, z kim iść można, a z kim nie. Przyjść do władzy – podsumowywał ten scenariusz Piłsudski – ewentualnie w jesieni 26 r.”. Praktyczna realizacja przedstawionych tu założeń nie tylko nie przewidywała, ale wręcz wykluczała konieczność użycia siły.

Wiosna 1926 r. przebiegała pod znakiem propagandowej ofensywy Piłsudskiego, mającej przybliżyć Marszałka do ministerialnego fotela. Dostrzec można również narastające, także w odczuciu opinii publicznej, przekonanie, że przecięcie owego politycznego węzła gordyjskiego może nastąpić jedynie przy użyciu siły. Trzeba przy tym podkreślić, że Piłsudski wcale nie był jedynym kandydatem pretendującym do odegrania roli człowieka „silnej ręki”. Realizatorem wojskowego zamachu stanu mógł być i Józef Haller, i Józef Dowbór-Muśnicki czy Władysław Sikorski. Wprawdzie żaden z nich, z Piłsudskim włącznie, nie podejmował jakichkolwiek praktycznych przygotowań, ale wszechobecna plotka, krążąca i po salonach, i po warszawskiej ulicy, to jednego, to drugiego z nich widziała na czele wkraczających do stolicy oddziałów. W końcu te niezweryfikowane pogłoski wtopiły się w polityczny pejzaż i opinia publiczna zaczęła się do nich po prostu przyzwyczajać. Piłsudski, w przeciwieństwie do potencjalnych konkurentów, wytrwale i konsekwentnie upowszechniał swe racje. Wiosną 1926 r. spór przestał jednak dotyczyć wyłącznie problemu przyszłej organizacji najwyższych władz wojskowych, ale zaczął wiązać się również z motywem narastającego zagrożenia zewnętrznego,

zwłaszcza po traktatowym sformalizowaniu związków między weimarskimi Niemcami a bolszewicką Rosją.

W drugiej połowie kwietnia przewlekły kryzys gabinetowy, w wyniku którego rząd Skrzyńskiego ostatecznie zszedł z politycznej sceny, wszedł w ostrą fazę. Piłsudski zapewne brał pod uwagę możliwość przedłużania się zabiegów mających doprowadzić do wyłonienia większości zdolnej uformować nowy gabinet, toteż najprawdopodobniej postanowił zaopatrzyć się w narzędzie, umożliwiające mu wywieranie tak na polityków, jak i przede wszystkim na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, skutecznego nacisku. Najlepiej rolę taką mógłby pełnić odpowiednio dobrany oddział wojska, złożony z jednostek, których wierności Marszałek mógł być pewien. Piłsudski nie zamierzał przy tym gromadzić sił po to, by na ich czele występować zbrojnie. Zależało mu raczej na posiadaniu swoistej „oprawy”, z jednej strony dodającej powagi wysuwanyim żądaniom, z drugiej jasno pokazującej, że to on właśnie reprezentuje interesy armii i cieszy się jej poparciem. Być może dalekim echem owych zamysłów stała się informacja, zamieszczona w syntezie Władysława Poboga-Malinowskiego, a powtarzana przez kolejnych badaczy, iż urzędujący minister spraw wojskowych, gen. Lucjan Żeligowski 18 kwietnia powierzył Marszałkowi dowództwo nad wybranymi jednostkami dla przeprowadzenia ćwiczeń międzygarnizonowych (zapewne jako pierwszy informację takową podał Stanisław Haller, wedle którego Żeligowski „oddął w ostatniej chwili swego urzędowania ministerialnego jednostki przygotowane do buntu do dyspozycji marszałka Piłsudskiego, pozornie na ćwiczenia w Rembertowie, nie informując o tym swego następcy”). Problem w tym, że taki rozkaz nie został nigdy wydany, a w każdym razie piszący te słowa nie zdołał natrafić na jakikolwiek ślad przypisywanej Żeligowskiemu inicjatywy – wydaje się, że interpretacja Hallera,

zasłyszana w gorących majowych dniach w Warszawie, była próbą zrjonalizowania niezrozumiałej dla otoczenia ministra Juliusza Malczewskiego sytuacji. W rzeczywistości bowiem było zupełnie inaczej...

Przed opisem przebiegu majowych wypadków warto, jak sądzę, zastanowić się przez chwilę nad głębszymi motywami, które legły u podstaw poczynań Marszałka. Wydaje się, że doszukiwanie się w jego wcześniejszych wystąpieniach publicznych, prawda, iż niekiedy wyjątkowo ostrych, a nawet brutalnych, złowróżbnych zapowiedzi działań, które wprowadziły go na pozaparlamentarną drogę, wynika z przyjętego *a priori* założenia o dużo wcześniejszym zaplanowaniu przewrotu. W historiografii, nie wspominając nawet o różnej wartości wystąpieniach publicystycznych, dominuje oto przeświadczenie, że Piłsudski zamierzał złamać konstytucję, rząd, bez względu na jego polityczne oblicze, rozpędzić, zaś władzę, bez względu na wewnętrzny i zewnętrzny kontekst, wziąć siłą. I nadać jej dyktatorski charakter. To, że ostatecznie tak właśnie się stało, wcale jednak nie oznacza, że był to jedyny brany przez Piłsudskiego pod uwagę wariant rozwoju wydarzeń. Wariant wykluczający kompromis z siłami obecnymi na politycznej scenie. A przecież z tej właśnie perspektywy zachowanie Marszałka w krytycznych majowych dniach jawi się jako zupełnie niezrozumiałe, nielogiczne, sprowadzające dylemat, przed jakim stanął i jaki musiał rozstrzygnąć, do tyleż wygodnej, co znachorskiej tezy o kolejnym psychicznym załamaniu.

Piłsudski, co warto raz jeszcze podkreślić, nie negował ustrojowych fundamentów II Rzeczypospolitej. To, przeciw czemu występował, można na dobrą sprawę sprowadzić do zdecydowanego negowania parlamentarnej praktyki. I, co ważniejsze, permanentnego osłabiania armii przez uzależnianie jej od doraźnych politycznych koniunktur. Co więcej, w począt-

kach maja Marszałek po raz kolejny przekonał się, że na tym polu kompromis z siłami, które wymusiły jego odejście z czynnego życia politycznego, nie jest możliwy. Przekonującego dowodu dostarczył marszałek senatu Wojciech Trąmpczyński, który podczas posiedzenia Komisji Wojskowej wyższej izby parlamentu wykluczył możliwość nie tylko objęcia przez Piłsudskiego stanowiska Naczelnego Wodza, ale wręcz powrotu do armii. I choć wywody marszałka senatu wywołały po części niespodziewany, po części zapewne sterowany rezonans w armii (do raportu, w obronie honoru Piłsudskiego, zgłosiło się około tysiąca oficerów), w pierwszych dniach maja zamachowe alarmy nie wydawały się groźne.

Sytuacja radykalnie zmieniła się w momencie, gdy zabiegi o stworzenie rządowej większości (5 maja Skrzyński ostatecznie ustąpił) powiodły się przywódcy PSL „Piast”, Wincentemu Witosowi. Pojawienie się nowego wcielenia „rządu Chjeno-Piasta” Piłsudski potraktował jako wyzwanie. Szczególnie, że w swym pierwszym publicznym wystąpieniu Witos znacznie pole manewru Marszałka ograniczył. W opublikowanym 9 maja wywiadzie przywódca PSL „Piast” domagał się odeń, by wyszedł z ukrycia i wziął odpowiedzialność za państwo, a jeśli wierzyć Ratajowi, w wersji, która ostatecznie nie ujrzała światła dziennego, stwierdzał ponoć, że on sam nie zawahałby się wziąć władzy siłą, gdyby miał, tak jak twierdził Marszałek, za sobą wojsko. Po wystąpieniu Witos Piłsudski nie mógł mieć złudzeń, by przyszłe relacje między dwiema wyraziście rysującymi się opcjami mogły ułożyć się pokojowo. W tej sytuacji rzuconą mu rękawicę postanowił podjąć, a demonstracyjna reakcja nowych władz (konfiskata wywiadu dla „Kurieria Polskiego”, będącego ostrą w treści i formie odpowiedzią na prasowe wystąpienie Witos, pierwsze ruchy kadrowe w armii) w połączeniu z pogłoskami o możliwym ściągnięciu do stolicy oddziałów

z Poznańskiego bądź Pomorza, wręcz skłaniały go do zaostrezenia formuły protestu. Trudno wprawdzie ocenić, czy do Marszałka docierały zweryfikowane, prawdziwe informacje, czy też były one celowo wyolbrzymiane przez jego zwolenników, niemniej jednak to właśnie najprawdopodobniej dopiero przed południem 11 maja podjął on decyzję, by w dniu następnym wyrzucić presję i na prezydenta, i rząd Witosa, pojawiając się w stolicy na czele zbrojnego oddziału. Można domniemywać, że w przekonaniu Piłsudskiego ten pokaz siły powinien okazać się na tyle skuteczny, by rząd się ugiął, tworząca go koalicja się rozpadła, odzyskujący zaś swobodę ruchów prezydent powrócił do koncepcji kreowania gabinetu nie tylko opierającego się na szerszej politycznie podstawie, ale też z Marszałkiem w jego składzie. Piłsudski, jak się zdaje, w swych obliczeniach zlekceważył generałów.

Wydaje się, że powody nieuwzględnienia w analizach owego, jak mawiał sam Piłsudski, „sowietu generałów” wynikały z faktu, że rozgrywkę zamierzał prowadzić na czysto politycznym gruncie. Tymczasem sięgnięcie po wojskową asystencję mogło dostarczyć przeciwnikom Marszałka wyjątkowo wygodnego pretekstu, by demonstrowanemu w oparciu o armię niezadowoleni nadać znamiona wojskowego buntu. Wiedzano, że Piłsudski może liczyć na wsparcie sporej grupy oficerów, i to nie tylko tych najwierniejszych. Spisywane *post factum* wyjaśnienia, że niemal wszystkie oddziały, jak stwierdził S. Haller, traktowano jako „niepewne i podminowane pracą konspiracyjną”, należy przyjmować raczej jako próbę zracjonalizowania czy wręcz usprawiedliwienia powodów porażki, niż uznać za opis faktycznego stanu rzeczy. Co więcej, nie można zapominać, że decyzyjne centra znalazły się w rękach przeciwników Marszałka, a siły, jakimi mógł dysponować, w rzeczywistości 11 maja jeszcze nie istniały. Wydaje się zatem, że

wprowadzenie przez Ministerstwo Spraw Wojskowych 11 maja stanu pogotowia w niektórych oddziałach (w prezydenckim oddziale przybocznym, Oficerskiej Szkole Piechoty, 30. Pułku Strzelców Kaniowskich) brało się raczej z obawy przed spodziewanymi burzliwymi manifestacjami antyrządowymi niż w przewidywaniu, że dojdzie do zbrojnego wystąpienia sił popierających Marszałka. Trudno mówić też o zaniedbaniach czy lekceważeniu napiętej wprawdzie, ale wyłącznie na politycznym gruncie, sytuacji – po prostu do późnych godzin popołudniowych 11 maja nie istniała potrzeba przedsięwzięcia jakichkolwiek nadzwyczajnych środków. Sięgnięto po nie, i to z olbrzymią determinacją, w dniu następnym.

Historykom, opisującym przebieg dni majowych, trudno jest zrozumieć nieład, wręcz beztroskę organizatorów „zamachu”, a zwłaszcza brak koordynacji czy zupełne niewyzyskanie elementu zaskoczenia. Za bezsporny należy uznać fakt pełnej improwizacji podjętych przez Piłsudskiego działań. Niezwykle wymowne to świadectwo braku planu opracowanego wcześniej na podobny wypadek. Wszelako owo pozorne zaniedbanie przestaje dziwić, gdy przyjmiemy, że Piłsudskiemu wojsko nie było potrzebne do wywołania zbrojnego buntu. Natomiast jasne jest, że dla przeprowadzenia politycznych planów, związanych przede wszystkim z forsowaną przez Marszałka organizacją najwyższych władz wojskowych, niezbędne było bodaj deklaratywne, acz jednoznaczne, opowiedzenie się armii po jego stronie – czytelny, wyraźny sygnał, kogo korpus oficerski zamierza słuchać. Z tych powodów Marszałek nie ściągał większych sił ponad te, które były konieczne do propagandowej oprawy zamierzonej politycznej demonstracji. Nie musiał też tworzyć „ścisłych” czy „politycznych” sztabów, mających koordynować całą akcję. Podkomendni, którzy pojawiali się w Sulejówku, tacy jak choćby Wieniawa czy Miedziński, bądź informowali

go o rozwoju sytuacji (i w tym momencie mogło dochodzić do zamierzonych lub przypadkowych przejeżdżających), bądź zgłaszali się po konkretne polecenia. Rola szczególna – stworzenia owej wojskowej asysty – przypadła natomiast gen. Gustawowi Orlicz-Dreszerowi.

Kawalerzysta, do szaleństwa odważny legionowy oficer, sprawny dowódca w wojnie z bolszewikami, po perturbacjach z przenosinami na prowincję w wyniku jesiennej sulejowskiej demonstracji, dowodził nadal 2. Dywizją Kawalerii. On to właśnie, najprawdopodobniej na bezpośrednie polecenie Piłsudskiego, w godzinach przedpołudniowych 11 maja wydał rozkaz dowódcy 7. pułku ułanów, Kazimierzowi Stamirowskiemu, by ten udał się „do rejonu m. Wesoła, w celu przeprowadzenia w dniu następnym ostrego strzelania na poligonie Rembertów. Podczas przemarszu przez Sulejówkę – brzmiało polecenie – miał dowódca pułku zameldować się u Pierwszego Marszałka Polski”.

Stamirowski nakazał zaalarmować szwadrony o godz. 11. Nie spieszo się, bowiem zbiórkę pułku, liczącego 380 szabel, wyznaczono na godz. 14. Do Sulejówka pułk dotarł o godz. 17.30, przy czym po zameldowaniu się u Piłsudskiego Stamirowski wraz z adiutantami i kilkoma łącznikami stanął tam na kwaterze. Pułk biwakował w lesie między stacją kolejową Wesoła a wzgórzem 112.

Nie wydaje się, by już w tym momencie Piłsudski decydował się na uruchomienie większych sił. Co więcej, podporządkowanie sobie ułanów Stamirowskiego czynił wręcz ostentacyjnie, polecając wprawdzie zawiadomić o tym fakcie gen. Rudolfa Pricha, a następnie wysyłając z tą informacją o godz. 19 do komendy garnizonu w Rembertowie oficera.

Sytuacja zmieniła się tuż przed północą, kiedy to do Piłsudskiego dotarła informacja, jak na obecność w Sulejówku

7. pułku ułanów zareagował nowy minister spraw wojskowych. Do biwakującego pułku przybył oto oficer ze Szkoły Podchorążych, który „przywiózł rozkaz gen. Malczewskiego, podpisany przez komendanta szkoły podchorążych płk. Sztabu Generalnego Gustawa Paszkiewicza, nakazujący pułkowi przerwać ćwiczenia i wrócić do Mińska Mazowieckiego”. Piłsudski polecił Stamirowskiemu, by rozkaz ten zignorował.

Rozkaz wydany Stamirowskiemu mógł oznaczać, że Marszałek zamierza sprowokować reakcję nowych władz, doprowadzić wręcz do zbrojnej konfrontacji. Możliwa jest wszakże i druga interpretacja – dopiero wówczas mogło doń dotrzeć, że dostarczył on swym przeciwnikom dogodnego pretekstu, by w razie podjęcia zamierzonej demonstracji mogli go potraktować jak buntownika. Rezygnacja z wojskowej asysty oznaczała fiasko politycznego planu. Kontynuowanie demonstracji tylko z ułanami Stamirowskiego groziło z kolei nie tylko przedstawieniem go jako rokoszanina, ale i wyizolowaniem i spacyfikowaniem całej akcji. W tej sytuacji Piłsudski podjął decyzję, by siły, którymi zamierzał się posłużyć, wydatnie wzmocnić. Do stacjonujących w Warszawie i jej okolicach pułków, na których dowódców mógł liczyć, udali się tedy jego emisariusze (kpt. Henryk Floyar-Rajchman do 22. pułku piechoty w Siedlcach, płk Adam Koc i ppłk Anatol Minkowski do 36. pułku piechoty stacjonującego na Pradze oraz do 1. pułku strzelców konnych w Garwolinie, 13. pułku piechoty w Pułtusku i być może 1. pułku szwoleżerów na Pradze, wreszcie nad ranem 12 maja o planowanej akcji dowódcę 21. pułku piechoty, stacjonującego w Cytadeli, poinformował gen. Tadeusz Piskor), natomiast Stamirowski jeszcze przed północą telefonicznie nakazał objęcie dowództwa nad stacjonującym w Rembertowie Banią Manewrowym mjr. Aleksandrowi Rutkowskiemu. Ułani Stamirowskiego, strzelcy konni z Garwolina, pułk z Siedlec

oraz Baon Manewrowy stanowić miały tę siłę, którą Marszałek dysponowałby bezpośrednio. Oddziały, których koszary znajdowały się na Pradze, miały natomiast wymówić posłuszeństwo Malczewskiemu, informując ministra, że wykonują polecenia Piłsudskiego. To, jak się zdaje, miało wystarczyć do przekonania prezydenta, że wojsko nie akceptuje gabinetu Witosy, co dałoby dogodny pretekst do jego zdymisjonowania i powołania takiego rządu, który „interes moralny armii” byłby w stanie należycie zabezpieczyć.

Koncentracja sił, które podporządkowały się Piłsudskiemu, rozpoczęła się rankiem 12 maja w Rembertowie (początkowo byli to jedynie ułani Stamirowskiego i Baon Manewrowy). W tym momencie Marszałek nie zakładał jeszcze konieczności podjęcia marszu na Warszawę. Sądził, że wystarczy jego osobista wizyta u Wojciechowskiego, w wyniku której – zwłaszcza, gdy przedstawi mu rozwój wypadków – prezydent zgodzi się na proponowane kroki zaradcze. Zamyśl okazał się jednak chybiony, bowiem gdy Piłsudski tylko w towarzystwie adiutanta dotarł do Belwederu (z Sulejówka wyjechali o godz. 10), okazało się, że prezydent, choć informowany o niepokojach, wyjechał już do swej rezydencji w Spale. Nie wiadomo, jak Wojciechowski zareagowałby na argumenty Marszałka, wszelako nie ulega wątpliwości, że owo rozminięcie się zaważyło na dalszym rozwoju wypadków. Piłsudski, wiedząc już zapewne o zarządzeniach Malczewskiego, dla którego poczynania Marszałka były „buntem”, powróciwszy ok. 12 do Rembertowa, nie mógł już swych działań pozorować. Drogę odwrotu miał odciętą, toteż nie pozostawało mu nic innego, jak marsz na stolicę. Na drogę wiodącą do bratobójczej walki wojska, które opowiedziały się po jego stronie, wkroczyły o godz. 13.30.

Niesubordynacja Stamirowskiego nie wywołała większego wrażenia w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Zaniepokojenie

wzbudziła dopiero postawa Baonu Manewrowego – we wczesnych godzinach rannych 12 maja Prich raportował, że oddział ten „na zasadzie rozkazów bezpośrednio otrzymanych odmaszeruje do Warszawy”. Sytuację uznano za poważną dopiero pomiędzy 8 a 9 rano, kiedy to Wojskowy Wydział Kolejowy otrzymał informację z Siedlec, że dowódca 22. pułku piechoty „domaga się natychmiastowego przetransportowania jego pułku do Warszawy”. Meldunek, wysłany z Siedlec do Warszawy tuż przed 9, brzmiał bardzo alarmistycznie, bowiem dowódca 22. pułku piechoty „otoczył dworzec kolejowy wojskiem, postawił posterunki przy zawiadowcy stacji i dyżurnym ruchu i siłą dąży do zawagonowania swego pułku w stronę Warszawy”. Wtedy to w Sztabie Generalnym i ministerstwie uznano, że akcja „jest podejrzaną i może być nieodosobnionym wypadkiem”. Dopiero od tego momentu energicznie przystąpiono do przeciwdziałania.

O ile sytuację w Siedlcach oceniono w Warszawie jako poważną, o tyle rozwój wydarzeń w samym Rembertowie nie wzbudzał szczególnego niepokoju, zwłaszcza że inne – poza Baonem Manewrowym – jednostki znajdujące się w garnizonie (Szkola Podchorążych zaalarmowana o 8.30 oraz II dywizjon 28. pułku artylerii polowej) podporządkowały się rozkazom wydanym przez Pricha i Paszkiewicza. W Sztabie Generalnym nie wiedziano natomiast, co dzieje się na prowincji, toteż pierwszym zarządzeniem gen. Edmunda Kesslera był rozkaz wyekspediowany do wszystkich Dowództw Okręgów Korpusów (DOK) i Wydziałów Kolejowych, zabraniający załadowywania i wysyłania transportów wojskowych bez zgody Malczewskiego. Od 9.30 rozpoczęły się też gorączkowe narady w Sztabie Generalnym, ministerstwie, Komendzie Miasta, a także Ministerstwie Kolei i Prezydium Rady Ministrów. Zaowocowały one całym pakietem zarządzeń, wydanych przez Malczewskiego. Wstrzymywał on wszelkie urlopy i odwoływał

wyjazdy służbowe do Warszawy, informował, że Marszałek „nie stoi w służbie czynnej” i nie posiada prawa rozkazodawstwa, a wykonywanie jego poleceń jest działaniem przeciwko prawu, wreszcie wzywał z DOK VII Poznań dwa pułki piechoty, z DOK IV Łódź 10. pułk piechoty z Łowicza oraz z DOK I 71. pułk piechoty z Ostrowi Mazowieckiej. W tym ostatnim poleceniu minister żądał, by pułki spoza Warszawy miały „stany możliwie wysokie, zapas żywności na cztery dni, kuchnie polowe” i, co najważniejsze, miały być wyposażone w ostrą amunicję. Trudno jednoznacznie ocenić, jakimi motywami kierowali się skupieni w ministerstwie i Sztapie generałowie. Nie wiadomo, czy uznali wystąpienie Piłsudskiego za próbę wywołania wojskowej rebelii, czy też, dokonując bilansu sił, doszli do wniosku, że zbrojne starcie należy wymusić po to, by raz na zawsze Marszałka z życia publicznego wyeliminować. W każdym razie trudno nie dostrzec, że pierwsze decyzje podjęli wojskowi, dopiero potem aprobował je rząd, a zgodził się z nimi i co więcej, przekreślił możliwość kompromisu, prezydent.

Rozkaz, skierowany do Siedlec, by 22. pułk piechoty wywagonował się i pozostał w garnizonie, okazał się spóźniony, gdyż jeszcze przed godz. 10 jego dowódca, płk Henryk Krok-Paszkowski, rozpoczął załadunek pododdziałów i ok. 11, przy zamkniętych sygnałach, ruszył w stronę Warszawy. Nakazana przez Malczewskiego próba zerwania toru w Rembertowie nie powiodła się, udaremnił ją bowiem ułani Stamirowskiego, choć ten incydent sprawił, że Piłsudski nakazał, by pułk z Siedlec, miast dotrzeć do dworca Wileńskiego, wyładował się w Rembertowie. Stało się to tuż po godz. 14, w tym samym czasie, gdy Malczewski zdecydował się na ściągnięcie do stolicy dwóch dodatkowych pułków z DOK VI Lwów.

Poza ściąganiem wojska Malczewski podjął charakterystyczne, godzące w zwolenników Marszałka, decyzje personalne.

Do Komendy Miasta wezwano Wieniawę i Piskora (co faktycznie równało się ich internowaniu), a dowództwo 2 DK powierzono gen. Janowi Sawickiemu (z płk. Władysławem Andersem jako szefem sztabu). Ze swej strony Prezydium Rady Ministrów wydało specjalny komunikat, mówiący o złamaniu dyscypliny przez kilka oddziałów, zebranych w okolicy Rembertowa, a „podnieconych fałszywymi pogłoskami i uwiedzionych fałszowanymi rozkazami”, co doprowadziło je do „wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi Rzeczypospolitej”. Żołnierzy tych prezydent wezwał do „opamiętania się i poddania prawowitej władzy”, co znalazło się w opublikowanej w nadzwyczajnych dodatkach gazet warszawskich odezwie sygnowanej przez Wojciechowskiego, wzywającej wojsko do zachowania wierności złożonej przysiędze i podporządkowania się legalnemu rządowi. Wreszcie w stolicy, województwie warszawskim i dwóch powiatach województwa lubelskiego wprowadzono stan wyjątkowy.

Nie sposób ustalić, kiedy dokładnie powstały te dokumenty, a zwłaszcza w jakim stopniu na ich treść wpłynął Wojciechowski. Wydaje się, że komunikat rządowy powstał jeszcze przed wymarszem sił Piłsudskiego z Rembertowa, wobec czego prezydencka aprobata nastąpiłaby *post factum*, gdyż za nieprawdopodobną uznać należy możliwość jego powrotu ze Spały przed godz. 13 (w stolicy mógł być najwcześniej ok. 15). Być może treść owych wystąpień wstępnie konsultował z nim telefonicznie ok. 12 Witos, ale i to nie jest pewne. W każdym razie Wojciechowski powrócił zdeterminowany, przeciął, wedle zgodnych świadectw, wahania rządu i nie miał zamiaru żądać Piłsudskiego nie tylko aprobować, ale nawet wysłuchać. Jest wysoce prawdopodobne, że jadąc na spotkanie z Marszałkiem, prezydent był już głęboko przekonany, że od strony wojskowej zamach nie może się powieść. Otwarte pozostaje pytanie, czy dał

posłuch argumentom przyodzianych w mundury przeciwników Piłsudskiego (przecież po powrocie ze Spały konferował tylko z nimi, a nie z reprezentantami rządu), czy też, żyjąc nie tylko w cieniu Marszałka, ale i pod jego ciągłą presją, postanowił skorzystać z okazji wyjścia na plan pierwszy, pozostawiając mu tylko – niesławę. Co więcej, postawa Wojciechowskiego okazała się dla Marszałka całkowitym zaskoczeniem.

Tymczasem Piłsudski, jak wynika z analizy jego poczynań, nie prowadził swego zgrupowania do walki. Sam wymarsz opóźniło oczekiwanie na 22. pułk piechoty, ale jeszcze przed jego wyładunkiem w Rembertowie Marszałek wsiadł do odkrytego powozu i wraz z Baonem Manewrowym, poprzedzany przez 3. szwadron 7. pułku ułanów, zbytnio się nie spiesząc, kierował się w stronę mostu Poniatowskiego, aczkolwiek Wisły przekraczać nie zamierzał. Mosty jednakowoż – Poniatowskiego (zwany Trzecim Mostem) i Kierbedzia – polecił obsadzić Dreszerowi, ten zaś ok. 14 wydał rozkazy dowódcom 1. pułku szwoleżerów i 36. pułku piechoty, by opanować ich przedmościa. Polecenie to zostało wykonane o godz. 16, przy czym na moście Poniatowskiego zainstalował się 1. dywizjon pułku szwoleżerów, natomiast most Kierbedzia zajął wydzielony oddział 36. pułku piechoty w składzie kompanii piechoty i CKM, dowodzony przez mjr. Jana Korkozowicza. Tymczasem po przeciwnej stronie stanowiska zajął baon Oficerskiej Szkoły Piechoty wzmocniony plutonem samochodów pancernych i działonem 1. dywizjonu artylerii konnej, dowodzony przez mjr. Sztabu Generalnego Mariana Porwita, natomiast na most Kierbedzia jeszcze przed 17 skierowany został oddział asystencyjny 30. pułku piechoty prowadzony przez kpt. Alojzego Szyca. Dodatkowo, ubezpieczonym marszem z Rembertowa wracała do stolicy na rozkaz Malczewskiego Szkoła Podchorążych wraz z dywizjonem 28. pułku artylerii polowej.

Na moście Poniatowskiego Piłsudski pojawił się ok. 16. Marszałka oczekiwali już prezydent. Spotkanie, będące w praktyce ostatnią szansą na kompromis, zakończyło się, z punktu widzenia Piłsudskiego, fiaskiem. Prezydent zaproponował mu powrót na drogę legalną, co było równoznaczne z przyznaniem się do klęski. Co więcej, Marszałek usłyszał, że to właśnie Wojciechowski stoi na straży honoru armii i przekonał się naocznie, że żołnierze gotowi są wymierzyć broń w niego samego. Piłsudskiemu pozostawała zatem kapitulacja i zdanie się na łaskę przeciwników bądź orężna walka.

Z funkcjonujących w historiograficznym obiegu źródeł wynika, że do momentu rozmowy z Wojciechowskim Piłsudski nie brał pod uwagę perspektywy zbrojnego starcia. Decyzja o eskalacji konfliktu – równoznaczna z początkiem wojny domowej – nie przyszła mu zapewne łatwo. Drogę do stolicy, zamkniętą przez prezydenta, należało otwierać siłą, przy czym wobec zablokowania Trzeciego Mostu do dyspozycji pozostawał jedynie zajęty przez oddziały wierne Marszałkowi most Kierbedzia. Niezbyt jasne sformułowanie Piłsudskiego, że chce nocować na Zamku, dowódca 36. pułku piechoty uznał za przyzwolenie na rozpoczęcie akcji. Piłsudski zdawał sobie sprawę, że przewaga, jaką uzyskał, może nie wystarczyć nawet do sforsowania Wisły, toteż doraźnie w sukurs 36. pułkowi piechoty miał przyjść Baon Manewrowy, natomiast dowódca 22. pułku piechoty otrzymał rozkaz, by „niezwłocznie maszerować i zająć most Kierbedzia całym pułkiem”. Marszałek nie zaniedbał też innych działań. Kazimierz Świtalski, jeden z najbliższych współpracowników, otrzymał polecenie przedostania się na lewy brzeg Wisły i porozumienia się z kierownictwem Związku Zawodowego Kolarzy. Świtalski miał przekonać związkowców, by „dla zapobieżenia transportom wojskowym robili im utrudnienia”.

Piłsudski, choć zapewne nie miał już złudzeń co do rozwoju wypadków, postanowił jednak nie brać na siebie odpowiedzialności za użycie siły. Dlatego zapewne wydał kategoryczny rozkaz podległym mu oddziałom, by te nie otwierały ognia aż do chwili, kiedy uczynią to żołnierze strony przeciwnej. Powściągliwość ta sprawiła, że przez Trzeci Most mogła przejść, choć po długich pertraktacjach, Szkoła Podchorążych, wzmacniając tym samym siły rządowe, zaś próbę jego forsowania, podjętą przez pododdział Oficerskiej Szkoły Piechoty, powstrzymała „krótka seria w górę z ckm, ustawionego na wieżycze mostu”. Były to bez wątpienia pierwsze strzały, które padły 12 maja. Nie kierowano ich jednak w stronę przeciwnika. Do krwawego starcia, pierwszego podczas zamachu, doszło na Nowym Zjeździe, ogień otwarli zaś żołnierze strony rządowej.

Jest niemal pewne, że wojskowi przeciwnicy Marszałka gotowi byli na użycie siły jeszcze przed rozmową na Trzecim Moście. Gen. Kazimierz Dzierżanowski, dowódca I DOK, nakazując o 16 zajęcie mostu Kierbedzia 30. pułkowi piechoty, polecał, by uczynić to bezwzględnie, a „oddziały 1 p[ułku] szwol[ezerów], 7 p[ułku] uł[anów], 36 p[ułku] p[iechoty] odrzucić”. Jednak i oni czekali na efekt pertraktacji. Sytuacja zmieniła się w momencie, gdy dowódcą obrony Warszawy mianowany został gen. Tadeusz Rozwadowski (o godz. 17.15). Wojska Marszałka otrzymały wówczas ultimatum, że jeżeli nie wycofają się do 18.30, oddziały rządowe ruszą do natarcia. Walki rozpoczęły się jednak, nim upłynął termin ultimatum.

Dowodzony przez kpt. Szycy oddział asystencyjny 30. pułku piechoty dotarł w wyznaczony rejon tuż po godz. 17. Miał on, wedle polecenia Dzierżanowskiego, opanować za wszelką ceną most Kierbedzia, utrzymać go i „żadnych oddziałów ze strony Pragi w kierunku na Warszawę” nie przepuszczać. Szyc podjął

wprawdzie próby pertraktacji z Korkozowiczem, ale wobec ich bezskuteczności obydwaj oficerowie, doskonale zdając sobie sprawę, że wybuch walk jest przesądzony, zdecydowali się na odsunięcie napierającego na rozwinięte już plutony wielotysięcznego tłumu. Tłumu, którego sympatie tak jawnie sytuowały się po stronie Marszałka, że Szyc wciąż obawiał się z tej strony „wrogich wystąpień”. Dla warszawiaków majowe wydarzenia były swoistym spektaklem, ale postawa ludności musiała być uwzględniana w rachubach obu stron. Wpływała ona zresztą i na morale żołnierzy, i na samopoczucie polityków. Stąd zapewne, poza oczywistością, że nie ma już drogi odwrotu, brała się dodatkowa determinacja zwolenników Marszałka i brak wiary u sporej części żołnierzy, którzy pozostali wierni rządowi.

Żołnierze Szycy byli gotowi do walki o 17.50. Wtedy właśnie ich dowódca nakazał „załadowanie karabinów maszynowych, przygotowanie ich do strzału i odpowiednie poprawienie stanowisk”. W kilka chwil później nadeszły dlań posiłki w postaci kompanii odwodowej 30. pułku piechoty, dowodzonego przez por. Szczepana Olchowicza działonu dak i dwóch aut pancernych mjr. Edwarda Szymańskiego. Rolę sprawczą odegrał jednak przybyły tuż przed 18 na plac Zamkowy referent bezpieczeństwa Komendy Miasta mjr Bogusławski, który zaczął domagać się od Szyc, by ten bezzwłocznie rozpoczął walkę. Ogień, tuż po 18, otworzyło wprawdzie auto pancerne mjr. Szymańskiego i działo Olchowicza. Zaatakowane oddziały 36. pułku piechoty nie pozostały bezczynne. Znacznie dotkliwsze straty ponoszą oddziały wierne rządowi – m.in. ciężko ranny zostaje oficer asystencyjny z 30. pułku piechoty, mjr Włodzimierz Kłobukowski, giną Olchowicz i Szymański – ten ostatni od wybuchu własnego granatu wewnątrz pojazdu. Rubikon został przekroczony.

Kiedy już padły pierwsze strzały, a od kul zginęli pierwsi żołnierze, wypadki musiały toczyć się innym aniżeli dotąd,

militarnym rytmem. Z wojskowego punktu widzenia cały problem sprowadzał się do odpowiedzi na pytanie, kto w krótszym czasie zdoła uzyskać wystarczającą dla pokonania strony przeciwnej przewagę. Z politycznego – czy kryzys, zlokalizowany w stolicy, nie rozleje się na całą Polskę i nie zburzy, a co najmniej nie naruszy państwowego, kruchego jeszcze gmachu II Rzeczypospolitej. I czy nie zostanie on wykorzystany przez wrogich, a przynajmniej nieprzyjaznych jej sąsiadów. Pytania sformułowane powyżej wymagają rozległych, monograficznych studiów, trudno jednak, koncentrując się na przedstawieniu samego przebiegu kryzysu, pominąć je milczeniem. W każdym razie generałowie kierujący poczynaniami wojsk (Dreszer z ramienia Marszałka, Rozwadowski z nominacji prezydenta), musieli skupić się na ściąganiu posiłków (dla Marszałka głównie z DOK III Grodno i DOK II Lublin, dla rządu przede wszystkim z DOK VII Poznań), kontrolowaniu środków łączności, wreszcie (w przypadku strony rządowej) przełamaniu blokad czynionych przez kolejarzy. Zwycięstwo nie przyszło jednak siłom Piłsudskiego łatwo, a były i takie chwile, kiedy wydawało się, że sukces strony rządowej znajduje się na wyciągnięcie ręki.

Pierwszą, lokalną przewagę siły Marszałka osiągnęły w rejonie mostu Kierbedzia, stopniowo, acz systematycznie wypierając obrońców, zajmując ok. 21 Komendę Miasta i budynek Sztabu Generalnego na placu Saskim. Przewaga rokoszan wieczorem 12 maja była wprawdzie wystarczająca dla zduszenia oporu wojsk wiernych rządowi, wszelako Piłsudski (stacjonujący w Komendzie Miasta) zdawał sobie sprawę, że odbyłoby się to kosztem znacznych strat, i to po obu stronach. Marszałek spróbował zatem mediacji, ale zarówno misja marszałka sejmu, Macieja Rataja, jak i polityków oraz generałów (m.in. Lucjana Żeligowskiiego) kończyły się, wobec nieustępliwego stanowiska Wojciechowskiego, fiaskiem. Prezydent opierał się też nacis-

kom Witosa i innych członków gabinetu, gotowych szukać honorowego wyjścia z sytuacji. Prezydent polegał zapewne na opiniach wojskowych, dla których zwycięski finał wydawał się oczywisty. Sukcesu pewny był zwłaszcza gen. Rozwadowski. Wierzył on, że Belweder (chroniło go ponad półtoratysięczne zgrupowanie dowodzone przez gen. Mariana Kukieła) zostanie utrzymany do momentu nadejścia posiłków. Liczył na akcje lotnictwa, dowodzonego przez gen. Włodzimierza Zagórskiego, dzięki którym oddziały, spieszące na pomoc Piłsudskiemu, miały zostać rozproszone. Oczekiwał też, że na tyły sił Marszałka uderzą oddziały zgrupowane w Cytadeli wspólnie ze spieszącym z Zambrowa 71. pułkiem piechoty. Ten ostatni plan miał zrealizować dowódca 30. pułku piechoty, płk Izidor Modelski, który podczas ataku „na tyły buntowników” miał zająć budynki Komendy Miasta i Sztabu Generalnego, starając się zarazem „dostać w swe ręce przywódców ruchu nie szczedząc ich życia”. Wydaje się, że ten ostatni passus najlepiej bodaj odsłania intencje ludzi, którzy z Piłsudskim postanowili się rozprawić. Nie tyle zaś intencje, ile sposób rozumowania odsłania natomiast powstała w nocy z 12 na 13 maja odezwa skierowana przez prezydenta do „żołnierzy Rzeczypospolitej”. Piłsudski i jego zwolennicy określani zostali mianem szaleńców, ci zaś, którzy wykonywali rozkazy legalnych władz, „stanęli w obronie znieważonego honoru Wojska Polskiego”. W oddzielnym manifeste Malczewski deklarował, że „nie ma względów dla niszczycieli Majestatu Państwa, nie ma łaski dla rąk skalanych krwią bratnią”. Trudno się dziwić, że w takiej atmosferze jakiegokolwiek mediacyjne wysiłki nie mogły zostać uwieńczone powodzeniem. Walka na komunikaty trwała zresztą przez cały następny dzień, ale propagandowe deklaracje nie mogły wywierać wpływu na przebieg walk.

Demonstrowana przez Piłsudskiego skłonność do rokowań odczytana została jako słabość. Dlatego po nadejściu posiłków

z Poznania (57. i 58. pułk piechoty) rankiem 13 maja na rozkaz Rozwadowskiego siły rządowe przeszły do kontrnatarcia. Inicjatywa znajdowała się w ich rękach do godz. 17, ale miała ona wyłącznie taktyczny charakter. Późnym wieczorem Piłsudski był niemal pewny, że walkę w Warszawie rozstrzygnie na swoją korzyść. W jego ręku znajdowała się już Cytadela. Odsiecz 71. pułku piechoty, na którą Rozwadowski tak liczył, nie doszła do skutku, z jednej strony z powodu buntu części pododdziałów, z drugiej wobec zablokowania drogi przez 36. i 13. pułk piechoty, który forsownym marszem dotarł z Pułtuska. Marszałek wiedział też, że odsiecz zdążająca z Poznania i Krakowa z najwyższym trudem otwiera sobie drogę i pojawi się później niż legionowe pułki z Wilna i Lubelszczyzny. Wątpliwe było również nadejście posiłków dla strony rządowej z DOK VI Lwów – oddziały dowodzone przez gen. Sikorskiego okazały się co najmniej niepewne, on zaś sam zastaniał się obawami wystąpienia odśrodkowych ruchów ukraińskich. W tej sytuacji decydujące walki, które rozpoczęły się o 5 rano 14 maja, musiały przynieść finalne rozstrzygnięcie.

Siły Marszałka parły w stronę Belwederu i mokotowskiego lotniska, a wydzielona grupa kawalerii otrzymała zadanie niedopuszczenia do wsparcia wojsk rządowych przez kolejny rzut pułków poznańskich. W godzinach południowych Belweder był już w strefie bezpośredniego zagrożenia, toteż o 15 podjęta została tam decyzja o ewakuacji rządu i prezydenta do Wilanowa. Tam też, podczas rozpoczętego o 17.30 posiedzenia Rady Ministrów zapadła decyzja o dymisji gabinetu, Wojciechowski zaś postanowił złożyć swój urząd. Charakterystyczne, że decyzję tę podjęto wbrew stanowisku generałów, wciąż gotowych do kontynuowania walki. Jej finalny wynik, wobec nadciągania kolejnych oddziałów z Poznańskiego, Pomorza i DOK V Kraków, nie rysował się jasno, gdyż posiłki dla strony rządowej

co najmniej wyrównywały siły. Wydaje się wszakże, iż politycy w Wilanowie zwątpili w sens oporu i bez wątpienia brali pod uwagę możliwe nie tylko wewnętrzne, ale i zewnętrzne reperkusje przedłużających się walk, generałowie zaś nie mieli mocnych argumentów (w praktyce pozbawieni byli łączności z nadsięgającą odsięcżą), by wskazać na możliwość nie tyle nawet kontynuowania walki, ile osięgnięcia zapowiadanego uprzednio sukcesu.

Sukces Piłsudskiego zależał jednak od skłonicnia prezydenta do kapitulacji. Cały szkopuł tkwił w tym, że początkowo w sztabie rokoszan nie było jasności, gdzie się znajdują Wojciechowski, Witos i generałowie. Ustalono to dopiero o godz. 21, a gdy godzinę później wysłannicy Wojciechowskiego dotarli do Rataja, Piłsudski został poinformowany o rezygnacji prezydenta i dymisji gabinetu. Rataj też, w towarzystwie ppłk. Józefa Becka, 15 maja o godz. 1 w nocy osobiście przyjął w Wilanowie stosowne pisma.

Przejęcie przez Rataja, na mocy art. 40 konstytucji, obowiązków prezydenta było pierwszym krokiem zmierzającym do legalizacji zamachu. Kładło to również kres domysłom, że Piłsudski ogłosił się dyktatorem, co znalazło nawet swój wyraz w komunikacie wydanym po zajęciu stolicy przez gen. Stanisława Burhardta-Bukackiego. Walki, na polecenie Rataja, ustały, ale początkowo było to tylko zawieszenie broni (najwięcej wątpiwości żywił dowodzący siłami poznańskimi gen. Kazimierz Ładoś), a siły wysłane do tłumienia buntu respektowały rozkazy wydawane przez Piłsudskiego jako ministra spraw wojskowych. Unormowaniem stosunków w wojsku miała zająć się specjalna Komisja Likwidacyjna (powołana 17 maja z gen. Żeligowskim na czele), a na politycznym polu pierwszym krokiem legalizującym zamach stało się powołanie przez Rataja rządu z Kazimierzem Bartlem na czele, a następnie

wybór Marszałka na prezydenta. I choć Piłsudski godność tę odrzucił (z jego poręki na prezydenta został wybrany profesor Ignacy Mościcki), sam zaś pozostawał jedynie ministrem w gabinecie Bartla, faktycznie dysponował władzą, której mógłby mu pozazdrościć niejeden dyktator. Nie ze względu na jej atrybuty. Przede wszystkim dlatego, że stał się jej rzeczywistym, jedynym dysponentem. To, jak jej używał, wykracza poza ramy niniejszego szkicu. Zdobył ją jednak na pozaparlamentarnej drodze, siłą, i bez względu na jego intencje, ten fakt musi rzutować na oceny późniejszych dokonań tego bez wątpienia znamienitego męża stanu.

W bilansie majowego zamachu nie sposób nie uwzględnić jego ofiar. W bratobójczej walce zginęło 25 oficerów i 173 żołnierzy (ogółem ok. 350 osób, przy czym ponad 900 osób, w tym 606 żołnierzy, zostało rannych). Swoistym podsumowaniem majowego dramatu był jednak specjalny rozkaz Piłsudskiego do armii, odczytany 17 maja po żałobnej mszy. Jego przewodnią myślą było wezwanie do zaniechania waśni. „Nie po raz pierwszy – przypominał Marszałek – słyszycie mój głos. Ongiś na polach bitew, gdy młode państwo jeszcze ząbkowało, jak chorobliwe dziecko, prowadziłem was w boje, które w zwycięstwach, pod moim dowództwem wywalczonych, na długie wieki okryły sławą i blaskiem bohaterskim Wasze sztandary. Po innych dziś bojach – konstatował – przemawiam do Was dzisiaj. Gdy bracia żywią miłość ku sobie, wiąże się węzeł między nimi, mocniejszy nad inne ludzkie węzły. Gdy bracia się waśnią i węzeł pęka, waśń ich również silniejszą jest niż inne”. Temu prawu życia ulegli zatem i ci, którzy opowiedzieli się po jego stronie, i ci, którzy walczyli po stronie przeciwnej. „W jedną ziemię – melancholicznie, z widoczną goryczą stwierdzał autor rozkazu – wsiąkała krew nasza, przez obie strony jednako umiłowaną. Niechaj ta krew gorąca – apelował – najcenniejsza w Polsce

krw k żołnierza, pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi”. Piłsudski zapowiadał przejście do porządku dziennego nad rozdzwieniem wywołanym majowymi wypadkami, choć kierowała nim i wielkoduszność, i polityczny rozsądek. Marszałek musiał przede wszystkim ponownie zintegrować podzieloną armię – i to w dobrze pojętym interesie państwa. Również po to, by móc skutecznie rządzić. W interesie Polski, tak jak go, wszczynając zamach, rozumiał.

Andrzej Chojnowski

RZĄDY POMAJOWE



Przewrót wojskowy, który dał początek rządowi obozu piłsudczykowskiego, rozegrał się w Warszawie w dniach 12–14 maja 1926 r. Po zakończeniu walk wydawało się, że Polska leży bezbronna u stóp zwycięzców. Józef Piłsudski wykazał jednak umiar godny męża stanu. Zdawał sobie sprawę, że od militarnego sukcesu do pełnego opanowania sytuacji wiedzie daleka droga. W kraju nadal wrzało. Przeciwnicy Marszałka przemyśleli o przeniesieniu oporu do Wielkopolski, armia pozostawała porażona podziałami. Głośnym echem odbił się czyn gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który, rozdarty między solidarnością z Piłsudskim a obowiązkiem dotrzymania żołnierskiej przysięgi, na wieść o zamachu próbował popełnić samobójstwo.

Marszałek postarał się więc o wyciszenie panującego napięcia. W końcu maja pozwolił wybrać się na urząd prezydenta i chociaż po ogłoszeniu wyników głosowania odmówił przyjęcia tej godności, to decyzja Zgromadzenia Narodowego stanowiła prawne i moralne usankcjonowanie przewrotu.

Piłsudski, wbrew oczekiwaniom swoich zwolenników, nie rozwiązał parlamentu i nie zniósł konstytucji. Została ona jedynie zmodyfikowana w wyniku uchwalenia przez sejm tzw. noweli sierpniowej, która rozszerzała uprawnienia prezydenta.

Również w sierpniu 1926 r. wszedł w życie dekret o organizacji najwyższych władz wojskowych. Na jego mocy Marszałek został Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych, czyli przyszłym Naczelnym Wodzem na wypadek wojny. W wyniku tej regulacji armia została wyłączona spod kontroli parlamentu i rządu.

W Polsce zapanował rodzaj swoistego stanu wyjątkowego. Formalnie obowiązywała konstytucja z marca 1921 r., funkcjonował parlament, istniała wolna prasa, a opozycja miała możliwość swobodnego działania. Zaburzony został natomiast najważniejszy element demokracji parlamentarnej, to jest prawo większości sejmowej do powoływania i odwoływania rządu. Piłsudski utrzymał przy życiu republikańskie instytucje, był jednak dyktatorem, gdyż władzę wziął siłą i tylko siłą można było mu ją odebrać.

Przewrót majowy miał w oczach współczesnych jednoznaczną wymowę społeczną. Piłsudski wystąpił przeciwko perspektywie rządów prawicowo-centrowych, które dla części opinii publicznej oznaczały zapowiedź faszyzacji kraju. W wystąpieniu tym zyskał poparcie całej lewicy, przejściowo także komunistów.

Popierające zamach środowiska miały nadzieję na realizację swoich postulatów. Własne oczekiwania zgłaszały takie partie, jak Polska Partia Socjalistyczna i Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie”, a także niektórzy piłsudczycy o przeszłości legionowej. Na łamach redagowanych przez Adama Skwarczyńskiego „Nakazów Chwili” opublikowano wezwania do rozpisania wyborów parlamentarnych, zmiany polityki narodowościowej, reformy oświaty, jak również szybkiej parcelacji majątków ziemiańskich oraz wprowadzenia kontroli państwa nad produkcją przemysłową.

Piłsudski rozwiał jednak szybko te mrzonki, oznajmiając z dumą, że spowodował „jedyny w swoim rodzaju fakt histo-

ryczny”, a mianowicie zrobił „coś w rodzaju rewolucji bez rewolucyjnych konsekwencji”. Jaki w takim razie był cel przewrotu? W interpretacji Marszałka zamach stanowił reakcję na „nędzę, słabiznę wewnętrzną i zewnętrzną Polski”, gdzie – jak tłumaczył – „zapanował interes jednostki i partii, zapanowała bezkarność na wszelkie nadużycia i zbrodnie”.

W postawionej diagnozie kryła się recepta na metodę zaradzenia złu. Miało nią być dojście do władzy ludzi bezwzględnie uczciwych, czyli – jak należało rozumieć – piłsudczyków. Głównym hasłem tego środowiska stał się więc postulat uzdrowienia (sanacji) stosunków moralnych w państwie.

Drugą *idée fixe* było dążenie do likwidacji „sejmokracji” i „partyjnictwa”. Chciano to osiągnąć poprzez zmniejszenie wpływów władzy ustawodawczej na rzecz prerogatyw prezydenta i rządu. Piłsudczycy nie mieli w 1926 r. ani własnego projektu nowej konstytucji, ani możliwości przeforsowania reformy ustrojowej w parlamencie. Dlatego przyjęli taktykę, którą Marszałek wyraził następująco: „Należy [...] początkowo uspić parlament, a później sprowadzić go do jego właściwej roli: «podnoszenia i opuszczania ręki»”.

By zrealizować te zamiary, niezbędna była mobilizacja sił własnych. W maju 1926 r. Piłsudskiego do władzy wyniosła armia. Odrzucał on jednak model dyktatury wojskowej. Armia, w której szeregach rozpoczął się proces „legionizacji” (odsetek byłych legionistów w korpusie generalskim wzrósł z 24 proc. w 1924 r. do 54 proc. w 1928 r.), stanowiła podporę systemu, ale nie uczestniczyła w życiu politycznym.

Organizacyjne możliwości piłsudczyków były początkowo więcej niż skromne. Zwolennicy Marszałka pozostawali rozproszeni po różnych stronnictwach. Spore znaczenie miało ogarnięcie wpływami wspólnot kombatanckich i paramilitarnych, takich jak Związek Legionistów czy Związek Strzelecki. Mógł

też Piłsudski liczyć na poparcie kilku niewielkich ugrupowań inteligenckich – Konfederacji Ludzi Pracy, Partii Pracy, Klubu Politycznego Kobiet Postępowych. Poważniejsze konsekwencje posiadało poparcie udzielone Marszałkowi przez tzw. ruch zetowy. Utworzony w 1886 r. Związek Młodzieży Polskiej „Zet” był niepodległościową konspiracją, która działała wedle specyficznej reguły. Zgodnie z nią, utajniony ośrodek kierowniczy tworzy jawne organizacje, realizując swe cele za ich pomocą. W Polsce niepodległej ośrodek ten funkcjonował pod nazwą Związku Patriotycznego, a jego emanacjami były skupiające sporą kadrę polityków i społeczników struktury Towarzystwa Straży Kresowej, Związku Obrony Kresów Zachodnich, Związku Powstańców Górnos Śląskich i innych.

„Zetowcy”, którzy powołali w grudniu 1926 r. partię pod nazwą Związek Naprawy Rzeczypospolitej, poparli zamach, licząc, że da on początek zmianom w państwie. „Nie ustalali z natrętnym pytaniem o program działania po przewrocie, którego to programu nie widzieli jasno ze skąpych wynurzeń Piłsudskiego”. Środowisko to gromadziło ludzi ambitnych. Dostrzegając światopoglądowy utylitaryzm Piłsudskiego, sądzili oni, że uda im się zaszcześcić nowej władzy własne przemyślenia. Zakładali też, że Marszałek, z braku własnej organizacji politycznej, oprze się na stworzonych przez nich strukturach (stąd założenie ZNR). Rachuby te okazały się zawodne, jednak „Naprawa” stała się ważną częścią składową sanacji, będąc filarem skrzydła, zwanego, nieco na wyrost, lewicowym.

Sam Piłsudski liczył na pozyskanie części sfer wielkoprzemysłowych i ziemiańskich, a w aspekcie politycznym – stronnictw konserwatywnych. Toteż już w czerwcu 1926 r. powołano do rządu osoby związane z wielkim kapitałem (Hipolit Gliwic, Andrzej Wierzbicki), w październiku zaś doszło do sensoryjnej wizyty Marszałka w rezydencji Radziwiłłów w Nieś-

wiezu. Nowi partnerzy popierali ideę wzmocnienia władzy wykonawczej, głównie jednak zajmowały ich kwestie społeczno-ekonomiczne. Koła ziemiańskie liczyły na wstrzymanie realizacji reformy rolnej, sfery przemysłowe nalegały na zaprzestanie ingerencji państwa w sprawy ekonomiczne. Do nadrzędnych wartości konserwatystów należało m.in. uznanie religijnych podstaw życia społecznego i rodziny, respekt dla tradycji, umacnianie autorytetu instytucji państwowych. Podobnie jak „naprawiacze”, również koła ziemiańsko-konserwatywne miały nadzieję pozyskania piłsudczyków dla własnego światopoglądu i sądziły, że zdołają podpowiedzieć zwycięzcom określone posunięcia. Ziemianie i przemysłowcy mieli pieniądze, a konserwatyści skupiali w swych szeregach wybitne umysłowości, m.in. doskonałych prawników, których wiedzę władza mogła spożytkować. Wszyscy oni uzyskali wpływ na bieg wydarzeń, ale jednocześnie musieli pogodzić się z faktem, że rdzeń obozu pomajowego wypełniła formacja legionowo-peowiacka.

Funkcjonowanie tego obozu stopniowo zaczęła kształtować praktyka, wedle której rząd zajmuje się tylko sprawami gospodarczymi i administrowaniem. W latach 1926–1930 kierownictwo tak działającego gabinetu sprawował Kazimierz Bartel, niezależnie od tego, czy był premierem, czy tylko wicepremierem.

Decyzje w sprawach politycznych (stosunek do parlamentu i opozycji) należały do grona zaufanych Piłsudskiego, którzy mogli – lecz nie musieli – pełnić równocześnie wysokie funkcje państwowe. Z kolei wojskowość i polityka zagraniczna były wyłączną domeną samego Marszałka.

Skład otoczenia przywódcy początkowo nie był ustabilizowany. Od 1928 r. grupę rządzącą obozu zdominowały postacie z dawnej starszyny legionowo-peowiackiej, które po odzyskaniu niepodległości służyły w różnych komórkach sztabu Naczeln-

nego Wodza. Po przewrocie majowym ludzie ci przechodzili do pracy w aparacie cywilnym, mimo to opinia publiczna ochrzciła ich mianem „pułkowników”. Pierwszoplanową rolę odgrywali towarzysze Piłsudskiego z czasów PPS – Aleksander Prystor i Walery Sławek, z młodszych zaś Józef Beck, Ignacy Matuszewski, Bogusław Miedziński, Bronisław Pieracki i Kazimierz Świtalski. Ich zaplecze tworzyli dawni legionieści i powiacy pozostający nadal w wojsku (Adam Koc, Kazimierz Stamirowski, Ignacy Boerner i inni), a także cywile – politycy, publicyści i działacze społeczni, jak Stanisław Car, Tadeusz Hołówko, Janusz Jędrzejewicz, Adam Skwarczyński.

„Pułkownicy” od dawna stali u boku Komendanta (tak nazywano Piłsudskiego w czasach walk o niepodległość), długo jednak działali za kulisami sceny politycznej. Dlatego po przewrocie majowym część obserwatorów wydarzeń mylnie sądziła, że najbliższym współpracownikiem Piłsudskiego jest teraz Kazimierz Bartel. Tymczasem – nie lekceważąc pozycji pięciokrotnego premiera – trzeba powiedzieć, że w rywalizacji z „pułkownikami” nie miał większych szans. To ci ostatni cieszyli się pełnym zaufaniem Marszałka, który stopniowo rozszerzał zakres ich samodzielności. Najpierw winni byli jednak poznać lepiej reguły walki politycznej – pod tym względem nie mogli się początkowo równać z czołowymi postaciami opozycji, takimi jak Ignacy Daszyński, Wincenty Witos czy Stanisław Grabski – musieli nabrać doświadczenia w prowadzeniu spraw państwowych. To, że w latach 1926–1928 znajdowali się w cieniu, nie oznaczało, że dopiero pretendowali do przejęcia władzy. Przeciwnie, władza ta znajdowała się już w ich rękach. Przykładowo, na przełomie 1927/1928 r. szefem kampanii wyborczej sanacji był Kazimierz Świtalski, dyrektor Departamentu Politycznego MSW, natomiast teoretyczny szef resortu, minister Felicjan Sławoj-Składkowski, musiał wykonywać instrukcje swego podwładnego.

Osobną kwestią są poglądy polityczne „pułkowników”. W potocznym wyobrażeniu mieli być jedynie wykonawcami woli Marszałka, niezdolnymi do samodzielnego myślenia. Podejście takie upraszcza jednak cały problem. „Grupa pułkowników” sformułowała bowiem swoje credo w sprawach ideowo-politycznych, choć faktycznie nastąpiło to dopiero po 1930 r. W jednej wszakże sprawie przeforsowała swoje stanowisko już wkrótce po przewrocie. To w tym bowiem środowisku zrodziła się koncepcja ujęcia w ramy organizacyjne funkcjonowania obozu sanacyjnego, czego wynikiem stało się utworzenie w 1928 r. Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

Z chwilą gdy Piłsudski zdecydował utrzymać podstawowe instytucje demokracji parlamentarnej, przed obozem majowym musiało prędzej czy później stanąć pytanie, jak zachować się w momencie nowych wyborów parlamentarnych. Marszałek po zamachu tradycyjnie już nie podjął prób założenia własnego stronnictwa. Skoro zresztą propagandowy atak piłsudczyków zwrócony był przeciwko „partyjnictwu”, czynienie takich prób byłoby krokiem niezręcznym. Pozostawały więc dwie możliwości. Pierwsza, to kontynuowanie dotychczasowej taktyki, czyli utrzymywanie własnych ludzi w poszczególnych stronnictwach (parlamentarna lewica) oraz sterowanie sytuacją tak, by w nowym parlamencie powstała równowaga sił, która umożliwi rządowi wykorzystywanie sprzeczności w łonie ciał ustawodawczych dla forsowania jego zamierzeń. W wariacie drugim można było pokusić się o wystawienie odrębnej listy rządowych kandydatów. Takie właśnie rozwiązanie okazało się zwycięskie.

Jego pomysłodawca, Walery Sławek, zamierzał wprowadzić na tę listę reprezentantów wszystkich środowisk, od „naprawiaczy” po konserwatystów. Pozornie wyglądało to na zamiar godzenia ognia z wodą. Rokowania z liderami grup prorzą-

dowych dały jednak pomyślne rezultaty, toteż w marcu 1928 r. obóz sanacyjny wystąpił pod szyldem Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem Marszałka Piłsudskiego (Piłsudski pełnił wówczas funkcję premiera), zdobywając $\frac{1}{4}$ głosów. Był to zresztą sukces nie tyle samego Bloku, ile administracji państwowej, na której barkach spoczywał *de facto* cały ciężar kampanii wyborczej.

Mieliśmy tu oto do czynienia ze specyficznym zjawiskiem. Zazwyczaj partie polityczne, walcząc o władzę, chcą przejąć kontrolę nad państwem. W wypadku sanacji było natomiast odwrotnie – to aparat państwowy tworzył fakty ze sfery życia partyjnego. Jest to sytuacja typowa dla ustrojów określanych mianem „autorytarnych”. Systemy autorytarne (Polska pomajowa, Hiszpania za dyktatury gen. Miguela Primo de Rivery, Austria za rządów kanclerza Engelberta Dollfussa), niezależnie od lokalnej specyfiki, wychodziły z podobnych założeń ideowych. Najważniejsze było przeświadczenie, że jedynie instytucja państwa może zapewnić harmonijny rozwój społeczeństwa, broniąc interesu ogólnego przed rozmaitymi partykularyzmami.

Stając w marcu 1928 r. w szranki wyborcze, piłsudczycy podporządkowywali się zasadom skądinąd krytykowanej przez siebie demokracji parlamentarnej. Reżimy autorytarne dążyły bowiem nie tyle do likwidacji parlamentaryzmu, ile do zniesienia wielopartyjności. Parlament miał przy tym zmienić sposób funkcjonowania, umożliwić rządowi wykonywanie jego obowiązków. Poza zwiększeniem kompetencji władz wykonawczych chciano nauczyć społeczeństwo respektu dla instytucji państwowych, odzwyczaić je od anarchistycznych i egoistycznych zachowań. Rządy autorytarne nie zamierzały natomiast narzucać obywatelom jedności ideologicznej i światopoglądowej. Dlatego w Polsce po przewrocie majowym nie rozwiązano

partii politycznych i utrzymano gros praw obywatelskich. Przypadki represji miały charakter sporadyczny. Piłsudski utrudniał, nieraz brutalnie, egzystowanie opozycji, nie dążył jednak do jej unicestwienia.

Na listach BBWR znaleźli się kandydaci o zróżnicowanych poglądach. Szansa, by mogli się podpisać pod jednym programem, była tak minimalna, że nie podjęto nawet próby jego sformułowania. Hasła wyborcze Bloku były ogólnikowe. Sprowadzały się do krytyki konstytucji z marca 1921 r. oraz funkcjonowania parlamentaryzmu w okresie przedmajowym. Reprezentantów tworzącego się obozu miał połączyć propaństwowy punkt widzenia, a także uznanie przewodniej roli Piłsudskiego. Sytuacja, w której osoba charyzmatycznego przywódcy zastępuje program polityczny, jest kolejną cechą systemów autorytarnych.

W wyborach 1928 r. BBWR zdobył w sejmie 120 mandatów. Traktowano to jako duże osiągnięcie Sławka, jako że Marszałek gotów był uprzednio zadowolić się uzyskaniem 60–80 miejsc. Pod wrażeniem tego sukcesu grupa rządząca zdecydowała się utrzymać jedność klubową posłów (wcześniej dopuszczano możliwość, że podzielą się oni na kilka frakcji), a następnie zdecydowała się na powołanie ogniw Bloku poza parlamentem. W ten sposób sanacja wkroczyła w końcu na drogę utworzenia własnej organizacji politycznej.

Od razu jednak Walery Sławek, twórca i prezes BBWR, włożył wiele wysiłków w tłumaczenie, że Blok nie jest jeszcze jedną partią polityczną na polskiej scenie. Piłsudski, który myślał pragmatycznie, chciał mieć do dyspozycji grupę zdyscyplinowanych ludzi, zdolnych – jak to określał – do antyopozycyjnej „dywersji”. Sławkowi natomiast marzyło się powołanie do życia organizacji nowego typu. Krytykując ostro system partyjny, w którym obywatel miał do czynienia z polityką

jedynie przy okazji wyborów, szukał innej formuły inspirowania społecznej aktywności. Aktywność ta realizowałaby się w konkretnych przedsięwzięciach, w ramach struktur tworzonych do jednostkowych zadań (związki zawodowe, spółdzielnie, instytucje przysposobienia wojskowego). Blokowi przypadałaby zaś rola koordynatora tych działań.

Koncepcja ta przewidywała, że BBWR zostanie utworzony odgórnie, metodą pozyskiwania jednostek, które wyróżniają się walorami intelektualnymi i moralnymi. Ta swoista elita pracowałaby bez propagandowego rozgłosu nad zadaniami zleconymi jej przez rząd.

Urzeczywistnienie tego pomysłu okazało się trudne. Blok osłaniał się szyldem bezpartyjności, w praktyce wszakże realizował funkcje partii politycznej, przypominając o swoim istnieniu głównie przy okazji kolejnych wyborów parlamentarnych i samorządowych. W walce z opozycją nie wykazywał aktywności, na co Piłsudski zwracał z pretensją uwagę. W roli kuźni kadr społeczników oraz ośrodka nowego myślenia o państwie całkowicie nie spełnił oczekiwań. Na prowincji siatka BBWR istniała często tylko na papierze, tworzono ją zresztą z udziałem lokalnych władz administracyjnych.

Historia BBWR w Polsce nie różniła się wiele od dziejów podobnych organizacji tworzonych w innych systemach autorytarnych. Wszystkie one używały frazeologii państwowej, domagały się od społeczeństwa podporządkowania się autorytetowi władzy, odrzucenia postaw indywidualistycznych. Krytyka parlamentaryzmu szła w parze z propagowaniem ideologii wodzostwa, natomiast charakterystyczne nazewnictwo (Związek Patriotyczny – w Hiszpanii, Front Ojczyźniany – w Austrii, Front Odrodzenia Narodowego – w Jugosławii) odzwierciedlało antypartyjne nastawienia ich twórców. Były zakładane odgórnie i pozostawały przeważnie zależne od administracji

państwowej, niezdolne do samodzielnej egzystencji bez jej pomocy i patronatu.

Przewrót majowy wymierzony był przeciwko prawicowo-centrowej koalicji tzw. Chjeno-Piasta, szybko jednak okazało się, że Piłsudski ma wiele do zarzucenia całemu systemowi parlamentarnemu, czego popierająca go lewica zdawała się początkowo nie dostrzegać. Zaraz po przejściu władzy Marszałek podjął przemyślaną akcję ośmieszania sejmu i senatu, by wykazać nieudolność, bezsilę i złą wolę parlamentarnego świata, który nazywał „światem gasnącym”. Parlament I kadencji (wybrany w 1922 r.), z pamięcią obciążoną sprawą Gabriela Narutowicza, upokorzony porażką w maju 1926 r., miał zbyt mało determinacji, aby podjąć rzuconą mu rękawicę.

Sytuacja zmieniła się po wyborach 1928 r. Przyniosły one dramatyczną klęskę prawicy i centrum, wzmocniła się za to lewica. Stronnictwa, które w 1926 r. poparły Piłsudskiego (PPS, PSL „Wyzwolenie”), otrzymały ok. 30 proc. głosów i nie widziały powodu, dla którego miałyby znosić dalsze upokorzenia ze strony Marszałka. Ten z kolei, ciesząc się z sukcesu BBWR, musiał dostrzec, że wybory potwierdziły żywotność parlamentaryzmu. Wszystkie stronnictwa, nawet te przegrane, utrzymały się na scenie politycznej, podczas gdy listy Bloku, reklamowane jako nowe jakościowo zjawisko, nie zdobyły bezwzględnej większości. Taktyka moralnego kompromitowania „partyjnictwa” pokazała ograniczoną skuteczność, tym samym niezbędny wydawał się frontalny atak na partie, przy użyciu bardziej zdecydowanych metod. Piłsudski latem 1928 r. pogodził się z nieuchronnością próby sił, chciał jednak dobrze przygotować się do uderzenia.

Stosunki między władzą a parlamentem II kadencji stały się od początku napięte, raz po raz dochodziło różnych incydentów. Najgłośniejszy konflikt zogniskował się wokół sprawy ministra

finansów, Gabriela Czechowicza, który bez zgody sejmu przekroczył budżet na rok 1927/1928 o 560 mln złotych. Czechowicz działał na polecenie Piłsudskiego, ale opozycja nie odważyła się zaczepić samego Marszałka, minister natomiast został wezwany przed Trybunał Stanu. Historię tę wykorzystał Piłsudski do ostrej krytyki sejmu (menażeria zapełniona „złośliwymi małpami, załatwiającymi wszystkie swoje potrzeby publicznie”) oraz samej instytucji Trybunału. W sumie jednak płaszczyzna sporu nie była wygodna dla sanacji. Specyfika afery polegała bowiem na tym, że część wydanych poza ustawą budżetową pieniędzy (8 mln zł) została przeznaczona na sfinansowanie kampanii wyborczej BBWR.

Począwszy od lata 1929 r. przywódcy obozu zaczęli podnosić konieczność zmiany ustawy zasadniczej, a BBWR wniósł pod obrady sejmu odpowiedni projekt. Dla Piłsudskiego ważny był w tym momencie wyłącznie propagandowy aspekt zagadnienia, chodziło o dalsze kompromitowanie konstytucji marcowej, nie zaś o uczone dysputy prawników. Dlatego sam wystąpił w roli głównego propagandyisty. „Konstytuta-prostytuta”, „wesole budżety”, „fajdanis-poślinis” – to tylko niektóre z kalamburów, jakie wprowadził do języka politycznego.

Lata 1928–1930 były apogeum aktywności Marszałka. Dowodził wszystkimi operacjami wymierzonymi przeciw opozycji, pisał artykuły, udzielał wywiadów etc. Nie interesowały go natomiast problemy gospodarcze czy administracyjne, a kiedy usiłowano odeń uzyskać opinię w tych kwestiach, wpadał w zły humor. W tym okresie ukształtował się system rządzenia, który Walery Sławek ujął następująco: „decyzje w drobnych sprawach podejmujemy sami, natomiast przy każdym ważniejszym zagadnieniu pytamy się, czy Komendant nie ma tu czegoś do powiedzenia”. Piłsudski w chwilach szczerości nazywał „pułkowników” „osłami, nie umiejącymi walczyć”, stopniowo jednak

cedował na nich większość uprawnień, rezerwując sobie pozycję ostatecznego arbitra. W miarę narastania konfliktu z parlamentem słabła natomiast pozycja Kazimierza Bartla.

W ciągu 1929 r. grupa rządząca kilkakrotnie dyskutowała nad scenariuszem osłabienia opozycji. Na charakter podjętych decyzji wpłynęły zarówno objawy pogorszenia się sytuacji ekonomicznej (w październiku doszło do krachu na giełdzie nowojorskiej, a fala kryzysu dotarła wkrótce do Europy), jak i przejawy konsolidacji ugrupowań antysanacyjnych. We wrześniu sześć stronnictw lewicy i centrum (PPS, PSL „Wyzwolenie”, Stronnictwo Chłopskie, PSL „Piast”, Chrześcijańska Demokracja i Narodowa Partia Robotnicza) wystąpiło po raz pierwszy ze wspólnym oświadczeniem, co dało początek koalicji, nazwanej potocznie Centrolewem.

Wiosną 1930 r. upłynęła jeszcze spokojnie. Niemniej w maju Piłsudski zdecydował o przedterminowych wyborach, dając Felicjanowi Sławojowi-Składkowskiemu (ówczesny minister spraw wewnętrznych) trzy miesiące na ich przygotowanie. Do wyborów dążył paradoksalnie również Centrolew, uważając, że nastroje społeczne szybko zwracają się przeciwko sanacji.

Koalicja ta zwołała na 29 czerwca 1930 r. do Krakowa Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu. Przyjęta tam rezolucja zapowiadała walkę o „usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego”, wzywała prezydenta Ignacego Mościckiego do ustąpienia, przestrzegała władze, że na „każdą próbę terroru odpowiemy siłą”. Wprawdzie manifestacja krakowska przebiegła bez zakłóceń, dostarczyła jednak Marszałkowi argumentów propagandowych. Przywódców Centrolewu oskarżono bowiem o spiskowanie przeciwko państwu i szykowanie zamachu stanu. W dniu 25 sierpnia 1930 r. Piłsudski stanął na czele rządu, pięć dni później rozwiązano parlament, a w nocy z 9 na 10 września aresztowano 12 znanych polityków opozycji, osadzając ich w więzieniu

wojskowym w Brześciu nad Bugiem. W następnych tygodniach pozbawiono wolności na dłuższy lub krótszy czas ok. 5 tys. osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów (po rozwiązaniu parlamentu stracili immunitet). Wobec więźniów brzeskich zastosowano wymyślne tortury psychiczne i kary fizyczne (bicie). Wieści o tym dotarły do społeczeństwa, ale dopiero po kilku miesiącach, nie miały więc wpływu na przebieg wyborów.

W listopadzie 1930 r. piłsudczycy sięgnęli po nadzwyczajne posunięcia, takie jak unieważnianie list opozycyjnych, presja psychiczna i fizyczna (wypadki pobicia działaczy antyrządowych), a także fałszerstwa przy liczeniu głosów. W rezultacie wyborów, nazwanych później „brzeskimi”, BBWR zwiększył swój udział w sejmie do 55 proc., natomiast Centrolew doznał zdecydowanej porażki.

Opozycja przypisywała sukces sanacji wyłącznie terrorowi i fałszerstwom. Nadużycia nie tłumaczą jednak wszystkiego. Trzeba bowiem także uwzględnić zmęczenie kraju przeciągającą się walką polityczną i tęsknotę za stabilizacją. Obóz pomajowy wykazał determinację w obronie swej władzy, obnażając naiwność Centrolewu, który sądził, że można odsunąć sanację od rządów za pomocą „kartki wyborczej”. Nie doceniono też popularności Piłsudskiego – jego charyzmatyczna osobowość nadal zaspokajała społeczne zapotrzebowanie na opatrnościowego przywódcę.

Wybory 1930 r. zakończyły trwający cztery lata okres walki piłsudczyków przeciwko parlamentarnej opozycji. Mogli oni teraz przystąpić do realizacji zamierzeń polityczno-ustrojowych – choć nadal nie mieli w parlamencie większości, wystarczającej do uchwalenia nowej konstytucji. W 1931 r. Piłsudski zapowiedział swym współpracownikom, że stopniowo będzie ograniczał swą aktywność publiczną. Motywem tej decyzji była chęć przygotowania podopiecznych do przejęcia pełnej odpo-

wiedzialności za sytuację. Marszałek, o czym głośno nie mówiono, starzał się. Zapiski jego adiutantów z lat 30. pokazują, że Piłsudski, cierpiący na bezsenność, skłonny do częstych przeziębień, nękany prawie stale stanem podgorączkowym, nie był zdolny do pracy dłużej niż 2–3 godziny dziennie. Dochodziły do tego przejściowe zaburzenia równowagi psychicznej, co przejawiało się m.in. w spotęgowanej podejrzliwości wobec otoczenia.

Kariera Kazimierza Bartla na szczytach hierarchii obozu sanacyjnego zakończyła się. „pułkownicy” wyszli z cienia, obejmując główne stanowiska w aparacie władzy. Rotacje na urzędzie premiera następowały wedle zalecanej przez Piłsudskiego zasady, którą zanotował Sławoj-Składkowski: „Komendant proponuje, żeby [...] dobrać trzech, czterech ludzi najodpowiedniejszych i zgranych ze sobą, którzy by zarządzili jeden po drugim. Tylko wtedy możliwa jest ciągłość linii rządów i odpoczynek premiera przez czas, gdy pracuje inny”.

Wąską grupę rządzącą tworzyli: inteligentny pragmatyk Kazimierz Świtalski, Aleksander Prystor, typ solidnego biurokraty, oraz zdradzający ambicje programotwórcze Walery Sławek. Dochodził do nich Józef Beck, powiernik tajemnic Marszałka w dziedzinie polityki zagranicznej.

Przekazując większość władzy swym współpracownikom, Piłsudski rezerwował dla siebie decyzje wojskowe, aż do śmierci przesądzał ponadto o fundamentalnej kwestii, jaką był skład grupy rządzącej. Sprzyjało to jej alienacji – grupa ta żyła pod ochronnym parasolem Marszałka; w przyszłości, gdy tej osłony zabrakło, „pułkownicy” przeżyli szok, okazało się bowiem, że część obozu sanacyjnego odrzuca ich program polityczny.

W 1928 r. piłsudczykom zależało na zdobyciu sojuszników, toteż zabiegali o porozumienie z wieloma ugrupowaniami i partijkami. W ciągu następnych lat stworzyli własne zaplecze poli-

tyczne. Spośród 249 posłów BBWR, którzy znaleźli się w sejmie w 1930 r., większość była nieznana opinii publicznej. Byli to ludzie nowi nie tylko w parlamencie, ale w ogóle w polityce, związani za to w rozmaity sposób z aparatem państwowym. Z kolei aparat ten miał w swych rękach poważny atut: możliwość rozdzielenia tysięcy stanowisk w administracji samorządowej, gospodarczej, oświatowej itp. W tamtych zaś czasach osoba zatrudniona na „państwowej posadzie” mogła się czuć zwolniona z trosk materialnych (z możliwości pracy urzędniczej korzystali niektórzy znani później pisarze i poeci, tworzący legendę Piłsudskiego). Rodziło się w ten sposób zjawisko, określane mianem „IV Brygady” – ludzi bez legionowo-peowiackiej przeszłości, którzy teraz dołączali do zwyczajców, przywdziewając kostium gorliwych piłsudczyków.

Po „brzeskim” zwycięstwie „pułkownicy” postanowili przystąpić do realizacji swych koncepcji politycznych. Reformę ustrojową zdecydowali przeprowadzić sami, nie licząc się z opinią formalnych sojuszników. Zignorowali więc wychodzące od „naprawiaczy” (Jerzy Szurig, Kazimierz Zakrzewski) koncepcje państwa syndykalistycznego, które przewidywały m.in. udział robotników w kierowaniu produkcją oraz oddanie związkom zawodowym wpływu na politykę ekonomiczną państwa. Większy udział w pracach nad reformą mieli konserwatyści, lecz sprowadzał się on przeważnie do stylizacji pomysłów grupy pułkownikowskiej.

W latach 1932–1933 klub BBWR przeforsował w parlamencie kilka ważnych ustaw. Było to prawo o zgromadzeniach i zebraniach, ustawa o stowarzyszeniach, ustawa o zmianie zasad samorządu terytorialnego oraz ustawy o ustroju szkolnictwa. Nie były one wymierzone bezpośrednio w system parlamentarny. Ich inicjatorom zależało natomiast na zwiększeniu kontroli państwa nad poszczególnymi dziedzinami życia publicznego.

Znamienne, że w tym okresie minister sprawiedliwości zyskał możliwość przenoszenia sędziów w stan spoczynku, jak również prawo usuwania prezesów i wiceprezesów sądów.

W kwestii nowej konstytucji czekano początkowo na dyrektywy Piłsudskiego. Wobec jego milczenia, w 1932 r. „pułkownicy” zdecydowali się przejąć inicjatywę i powołali zespół redakcyjny (m.in. Walery Sławek, Stanisław Car, Wacław Makowski, Bohdan Podoski), który w ciągu kilku miesięcy opracował projekt ustawy zasadniczej. Był on skonstruowany wokół czterech zasad: 1. solidaryzmu społecznego 2. elitaryzmu 3. dominacji państwa w życiu społecznym – w imię realizacji „dobra wspólnego” 4. zasady jednolitej i niepodzielnej władzy prezydenta.

Idea silnej władzy państwowej przyświecała piłsudczykom od dawna, niemniej przy jej konkretyzacji zaczerpnęli wiele z dorobku myśli konserwatywnej. Rozwiązania w duchu elitaryzmu były natomiast dzieckiem własnym piłsudczykowskiej czołówki. Stanowiły one pokłosie przeżyć z czasów wielkiej wojny, kiedy to legionści szli przeciwko nastrojom większości społeczeństwa, przez jednych zwalczani i wyśmiewani, przez drugich traktowani z obojętnością. Już wtedy poczuli się elitą spośród najlepszych, która działa w interesie ogółu, choć ów nie zdaje sobie z tego sprawy.

W czasie walk o niepodległość elita ta powstawała spontanicznie, teraz należało sformalizować zasady jej tworzenia. Podstawowy skład przyszłej elity, noszącej nazwę Legionu Zasłużonych, mieli tworzyć kawalerowie orderów *Virtuti Militari* (w 1935 r. około 5 tys. osób) oraz Krzyża Niepodległości (w 1935 r. około 12 tys.). Legion otrzymywał prawo wskazania członków nowego senatu (wedle projektu konstytucji, senat miał być zrównany kompetencjami z sejmem), tenże senat wyznaczałby następnych kandydatów do grona „zasłużonych”.

Cała ta konstrukcja wzorowana była na instytucji nobilitacji – w czasach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej ci przedstawiciele warstw niższych, którzy wykazali szczególne zasługi dla kraju, mogli być włączeni do stanu szlacheckiego.

W grudniu 1933 r. projekt przesłany został do sejmu. Prześorsowano go tam, stosując pewien trick. 26 stycznia 1934 r. został zgłoszony pod obrady jako „tezy konstytucyjne”. Kiedy opozycja, zgodnie z taktyką bojkotowania dyskusji na ten temat, opuściła salę, klub BBWR zmienił nazwę „tezy” na nazwę „projekt” i wymaganą większością $\frac{2}{3}$ głosów uchwalił ustawę w trybie nagłym.

Kiedy kilka dni później Sławek zdał Piłsudskiemu relację, spotkała go niemiła niespodzianka. Marszałek przyznał się, że „tez konstytucyjnych nie czytał”, zgodził się też z krytyczną wobec idei Sławka opinią Świtalskiego, że człowiek ustalający skład Legionu „za pół roku dostanie fijoła w głowie”. Kryterium zasłużonych powszechnemu dobru „nie da się bowiem absolutnie znaleźć”.

Zgnębiony Sławek zdecydował się usunąć z konstytucji fragment o Legionie, zachowano jedynie artykuł, który głosił, że „wartością wysiłku i zasług obywatela wobec państwa mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne”. Tym samym stanowisko Piłsudskiego praktycznie zdezawuowało kluczowy element reformy ustroju. Konsekwencje tego dały o sobie znać w roku następnym, kiedy w obozie sanacyjnym rozpoczęła się walka o schedę po zmarłym Marszałku.

Funkcjonujący od 1931 r. system działania grupy rządzącej opierał się na założeniu, że „pułkownicy” stanowią solidarny, monolityczny kolektyw, który cieszy się całkowitym zaufaniem Belwederu. Tymczasem grupa ta była daleka od jednolitości, a rozwiązania forsowane przez Walerego Sławka spotykały się z zastrzeżeniami jego kolegów. Z kolei stosunek

Marszałka do podwładnych stawał się coraz bardziej krytyczny. Najdobitniejszym tego przykładem było odsunięcie w 1933 r. z funkcji premiera Aleksandra Prystora, długoletniego i bliskiego towarzysza z czasów walk o niepodległość. Notabene, w tym samym czasie Piłsudski zaczął też dostrzegać wady legionowych generałów, powątpiewając, aby któryś z nich mógł go „w pracy zastąpić”.

Marszałek nie sporządził politycznego testamentu. Co prawda latem 1932 r. wyraził życzenie, aby w przyszłości urząd głowy państwa objął Sławek, była to jednak tylko ustna sugestia, znana kilku osobom. Ciekawe, że kiedy w 1933 r. kadencja prezydenta dobiegła końca, Piłsudski doprowadził, ku zaskoczeniu otoczenia, do reelekcji Ignacego Mościckiego.

Niezależnie od procesów zachodzących w grupie rządzącej, w latach 30. dało się też zauważyć zmiany w sposobie funkcjonowania całego obozu sanacyjnego. Rok 1930 przyniósł supremację formacji legionowo-peowiackiej kosztem sojuszników (konserwatyści, „naprawiacze”). Dawni koalicjanci nie rezygnowali jednak z upominania się o swoje racje, głównie w zakresie kwestii gospodarczych. Trzeba pamiętać, że od 1929 r. Polska – wraz z całą prawie Europą i USA – znajdowała się w stanie zapaści ekonomicznej, która wywołała dyskusje na temat metod przezwyciężenia wad wolnego rynku. Okazywało się przy tym, iż BBWR nie jest w tych sprawach jednomyślny. Różnice zdań dotyczyły zwłaszcza zasadności interwencjonizmu państwowego. Za tymi rozbieżnościami poglądów szły konflikty polityczne. Do najgłośniejszych należał spór o politykę rządu wobec bankrutujących zakładów na Górnym Śląsku w 1933 r., kiedy to minister przemysłu Franciszek Zarzycki oskarżył przemysłowców i bankowców (powiązanych z partiami konserwatywnymi) o działanie na szkodę kraju. Inny głośny incydent to tzw. afera żyrardowska w 1934 r. – i tym razem znani konser-

watyści, mający dotychczas silną pozycję w Bloku, zostali zaatakowani przez grupę „pułkowników”.

Ferment ogarnął także wspólnotę legionowo-peowiacką, ważne zaplecze władzy, gdyż jej członkowie obsadzili wiele stanowisk w administracji. Podtrzymywana legenda czynu legionowego służyła legitymizacji rządów obozu sanacyjnego. Legendę tę kreował głównie sam Marszałek, ale odwoływali się do niej również „pułkownicy”, choć niektórzy z nich nie służyli w I Brygadzie.

W latach 30. dawni legionieści, podobnie jak większość społeczeństwa, odczuli skutki kryzysu gospodarczego. Mimo że wciąż byli grupą uprzywilejowaną, wielu znalazło się bez pracy i środków do życia. Irytowało ich także zbyt wolne tempo zmian ustrojowych, faktyczne porzucenie hasła sanacji moralnej, tolerowanie napływu rozmaitych karierowiczów, niezrozumiałe flirty z konserwatystami i panoszenie się w BBWR osób z tytułami książęcymi i hrabiowskimi (tzw. herbowi piłsudczy). Czarę goryczy przelały informacje o spekulacjach i malwersacjach, które dowodziły, że obóz pomajowy nie obronił się przed schorzeniami, które ongiś wyrzucał swoim przeciwnikom.

Nastroje te zwracały się przeciwko skupionej wokół Piłsudskiego kamaryli, której zarzucano zaprzepaszczenie „programu Komendanta”. Przywódca Związku Strzeleckiego (ważna w owym czasie organizacja kombatancka) snuł w związku z tym projekty powołania partii „opartej na nowym wyznaniu idei Marszałka Piłsudskiego, a przeciwstawieniu jej koszlawemu obozowi BBWR” (1933).

Kryzysowi zaufania wśród zwolenników sanacji nie mogły zapobiec ustrojowe pomysły Sławka. Zawierały one co prawda ukłon w stronę oczekiwanych kombatanckich, ale nie zapewniały piłsudczykom monopolu wpływów. Wśród kawalerów Virituti

Militari znajdowali się przecież zarówno dawni legioniści, jak i osoby związane z Narodową Demokracją. Jeszcze mniejszy entuzjazm budziły pomysły „kadry zasłużonych” wśród tych sanatorów, którzy nie mieli w swych życiorysach bohaterskich epizodów.

Niezadowolenie z grupy rządzącej objawiało się też w szeregach armii, tutaj jednak zwracało się przeciwko samemu Piłsudskiemu. Wyrażał się on niepochlebnie o umiejętnościach swych generałów, z kolei niektórzy dowódcy, zaniepokojeni zaniedbaniami w dziedzinie obronności, odpłacali mu tym samym. Jeden z pamiętnikarzy zanotował w maju 1932 r. opinię Edwarda Rydza-Śmigłego, wedle której Piłsudski to „człek nie-normalny, co ukryć się nie da, a skoro się wyda, uważać nas będą za trzodę głupców, żeśmy tego nie spostrzegli”.

Chociaż wszystkie te zjawiska zmniejszały spoistość obozu, za życia Piłsudskiego nie miały one zasadniczego znaczenia. Wprawdzie Marszałek coraz rzadziej uczestniczył w wydarzeniach, jego autorytet wystarczał jednak całkowicie do skonsolidowania sanacyjnej wspólnoty. Dzień 12 maja 1935 r. całkowicie zmienił tę sytuację.

Ostatnim aktem państwowym, jaki zdążył jeszcze podpisać Piłsudski, był tekst nowej konstytucji, która weszła w życie 24 kwietnia 1935 r. W ten sposób obóz sanacyjny zrealizował wreszcie główne zadanie, jakie sobie postawił. W chwili śmierci przywódcy prezydentem pozostawał Ignacy Mościcki, premierem był Walery Sławek – prezes BBWR, przywódca Związku Legionistów i lider „grupy pułkowników”, Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych mianowano Edwarda Rydza-Śmigłego, legionistę i peowiaka. Sytuacja ta nosiła znamiona pełnej stabilności.

Piłsudczycy musieli wszakże odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: jak wypełnić lukę po człowieku, który prawie

ćwierć wieku kierował ich myślą i działaniami? Jednoznaczną odpowiedź dawał Walery Sławek. Wedle niego, nikt w obozie nie miałby autorytetu, by zająć miejsce zmarłego. Czas wyjątkowy, związany z imieniem Piłsudskiego, skończył się bezpowrotnie. Dotychczas rozstrzygnięcia Komendanta stawały się dla jego zwolenników „rozkazem najwyższym i prawem obowiązującym”. Od tej chwili natomiast „prawo – jako naczelny regulator ma nami rządzić, a w ramach prawa ten, kogo prawo do tego wyznacza”.

Stanowisko to zostało przyjęte przez przyjaciół Sławka z mieszanymi uczuciami. Traktowali oni sceptycznie możliwość egzystowania obozu bez wyłonienia nowego przywódcy. Istotne też, że gdyby dosłownie zinterpretować słowa pułkownika, to za najważniejszą osobę w państwie trzeba by uznać Ignacego Mościckiego. To przecież prezydent uosabiał wedle nowej konstytucji majestat i władzę Rzeczypospolitej. Rzecz jasna, mało kto w grupie rządzącej traktował serio rezydującego na Zamku dostojnego męża, potrzebnego jedynie do wypełniania posług reprezentacyjnych. Sądzono, że Mościcki zrozumie w lot sytuację i przekaze swój urząd, zgodnie z niedawną sugestią Piłsudskiego, Waleremu Sławkowi.

Przekonanie to okazało się podwójnie błędne. Przed wszystkim sam Sławek nie kwapił się do prezydentury. Zapewne zamierzał w przyszłości przenieść się na Zamek, pragnął jednak nadać przeobrażeniom politycznym hierarchiczną kolejność, uważając, że zmiana na urzędzie prezydenckim powinna dokonać się po wyborach parlamentarnych (odbyły się we wrześniu 1935 r.). Ich przygotowaniu oddał się bez reszty, zaniedbując wszystkie inne powinności, w tym obowiązki szefa rządu. Tymczasem wyniki okazały się prestiżową porażką – 53 proc. elektoratu usłuchało wezwania opozycji do bojkotu głosowania, który spowodowany był wprowadzeniem nowej ordynacji

wyborczej, odbierającej stronnictwom antyrządowym szansę powodzenia. Pierwszy egzamin samodzielności wypadł więc dla Sławka fatalnie.

Wszystko to dyskutował Ignacy Mościcki, który zaczął tworzyć wokół siebie załóżki konkurencyjnej ekipy rządzącej. Pierwszoplanową rolę odgrywał tu jeden z budowniczych Gdyni, a w przyszłości twórca Centralnego Okręgu Przemysłowego, Eugeniusz Kwiatkowski. Aby uzasadnić prawo do kontynuowania prezydenckiej misji, Mościcki wykorzystywał wezwania Sławka do respektowania nowej konstytucji, budował też wokół siebie legendę bliskiego współpracownika i przyjaciela Marszałka.

Do decydującego starcia doszło jesienią 1935 r. Po wyborach Mościcki odmówił ustąpienia z prezydentury, a zanim jeszcze Sławek zdołał otrząsnąć się ze zdumienia, zdymisjonował go z funkcji szefa gabinetu, mianując na to stanowisko powołanego sobie Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego. Następny cios spadł na Sławka 25 października 1935 r., kiedy to na naradzie rządzącej elity jego polityka stała się przedmiotem niezwykle ostrej krytyki ze strony dotychczasowych przyjaciół (Świtalski i Prystor). Rozpad „grupy pułkowników” dokonał się.

W następnych tygodniach wszystko, co czynił Sławek, potęgowało jego porażkę. Nie zważając na okoliczności, realizował wcześniej ułożony scenariusz. Było dla niego oczywiste, że wobec wejścia w życie nowej konstytucji trzeba uczynić następny krok, prowadzący do pełnej rezygnacji z systemu partyjnego. Dlatego uważał za zbędne dalsze istnienie BBWR, który wypełnił już zresztą swe główne zadanie (reformacja ustrojowa).

Decyzję o rozwiązaniu Bloku ogłoszono 30 października 1935 r. Krokiem tym pozbawiał się Sławek niedoskonałego może, ale realnego narzędzia polityki. Posunięcie to wywołało zamieszanie w szeregach obozu, którego członkowie nie mog-

li zrozumieć, dlaczego pułkownik rozbija z takim trudem wypracowany dorobek organizacyjny sanacji.

Tymczasem Sławek nie uważał się za przegranego. Sądził, że stojąc na uboczu bieżącej polityki, zachowa pozycję głównego kreatora struktur obozu. Miało mu to umożliwić kontrolę nad urzeczywistnianiem zasad konstytucji, co traktował jako spełnienie moralnego zobowiązania wobec pamięci Marszałka. Próbował więc narzucić styl działania parlamentowi, który składał się niemal wyłącznie ze stronników rządu. Sejm nie chciał już jednak słuchać jego głosu, „stanął przeciwko niemu blok kontra, obejmujący przeszło połowę posłów [...]. Po prostu był bałagan polityczny i niemal każdy poseł reprezentował swój punkt widzenia”. Jeszcze mniej fortunne okazały się propozycje Sławka co do nowych form aktywności życia publicznego. Wyłożony przez niego w końcu 1935 r. projekt tzw. Powszechnej Organizacji Społeczeństwa był tak niespójny i nieprzejrzysty, że przstraszyło to nawet dotychczasowych zwolenników pułkownika. Epizod ten praktycznie zakończył jego karierę.

Na placu boju pozostał więc tylko Mościcki, ale w istocie jego pozycja była jednak dość słaba. Nie stały za nim żadne poważniejsze siły, on sam zaś nie miał programu działania, nawet w sprawach gospodarczych, w których uważał się pochopnie za eksperta. Najważniejsze, że dość szybko napotkał rywala, i to o wiele groźniejszego niż Sławek.

Edward Rydz-Śmigły miał w 1935 r. 49 lat (prezydent 68 lat) i cieszył się opinią najzdolniejszego z legionowych generałów. Talenta wojskowe rozwinął w czasie wojny polsko-bolszewickiej, poparł bez wahania zamach majowy (inaczej niż Kazimierz Sosnkowski), po przewrocie zaś należał do wąskiego grona dowódców armii, cieszących się zaufaniem Piłsudskiego. Nominowanie go na urząd Generalnego Inspektora było w 1935 r. posunięciem logicznym.

W poprzednich latach Śmigły jedynie sporadycznie angażował się w politykę, po 12 maja 1935 r., w miarę dekompozycji obozu, zaczęło się to zmieniać. Pod koniec roku pojawiał się coraz częściej publicznie, dyskontując znużenie społeczeństwa dominacją tych samych nazwisk w rządzącej elicie. Podobnie jak „pułkownicy”, należał do grona starych towarzyszy legionowych, ale w sprawach państwowych był człowiekiem świeżym, którego nie obarczano odpowiedzialnością za dotychczasowy stan rzeczy. Nosił ponadto mundur, a poważna część obywateli tęskniła za nowym autorytetem w zielonym płaszczu, zdolnym zastąpić Marszałka. W kręgach wojskowych wiedziano, jak wielką wagę przywiązuje do stanu obronności, podjął też rychło kroki, aby odrobić zaniedbania, jakich dopuścił się Piłsudski. Rydz-Śmigły pomału uczynił z hasła „obrony Polski” główny oręż propagandowy, co korzystnie odróżniało go od Sławka, który wikłał się w niejasne rozważania o stopniu zasług poszczególnych obywateli, a także od Mościckiego, zajętego upowszechnianiem wizerunku własnej osoby jako „najstarszego piłsudczyka” (w 1926 r. Kazimierz Bartel nazywał go żartobliwie „najmłodszym piłsudczykiem”).

Rozstrzygnięcie nastąpiło wiosną 1936 roku. Nieudolny rząd Kościałkowskiego, utworzony z inicjatywy prezydenta, nie zdołał zapanować nad niezadowolaniem mas, którego tłem były kwestie ekonomiczne. Fala akcji protestacyjnych przekształciła się w marcu w strajk powszechny w Krakowie, połączony z tumultami ulicznymi, interwencją policji i rozlewem krwi. Trzy tygodnie później do podobnych zajść doszło we Lwowie, gdzie również padli zabici i ranni.

Wypadki te wstrząsnęły Polską i podkopały skutecznie prestiż „grupy zamkowej”. O powołaniu rządu pod prezesurą Felicjana Sławoja-Składkowskiego (maj 1936) zdecydowali już wspólnie Mościcki i Śmigły. Było to niezgodne z konstytucją

(nominowanie premiera należało wedle ustawy do prerogatyw głowy państwa), podobnie jak wydany w lipcu 1936 r. przez Składkowskiego okólnik, który określał Rydza jako „pierwszą w Polsce osobę po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej”. Ukoronowaniem awansów Generalnego Inspektora było nadanie mu w listopadzie 1936 r. buławy marszałkowskiej. System prezydencki, wprowadzony konstytucją kwietniową, został więc zastąpiony rządami duumwiratu. Ustawa zasadnicza pozostała formalnie niezmieniona, w praktyce obchodzono niektóre jej postanowienia. Podobnie jak za życia Piłsudskiego, tak i teraz w państwie zapanował rodzaj stanu nadzwyczajnego.

Przybywając na pierwsze posiedzenie gabinetu Sławoja, Rydz-Śmigły podniósł w przemówieniu zagrożenie zewnętrzne państwa. W tym czasie armia niemiecka liczyła już 31 wielkich jednostek, w tym trzy dywizje pancerne. Natomiast ZSRR utrzymał pod bronią około miliona żołnierzy. Sytuacja dyplomatyczna Polski w latach 1935–1936 nie przedstawiała się najgorzej (po zawarciu układów o nieagresji z Moskwą i Berlinem), niemniej powyższe dane miały swoją wymowę.

Wezwanie do konsolidacji w obliczu zagrożenia skierowane było do całego społeczeństwa – nowi przywódcy sanacji chcieli odbudować wpływy obozu, poważnie nadwątlone w 1935 r. Pragnęli jednocześnie zjednoczyć środowisko piłsudczykowskie, które przeżyło w ostatnich miesiącach ciężkie chwile. Szczególnie dokuczliwie jawiła się organizacyjna pustka, powstała po rozwiązaniu BBWR. Dlatego skupione wokół Rydza grono znanych postaci (m.in. Bogusław Miedziński i Adam Koc, członkowie dawnej „grupy pułkowników”) zaczęło prace nad powołaniem nowej struktury politycznej.

Inicjatywa Śmigłego została niechętnie przyjęta przez takie środowiska, jak „naprawiacze” czy lewicujący Legion Młodych – formułujące własne programy. Nie udało się też pozyskać lu-

dowców. Generalny Inspektor przybył na manifestację w Nowosielcach ku czci Michała Pyrza (wójta, który w XVII w. bronił wsi przed Tatarami), ale chłopci zamiast „chcemy Rydza”, wznosili okrzyki „zjemy Rydza!”.

Najbardziej owocne okazały się umizgi do obozu nacjonalistycznego. Dla ortodoksyjnych piłsudczyków perspektywa pertraktacji z wychowankami Romana Dmowskiego wydawała się herezją. Nowi liderzy obozu nie mieli wszakże takich skrupułów. Na sposób ich myślenia wpływało fiasko dotychczasowej polityki narodowościowej. Wzrost napięć etnicznych o podłożu ekonomicznym, stałe konflikty między państwem a ludnością niepolską – wszystko to sprzyjało popularności postulatu „oczyszczenia” Polski z „obcych wpływów”. Nastroje te nie omijały sanacyjnej wspólnoty, gdzie zabrakło stanowczego „nie” ze strony Piłsudskiego, który – jako spadkobierca idei Polski jagiellońskiej – odrzucał programowo nacjonalizm etniczny. Dlatego wśród rozmówców Miedzińskiego i Koca znaleźli się działacze Obozu Narodowo-Radykalnego.

21 lutego 1937 r. Adam Koc obwieścił utworzenie Obozu Zjednoczenia Narodowego. Założycielska deklaracja usiłowała pogodzić zasadę respektowania konstytucji kwietniowej z postulatem zapewnienia armii specjalnej roli w państwie, a osobę Rydza-Śmigłego wskazywała jako Wodza, będącego uosobieniem „idei obrony Państwa”. Twórcy OZN nawoływali też do starań o odrobienie zapóźnienia cywilizacyjnego Polski poprzez dalsze przekształcenia ekonomiczne (m.in. intensyfikację reformy rolnej), odrzucali komunizm, przeciwstawiając mu zasadę solidaryzmu społecznego, podkreślali związek polskości z katolicyzmem. Potępiano akty przemocy wobec Żydów, uznając dopuszczalność konkurencji kulturalnej i ekonomicznej.

Chęć wstąpienia do OZN zgłosiło wiele organizacji kombatanckich, społecznych i gospodarczych, ale równie dużo sro-

dowisk sanacyjnych pozostało poza nim. Część uczestników legionowej wspólnoty uważało, że zwrot w stronę nacjonalizmu jest sprzeniewierzeniem się myśli Wielkiego Marszałka (tak mówiono obecnie o Józefie Piłsudskim, zaznaczając tym samym dystans w stosunku do Rydza-Śmigłego). Przesilenie nastąpiło na przełomie 1937/1938 roku. Adam Koc i inni zwolennicy flirtu z młodymi nacjonalistami z ONR ustąpili z władz organizacji. OZN mniej teraz zajmował się polityką, bardziej propagowaniem osiągnięć gospodarczych (budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego), co zresztą mieli mu za złe ozonowi radykałowie, którzy ubolewali, że Obóz utracił cechy organizacji narodowej i katolickiej.

Misja skonsolidowania środowisk sanacyjnych nie powiodła się. Pomimo licznych zapowiedzi nigdy nie powstał „rząd ozonowy”, a „prowizoryczny” gabinet Sławoja-Składkowskiego przetrwał do września 1939 r.

Założyciele OZN chcieli uchodzić za „ludzi silnej ręki”, lecz wiele było w tym nieudanego naśladownictwa obcych rozwiązań. Idea „Wodza” w polskim wydaniu daleko odbiegała od wizerunku przywódcy w faszyzmie włoskim i narodowym socjalizmie, gdzie liczyły się charyzma i magnetyczna siła charakteru Duce i Führera. Na tego rodzaju przywódcę Rydza-Śmigły, człowiek w obejściu raczej skromny, unikający wypowiedziania się w sprawach, „które przerastały jego inteligencję” (opinia Stanisława Cata-Mackiewicza), zupełnie się nie nadawał. OZN zamierzał też odebrać Narodowej Demokracji palmę pierwszeństwa w propagandzie antyżydowskiej, lecz przecież miał małą szansę przelicytowania w antysemityzmie wychowanków Dmowskiego, prowadzących wojnę z „niebezpieczeństwem żydowskim” od ponad 30 lat. Przeciwno „ozonowym” poszukiwaniom zwracała się tradycja obozu piłsudczykowskiego, naznaczona pamięcią o związkach z socjalizmem. Twórcy

OZN ulegali modzie swoich czasów i chętnie widzieliby społeczeństwo jako szereg zwartych kolumn, posuwających się na rozkaz Wodza. Cel takiego pochodu rysował się im jednak mgliście, toteż stopniowo zaczęli ograniczać się do samego wezwania: „maszerować!”.

Wezwanie takie mogła najlepiej zrealizować jedynie armia. Toteż w końcu lat 30. jej znaczenie w życiu publicznym wyraźnie wzrosło. Spadek zaufania do władzy, kryzys obozu sanacyjnego, radykalizacja społeczeństwa, m.in. wielki strajk chłopski w 1937 r. oraz ofensywa sił nacjonalistycznych (słynny marsz Adama Doboszyńskiego na Myślenice w 1936 r.), zbrojenia sąsiadów Polski – te i inne zjawiska spędzały sen z oczu generalicji, zachęcając ją do włączenia się w czynną politykę. Ingerencja ta ograniczyła się wszakże do kilku dziedzin.

Jedną była płaszczyzna gospodarcza. Wojsko objęło patronat nad rozbudową przemysłu zbrojeniowego i weszło przy tej okazji w spór z wicepremierem Eugeniuszem Kwiatkowskim na temat sposobu sfinansowania owych inwestycji. O ile Kwiatkowski należał do zwolenników utrzymania stałego kursu złotego, a środki na COP zamierzał zdobyć z podatków, o tyle wojskowi brali za wzór Hjalmara Schachta, prezesa Banku Rzeszy, który zwiększył obieg pieniądza o 2 mld marek (wydano je w większości na zbrojenia). Wicepremier pozostał jednak nieprzejeđnany i grożąc wielokrotnie dymisją, zapobiegł wejściu na drogę kontrolowanej inflacji.

Większy wpływ wywalczyło sobie wojsko w zakresie polityki narodowościowej. Polityka ta w dotychczasowej postaci nie przyniosła, wedle opinii nowego przywództwa obozu sanacyjnego, zespolenia mniejszości narodowych z Rzeczpospolitą. Rodziło to obawy, że w razie wojny mogą one zachować się niełojalnie wobec państwa. Stąd pomysł swego rodzaju akcji prewencyjnej, która miała odebrać tej ludności zdolność do destrukcyjnego działania.

W akcji takiej Ministerstwo Spraw Wojskowych, a także sam Rydz-Śmigły, odegrali aktywną rolę. Jej areną były ziemie wschodnie. Posługując się intensywną propagandą lub stosując represje administracyjne, zmierzano do osłabienia ukraińskich i białoruskich instytucji gospodarczych i kulturalnych, polonizacji ludności z obszarów etnicznego pogranicza, częściowej polonizacji Kościoła prawosławnego itp. Największego rozgłosu nabrało zniszczenie przez wojsko w 1938 r. ponad 120 prawosławnych obiektów na Chełmszczyźnie (w tym 91 cerkwi). Posunięcia te nie wzmocniły potencjału obronnego państwa, zaogniły za to relacje polsko-ukraińskie, co przyniosło tragiczne skutki w latach II wojny światowej.

Latem 1938 r. obóz sanacyjny wkroczył w ostatnią fazę egzystencji. W czerwcu, po śmierci marszałka sejmu, Stanisława Cara, na jego miejsce wybrano Walerego Sławka. Był to jawny afront, świadomie zrobiony Mościckiemu i Rydzowi-Śmigłemu przez posłów. Powrót dawnego przywódcy „grupy pułkowników” nie był w stanie zagrozić pozycji mężów duumwiratu, stawił ich jednak w kłopotliwej sytuacji, tym bardziej że nowy marszałek jako swe główne zadanie określał nadzór nad „przestrzeganiem praw ustrojowych w ustawie konstytucyjnej zawartych”.

Prezydent i Generalny Inspektor porozumieli się szybko i 18 września 1938 r. Mościcki ogłosił przedterminowe wybory. Priorytetowym celem nowego parlamentu miało być „zajęcie stanowiska w sprawie ordynacji wyborczej”. W ten sposób obaj politycy zρέcznie odbijali piłeczkę rzuconą przez Sławka: pułkownik chciał zostać strażnikiem konstytucji, oni zaś wypominali mu autorstwo niefortunnych zasad głosowania, które w 1935 r. doprowadziły do prestiżowej porażki obozu sanacyjnego.


Obietnica zmiany ordynacji, kokieteryjne gesty pod adresem opozycji (rozmowy Eugeniusza Kwiatkowskiego z ludow-

cami i socjalistami), poprawa sytuacji gospodarczej – wszystko to wpłynęło na zwiększenie frekwencji. W listopadzie 1938 r. poszło do urn 67 proc. uprawnionych (w 1935 r. 46 proc.). Nowy parlament składał się w 80 proc. ze zwolenników OZN. Parlamentarzyści o legionowej przeszłości należeli do rzadkości, dominowali urzędnicy i pościągani z dalekiej prowincji chłopi. Walery Sławek nie zdołał przecisnąć się przez sito ułożonej nigdyś przez siebie ordynacji, a 2 kwietnia 1939 r. kraj dowiedział się o jego samobójczej śmierci. Pogrzeb pułkownika przemienił się w manifestację starych piłsudczyków, zarzucających Mościckiemu i Rydzowi-Śmigłemu zdradę ideałów Marszałka.

Gwałtowne pogorszenie się sytuacji międzynarodowej spowodowało wyciszenie sporów wewnętrznych, toteż hasło „konsolidacji narodu” otrzymało po raz pierwszy szansę urzeczywistnienia. Prezydent i Generalny Inspektor nie dopuścili jednak do powołania koalicyjnego rządu obrony narodowej. Jak się wkrótce okazało, była to postawa sprzeczna nawet z egoistycznie pojmowanym interesem sanacji. Gdy bowiem w październiku 1939 r. umilkły strzały bitewne, opinia publiczna obarczyła bezlitośnie przywódców rządzącego obozu odpowiedzialnością za doznaną klęskę.

Mariusz Wołos

**SZKIC O POLSKIEJ POLITYCE
ZAGRANICZNEJ
W MIĘDZYWOJENNYM DWUDZIESTOLECIU**

zিয়ে polskiej polityki zagranicznej w międzywojennym dwudziestoleciu podzielić można na pięć podokresów.

Okres pierwszy to lata 1918–1923, a zatem początki państwa polskiego, budowanie aparatu dyplomatycznego, ale przede wszystkim walka o granice Polski Odrodzonej, następnie o ich uznanie na arenie międzynarodowej oraz stworzenie systemu sojuszy, które mimo wszelkich trudności pozostały w mocy do 1939 r., a w przypadku sojuszu polsko-francuskiego formalnie i faktycznie nawet dłużej.

Okres drugi (lata 1923–1926) to czas istotnych przeobrażeń na arenie europejskiej, które nie pozostaną bez wpływu na polską politykę zagraniczną. Posługując się określeniem często stosowanym w literaturze naukowej, a także pamiętnikarskiej, możemy te lata nazwać okresem lokarnińskim.

Początek okresu trzeciego (1926–1932) wyznacza zbrojny zamach stanu w Warszawie, a koniec objęcie szefostwa dyplomacji polskiej przez płk. dypl. Józefa Becka. Był to czas względnej stabilizacji w stosunkach europejskich, a nawet spokoju. Głównym celem polityki zagranicznej państwa polskiego było w tym okresie umocnienie pozycji Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej oraz mniej lub bardziej udane próby po-

szukiwania *modus vivendi* w stosunkach z sąsiadami, ze szczególnym uwzględnieniem Niemiec i ZSRR.

Przedostatni okres obejmuje niespokojne lata 1932–1938, poprzedzające wybuch konfliktu światowego, rozpętanego przez sąsiadujące z Polską mocarstwa, czemu polska dyplomacja nie była w stanie przeciwdziałać, tym bardziej że zabrakło wsparcia mocarstw zachodnich. Można na ten okres spojrzeć jednak jeszcze inaczej. Były to lata, w których – w przeciwieństwie do wcześniejszych okresów – polska dyplomacja próbowała szukać własnych rozwiązań, własnych dróg, nie dając się podporządkować trendom narzucanym przez innych. Nie tylko akcentowanie niezależności polskiej polityki, ale i faktyczne niezależne działanie było zgodne z myślą polityczną Józefa Piłsudskiego, kreatora polityki polskiej w latach 1926–1935. Minister Beck, realizator tejże polityki, podkreślał, że Polska *c'est un pays qui se respecte* (to kraj, który się szanuje). Politykę II Rzeczypospolitej w tych latach określa się często mianem „polityki równowagi”. Sądzę, że bardziej adekwatnym określeniem jest polityka „równych odległości”. Jej istotą bowiem była próba utrzymywania dobrych i opartych na bilateralnych układach stosunków z Niemcami i ZSRR, w taki jednak sposób, aby nie zbliżyć się do jednego z nich, ponieważ groziło to oddaleniem się od drugiego.

Ostatni okres to lata 1938–1939, a właściwie niespełna rok poprzedzający wybuch II wojny światowej, w którym załamała się polityka „równych odległości”, a Polska szybko traciła podmiotowość na arenie międzynarodowej, mimo niemałych wysiłków zmierzających do przeciwdziałania tej sytuacji.

* *

Początki polityki zagranicznej Polski Odrodzonej były niezwykle trudne. Trudności te nie wynikały tylko z konieczności

budowania od podstaw własnego państwa, ze wszystkimi konsekwencjami takiego stanu rzeczy, jak choćby brakiem fachowego aparatu urzędniczego, w tym dyplomatycznego. Miały one swoje źródło w niestabilnej sytuacji międzynarodowej, w konfliktach z większością sąsiadów, niechętnie patrzących na aspiracje terytorialne odradzającej się Rzeczypospolitej. Nie bez wpływu na sytuację wewnętrzną pozostawały hasła rewolucyjne płynące zarówno z Rosji ogarniętej wojną domową, jak i z Niemiec, gdzie właśnie obalono monarchię i w wielkim chaosie rozpoczęto budowanie Republiki, zwanej nieco później Weimarską.

Jednym z największych problemów, przed którym stanęło wówczas państwo polskie, było istnienie dwóch konkurujących ze sobą ośrodków władzy. Pierwszym z nich był powołany w sierpniu 1917 r. w Lozannie, ale mający swoją siedzibę w Paryżu, Komitet Narodowy Polski (KNP) z Romanem Dmowskim na czele, formalnie uznany przez zwycięską Ententę za oficjalne przedstawicielstwo polskie. Zdominowany przez działaczy prawicowych spod znaku narodowej demokracji oraz sił konserwatywnych, nie stanowił wszak politycznego monolitu. KNP miał swoje przedstawicielstwa, wykonujące pracę dyplomatyczną i konsularną, w stolicach mocarstw Ententy. I tak w Londynie reprezentował go hr. Władysław Sobański, w Rzymie Konstanty Skirmunt, w Paryżu Erazm Piltz, w Waszyngtonie Ignacy Jan Paderewski. Wszystkie wymienione tu osoby zajęły potem czołowe stanowiska w dyplomacji polskiej.

Drugim ośrodkiem centralnym władzy polskiej był rząd powołany przez Józefa Piłsudskiego w listopadzie 1918 r. w Warszawie, na którego czele stanął wierny mu Jędrzej Moraczewski, a tekę spraw zagranicznych objął świetny znawca Europy Wschodniej, Leon Wasilewski. Rządowi warszawskiemu oraz samemu Piłsudskiemu, już jako tymczasowemu naczeln-

nikowi państwa o faktycznie dyktatorskich prerogatywach, podporządkowały się inne regionalne ośrodki władzy utworzone jesienią 1918 r. Piłsudski i Moraczewski w drugiej połowie listopada podjęli próbę notyfikowania mocarstwom Ententy faktu powstania państwa polskiego. Nie doczekali się jednak odpowiedzi. W Paryżu uznawano jedynie KNP, z którym konsultowano wszelkie sprawy dotyczące Polski. Ponadto obawiano się, że odradzające się państwo będzie marionetką w rękach niemieckich, a nawet posłuży do realizacji koncepcji Mitteleuropy, czyli podporządkowania Europy Środkowej Berlinowi. Chętnie przypominano przy tym, że Piłsudski większość wojny światowej spędził w obozie państw centralnych i równie chętnie zapominano, że od lipca 1917 r. był przetrzymywany przez Niemców w twierdzy magdeburskiej za czynne przeciwstawienie się ich planom wobec ziem polskich.

Bardzo szybko miało się okazać, że ów dualizm będzie poważnym hamulcem dla rodzącego się państwa. Inaczej jednak wyglądały problemy międzynarodowe, przed którymi stanęli Polacy, z perspektywy Warszawy, a inaczej z perspektywy Paryża. W Warszawie zdawano sobie sprawę, że najważniejszą kwestią, od której zależy w ogóle istnienie państwa, jest znalezienie *modus vivendi*, a następnie *modus operandi* w stosunkach z Niemcami. A Niemcy nie tylko stacjonowali na ziemiach polskich, ale także otaczali rodzące się państwo polskie od zachodu, północy i wschodu, gdzie stała potężna armia Oberostu. Dla żołnierzy niemieckich z formacji Oberostu, zmęczonych długoletnią wojną, zachęcanych hasłami rewolucyjnymi, ale także świetnie uzbrojonych i bynajmniej nie zdemoralizowanych, najkrótsza droga do domu wiodła przez ziemie polskie. Z perspektywy Paryża problem ten miał znaczenie drugoplanowe, a najważniejszą sprawą było przygotowanie traktatu pokojowego z Niemcami, zwłaszcza zaś zdobycie najkorzystniejszej granicy na zachodzie.

Warto o tych priorytetach pamiętać, tym bardziej że znalazły one wyraz w praktycznych działaniach. Piłsudski nie miał oporów, godząc się na przyjęcie pierwszego posła niemieckiego w Polsce hr. Harry'ego Kesslera (20 listopada – 15 grudnia 1918 r.). Zdawał sobie bowiem sprawę, że z przedstawicielem Niemiec trzeba podjąć jak najrychlej rozmowy o takiej drodze ewakuacji wojsk Oberostu, by wracające oddziały ominęły ziemie polskie lub przejechały przez nie bez zagrożenia polskiej suwerenności. Próbowano także negocjować kwestię połączenia pomiędzy Warszawą a Poznaniem, gdzie funkcjonowała Naczelna Rada Ludowa, mając na uwadze jak najszybsze włączenie Wielkopolski w skład odradzającego się państwa. Innym zagadnieniem podjętym podczas rozmów z Kesslerem była sprawa przepuszczenia przez Oberost oddziałów polskich do Wilna, aby uprzędzić prących od wschodu bolszewików.

Kwestii tych nie udało się jednakże rozstrzygnąć w okresie krótkiej misji posła Niemiec. Dał o sobie znać wspomniany wyżej dualizm. Dla większości członków KNP nawiązanie przez Niemcy stosunków z władzą w Warszawie było jawnym dowodem wchodzenia rodzącego się państwa polskiego w orbitę wpływów Berlina. Podobne oceny formułowali w kraju wcale liczni zwolennicy narodowej demokracji i innych ugrupowań prawicowych, którzy na ulicach Warszawy manifestowali przeciw obecności Kesslera. Nic też dziwnego, że posła niemieckiego poproszono o opuszczenie Polski, zresztą ledwie kilkanaście dni przed wybuchem powstania wielkopolskiego. Odjazd Kesslera faktycznie oznaczał zerwanie stosunków dyplomatycznych między Polską a Niemcami na wiele miesięcy. Dopiero wiosną 1920 r. władze w Berlinie przysłały do Warszawy *chargé d'affaires*.

Pozostały jednak do załatwienia sprawy podejmowane w rozmowach z Kesslerem. Kwestia połączenia z Poznaniem

nabrała innego kształtu po wybuchu powstania wielkopolskiego (27 grudnia 1918 r.). Dzięki powstańcom zajęto zdecydowaną większość dawnej Prowincji Poznańskiej, a zatem Wielkopolski i Kujaw Zachodnich, oddając je pod władanie Naczelnej Rady Ludowej. Niemalą rolę odegrała wówczas dyplomacja polska. Ignacy Paderewski, premier i zarazem minister spraw zagranicznych, w styczniu i w pierwszej połowie lutego 1919 r. słał do Paryża alarmujące telegramy na temat walk w Wielkopolsce i środków stosowanych przez Niemców, w tym gazów bojowych. Przyniosło to wymierny efekt podczas rozmów z Niemcami w Trewirze na temat przedłużenia zawieszenia broni. Wówczas to marsz. Ferdinand Foch postawił stronie niemieckiej ultimatum: albo przerwanie walk w Wielkopolsce, albo rozpoczęcie ofensywy całością sił Ententy na froncie zachodnim (16 lutego 1919 r.). Niemcy musieli zaprzestać działań zbrojnych przeciwko powstańcom, co wcale nie oznaczało, że ostatecznie pogodzili się z utratą dzielnicy poznańskiej.

Niemalże równolegle udało się znaleźć porozumienie z władzami Oberostu w sprawie wycofania oddziałów niemieckich i przepuszczenia Wojska Polskiego w kierunku Wilna. Faktycznie jeszcze w grudniu 1918 r. ustalono, że żołnierze niemieccy będą opuszczać Europę Wschodnią linią kolejową przez Białystok, Grajewo, Olsztyn, Iławę, Toruń, Bydgoszcz, Nakło i Piłę. 5 lutego 1919 r. podpisano tzw. umowę białostocką, którą ze strony polskiej wynegocjowali dr Ludwik Kolankowski jako przedstawiciel MSZ i kpt. Janusz Gąsiorowski jako przedstawiciel władz wojskowych. Niemcy godzili się na przepuszczenie wojsk polskich ku Wilnu, zajętemu już zresztą przez bolszewików, a nawet przekazanie Polakom części uzbrojenia. W zamian uzyskali ułatwienia transportowe w drodze na zachód. Prawdziwe motywy podpisania przez stronę niemiecką tej umowy wyjawiał gen. Hans von Seeckt, który nie ukrywał, że celem

zasadniczym skierowania Polaków do walki z bolszewikami był zamiar odciągnięcia ich uwagi i sił od Wielkopolski, gdzie trwały jeszcze walki z powstańcami. Trewir przekreślił jednak plany niemieckich wojskowych.

Już pierwsze dyplomatyczne kontakty polsko-bolszewickie były zapowiedzią konfliktu między obu państwami. Zaczęło się dosyć niewinnie od ponawianych kilkakrotnie prób zainstalowania w Warszawie jako oficjalnego przedstawiciela władzy sowieckiej polskiego komunisty Juliana Marchlewskiego. Zdając sobie sprawę z komplikacji międzynarodowych i niechęci mocarstw zachodnich do bolszewików, Leon Wasilewski odrzucił tę propozycję. Z drugiej strony domagał się w listopadzie i grudniu 1918 r. uwolnienia aresztowanych w Rosji przedstawicieli Rady Regencyjnej, których traktował jako oficjalnych polskich reprezentantów.

Na przełomie 1918 i 1919 r. doszło do poważnego zaostreżenia relacji polsko-bolszewickich. Z Warszawy została wyproszone misja Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, nie bez podstaw oskarżana przez stronę polską o szerzenie propagandy komunistycznej. Członkowie tej misji zostali zastrzeleni przez konwojujących ich żandarmów w okolicach miejscowości Łapy, a zatem blisko linii demarkacyjnej oddzielającej Wojsko Polskie od oddziałów Armii Czerwonej. Wydarzenie to spowodowało gwałtowną reakcję ludowego komisarza spraw zagranicznych Gieorgija Cziczierina. Do tego wszystkiego w styczniu i lutym 1919 r. Polska znalazła się faktycznie w stanie wojny z Rosją Sowiecką, wojny, której nikt nie wypowiedział, a która miała wkrótce pochłonąć dziesiątki tysięcy ofiar. Przyczyn konfliktu szukać należy bardziej w aspiracjach terytorialnych niżli motywach ideowych. Te ostatnie zaczęły brać górę później, w miarę rozwoju działań zbrojnych. Za początek wojny polsko-sowieckiej uznaje się albo walki Samoobrony Wileńskiej, dowodzonej

przez gen. Władysława Wejtkę, z napierającymi od wschodu regularnymi oddziałami Armii Czerwonej, do których doszło już na początku stycznia 1919 r. na terenie Wilna i jego okolic, albo też pierwsze starcia regularnych oddziałów Wojska Polskiego z bolszewikami w połowie lutego 1919 r. w pobliżu Berezny Kartuskiej.

Początkowo walki nie zapowiadały jeszcze skali konfliktu. Co więcej, podjęto próbę porozumienia się z Sowiecami na drodze dyplomatycznej. Do Moskwy, najpewniej jeszcze w lutym 1919 r., udał się działacz Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) Aleksander Więckowski, mający także plenipotencje MSZ. Jego zadaniem było uwolnienie aresztowanych przez bolszewików przedstawicieli Rady Regencyjnej oraz innych osób narodowości polskiej, a także oddanie pod opiekę neutralnej dyplomacji duńskiej rzesz Polaków przebywających w Rosji. Więckowski, posiadający świetne kontakty w kręgach rewolucjonistów rosyjskich, oba te zadania wypełnił. W swoich działaniach posunął się jednakże znacznie dalej. Zaproponował mianowicie stronie sowieckiej przeprowadzenie na kresach wschodnich plebiscytu, który w sposób najbardziej obiektywny rozstrzygnąłby o przynależności państwowej spornych terytoriów. Trzeba jednak podkreślić, że w tym wypadku Więckowski przekroczył pełnomocnictwa uzyskane z MSZ, kierując się wyłącznie wytycznymi otrzymanymi od władz PPS. Strona sowiecka, za zgodą samego Lenina, przyjęła propozycję plebiscytu. Do jego przeprowadzenia nigdy jednak nie doszło, ponieważ w kwietniu 1919 r. Piłsudski rozpoczął ofensywę, której efektem było zajęcie Wilna i przesunięcie linii frontu daleko na wschód.

Tymczasem wielkimi krokami zbliżał się termin rozpoczęcia konferencji pokojowej w Paryżu, który wyznaczono na 18 stycznia 1919 r. Zdając sobie sprawę z niefortunnego położenia Polski, posiadającej dwa ośrodki władzy, Piłsudski podjął sta-

rania o zmianę tego stanu rzeczy, szukając drogi porozumienia z Dmowskim. W tym celu w końcu grudnia 1918 r. wysłał do Paryża swoich delegatów w osobach Kazimierza Dłuskiego (prywatnie szwagra Marii Skłodowskiej-Curie), Antoniego Sujkowskiego i Michała Sokolnickiego. Mieli oni zostać dokończonymi do składu KNP. Tym samym doszłoby do kompromisu między dwoma ośrodkami polskiej władzy. Sprawy potoczyły się jednak innym nieco torem. Otóż w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. przedstawiciele prawicy próbowali obalić rząd Moraczewskiego i położyć kres władzy Piłsudskiego. Źle przygotowany zamach stanu zakończył się kompletnym fiaskiem. Uzmysłowił on jednak przedstawicielom prawicy, zarówno tym w kraju, jak i tym w Paryżu, że nie da się obalić czy też obejść Piłsudskiego, a zatem należy szukać z nim kompromisu. Niektórzy historycy uważają, że Naczelnik Państwa wiedział o przygotowywanym zamachu, a nawet go inspirował, chcąc następnie skompromitować jego wykonawców i otworzyć sobie drogę do realizacji dalekosiężnych planów. W efekcie tendencje obu ośrodków władzy wreszcie się zbiegły. Kompromis rzeczywiście szybko osiągnięto. Było nim powołanie 16 stycznia 1919 r., zatem zaledwie na dwa dni przed otwarciem konferencji pokojowej w Paryżu, rządu, na którego czele stanął Ignacy Jan Paderewski, jeszcze niedawno przedstawiciel KNP w Stanach Zjednoczonych. Otrzymał on również tekę ministra spraw zagranicznych. Kto wie, czy powołanie do życia tego gabinetu, które dokonało się na drodze ustępstw tak ze strony Piłsudskiego, jak i Dmowskiego, nie było jednym z największych i najbardziej owocnych kompromisów, a zarazem sukcesów w dziejach Polski w minionym stuleciu?

Szybko też przyniosło efekty w postaci uznania w styczniu i lutym 1919 r. *de iure* państwa polskiego przez mocarstwa Ententy, powołania jednej delegacji na konferencję pokojową (delegatami byli Dmowski i Paderewski, a do czasu jego przy-

bycia do Paryża w kwietniu 1919 r. zastępował go Dłuski), wreszcie rozszerzenia zadań i możliwości dyplomacji polskiej.

Bez wątpienia centrum aktywności dyplomacji polskiej, podobnie zresztą jak i życia międzynarodowego, w pierwszej połowie 1919 r. przeniosło się do Paryża, gdzie trwała konferencja pokojowa (18 stycznia – 28 czerwca 1919 r.), mająca doprowadzić do wynegocjowania i podpisania traktatu z Niemcami oraz przygotowania traktatów z innymi państwami centralnymi. W przeciwieństwie do tego rodzaju konferencji toczonych w XIX stuleciu do stołu obrad nie zaproszono przegranych. Nie zaproszono także bolszewików. Już ten fakt zbliżał ku sobie Niemcy i Rosję Sowiecką, chociaż najprzenikliwsze nawet umysły wiosną 1919 r. nie były w stanie przewidzieć, że kilka lat później negowanie ładu wersalskiego, wypracowanego właśnie podczas paryskiej konferencji pokojowej bez udziału Berlina i Moskwy, będzie platformą porozumienia między Republiką Weimarską oraz Sowietami. Powszechnie liczono się natomiast z rychłym upadkiem władzy bolszewickiej i zwycięstwem rosyjskich białych armii, które cieszyły się poparciem francuskich, angielskich, amerykańskich, japońskich oraz włoskich decydentów. Z tego też powodu sprawami Europy Wschodniej i przyszłej zachodniej granicy Rosji w Paryżu zasadniczo się nie zajmowano, odkładając je na później, aczkolwiek w kuluarach chętnie słuchano reprezentantów emigracji rosyjskiej. Piłsudski doskonale wyczuwał te nastroje. Dlatego też mówił do swoich zaufanych, że sprawa granicy polsko-niemieckiej jest nade wszystko zależna od Ententy, pozostawiając rozgrywkę w tej materii Dmowskiemu. Inaczej podchodził do sprawy granicy wschodniej. W tym przypadku uważał, że wiele, jeśli nie wszystko, zależy od samych Polaków.

Tymczasem Dmowski już na przełomie stycznia i lutego 1919 r. przedstawił w Paryżu postulaty i stanowisko strony pol-

skiej, bynajmniej nie tylko w sprawach przyszłych granic, ale również miejsca i roli odrodzonej Rzeczypospolitej na nowej mapie Europy. Najpierw, wywołany przez przewodniczącego obradom premiera Francji Georges'a Clemenceau, zrobił to w formie ustnej w kilkogodzinnym przemówieniu, które sam tłumaczył z francuskiego na angielski, wzbudzając podziw i zdumienie zebranych, następnie zaś wyłożył postulaty terytorialne w formie pisemnej, adresując je na ręce przewodniczącego komisji ds. polskich Jules'a Cambona. Dmowski żądał dla Polski Śląska Cieszyńskiego, całego Górnego Śląska, Opolszczyzny, powrotu do granic przedrozbiorowych w Wielkopolsce, ziemi złotowskiej, ziemi bytowskiej, całej Kaszubszczyzny, chciał, aby granica polsko-niemiecka przebiegała na wschód od Słupska. Domagał się włączenia Prus Zachodnich z Gdańskiem i rejencją kwidzyńską do Rzeczypospolitej. Postulował oddanie Polsce Warmii i Mazur, zaś Litwie możliwie jak najwięcej terytorium dawnych Prus Wschodnich w rejonie Kłajpedy, wierząc, że znajdzie się ona w jakiejś formie federacji z odrodzonym państwem polskim. W ten sposób chciał ograniczyć do minimum rejon Prus Wschodnich jako niebezpieczny – ze względów geopolitycznych i militarnych – nawis nad terytorium Rzeczypospolitej, stanowiący zarazem punkt wyjścia do przyszłych niemieckich rewindykacji. Dmowski postulował ponadto, aby owa resztką Prus Wschodnich znalazła się pod ścisłą kontrolą zwycięskich mocarstw. Jeżeli uwzględnimy, że kilka tygodni wcześniej, na początku listopada 1918 r., Erazm Piltz całkiem poważnie rozpatrywał linię Koszalin–Gorzów Wielkopolski jako granicę, poza którą miałyby się wycofać oddziały niemieckie po podpisaniu zawieszenia broni, to postulaty terytorialne Dmowskiego uznać należy za umiarkowane, a nawet wstrzemięźliwe w porównaniu z głosami niektórych przedstawicieli KNP. Poniekąd potwierdza to fakt pozytywnego

ustosunkowania się komisji Cambona do polskich żądań, z jednym wszak wyjątkiem – sugestią przeprowadzenia plebiscytu na Warmii i Mazurach.

Szybko jednak okazało się, że postulaty zgłoszone przez Dmowskiego są nie do przyjęcia dla przedstawicieli mocarstw, zwłaszcza zaś dla premiera Wielkiej Brytanii Davida Lloyd George'a. Polityk brytyjski nie kierował się antypatią wobec Polski i Polaków, aczkolwiek nie była mu ona obca. Nade wszystko kierowała nim racja stanu swojego państwa, a tę wyrażała stara angielska zasada *balance of power*. Polskę postrzegał jako klientkę Francji. Francję zaś jako państwo, które po pokonaniu Niemiec, rozpadzie Austro-Węgier, pograżeniu się Rosji w chaosie rewolucji i wojny domowej może zagrozić interesom brytyjskim na kontynencie i w koloniach. Jego kierunek działania był zatem prosty – nie dopuścić do nadmiernej osłabienia Niemiec, jako jedyne go czynnika, który będzie w stanie zrównoważyć potęgę Francji, dążyć natomiast do osłabienia Paryża tam, gdzie to będzie możliwe, czy to godząc w jego interesy bezpośrednio, czy też pośrednio, a zatem na przykład obalając punkt za punktem postulaty Dmowskiego. Trzeba przyznać, że delegacja brytyjska potrafiła przekonać do swoich racji Amerykanów i Włochów. Osamotnieni Francuzi najczęściej oddawali pole Anglosasom, popieranym przez Italię, przy obojętności Japończyków zasadniczo ograniczających swoje zainteresowanie do problemów Dalekiego Wschodu.

Na efekty tych działań nie trzeba było długo czekać. Młoda polska dyplomacja nie miała najmniejszych szans w zderzeniu z większością potęg ówczesnego świata. Najpierw Lloyd George zakwestionował przynależność Gdańska do Polski, pozostając głuchym na argumenty natury gospodarczej, a szeroko szermując statystykami narodowościowymi, wedle których w mieście i jego okolicach zdecydowanie dominowali Niemcy.

Postanowiono zatem, że Gdańsk będzie Wolnym Miastem pod protektoratem Ligi Narodów, aczkolwiek Polska zachowa prawa w porcie. Na nic zdały się gwałtowne protesty Dmowskiego i przybyłego do Paryża Paderewskiego. Zaraz za tym poszły brytyjskie postulaty przeprowadzenia plebiscytu na Powiślu, a zatem w rejencji kwidzyńskiej (powiaty: kwidzyński, malborski, sztumski, suski). Już po przedstawieniu delegacji niemieckiej projektu przyszłego traktatu pokojowego, Lloyd George zażądał przeprowadzenia plebiscytu na Górnym Śląsku i ziemi opolskiej. Używał przy tym argumentu trudnego do odparcia przez Francuzów. Zadawał pytanie: w jaki sposób Niemcy mają spłacić reparacje wojenne, skoro pozbawiono ich Zagłębia Saary, Nadrenia ma być okupowana, a na dodatek odbierze się im węgiel i huty górnośląskie? I w tym przypadku Francuzi musieli ustąpić. Wszak bliższa ciału koszula.

Ostatni cios był niespodziewany i okazał się szczególnie bolesny. Dopiero w połowie czerwca 1919 r. Dmowski i Paderewski dowiedzieli się, że jest przygotowywany traktat o ochronie mniejszości narodowych (zwany także „małym traktatem wersalskim”), który miał być narzucony między innymi Polsce. Pozwalał on ingerować w wewnętrzne sprawy naszego państwa i kierować skargi mniejszości na forum Ligi Narodów, a zatem rozpatrywać problemy obywateli polskich na arenie międzynarodowej. Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że przegrane Niemcy nie zostały zmuszone do przyjęcia tego rodzaju traktatu. W praktyce liczna w Niemczech Polonia została pozbawiona opieki międzynarodowej (z wyjątkiem Polaków zamieszkujących Górny Śląsk), natomiast mniejszość niemiecka uzyskała instrumenty niezbędne do obrony swoich praw na forum międzynarodowym. Podejmowane, zwłaszcza przez Paderewskiego, próby nałożenia podobnych zobowiązań na państwo niemieckie zostały odrzucone argumentem, że nale-

żałoby zmienić brzmienie całego traktatu pokojowego, a na to nie ma już czasu. Warto dodać, że w latach 1920–1934 przedstawiciele mniejszości narodowych zamieszkujących terytorium II Rzeczypospolitej złożyli do Ligi Narodów i Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze 318 skarg i petycji (z czego Niemcy aż 300!). Do większości tych skarg organizacje międzynarodowe ustosunkowały się pozytywnie, a zatem na niekorzyść państwa polskiego, tym samym osłabiając jego pozycję. Nic zatem dziwnego, że „mały traktat wersalski” traktowano w Warszawie jako ciasny, uwięrający gorset.

Sejm Ustawodawczy szybko jednak ratyfikował traktat wersalski, a Piłsudski jako głowa państwa złożył pod tą ratyfikacją swój podpis. Pomimo wszelkich niedostatków był to dokument o fundamentalnym znaczeniu dla istnienia państwa polskiego i punkt wyjścia do kształtowania w przyszłości relacji polsko-niemieckich.

Problemy niemieckie i sowieckie nie były jedynymi zagadnieniami absorbującymi uwagę polskiej dyplomacji. W pierwszych miesiącach niepodległości Polska znalazła się w stanie zbrojnych konfliktów z większością sąsiadów. We wszystkich przypadkach były to konflikty o charakterze terytorialnym. Z Zachodnio-Ukraińską Republiką Ludową (ZURL) już od przełomu października i listopada 1919 r. walczone o Lwów oraz Galicję Wschodnią. Dzięki wysiłkowi zbrojnemu udało się w końcu listopada wyprzeć oddziały ukraińskie ze Lwowa, a w lipcu 1919 r. odrzucić je za rzekę Zbrucz, a zatem zająć terytoria należące wcześniej do Austro-Węgier. Od stycznia 1919 r. strona polska znalazła się także w stanie wojny z Ukraińską Republiką Ludową (URL), która poparła zbrojnie ZURL. Do walk z tym państwem doszło pod koniec zimy i wiosną 1919 r. na Chełmszczyźnie i Wołyniu.

Bardzo negatywnie na zajęcie Wilna przez wojska polskie w kwietniu 1919 r. zareagowali Litwini, którzy uważali to miasto za swoją historyczną stolicę i nie wyobrażali sobie budowy własnego państwa bez Wileńszczyzny. Dyplomacja polska starała się zdobyć poparcie mocarstw dla aspiracji terytorialnych na wschodzie, akcentując niebezpieczeństwo bolszewickie, ale jej wysiłki nie przyniosły pożądanych efektów. Z punktu widzenia mocarstw zachodnich jakakolwiek próba poszerzenia stanu posiadania poza teren „etnicznie polski” – jak wówczas mówiono, nie zadając sobie najczęściej zresztą trudu znalezienia precyzyjnej definicji tego pojęcia – groziła konfliktem z przyszłą niebolszewicką Rosją, w której powstanie głęboko wierzono. Stąd był już tylko krok do oskarżeń kierowanych pod adresem Warszawy o polski imperializm i brak poczucia rzeczywistości.

Pierwsze tygodnie i miesiące niepodległości przyniosły również kryzys w stosunkach polsko-czechosłowackich. Kością niezgody były w tym przypadku Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawa, ze szczególnym akcentem na ten pierwszy region, jeden z najbardziej uprzemysłowionych w byłej monarchii Habsburgów, a ponadto w większości zamieszkiwany przez ludność świadomą swej polskości. 5 listopada 1918 r. dwie lokalne władze – polska Rada Narodowa Śląska Cieszyńskiego i jej czeski odpowiednik – podpisały umowę, na mocy której większość spornego terytorium przypaść miała Polsce. Umowa ta nie została jednakże uznana przez władze w Pradze i delegatów czechosłowackich w Paryżu. Zarówno Tomáš Masaryk, jak i Edvard Beneš doskonale zdawali sobie sprawę ze znaczenia gospodarczego (pokłady węgla, huty szkła) tego rejonu dla rodującego się państwa czechosłowackiego. Przez Zaolzie wiodło najkrótsze połączenie drogowe i kolejowe (węzeł w Boguminie) pomiędzy Czechami i Morawami a Słowacją. Praga zdecydowała się na krok drastyczny. 23 stycznia 1919 r., ledwie

trzy dni przed planowanym terminem wyborów do polskiego Sejmu Ustawodawczego, których przeprowadzenie byłoby zapewne dla strony polskiej rodzajem plebiscytu i ważkim argumentem na przyszłość, oddziały czeskie zaatakowały słaby polski garnizon i w krótkim czasie zajęły cały sporny rejon. Wojsko Polskie, zaangażowane pod Lwowem, nie było w stanie wyprzeć Czechów ze Śląska Cieszyńskiego. Rozpoczęły się znużone negocjacje, podczas których strona polska żądała wycofania oddziałów czeskich i przeprowadzenia na spornym terytorium plebiscytu. Postulaty te były jednak odrzucane. Czesi mieli poparcie nie tylko Brytyjczyków, ale także Francuzów, a możliwości dyplomacji polskiej okazały się niewystarczające, aby zakończyć konflikt po swojej myśli. Problem przynależności Zaolzia, Spiszu i Orawy stawał się ważką determinantą w polityce Warszawy wobec Pragi. Do tego wszystkiego Polacy mieli poczucie wyrządzonej im z premedytacją krzywdy, która zresztą negatywnie odbiła się na losach ich rodaków mieszkających po drugiej stronie Olzy i poddanych czechizacji.

W sprawie kształtu granicy wschodniej ścierały się dwie koncepcje – inkorporacyjna i federacyjna (federalistyczna). Warto jednak podkreślić, że obie były raczej odległe od dominującego wśród większości Polaków poglądu, że odrodzona Rzeczpospolita winna mieć granice sprzed 1772 r., bo tylko wówczas zostanie naprawiona historyczna krzywda wyrządzona Polakom przez mocarstwa rozbiorowe w XVIII stuleciu!

Autorem koncepcji zwanej inkorporacyjną był Roman Dmowski. Jej załączki istniały już przed wybuchem I wojny światowej. Jednakże lider narodowej demokracji dopracował ją w czasie konfliktu światowego, a zwłaszcza w końcowym jego okresie. Wedle Dmowskiego w granicach odrodzonego państwa polskiego powinno znaleźć się tyle ziem, ile da się spolonizować. Głosił on, że terytoria, na których żywił polski (jego zdaniem

wyższy kulturowo od ludności ukraińskiej czy białoruskiej) stanowi co najmniej 60 proc. i jest w stanie narzucić swoją dominację, winny znaleźć się w granicach Polski Odrodzonej. W praktyce proponowany przez Dmowskiego i jego zwolenników zasięg terytorialny na wschodzie był niemalże zbieżny z przyszłą granicą ryską. Nie trzeba było być znawcą stosunków narodowościowych w tym regionie Europy aby zrozumieć, że postulowane przez endeków co najmniej 60 proc. żywołu polskiego nijak się miało do zgłaszanych propozycji terytorialnych. Liczba ta miała więc nade wszystko wymiar propagandowy. Dmowski, rozumując kategoriami egoizmu narodowego, dzielił nacje zamieszkujące Europę Środkową i Wschodnią na historyczne i ahistoryczne. Pierwsze z nich w przeszłości posiadały swoje państwa i teraz też miały prawo je posiadać, drugie zaś nigdy nie były suwerenne i przywódca endecji w dalszym ciągu odmawiał im prawa do suwerenności. Tym samym Dmowski przechodził do porządku nad postępującym, zwłaszcza w drugiej połowie XIX w., procesem kształtowania się świadomości narodowej Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów, który szedł w parze ze wzrostem ich aspiracji państwowych. W tym leżała także słaba strona koncepcji inkorporacyjnej, którą bezwzględnie obnażyły już pierwsze lata istnienia Polski Odrodzonej.

Koncepcja federacyjna lub federalistyczna miała swoje korzenie w czasach powojennych. Wbrew panującym jeszcze i dzisiaj poglądom za jej twórcę trudno uznać Piłsudskiego. Do jej rozpowszechnienia i stworzenia teoretycznych podstaw w największym stopniu przyczynił się Leon Wasilewski. Do grona zwolenników tej koncepcji zaliczyć możemy całkiem pokaźne grono polityków, również spoza obozu belwederskiego. Nie brakowało ich nawet w paryskim KNP, u boku samego Dmowskiego. Zagorzałym zwolennikiem federacji był Pade-

rewski. Koncepcja ta nie była obca kresowym konserwatystom, np. Skirmuntowi czy Piltzowi, aczkolwiek postrzegali ją inaczej niż Piłsudski. Jej istota polegała na stworzeniu, przy aktywnym udziale Polski, niezależnych państw położonych między Rosją a Rzeczpospolitą, które spełniałyby niejako podwójną rolę. Po pierwsze, przez sam fakt istnienia na terytoriach należących ongiś do imperium rosyjskiego osłabiałaby potencjał gospodarczy, społeczny, militarny Rosji, białej czy czerwonej. Po wtóre, stanowiłyby naturalne bufory dla Polski na wypadek agresji ze wschodu i przyjęłyby na siebie pierwszy cios. W interesie Warszawy leżałoby jak najlepsze ułożenie sobie relacji z tymi państwami, które, zagrożone przez Moskwę, w sposób niejako naturalny szukałyby wsparcia nad Wisłą. Jednakże nikt precyzyjnie nie wskazał drogi czy dróg osiągnięcia zamierzonego celu. W tym sensie trudno koncepcję federacyjną uznać za dopracowaną. Dodatnią jej stroną było bez wątpienia uwzględnienie aspiracji państwowych wschodnich sąsiadów, słabą zaś to, że nikt ich nie pytał, czy chcą partycypować w realizacji takowej koncepcji i czy jest ona zgodna z ich racjami. Teoria brała górę nad pragmatyką.

Lata 1919–1921 były rozstrzygające dla prób realizacji obu koncepcji, a co ważniejsze zadecydowały o kształcie granicy wschodniej Polski Odrodzonej. Miało to ścisły związek z dziejami wojny polsko-sowieckiej. Tuż po zajęciu Wilna w kwietniu 1919 r., Józef Piłsudski udał się do swojego ukochanego miasta i wygłosił manifest „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Odwołanie się do historycznej nazwy nie było przypadkowe. Piłsudski deklarował, że o przyszłych losach Wileńszczyzny zadecydują sami jej mieszkańcy. Nie chciał narzucać administracji wojskowej „tej ziemi, jakby przez Boga zapomnianej”, lecz administrację cywilną. Niemalże wysiłku włożono w otwarcie Uniwersytetu Stefana Batorego,

a naczelnik państwa udzielił specjalnego pełnomocnictwa w tym zakresie wspomnianemu już dr. Kolankowskiemu, wybitnemu znawcy dziejów jagiellońskich. W gruncie rzeczy jednak wszystkie te deklaracje z wdzięcznością i euforią przyjmowane były tylko przez jedną nację – Polaków. Litwini dostrzegali w nich polskie zakusy, których celem było odebranie im Wileńszczyzny. Obawiali się polonizacji, zepchnięcia ich własnych aspiracji na jakiś odległy plan. O wiele bliższe były im poglądy głoszone w ostatnich dziesięcioleciach XIX w. przez ludzi takich jak Jonas Basanavičius, jeden z twórców litewskiego odrodzenia narodowego, budujący swoje hasła na opozycji wobec polskość, niż odwołanie się do czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, kojarzonych z polonizacją elit litewskich. Deklaracjami Piłsudskiego nie byli także zainteresowani mieszkający na Wileńszczyźnie Żydzi i Białorusini. Ci pierwsi nie tylko obawiali się polskiego antysemityzmu, ale również byli skutecznie zachęcani przez Litwinów, oferujących nadzwyczaj szeroką autonomię narodowościową w ramach republiki litewskiej. Ci drudzy, mieszkający głównie na wsi, kojarzyli Polaków nade wszystko z ziemiaństwem i innymi warstwami posiadającymi. Dla wielu aktywnych politycznie Białorusinów nieobce były hasła komunistyczne. Z kolei duża część inteligencji wiązała swoje nadzieje z budową Białoruskiej Republiki Ludowej, której przedstawiciele bezskutecznie zwracali się do mocarstw zachodnich obradujących w Paryżu z własnymi programami politycznymi (także federacyjnymi, ale w innym kształcie niż proponowany przez Wasilewskiego i Piłsudskiego), akcentującymi ich odrębność od Polski, Litwy i Rosji. Słowem, zabrakło partnera po stronie litewskiej czy białoruskiej, który podjąłby wspólną z Polakami pracę nad realizacją koncepcji federacyjnej. Potwierdziły to dodatkowo wydarzenia późnego lata 1919 r., gdy po zajęciu Mińska przez Wojsko Polskie

Józef Piłsudski pofatygował się do tego miasta i wygłosił w języku białoruskim przemówienie, zachęcając do politycznego współdziałania, które w praktyce pozostało bez echa.

Lato i jesień 1919 r., kiedy ważyły się losy rewolucji bolszewickiej, były nie lada sprawdzianem dla młodej polskiej dyplomacji. Armia Ochotnicza Południa Rosji dowodzona przez gen. Antona Denikina rozpoczęła ofensywę na Moskwę, wkrótce zajmując Orzeł. Od strony Syberii i Uralu bolszewikom zagrażały oddziały pod komendą adm. Aleksandra Kołczaka. Biali mogli liczyć na wsparcie Ententy. Państwa zachodnie, zwłaszcza Francja i Anglia, rozpoczęły gwałtowne naciski na Warszawę, aby wsparła białych Rosjan w walce przeciwko bolszewikom. Naciski wywierały także kręgi polskiej prawicy, głównie endecja. Prawdą jest, iż bolszewicy poważnie osłabili front zachodni, przierzucając większość oddziałów przeciwko białym. Piłsudski doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zwycięstwo białych będzie dla Polski szczególnie groźne. Dawał temu dowody sam Denikin, który na zajmowanych terenach Ukrainy kazał wieszać rosyjskie flagi i głosić przynależność tych ziem do „jedynej i niepodzielnej” Rosji. Co więcej, sugerował niedwuznacznie, aby oddziały polskie operujące na wschód od Bugu czyniły to samo, a zatem wywieszały rosyjskie flagi i głosiły przynależność tych ziem do państwa rosyjskiego. Biali Rosjanie w najlepszym wypadku godzili się na istnienie państwa polskiego, ale tylko w granicach na zachód od Bugu. Z całą brutalnością deptali ukraińskie czy białoruskie aspiracje państwowe. Ich działania zyskiwały pełną aprobatę mocarstw Ententy, czego potwierdzeniem była słynna linia Curzona, przedstawiona w grudniu 1919 r. przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, wskazująca rzekę Bug jako wschodnią granicę państwa polskiego. Piłsudski rozumiał, że jeśli biali zwyciężą, uzyskają pełne poparcie Zachodu w wyznaczeniu

granicy polsko-rosyjskiej na linii Curzona. Popieranie Denikina godziło zatem w polską rację stanu, oznaczało przekreślenie tak koncepcji inkorporacyjnej, jak i federacyjnej. Z tej perspektywy bolszewicy wydawali się mniej groźni. Nikt ich na Zachodzie nie popierał. Tak naprawdę jak najdłuższy konflikt między białymi i czerwonymi, zgodnie z zasadą „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”, był po prostu Polsce na rękę.

Nic zatem dziwnego, że we wrześniu 1919 r. Piłsudski wydał rozkaz o wstrzymaniu jakichkolwiek działań ofensywnych. Markując wobec Zachodu podjęcie rozmów z Denikinem i chcąc uzyskać informacje na temat wartości bojowej jego oddziałów, nakazał wysłać do białych aż trzy misje – Franciszka Skąpskiego, gen. Aleksandra Karnickiego i Jerzego Iwanowskiego. Najważniejsza spośród nich była misja wywodzącego się z armii rosyjskiej gen. Karnickiego, posłana w październiku 1919 r. do Taganrogu. Informacje uzyskane tą drogą były jednoznaczne: Denikin tej wojny wygrać nie może i popieranie go grozi współudziałem w rychłej już klęsce. Równoległe Piłsudski nakazał potajemne rozmowy z bolszewikami. Toczyły się one w Białowieży, Baranowiczach, wreszcie Mikaszewiczach. Stronę bolszewicką reprezentował Marchlewski, wyposażony w instrukcje Lenina. Ze strony polskiej udział w nich brali Aleksander Więckowski, później Michał Kossakowski, wreszcie bliski Piłsudskiemu Ignacy Boerner. Marchlewski nie ukrywał, że głównym zadaniem jego misji jest możliwie szerokie spectrum negocjacji, nie wyłączając zakończenia działań wojennych. Polskich negocjatorów instrukcje upoważniały jedynie do podejmowania rozmów na temat wymiany jeńców, więźniów i internowanych oraz opieki nad obywatelami Rzeczypospolitej. Sytuacja ta uległa zmianie dopiero w październiku 1919 r., kiedy do negocjacji w Mikaszewiczach włączył się Boerner. Postawił on stronie sowieckiej cztery konkretne warunki, traktowane zresztą

jako sprawdzian prawdziwych intencji Moskwy: 1) utworzenie 10 km pasa oddzielającego Armię Czerwoną od Wojska Polskiego, 2) zaprzestanie propagandy komunistycznej w szeregach polskich i na ich tyłach, 3) oddanie Łatgalii z Dyneburgiem Łotyszom, 4) powstrzymanie się od ataków przeciwko oddziałom ukraińskim atamana Symona Petlury. Boerner kilka tygodni czekał na odpowiedź Marchlewskiego, który udał się na konsultacje do Moskwy. Wreszcie Marchlewski oznajmił, że strona sowiecka godzi się na utworzenie pasa neutralnego, zaprzestanie akcji propagandowej, aczkolwiek jedynie tej czynionej „środkami państwowymi”, zaś problemy łotewskie i ukraińskie nie wchodzi w zakres negocjacji polsko-sowieckich i Moskwa nie będzie na ich temat dyskutować z Polakami. Właściwie już w tym momencie odpowiedź Sowietów negowała sens dalszych pertraktacji. Twarda postawa Moskwy miała swoje źródło w zmianie sytuacji na frontach wojny domowej. Armia Czerwona, w dużym stopniu dzięki wysiłkowi takich ludzi jak Lew Trocki, przejęła inicjatywę i zaczęła brać górę nad białymi oddziałami, które z każdym dniem traciły zapal i możliwości bojowe. Negocjacje polsko-sowieckie przerwano w połowie grudnia, przy czym obie strony starały się zrzucić winę za ich fiasko na partnera.

Poruszone przez Boenera problemy, łotewski i ukraiński, wymagają dodatkowej uwagi. Otóż władze Łotwy zwróciły się do strony polskiej z prośbą o pomoc w usunięciu Armii Czerwonej z Łatgalii. Warszawa była tym zainteresowana, ponieważ w okolicach Dyneburga, a zwłaszcza w powiecie iłkujskim, mieszkało sporo Polaków – stąd też warunek postawiony w Mikaszewiczach Marchlewskiemu. W styczniu 1920 r. Piłsudski nakazał wznowić działania bojowe przeciwko czerwonym właśnie w południowej części Łotwy. W wyniku tak zwanej operacji zimowej Polacy wspólnie z Łotyszami usunęli

oddziały Armii Czerwonej i zajęli Dyneburg, pozostawiając w mieście niewielki garnizon. Faktycznie zatem to właśnie Łotysze byli naszymi pierwszymi sojusznikami w tej wojnie. Współpraca z nimi trwała jednak krótko. W Rydze obawiano się, że strona polska, korzystając z nadarzającej się okazji, przyłączy powiat iłkujski do Rzeczypospolitej i niechętnie patrzyli na obecność żołnierzy polskich w tym rejonie. Rychło też Łotysze podjęli tajne rokowania z bolszewikami, zawierając z nimi układ, o którym nie poinformowali Warszawy.

Inaczej wyglądały w tym czasie sprawy ukraińskie. W drugiej połowie 1919 r. głównym partnerem w stosunkach z Polską stał się ataman Petlura, stojący na czele URL. Jego oddziały znalazły się w szczególnie trudnym położeniu, ponieważ były atakowane nie tylko przez białych, ale i czerwonych. Ponadto spychane przez Rosjan stanęły naprzeciwko Wojska Polskiego. Petlura zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie toczyć walk z trzema przeciwnikami. Należało zatem szukać porozumienia przynajmniej z jednym z nich. W przeciwieństwie do białych i czerwonych Polacy powiązani z obozem belwederskim, a zatem sympatycy Piłsudskiego, nie negowali idei niepodległego państwa ukraińskiego, aczkolwiek w granicach na wschód od rzeki Zbrucz. Był to kompromis do przyjęcia dla Petlury, a zarazem platforma przyszłego porozumienia. Petlura był atrakcyjnym partnerem dla Piłsudskiego. Po raz pierwszy bowiem pojawił się poważny polityk, wraz z którym można było podjąć trud realizacji koncepcji federacyjnej. Negocjacje polsko-ukraińskie toczyły się już jesienią 1919 r. Nabrały jednak tempa wiosną 1920 r. Porozumienie polityczne pomiędzy Polską a URL podpisano 21 kwietnia tegoż roku, a trzy dni później uzupełniono je konwencją wojskową. Spieszono się, ponieważ 25 kwietnia rozpoczęła się operacja wojskowa, której celem było usunięcie Armii Czerwonej z terenów Ukrainy, znana bardziej

pod nazwą „wyprawy kijowskiej”. W sensie militarnym miała ona uprzedzić ofensywę przygotowywaną przez bolszewików na północ od bagien poleskich. Nas interesuje bardziej aspekt polityczny całego przedsięwzięcia. W Belwederze liczone na przychylny stosunek ludności ukraińskiej do wkraczających oddziałów polskich, którym towarzyszyła armia URL. Zderzenie z praktyką było jednak brutalne. Co prawda już 7 maja 1920 r. większość Kijowa została zajęta, a dwa dni później odbyła się na Kreszczatiku defilada oddziałów polskich i ukraińskich przed Petlurą i gen. Edwardem Śmigłym-Rydzem, ale zdecydowana większość Ukraińców odnosiła się do Wojska Polskiego niechętnie, a w najlepszym przypadku obojętnie. Chociaż mało kto jeszcze to rozumiał, sukces militarny był załączkiem politycznej klęski i przekreśleniem koncepcji federacyjnej. Od pamiętnej wiosny 1920 r. Piłsudski nie podejmował już działań w szerszej skali na rzecz realizacji koncepcji federacyjnej, chociaż miał po temu okazję kilka miesięcy później podczas pertraktacji ryskich. Marszałek zrozumiał, że na realizację owego planu w ówczesnych realiach po prostu nie było szans. Warto także podkreślić, że to Ukraińska Republika Ludowa była pierwszym politycznym i wojskowym aliantem Polski Odrodzonej, na długo przedtem zanim zostały nimi Francja czy Rumunia. Sojusz ten nie zawiódł zresztą w najtrudniejszych momentach wojny polsko-sowieckiej, a żołnierze Petlury wiernie stali do końca u boku Polaków.

Już w początkach czerwca 1920 r. Wojsko Polskie musiało opuścić Kijów. Bolszewicy ściągnęli na front posiłki, w tym traktowaną jako miecz rewolucji I Armie Konną dowodzoną przez Siemiona Budionnego. Losy wojny zaczęły się odwracać. W ciągu kilku miesięcy Armia Czerwona stanęła u bram Warszawy, a Lenin pisał do Józefa Unszlichta 15 lipca 1920 r.: „naprężamy wszystkie siły, aby dobić Piłsudskiego”. Na na-

czelnika państwa i naczelnego wodza zewsząd zresztą sypały się gromy. Zachód oskarżał go o imperialne zakusy, także rodzimi przeciwnicy, jeszcze niedawno wiwatujący na cześć Piłsudskiego po zajęciu Kijowa i porównujący go do Bolesława Chrobrego, teraz nie szczędzili mu gorzkich słów i brutalnych personalnych ataków.

Tragiczna sytuacja na froncie wymagała podjęcia działań dyplomatycznych, których celem było zdobycie poparcia mocarstw zachodnich. Gra tak naprawdę szła o zachowanie suwerenności i niepodległości państwa polskiego. Już zimą 1920 r. minister spraw zagranicznych Stanisław Patek podjął próbę uzyskania poparcia Paryża i Londynu dla przygotowywanych działań zbrojnych na Ukrainie. Zabiegi te zakończyły się fiaskiem, a polski polityk usłyszał, że wyjście poza granice etnograficzne wcześniej czy później zakończy się konfliktem z Rosją, w którym mocarstwa zachodnie bynajmniej nie mają ochoty partycypować. Latem sytuacja jeszcze się pogorszyła i wymagała już natychmiastowych działań. Do belgijskiego Spa, gdzie w sprawach niemieckich zebrali się wielcy ówczesnego świata, udał się sam premier Władysław Grabski. Francuzi zasadniczo umywali ręce i odsyłali delegację polską do brytyjskiego premiera Lloyd George'a. Ten rzeczywiście podjął negocjacje i nie wzbierał się wystąpić w roli pośrednika między Warszawą a Moskwą, czynił to jednakże za cenę daleko idących ustępstw ze strony polskiej (10 lipca 1920 r.). Sprowadzały się one do następujących punktów: 1) zgoda na linię Curzona jako wschodnią granicę Rzeczypospolitej, 2) ustąpienie Czechom Zaolzia, 3) odstąpienie Litwinom Wilna, 4) ustępstwa na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Grabski, świadom śmiertelnego zagrożenia dla Polski, warunki te przyjął. W pierwszej sprawie premier Rzeczypospolitej liczył jeszcze na uzyskanie Galicji Wschodniej wraz ze Lwowem, ponieważ linia proponowana przez Curzona

urywała się w rejonie dawnej granicy monarchii Habsburgów i Rosji w okolicach na południe od Hrubieszowa. Nadzieje jego okazały się jednak płonne. W piśmie z 11 lipca, skierowanym do Moskwy i zawierającym propozycje ustępstw, lord Curzon za zgodą Lloyda George'a – bez poinformowania Grabskiego! – wydłużył swoją linię do rzeki San, oddając tym samym Lwów i całą byłą Galicję Wschodnią Sowietom. Szybko przystąpiono także do realizacji pozostałych warunków. 28 lipca podpisano w Spa dokument, w którym strona polska godziła się na odstąpienie od żądania przeprowadzenia plebiscytu na Zaolziu, a tym samym została zmuszona do uznania władzy czeskiej w tym spornym rejonie. W listopadzie 1920 r. podpisano konwencję polsko-gdańską, która wprowadzała wykraczające poza literę traktatu wersalskiego, niekorzystne dla Polski i ograniczające jej prawa w Wolnym Mieście stipulacje, m.in. utworzono mieszaną Radę Portu i Dróg Wodnych.

Najgorsze było jednak to, że Cziczerin odrzucił brytyjskie propozycje pośredniczenia w zakończeniu konfliktu polsko-sowieckiego i wyraźnie grając na czas, dał do zrozumienia, że jedyną drogą są bezpośrednie pertraktacje między Warszawą oraz Moskwą. Urażony taką postawą Lloyd George wycofał się z negocjacji, oddając inicjatywę Polakom. Strona polska pozostała na placu boju sama. Pierwsza próba wysłania do bolszewików delegacji z Warszawy na czele z wiceministrem Władysławem Wróblewskim zakończyła się fiaskiem, ponieważ Sowieci zażądali od Polaków pełnomocnictw do rozmów o natychmiastowym zawieszeniu broni. Dopiero 11 sierpnia udało się do Mińska delegacja kierowana przez innego wiceszefa MSZ, Jana Dąbskiego. Usłyszała ona wręcz upokarzające warunki pokoju: linia Curzona jako przyszła granica z ewentualnymi kilkukilometrowymi odchyleniami na korzyść Polski, redukcja armii polskiej do 50 tys. żołnierzy, oddanie nadwyżek broni

i sprzętu wojskowego Sowietom, zgoda na powołanie do życia milicji ludowej. Przyjęcie tych postulatów w zasadzie oznaczało przekreślenie suwerenności państwa polskiego i najkrótszą drogę do sowietyzacji kraju, którą Moskwa faktycznie już przygotowywała, instalując w Białymstoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Marchlewskim, Feliksem Dzierżyńskim i Feliksem Konem. W pełni zgodzić się należy z opinią, że gdyby Polska przegrała bitwę na przedpolach Warszawy w sierpniu 1920 r., to kłeska dyplomatyczna nie byłaby mniejsza od militarnej, a mocarstwa zachodnie bynajmniej nie sprzeciwiałyby się żądaniom sowieckim.

Wojsko Polskie odparło jednak marsz Armii Czerwonej na Warszawę. Momentalnie zmienił się także ton rozmów w Mińsku, przy czym Sowietci rakiem wycofywali się z dotychczasowych żądań, sugerując, że było to jedynie badanie gruntu przed właściwymi negocjacjami. Pertraktacje pokojowe wkrótce przeniesiono na neutralny teren, a mianowicie do Rygi. Na czele delegacji sowieckiej, reprezentującej Rosję i Ukrainę, stanął Adolf Joffe. W składzie delegacji polskiej znalazło się wielu parlamentarzystów i polityków. Formalnie przewodził jej nadal wiceminister Dąbski, faktycznie pierwsze skrzypce grał działacz endecki prof. Stanisław Grabski, chociaż nie brakowało w jej gronie ludzi związanych z obozem belweaderskim, jak Leon Wasilewski czy Ignacy Matuszewski. Piłsudski nie wywierał jednakże nacisków na delegację, co wywoływało nawet zdziwienie postronnych obserwatorów. Strona polska bez dyskusji zgodziła się na odmówienie udziału przedstawicielom Petlury w negocjacjach. Nie było to lojalne zachowanie wobec wiernego sojusznika. Dlaczego zatem Polacy nie upierali się, aby do stołu obrad u ich boku zasiedli reprezentanci URL, tym bardziej że po drugiej stronie znaleźli się przedstawiciele sowieckiej Ukrainy? Odpowiedź w gruncie rzeczy jest

prosta. W Warszawie zdawano sobie sprawę, że udział Petlury w konferencji pokojowej może przesądzić o jej klęsce, a w najlepszym przypadku o przeciąganiu jej w czasie, gdy tymczasem stronie polskiej zależało na jak najszybszym zakończeniu konfliktu zbrojnego. Polski, podobnie zresztą jak Sowieci, nie było stać na kontynuowanie wyniszczającej wojny. Oba państwa potrzebowały czasu, aby okrzepnąć. W niczym nie zmienia to faktu, że ukraińscy sojusznicy poczuli się porzuceni.

12 października 1920 r. podpisano preliminaria pokojowe w Rydze. Ich najważniejsze punkty to decyzja o zakończeniu działań wojennych w dniu 18 października oraz wytyczenie linii demarkacyjnej, faktycznie już wówczas traktowanej przez uczestników konferencji jako przyszła granica. Biegła ona od rzeki Dźwiny na północy w kierunku południowym, pozostawiając Mińsk po stronie sowieckiej, a Stołpce po stronie polskiej, dalej przecinała bagna poleskie, Nieśwież i Równe miały się znaleźć w Polsce. Na południu linię tę wyznaczała rzeka Zbrucz, a zatem dawna granica pomiędzy Rosją i Austro-Węgrami. Już w listopadzie 1920 r. powrócono do stołu obrad z zamiarem wynegocjowania traktatu pokojowego. Uwagę negocjatorów skupiały zwłaszcza cztery zagadnienia: sprawy finansowe, a przede wszystkim zwrócenie kosztów wynikających z wkładu ziem polskich w rozwój imperium rosyjskiego (Polacy żądali 300 mln rubli w złocie, Sowieci godzili się na sumę 10-krotnie mniejszą), zwrot mienia, dzieł sztuki, archiwaliów zagrabionych przez Rosjan w czasach zaborów, zwrot majątku wywiezionego w 1915 r. z terenów ówczesnego Królestwa Polskiego, z akcentem na zakłady przemysłowe i tabor kolejowy, wreszcie delimitacja granicy i wprowadzenie poprawek, których domagała się strona polska (w sumie, na różnych odcinkach, mówiono o ok. 12 tys. km²). Niemalże problemów sprawiała także repatriacja ludności polskiej z terenów Rosji, Syberii nie wyłączając, oraz zorganizowa-

nie powrotu do domów przez terytorium Rzeczypospolitej jeńców rosyjskich i bolszewickich. Na przełomie 1920 i 1921 r. negocjacje stanęły w martwym punkcie i niewiele brakowało, aby zostały zerwane. Zbliżający się termin plebiscytu na Górnym Śląsku był jednak elementem dopingującym stronę polską. Warszawa chciała pokazać ludności śląskiej i opinii międzynarodowej, że Polska Odrodzona nie jest państwem sezonowym i stabilizuje swoje granice. Z kolei bunt marynarzy w Kronsztadzie, krwawo stłumiony przez oddziały Armii Czerwonej dowodzone przez Michaiła Tuchaczewskiego, przekonywał Moskwę, że należy jak najszybciej znaleźć konsensus z Polską, aby zająć się sprawami wewnętrznymi.

Traktat ryski podpisano 18 marca 1921 r. Był to obszerny dokument ustalający przebieg granicy i regulujący wiele zagadnień szczegółowych. W sprawach spornych więcej ustępstw poczyniła delegacja polska. Zgodzono się na sumę 30 mln rubli jako odszkodowanie dla Polski za wkład w rozwój imperium rosyjskiego, żądania terytorialne ograniczono do ok. 3 tys. km². Sowieci zobowiązali się oddać zagrabione i wywiezione z ziem polskich dobra. Szybko okazało się jednak, że są to z ich strony puste frazesy. Z zasad oddawania Polakom wywiezionego i zagrabionego majątku drwił Piotr Wojkow, w przyszłości poseł ZSRR w Warszawie. Strona polska zbyt późno uświadomiła sobie błąd, jakim był brak sankcji za niewykonanie postanowień traktatu. Już współcześnie mówiono, że Polska obroniła się pod względem militarnym, ale przegrała pokój. Czy rzeczywiście tak było? Trudno zgodzić się z taką opinią. Wszak traktat ryski był dopełnieniem ładu wersalskiego na obszarze Europy Wschodniej. Można nawet mówić o ładzie wersalsko-ryskim. Bezpośrednio lub pośrednio gwarantował on niepodległy byt, a co najmniej warunki pokojowej egzystencji nie tylko Polsce, ale także Litwie, Łotwie, Estonii, Finlandii, w jakiejś mierze

także Rumunii. Wszystkie te państwa przekonały się o tym w latach 1939–1940, kiedy traktat ów został podeptany. W Warszawie pokój zawarty w Rydze traktowano jako *conditio sine qua non*, element trwały, stanowiący odniesienie w innych układach z ZSRR. Dla Moskwy był to tylko układ taktyczny, tymczasowy, choć niezbędny dla zyskania czasu potrzebnego do przygotowania ekspansji na Zachód. Joffe nie bez powodu dawał do zrozumienia, że strona sowiecka byłaby skłonna oddać Polsce jeszcze więcej ziem na wschodzie. W gruncie rzeczy głęboko wierzył, że terytoria te prędzej czy później powrócą pod władanie Moskwy, a większa liczba przedstawicieli mniejszości narodowych w granicach Rzeczypospolitej dawała Sowietom nadzieje na skuteczne osłabienie Polski od środka. Warto też pamiętać, że członkowie delegacji polskiej kierowali się łańską maksymą *pacta sunt servanda* i nie mogli być świadomi stopnia cynizmu sowieckich partnerów. Młodej polskiej dyplomacji brakowało doświadczenia w negocjowaniu z tak trudnym i przewrotnym partnerem, jakim byli bolszewicy.

Stosunki polsko-sowieckie po traktacie ryskim pozostawały więcej niż skomplikowane. Szybko się okazało, że trzeba wielkiego wysiłku, a nawet bolesnych ustępstw, aby Moskwa przystąpiła do realizacji postanowień traktatu w zakresie zwrotu zagrabionego i wywiezionego majątku oraz spłaty należności finansowych. W październiku 1921 r. podpisano umowę, której sygnatariuszami byli wiceminister Dąbski i pierwszy reprezentant dyplomatyczny Rosji Sowieckiej w Polsce Lew Karachan. Moskwa zobowiązała się do wypłaty pieniędzy i zwrotu dóbr stronie polskiej, Warszawa zaś ustąpiła w sprawie usunięcia z terytorium Rzeczypospolitej szeregu białych emigrantów, na czele z Borysem Sawinkowem i niedawanym sojusznikiem Petlurą. Obydwaj – świadomi powagi sytuacji – udzielili zgody na wyjazd z Polski.

Początek 1921 r. przyniósł inne ważne wydarzenia w dziejach polskiej polityki zagranicznej. 19 lutego podpisano sojusz z Francją, składający się z umowy politycznej i tajnej konwencji wojskowej. Wydarzenie to poprzedziła oficjalna wizyta naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego nad Sekwaną (3–6 lutego 1921 r.). W Paryżu sojusz miał wielu przeciwników, do których należały zaliczyć także marsz. Focha. Jego zwolennikiem był natomiast prezydent Alexandre Millerand. Alians miał ostrze wyraźnie antyniemieckie, o co zadbała strona francuska, odrzucając polskie sugestie rozciągnięcia jego stypulacji także na ewentualność wojny z Rosją Sowiecką. Francuzi nie chcieli wchodzić w żadne „wschodnie awantury” i deklarowali w takim wypadku jedynie pomoc materialną, wysłanie misji wojskowej oraz zagwarantowanie bezpieczeństwa szlaków komunikacyjnych. Co więcej, wejście w życie umowy sojuszniczej uzależnili od podpisania porozumień gospodarczych, co nastąpiło dopiero rok później. Fakt ten dobrze obrazuje rozłożenie akcentów przez obie strony – dla Polaków ważne były stosunki polityczne i wojskowe, dla Francuzów przede wszystkim gospodarcze. Mimo to sojusz z największą potęgą lądową ówczesnego świata był nie lada sukcesem dyplomacji polskiej i stał się kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej na długie lata.

Inne znaczenie miał sojusz obronny z Rumunią zawarty 3 marca 1921 r. Oba państwa gwarantowały w nim nienaruszalność swoich granic z Rosją oraz Ukrainą Sowiecką i wzajemną pomoc na wypadek agresji ze wschodu. Również w tym przypadku umowę polityczną uzupełniono tajną konwencją wojskową, która zresztą już we wrześniu 1922 r. została zmieniona i dostosowana do aliansu z Francją. Nie powiodły się późniejsze próby rozciągnięcia sojuszu z Bukaresztem na ewentualne zagrożenie ze strony Niemiec.

W Warszawie bez zachwytu patrzono na powstanie w latach 1920–1922 bloku państw Małej Ententy (Czechosłowacja,

Rumunia, Królestwo SHS – od 1929 r. Jugosławia). Spoiwem owego trójstronnego sojuszu były obawy przed rewizjonizmem węgierskim, w mniejszym stopniu bułgarskim, oraz poparcie, jakiego udzieliła Małej Entencie dyplomacja francuska. W praktyce nad Wisłą zdawano sobie sprawę, że o wiele większym zagrożeniem dla państw Małej Ententy był rewizjonizm ze strony mocarstw – dla Czechosłowacji ze strony Niemiec (Sudety), dla Rumunii ze strony ZSRR (sporne terytorium Besarabii), dla Jugosławii ze strony Włoch (Dalmacja, Rijeka). Nie chcąc zrażać do siebie Węgier i nie widząc realnego interesu, Polska nie chciała, mimo wielokrotnie ponawianych zachęt ze strony Paryża, wejść do grona państw Małej Ententy. Jej obecności nie życzyła sobie zresztą Praga, a zwłaszcza Beneš, zazdrośnie strzegący pozycji lidera tej grupy i postrzegający Rzeczpospolitą jako główny cel niemieckich rewizjonistów.

Rok 1922 przyniósł ostateczne ustalenie granic Polski Odrodzonej. Traktat wersalski wszedł w życie 10 stycznia 1920 r. i szybko przystąpiono do realizacji jego postanowień. W dniach 17 stycznia – 10 lutego 1920 r. wojska Frontu Pomorskiego, bez większych przeszkód, zajęły przyznane Polsce Pomorze, dokonując w Pucku symbolicznych zaślubin z Bałtykiem. 11 lipca 1920 r., w tragicznym okresie marszu bolszewików na Warszawę, przeprowadzono plebiscyt na Warmii, Mazurach i Powiślu, który strona polska z kretesem przegrała, uzyskując ledwie kilka wiosek w powiecie działdowskim i most wraz z przyczółkiem na prawym brzegu Wisły w okolicach Kwidzyna. Polacy popełnili przy tym niemało błędów, które pogłębiły wymiar przegranej. Zgodzono się na przykład, aby do pytania plebiscytowego wprowadzić pojęcie „Prusy” zamiast „Niemcy”, co nie pozostało w trakcie głosowania bez wpływu na postawę słabo uświadomionej pod względem narodowym ludności mazurskiej. Ponadto, strona polska postulowała, aby w głosowaniu udział wzięły osoby urodzone na terenach plebiscytowych, ale mieszkające

poza nimi. Skorzystali z tego przede wszystkim lepiej zorganizowani Niemcy.

Zbłądów tych starano się jednak wyciągnąć wnioski na przyszłość, zwłaszcza pod kątem zbliżającego się plebiscytu na Górnym Śląsku i Opolszczyźnie. Głosowanie to, poprzedzone dwoma powstaniem ludności polskiej Górnego Śląska, w sierpniu 1919 i sierpniu 1920 r., zostało przeprowadzone 20 marca 1921 r. Jego wynik nie był jednoznaczny: nieco ponad 40 proc. głosujących opowiedziało się za Polską, większość jednak za Niemcami. Rozpoczęły się targi między mocarstwami, w jaki sposób podzielić sporny teren. Francuzi domagali się oddania Polsce przynajmniej części przemysłowego okręgu, Anglicy byli zdania, że skoro Polacy przegrali plebiscyt, to w najlepszym razie należą im się tereny rolnicze w południowej części Górnego Śląska. Włosi byli skłonni poprzeć Brytyjczyków. W nocy z 2 na 3 maja 1921 r. wybuchło trzecie powstanie śląskie. Zakończyło się ono dopiero na początku lipca. W sensie militarnym powstańcy ponieśli klęskę. Ich postawa nie pozostała jednakże bez wpływu na kwestię podziału spornego terytorium – Anglicy stali się bardziej ustępliwi. W październiku 1921 r. wielkie mocarstwa podjęły decyzję o przekazaniu Polsce co prawda tylko 29 proc. terytorium plebiscytowego, ale był to rejon, na którym znajdowało się najwięcej kopalń i wielkich pieców. 15 maja 1922 r. Polacy i Niemcy podpisali w Genewie konwencję, która ustalała reguły kooperacji dwóch części Górnego Śląska, podzielonego teraz między dwa państwa. Niemcy zostali między innymi zobowiązani do przyjmowania przez 3 lata węgla z polskiej części Śląska, a strona polska musiała się zgodzić na autonomię województwa śląskiego ze stolicą w Katowicach. W październiku 1922 r. na Górny Śląsk wkroczyły oddziały polskie dowodzone przez gen. Stanisława Szeptyckiego. Tym samym zakończył się proces formowania granicy polsko-niemieckiej.

Przy wytyczaniu granicy wschodniej Piłsudski nie oglądał się już na mocarstwa. O ile kwestię granicy polsko-sowieckiej rozpatrywano w Rydze, a granica polsko-łotewska, chociaż przez wiele lat nie podpisano odpowiednich dokumentów, a nawet strona polska celowo z tym zwlekała, nie była przedmiotem większych targów, o tyle pozostała do rozstrzygnięcia sprawa granicy z Litwą. We wrześniu 1920 r. toczyły się w Suwałkach pertraktacje, w trakcie których ustalono przebieg linii demarkacyjnej. Urywała się ona w okolicach miejscowości Bastuny, pozostawiając faktycznie Wilno po stronie litewskiej. W nocy z 8 na 9 października 1920 r. rozpoczął się tzw. bunt gen. Lucjana Żeligowskiego, inspirowany przez Piłsudskiego, który w tej kwestii został później poparty nawet przez swoich zagorzałych przeciwników. Rzekomo zbuntowany Żeligowski na czele dywizji litewsko-białoruskiej ominął linię demarkacyjną wytyczoną umową suwalską, zajął Wilno i całą Wileńszczyznę, a następnie utworzył państewko pod nazwą Litwa Środkowa. Litwini uznali tę akcję za dowód wiarołomstwa Polaków. Z Zachodu znów posypały się gromy. Próbowano szukać rozwiązań polubownych za pośrednictwem Ligi Narodów. Między innymi wybitny belgijski polityk Paul Hymans zgłosił projekt podziału wzorem Szwajcarii spornego terytorium na kantony. Wszystkie propozycje były jednakże odrzucane bądź przez stronę polską, bądź przez litewską, bądź też przez obie naraz. Kością niezgody pozostawało Wilno, które każda ze stron chciała mieć w obrębie swoich granic. Ostatecznie w styczniu 1922 r. przeprowadzono w Litwie Środkowej wybory, zbojkotowane przez zdecydowaną większość Litwinów, Żydów i Białorusinów. W ten sposób Sejm Wileński składający się wyłącznie z Polaków po kilku tygodniach obrad podjął decyzję o włączeniu Litwy Środkowej do Rzeczypospolitej. Posłowie wileńscy zostali dokooptowani do składu Sejmu Ustawodawczego w Warszawie. Sprawa

przynależności Wilna i Wileńszczyzny pozostawała zarzewiem konfliktu w stosunkach polsko-litewskich przez wiele lat. Władze w Kownie uważały, że nadal są w stanie wojny z Polską. Nakażały zerwać wszelkie połączenia komunikacyjne i konsekwentnie odrzucały określenie „granica polsko-litewska”, zastępując je pojęciem „linia demarkacyjna”, a później „linia administracyjna”. Ten kuriozalny stan, mimo kilkakrotnie podejmowanych przez Warszawę i osobiście przez Piłsudskiego prób nawiązania kontaktów dyplomatycznych, przetrwał aż do marca 1938 r.

Zakończony w 1922 r. proces kształtowania granic II Rzeczypospolitej nie oznaczał kresu zabiegów o ich utwalenie. O ile granice polsko-niemiecka i polsko-czechosłowacka były uznane przez mocarstwa, które walnie przyczyniły się do ustalenia ich kształtu, o tyle brakowało takiego uznania dla granicy wschodniej. Była to sytuacja wręcz niebezpieczna, bo otwierająca pole dla rewizjonizmu i mogąca posłużyć wcześniej czy później do negowania kształtu terytorialnego Polski Odrodzonej.

Kto wie, czy zabiegi o międzynarodowe uznanie granicy wschodniej nie były najważniejszym zadaniem dyplomacji polskiej w latach 1921–1923. Pierwszą poważną próbę podjęto podczas konferencji geneueńskiej w kwietniu 1922 r. Minister Konstanty Skirmunt zadbał o poparcie starań Polski przez państwa bałtyckie (oczywiście bez Litwy) oraz Rumunię. Na krótko przed konferencją, 17 marca 1922 r., podpisano w Warszawie układ z Finlandią, Łotwą i Estonią, który w dalekosiężnych planach polskiego MSZ miał być krokiem ku powołaniu do życia tzw. związku bałtyckiego. Problem z powstaniem tego typu związku polegał jednak na tym, że w Finlandii wstrząśniętej wojną domową górę brała tendencja ku ścisłej neutralności, wręcz *splendid isolation*, a następnie ku powiązaniu swoich losów z państwami skandynawskimi, nie zaś bałtyckimi, natomiast Łotwa i Estonia stale ogładały się na Litwę, która pozostawała

z Polską w konflikcie. Wróćmy jednak do konferencji w Genui. Jej zasadniczym celem było uregulowanie wzajemnych zależności finansowych (długów i reparacji) wynikających z wojny światowej i rewolucji. Do Genui zaproszono także delegację sowiecką, która przybyła w wyjątkowo silnym składzie. Wydawało się, że jest to świetna okazja do podjęcia sprawy uznania *de iure* wschodniej granicy państwa polskiego. Próba przeprowadzenia tej kwestii natrafiła jednak na zdecydowany opór Lloyda George'a. Niewiele brakowało, aby brytyjski premier rozpoczął debatę nad przebiegiem granicy polsko-sowieckiej. Wkrótce jednak nastąpiło wydarzenie, które przysłoniło wszystkie dotychczasowe debaty konferencyjne. 16 kwietnia 1922 r. w pobliskim Rapallo delegacje niemiecka i sowiecka podpisały dwustronny układ, wzajemnie wyrzekając się pretensji finansowych wynikających z działań wojennych, nawiązując stosunki dyplomatyczne na szczeblu ambasad i deklarując daleko posuniętą współpracę gospodarczą. Układ ten był wielkim zaskoczeniem dla pozostałych państw, chociaż Niemcy i Sowieci przygotowywali go już od jakiegoś czasu. Wymierzone w ład wersalski i państwa oraz instytucje, które ład ów gwarantowały, układ zawarty w Rapallo był szczególnie niebezpieczny dla Polski, położonej między Niemcami i Rosją Sowiecką. W konsekwencji tego układu konferencja genueńska zakończyła się fiaskiem, a podejmowana, szczególnie przez dyplomację francuską, próba uzyskania od Sowietów zapewnienia, że spłacą długi rządów przedrewolucyjnych, nie przyniosła efektów. Dla mocarstw zachodnich jednym z kluczowych zagadnień było teraz dążenie do odciążenia Niemiec od Sowietów, i to bynajmniej nie za darmo.

Starania o uznanie granicy wschodniej trzeba było podejmować od nowa. Okazja nadarzyła się dopiero rok później. 11 stycznia 1923 r. Francja i Belgia rozpoczęły okupację Zagłę-

bia Ruhry, ponieważ Niemcy nie wywiązywały się ze spłat należnych reparacji wojennych. Zamieszanie na zachodzie Europy wykorzystali Litwini, którzy cztery dni później usunęli garnizon francuski z Kłajpedy i metodą faktów dokonanych anektowali tzw. Kraj Kłajpedy. Spokojna reakcja Warszawy, której interesy w tym rejonie Bałtyku zostały wszak zagrożone, była pozytywnie oceniona przez mocarstwa zachodnie. Tę koniunkturę wykorzystał Aleksander Skrzyński, od grudnia 1922 r. minister spraw zagranicznych w rządzie gen. Władysława Sikorskiego. Zabiegi dyplomacji polskiej tym razem przyniosły wymierne efekty. Najszybciej do uznania *de iure* wschodniej granicy państwa polskiego dał się przekonać rząd włoski z Benito Mussolinim na czele, najtrudniej było namówić sojusznicy Paryż, który ciągle liczył się z postawą emigracji rosyjskiej. Brytyjczycy tym razem nie stawiali przeszkód. 15 marca 1923 r. Rada Ambasadorów wielkich mocarstw ogłosiła uznanie wschodniej granicy Polski Odrodzonej. Chociaż nie oznaczało to jej gwarantowania przez państwa zachodnie, niemniej jednak usankcjonowanie granicy ryskiej na arenie międzynarodowej traktować należy jako spektakularny sukces polskiej dyplomacji.

* *

Badacze dziejów stosunków międzynarodowych formułują zasadę, wedle której polityka mocarstw zachodnich wobec Polski w międzywojennym dwudziestoleciu była wypadkową polityki tychże państw wobec Niemiec i ZSRR. Przykładowo: jeśli Paryż czy Londyn zmieniał swoją linię wobec Berlina i Moskwy, to mimo deklaracji stałości zmieniał ją też wobec Warszawy. Funkcjonowanie owej zasady dało o sobie znać wielokrotnie. W 1924 r. nastąpiły zmiany na angielskiej i francuskiej scenie politycznej. W Londynie po raz pierwszy rząd sformo-

wali przedstawiciele Partii Pracy z Jamesem Ramsayem MacDonaldem na czele, w Paryżu po zwycięskich wyborach władzę objął Kartel Lewicy (socjaliści i radykałowie), którego lider – Edouard Herriot – został premierem i ministrem spraw zagranicznych. Zarówno Francuzi, jak i Anglicy zrewidowali swoją politykę wobec Niemiec, uznając, że dotychczasowy twardy kurs nie jest właściwą drogą do osiągnięcia celu, jakim było zabezpieczenie pokoju na przyszłość i uzyskanie jakże potrzebnych reparacji. Przeważył pogląd, że trzeba wyciągnąć rękę ku Berlinowi, starać się wprowadzić Niemcy do systemu, którego filarem była Liga Narodów, a nawet udzielić im daleko idącej pomocy finansowej, aby wyszli z powojennego kryzysu gospodarczego i byli w stanie spłacić reparacje. W tym celu z inicjatywy MacDonalda zwołano do Londynu konferencję (15 lipca – 15 sierpnia 1924 r.), podczas której uzgodniono, że Francuzi i Belgowie wycofają swoje wojska z Zagłębia Ruhry, a ponadto przyjęto i rychło wdrożono do realizacji plan pomocy finansowej dla Niemiec, opracowany przez amerykańskiego finansistę Charlesa Dawesa. Delegacja niemiecka, z wybitnym politykiem Gustavem Stresemannem na czele. brała udział w drugiej części konferencji na pełnych prawach, co niektórzy historycy interpretują, zapewne nie bez racji, jako zewnętrzny wyraz dopuszczenia Niemiec do grona mocarstw. Zaczynała się polityka ustępstw i koncesji na rzecz Berlina, której symbolem będzie Locarno.

W 1924 r. najpierw MacDonald, następnie Mussolini, wreszcie Herriot uznali *de iure* ZSRR i nawiązali z Moskwą stosunki dyplomatyczne. Można nawet powiedzieć, że był to swoistego rodzaju wyścig, kto pierwszy uzna Sowiety. O uznaniu ZSRR zdecydowały przede wszystkim sprawy gospodarcze, a zwłaszcza zamiar zwiększenia eksportu na rynek sowiecki.

Już w grudniu 1924 r. Brytyjczycy podsunęli Niemcom pomysł podpisania paktu gwarantującego nienaruszalność ich

granic zachodnich. Rozpoczęły się wielomiesięczne pertraktacje, do których włączyli się Francuzi, Włosi i Belgowie, żywo zainteresowani tym problemem. Tendencje te obserwowano nad Wisłą z rosnącym niepokojem, tym bardziej że francuski sojusznik nie zawsze rzetelnie informował Polaków o stanie pertraktacji. Próby storpedowania całego przedsięwzięcia okazały się bezskuteczne. Ponadto strona polska znalazła się w nadzwyczaj trudnym położeniu, ponieważ nie mogła i nie chciała przeszkadzać Francuzom w ułożeniu sobie pokojowych relacji z Niemcami oraz zdobyciu dodatkowych zabezpieczeń pokoju. Złożoność sytuacji doskonale wyczuwał ponownie kierujący polską dyplomacją (od lipca 1924 do maja 1926 r.) Aleksander Skrzyński. Podjął on szerokie, multilateralne działania na rzecz uzyskania dla Polski identycznych gwarancji nienaruszalności granicy z Niemcami. Rychło okazało się jednak, że żadne z mocarstw, z sojuszniczą Francją na czele, nie jest tym zainteresowane. Skrzyńskiemu pozostało zatem samotnie zmagać się z przeciwnościami i walczyć o jak najlepsze zabezpieczenie granic Polski. Trudno jednoznacznie ocenić efekt jego działań. Stresemann zgodził się tylko na układ arbitrażowy z Polską i Czechosłowacją. Przy odpowiedniej interpretacji można było na jego podstawie podważyć nienaruszalność granicy polsko-niemieckiej. Francuzi zdecydowali się jedynie na podpisanie traktatu gwarantującego polsko-niemiecki układ arbitrażowy. Berlin nie uznał jednak tych gwarancji i miały one wyłącznie jednostronny charakter. Wynegocjowany wówczas polsko-francuski traktat poważnie osłabiał wartość sojuszu z 1921 r. Teraz decyzja o podjęciu działań zbrojnych przeciwko Niemcom nie była zależna od woli Paryża i Warszawy, ale musiała być rozpatrywana na forum Ligi Narodów w Genewie. Nad Polską pojawiła się wcale realna groźba międzynarodowej izolacji w obliczu rosnącej potęgi Niemiec.

Konferencja w pięknym szwajcarskim Locarno (5–16 października 1925 r.), podczas której główną rolę odgrywali szefowie dyplomacji francuskiej (Aristide Briand), niemieckiej (Stresemann) i brytyjskiej (Austen Chamberlain) zakończyła się uroczystym parafowaniem paktu reńskiego. Nienaruszalność granicy francusko-niemieckiej i belgijsko-niemieckiej została potwierdzona, a ponadto gwarantowana przez Wielką Brytanię i Włochy. Skrzyński musiał długo czekać na zaproszenie do Locarno. Otrzymał je już w trakcie trwania konferencji, ale do stołu obrad dopuszczono go dopiero w przedostatnim dniu, kiedy wszystkie najważniejsze kwestie dawno zostały rozstrzygnięte. Podobnie potraktowano szefa dyplomacji czechosłowackiej, Beneša. Nikogo nie przekonały argumenty, że pakt bezpieczeństwa żywo obchodzi także Polskę. Również 16 października podpisano omówione wyżej polsko-niemiecki układ arbitrażowy i polsko-francuski traktat gwarantujący ten układ. Dokumenty te nie miały jednak organicznego związku z paktem reńskim i nic, poza datą i miejscem podpisania, ich z nim nie łączyło. Sposób potraktowania polskiego ministra dobrze oddaje atmosferę panującą w trakcie konferencji i stosunek mocarstw do sprawy polskiej. Pakt reński triumfalnie wystawiono na widok publiczny, jako dowód dobrowolnego porozumienia niedawnych jeszcze przeciwników z frontów wojny światowej. Równie uroczyste jego podpisanie nastąpiło w Londynie 1 grudnia 1925 r. W rzeczywistości jednak Locarno było niczym więcej jak iluzją. Z perspektywy późniejszych wydarzeń wiemy, że najbardziej straciła na nim Francja, która odsuwając się od wschodnich sojuszników, faktycznie osłabiła swoją międzynarodową pozycję, także, a może nawet przede wszystkim, względem Niemiec. W Europie pojawiły się granice lepsze, których nienaruszalność mocarstwa gwarantowały układem międzynarodowym i gorsze, które takich gwarancji były pozbawione. Niestety do tych dru-

gich należała również granica polsko-niemiecka, a starania o uzyskanie dla niej gwarancji determinowały posunięcia dyplomacji polskiej w kolejnych latach. Za wymowny komentarz na temat Locarno niech nam posłużą słowa Józefa Piłsudskiego: „...każdy przyzwoity Polak spluwa, jak słyszy to słowo”. Nad Wisłą narastał krytycyzm wobec francuskiego sojusznika.

Dla Brianda oraz większości elit francuskich najważniejszą kwestią było doprowadzenie do takiej sytuacji, aby Niemcy z własnej woli postępowały wedle reguł ładu wersalskiego i paktu Ligi Narodów, a w efekcie zrezygnowały z dążeń rewizjonistycznych. W osiągnięciu tego celu szef dyplomacji francuskiej widział najlepsze zabezpieczenie przed ewentualnością wybuchu kolejnego konfliktu w Europie i na świecie. Briand, pomny doświadczeń z lat 1870–1871 i 1914–1918, porozumienie między Francuzami i Niemcami uważał nie tylko za absolutnie niezbędne, ale postrzegał jako ostateczną likwidację zapalnego punktu, który mógł się stać zarzewiem przyszłego konfliktu światowego. Koncepcje szefa francuskiej dyplomacji były tyleż pacyfistyczne, co idealistyczne. Droga do ich realizacji wiodła poprzez ustępstwa na rzecz Berlina i coraz szybsze odchodzenie od ograniczeń narzuconych Niemcom w Wersalu. Istotnym celem tej polityki był także zamiar odciążenia Berlina od Moskwy. Koszty ponosili w pierwszym rzędzie słabsi partnerzy z Europy Środkowej i Wschodniej, a zatem również Polska.

Stresemann znalazł się tymczasem w komfortowym położeniu. Nie wyrzekł się dotychczasowego kursu *Ostpolitik* i mógł liczyć na dalsze ustępstwa ze strony mocarstw zachodnich, które oferowały Niemcom nie tylko wejście do Ligi Narodów, ale także uzyskanie stałego miejsca – a więc faktycznie statusu mocarstwa – w jej Radzie. Dyplomacja polska również zabiegała o uzyskanie takowego miejsca, mając na względzie chociażby ewentualność neutralizowania poczynań dyplomacji niemieckiej

w sprawach mniejszości narodowych. Zabiegi te przyniosły tylko połowiczny efekt w postaci zgody mocarstw na tak zwane półstałe miejsce w Radzie Ligi z prawem reelekcji. Polska była zresztą wybierana do Rady cztery razy z rzędu (w latach 1926, 1929, 1932 i 1935). Zabiegał o to zwłaszcza minister August Zaleski, orędownik współpracy z Ligą Narodów. Piłsudski odnosił się do tej instytucji więcej niż powściągliwie, będąc zdania, że zaangażowanie dyplomacji polskiej w jej prace, często bardzo odległe od zagadnień interesujących Polskę, w gruncie rzeczy przysparza Warszawie nazbyt wielu kłopotów. Ten krytycyzm Marszałka wobec Genewy narastał wraz z upływem lat.

24 kwietnia 1926 r. Niemcy i Sowieci podpisali tzw. traktat berliński. Był on dowodem żywotności polityki Rapallo. Potwierdzał również, że Berlin nie zamierza rezygnować z jakże owocnego kursu na zbliżenie z ZSRR. Traktat berliński stworzył zresztą nowy rozdział w tej polityce – zintensyfikowanie współpracy między Armią Czerwoną i Reichswehrą, której orędownikami na gruncie niemieckim były siły skrajnie prawicowe i nacjonalistyczne. Warto zaznaczyć, że Moskwa za pretekst do podpisania układu potraktowała przedłużenie sojuszu polsko-rumuńskiego (26 marca 1926 r.). Faktycznie Sowieci udało się skutecznie zneutralizować linię Locarno i uzyskać zapewnienie z Berlina, że we wzajemnych stosunkach państw podważających ład wersalski nic się nie zmieniło. Traktat berliński jeszcze bardziej zwiększył groźbę izolacji państwa polskiego na arenie międzynarodowej. Nie pozostał on bez wpływu na podjęcie przez Piłsudskiego decyzji o przejęciu władzy, aczkolwiek zbrojny zamach stanu dokonany w Warszawie w maju 1926 r. miał przede wszystkim swoje źródło w wewnętrznej sytuacji państwa polskiego.

* *

Po maju 1926 r. faktycznym kreatorem polskiej polityki zagranicznej był Józef Piłsudski. Przewidywał on, że najbliższe lata będą stosunkowo spokojne na arenie międzynarodowej i należy skoncentrować siły na problemach wewnętrznych. Zgodził się, aby szefem MSZ został August Zaleski (1926–1932), który miał zresztą spore doświadczenie w pracy dyplomatycznej na różnych stanowiskach. W pierwszych miesiącach po zamachu stanu Piłsudski i jego zwolennicy robili wiele, aby przekonać opinię międzynarodową, zwłaszcza Berlin, Moskwę i Paryż, że polska polityka zagraniczna nie ulegnie zmianom. Gwarantem tej polityki miał być Skrzyński, który jednak odrzucił propozycję przyjęcia teki spraw zagranicznych.

Druga połowa lat 20. to czas niemałych i niestety nie zawsze zakończonych pomyślnie wysiłków ze strony dyplomacji polskiej, zmierzających do zdobycia gwarancji nienaruszalności granic Rzeczypospolitej. We wrześniu 1926 r. doszło do spotkania Brianda i Stresemanna w niewielkiej, położonej w pobliżu granicy Francji i Niemiec miejscowości Thoiry. W jego trakcie szef dyplomacji niemieckiej poruszył kwestię zniesienia okupacji Nadrenii przed terminem ustalonym traktatem wersalskim. Strona polska dowiedziała się o tych zamiarach z opóźnieniem i szybko przystąpiła do działań. Gra toczyła się o to, aby godząc się na przedterminową likwidację okupacji stref nadreńskich, postawić Niemcom jeden tylko warunek – uzyskanie ze strony Berlina gwarancji nienaruszalności granicy z Polską. Byłby to wyraz dobrej woli nie tylko ze strony władz Republiki Weimarskiej, ale także sprawdzian wartości sojuszu z Francją, ponieważ było jasne, że ów warunek może postawić tylko Paryż z poparciem Londynu. Zabiegi podejmowane w tej sprawie przez dyplomację polską pod kierunkiem ministra

Zaleskiego w latach 1927–1929 okazały się jednak bezskuteczne. Na konferencji haskiej w lecie 1929 r. Niemcy bezwarunkowo uzyskali przedterminowe zakończenie okupacji Nadrenii, a delegację polską potraktowano podobnie jak w Locarno. Francja po raz kolejny pokazała, że priorytetem jest dla niej partner niemiecki, a bezpieczeństwo polskiego sojusznika w tej grze zasadniczo się nie liczy. W Warszawie narastała niechęć wobec Paryża, a Piłsudski utwierdzał się w przekonaniu, że jedyną drogą uregulowania stosunków z Niemcami są pertraktacje i rozmowy bezpośrednie, bez oglądania się na państwa trzecie, nawet jeśli są to sojusznicy.

Dyplomacja polska partycypowała w inicjatywach o charakterze pacyfistycznym, które płynęły przede wszystkim z Paryża i Genewy. Piłsudski odnosił się do nich powściągliwie, nie dowierzając ideom bezpieczeństwa zbiorowego i z dużą rezerwą traktując hasła nawołujące do zachowania pokoju. Nie przeszkadzał jednak w działaniach ministrowi Zaleskiemu, przykładającemu do nich znacznie większą wagę. Piłsudski jako premier raz tylko, w grudniu 1927 r., osobiście udał się do Genewy. Specjalnie na tę okazję uszyto mu garnitur, gdyż nie wypadało, aby jechał do matecznika pacyfizmu w marszałkowskim mundurze. Przyczyną wizyty były napięte stosunki z Litwą, a efektem deklaracja premiera Augustinasa Voldemarasa, że jego kraj nie jest w stanie wojny z Polską. Przełomu w stosunkach na linii Warszawa–Kowno jednak nie osiągnięto. Kto wie, czy nie ważniejszym celem podróży Piłsudskiego do Genewy był zamiar przekonania wielkich ówczesnego świata o pokojowych intencjach Polski, ze szczególnym akcentem na sprawy niemieckie. Podczas rozmowy ze Stresemannem Marszałek dawał do zrozumienia, że czas byłoby już przełamać złą passę w stosunkach polsko-niemieckich, ponieważ w gruncie rzeczy obu stronom stwarza ona tylko rozliczne kłopoty na arenie międzynarodowej.

Polska należała do grona pierwszych piętnastu państw, które złożyły swój podpis pod traktatem ogólnym o wyrzeczeniu się wojny jako narzędzia rozwiązywania problemów narodowych (a co za tym idzie i międzynarodowych), zwanym od nazwisk jego inicjatorów paktem Brianda–Kellogga (27 sierpnia 1928 r.). Ten układ multilateralny, uważany za szczyt myśli pacyfistycznej okresu międzywojennego, miał więcej niż skromny wymiar praktyczny.

Powściągliwie dyplomacja polska odniosła się do skądinąd interesującej idei jednoczenia Europy, której promotorem był hr. Richard von Coudenhove-Kalergi. Jego wizję Paneuropy traktowano nie bez obaw, jako drogę do dominacji niemieckiej na kontynencie. Ideę tę w latach 1929–1930 zaczął promować także na forum Ligi Narodów Briand, ogłaszając, zresztą nie dość skonkretyzowany, pomysł utworzenia Unii Europejskiej o wymiarze głównie ekonomicznym. Odpowiedź strony polskiej i tym razem była powściągliwa, podkreślająca konieczność uprzedniego wykazania dobrej woli w stosunkach międzynarodowych. Niektórzy polscy dyplomaci interpretowali pomysł Brianda nadzwyczaj doraźnie jako zamiar szukania dróg dalszego pojednania Francji z Niemcami, tym razem jednak za zasłoną Paneuropy.

W ramach długich przygotowań do Międzynarodowej Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie, którą uroczystie zainaugurowano 2 lutego 1932 r., dyplomacja polska przygotowywała własne plany rozbrojeniowe. Szczególnie interesujący był pomysł tak zwanego rozbrojenia moralnego, oficjalnie zgłoszony we wrześniu 1931 r. Zakładał on, że faktyczne rozbrojenie materialne winno być poprzedzone skutecznymi działaniami na rzecz zakończenia wrogiej propagandy w prasie i innych środkach przekazu, wprowadzeniem zakazu podżegania do wojny, a nawet rewizją gazet, książek czy podręczników szkolnych,

propagujących hasła nienawiści i rewanżu. Proponowano nawet wprowadzenie do kodeksów karnych poszczególnych państw regulacji w tym zakresie, z sankcją kary więzienia włącznie. Polski plan rozbrojenia moralnego nie znalazł jednak poparcia innych krajów, nie wyłączając sojuszników.

W latach 1926–1932 w stosunkach polsko-niemieckich nie nastąpił zasadniczy zwrot. Od lata 1925 r. trwała rozpozęta przez stronę niemiecką wojna celna, wywołana odmową przyjęcia polskich towarów, a zwłaszcza węgla. Berlin działał w tym przypadku zgodnie z zasadą wyłożoną wcześniej przez kanclerza Josepha Wirtha, wedle której „Polskę należało wykończyć”, oczywiście przede wszystkim w sensie gospodarczym. Zabiegi te nie przyniosły skutku, ponieważ strajk górników angielskich w 1926 r. otworzył szerzej dla polskiego węgla rynki skandynawskie, na których Polska była obecna zresztą już wcześniej. Wojna celna jednak trwała, a Warszawa starała się z kolei izolować gospodarczo Prusy Wschodnie. W gruncie rzeczy oba państwa wiele na tym traciły. Dochodziły do tego liczne skargi mniejszości niemieckiej w Polsce, zgłaszane na forum międzynarodowe, problem optantów, którzy nie mieli obywatelstwa polskiego, ale mieszkali na terytorium Rzeczypospolitej, a także nieuregulowane rozliczenia i pretensje finansowe po obu stronach. Dopiero pod koniec lat 20. sytuacja powoli zaczęła się poprawiać. Po stronie niemieckiej coraz więcej osób zdawało sobie sprawę, że jedyną rozsądną drogą jest szukanie porozumienia z Warszawą. Powoli oswajano się z myślą o Polsce jako trwałym elemencie na mapie Europy, a nie „państwie sezonowym”. Przyniosło to wymierne efekty w postaci podpisania w październiku 1929 r. tzw. umowy likwidacyjnej, która regulowała dużą część wzajemnych pretensji finansowych. W marcu 1930 r., a zatem już w okresie narastającego kryzysu gospodarczego o globalnym zasięgu, wynegocjowano również traktat handlowy. Reichstag odmówił jednakże jego ratyfikacji.

Trudno nie zgodzić się z poglądem Piłsudskiego, że prawdziwym barometrem stosunków polsko-niemieckich było Wolne Miasto Gdańsk, które zresztą Polska miała prawo reprezentować na zewnątrz. Na przełomie lat 20. i 30. hasła narodowosocjalistyczne zyskiwały żywszy oddźwięk wśród gdańskich Niemców. Coraz otwarciej podejmowano próby ograniczania uprawnień Polski na terenie Wolnego Miasta, na co Warszawa odpowiadała z całą stanowczością. Władze gdańskie, inspirowane z Berlina, usiłowały zablokować szybko postępującą budowę portu gdyńskiego. Senat Wolnego Miasta niewiele czynił, aby uchronić Polskę przed stratami ekonomicznymi powodowanymi nieszczelnością granicy celnej. Wreszcie doszło do ostrego konfliktu na tle praw Rzeczypospolitej do tzw. *port d'attache*, czyli traktowania Gdańska przez okręty polskiej Marynarki Wojennej jako portu macierzystego i występowania w nim w charakterze gospodarzy. W czerwcu 1932 r. Piłsudski zdecydował się na twardą grę. Nakazał dowódcy kontrtorpedowca „Wicher” Tadeuszowi Podjazd-Morgensternowi wypłynąć naprzeciw eskadrze okrętów brytyjskich i powitać je na redzie portu gdańskiego w charakterze gospodarza. W przypadku jakichkolwiek protestów ze strony władz gdańskich, dowódca „Wichra” miał ostrzelać najbliższy gmach urzędowy na terenie miasta. Pod takim naciskiem Senat Wolnego Miasta ugiął się na jakiś czas, ale później wielokrotnie dawał jeszcze dowody złej woli wobec Polski.

W stosunkach polsko-sowieckich najważniejszym zagadnieniem był pakt o nieagresji. Już w listopadzie 1924 r. Moskwa wysunęła propozycję podpisania tego rodzaju układu. Negocjacje toczyły się jednak opornie, z różnych powodów były wielokrotnie przerywane i znów wznawiane. Strona polska domagała się, aby podobne pakt o nieagresji podpisali – wspólnie lub równolegle – inni zachodni sąsiedzi ZSRR (Łotwa, Estonia,

Finlandia, Rumunia). Moskwa robiła wiele, żeby storpedować tę politykę tzw. „okrągłego stołu”, nie chcąc zarazem dopuścić do występowania Rzeczypospolitej w charakterze lidera państw Europy Środkowej oraz Wschodniej i szermując hasłem budowy pod egidą Warszawy wspólnego frontu antysowieckiego. Do tego dochodziły problemy natury prawnej. Sowieci nie godzili się na procedury arbitrażu i inne rozwiązania stosowane przez państwa członkowskie Ligi Narodów. Daleko posunięta i będąca tajemnicą poliszynela współpraca militarna Niemiec i ZSRR, postrzegana w Warszawie jako działanie o charakterze rewizjonistycznym z ostrzem wymierzonym w Rzeczpospolitą, podawała w wątpliwość szczerą intencję Moskwy. W relacjach obustronnych niejednokrotnie dochodziło do napięć i zadrażnień.

We wrześniu 1926 r. Sowieci podpisali z Litwinami traktat, w którym pośrednio stwierdzono, że Wilno jest stolicą Litwy, podważając tym samym granicę ryską. Umowę tę nieprzygodkowo ludowy komisarz spraw zagranicznych Cziczeryn nazwał „pierwszą [od objęcia władzy – M.W.] dyplomatyczną porażką Piłsudskiego”. W czerwcu 1927 r. białoruski emigrant Borys Kowierda zastrzelił na dworcu w Warszawie posta ZSRR Piotra Wojkowa. Władze sowieckie winą za to zabójstwo obciążyły stronę polską, zarzucając jej tolerowanie na terytorium Rzeczypospolitej białych emigrantów. Ożywienie stosunków nastąpiło dopiero na przełomie 1928 i 1929 r., kiedy to zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych Maksim Litwinow, za zgodą Biura Politycznego KC WKP(b), wyszedł z propozycją podpisania z Polską i Litwą, a następnie także z innymi zachodnimi sąsiadami ZSRR, protokołu bezzwłocznie wprowadzającego w życie postanowienia paktu Brianda–Kellogga. Polska ustosunkowała się do tej propozycji pozytywnie i sfinalizowano ją 9 lutego 1929 r.

Do idei zawarcia paktu o nieagresji powrócono w sierpniu 1931 r. Celem była w tym przypadku przede wszystkim chęć

uregulowania wzajemnych stosunków ze wschodnim sąsiadem na płaszczyźnie bilateralnej. Zachętą zaś parafowanie podobnego paktu francusko-sowieckiego. Warszawa nie wyrzekła się bynajmniej zasady „okrągłego stołu”. Równoległe z Polską swoje paktów negocjowały takie państwa, jak Finlandia, Łotwa, Estonia i Rumunia (ta ostatnia jednakże bezskutecznie, nie mogąc znaleźć formuły porozumienia w sprawie Besarabii). Negocjacje w Moskwie prowadził umiejętnie poseł Stanisław Patek. Zakończono je parafowaniem polsko-sowieckiego paktu o nieagresji w styczniu 1932 r., a następnie jego podpisaniem 25 lipca tegoż roku. Był to niemały sukces dyplomacji polskiej.

* *

2 listopada 1932 r. ministrem spraw zagranicznych został Józef Beck, pełniący od blisko dwóch lat funkcję zastępcy Zaleskiego i uprzednio już przygotowywany przez Piłsudskiego do roli szefa dyplomacji. Marszałek spodziewał się poważnych przewartościowań na arenie międzynarodowej, których symptomy pojawiły się w latach 1931–1932, choćby w postaci niewydolności Ligi Narodów, wywołanej agresją japońską w Mandżurii, czy pustosłowia Międzynarodowej Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie. Na nowe czasy potrzebni byli nowi ludzie.

Misja Becka zaczęła się od niepokojących dyplomację polską wydarzeń. 11 grudnia 1932 r. w Genewie podpisano tzw. deklarację pięciu mocarstw (USA, Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy), która dawała chwiejącej się już mocno Republice Weimarskiej równouprawnienie w dziedzinie zbrojeń. Mocarstwa zachodnie kroczyły dalej drogą ustępstw. 30 stycznia 1933 r. kanclerzem Niemiec został Adolf Hitler. W historii ludzkości otwierał się jeden z najtragiczniejszych rozdziałów.

Krótko po objęciu urzędu nowy kanclerz udzielił wywiadu opublikowanego następnie na łamach brytyjskiej gazety „Sunday

Express”, w którym nazwał „odrażającą niesprawiedliwością” fakt pozostawiania Pomorza w granicach Polski. Beck, mający dar ujmowania spraw skomplikowanych w sposób przejrzysty i lapidarny, ripostował szybko, podkreślając, że polityka polska wobec Niemiec będzie dokładnie taka sama, jak polityka Niemiec wobec Polski, a zatem więcej w tym względzie zależy od Berlina niż od Warszawy (15 lutego 1933 r.). Przemówienie to w sejmowych kuluarach nazwano „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Faktycznie jego znaczenie trudno przecenić. Dano Berlinowi do zrozumienia, że Polska nie będzie się biernie przyglądać nawet słownym atakom wymierzonym przeciwko niej. Ta twarda postawa miała przekonać Hitlera, że Warszawa przyjęła kurs stanowczy i warto się z nią liczyć.

W rzeczywistości zaś Piłsudski z Beckiem myśleli o uregulowaniu stosunków polsko-niemieckich na podstawie układu bilateralnego, a zatem tak, jak zostało to uczynione z ZSRR. Opatrzony instrukcjami poseł w Berlinie, Alfred Wysocki, udał się 2 maja 1933 r. do Hitlera, chcąc wysondować jego prawdziwe zamiary wobec Gdańska i Polski. Efekty przeszły oczekiwania. Hitler dał do zrozumienia, że byłby gotów porozumieć się z Rzeczpospolitą na zasadzie dwustronnego porozumienia. Kurs ulegał zatem zmianie, jakże pożądanej przez Piłsudskiego. Dalsze rozmowy w Berlinie prowadził następca Wysockiego, Józef Lipski. Polski dyplomata, kierując się instrukcjami Becka, celowo i świadomie nie dość szczegółowo informował o ich przebiegu francuskich sojuszników. Chodziło o to, aby podkreślić samodzielność polityki i zdjąć z Polski etykietkę klientki Francji, która pokutowała gdzieniegdzie na europejskich salonach. Tymczasem uregulowanie stosunków z Niemcami stało się tym bardziej pilne, że Hitler w październiku 1933 r. wycofał się z prac Międzynarodowej Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie i opuścił Ligę Narodów. Piłsudski nakazał przystąpić do jak naj-

szybszego sfinalizowania rozmów o układzie bilateralnym, a Hitler po rozmowie z Lipskim (15 listopada 1933 r.) wychodził temu naprzeciw. Żadnej ze stron nie zależało na wprowadzaniu zbędnych klauzul prawnych i stosunkowo prosty tekst został szybko uzgodniony.

Polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy podpisano 26 stycznia 1934 r. Wbrew plotkom krążącym po Europie, ze wskazaniem na Moskwę, Pragę i Paryż, układowi temu nie towarzyszyła żadna tajna klauzula. W ten sposób polityka „równych odległości” zyskała drugi, po pakcie o nieagresji z Sowietami, jakże potrzebny filar. Namacalnymi efektami tego kroku było zakończenie polsko-niemieckiej wojny celnej, ukrócenie propagandy antypolskiej płynącej z Rzeszy oraz uciszenie, na wyraźny rozkaz z Berlina, mniejszości niemieckiej w Polsce, która ostentacyjnie zaczęła nawet manifestować swoją lojalność wobec Rzeczypospolitej. W gruncie rzeczy wcale nie było to małe, aczkolwiek motywy, którymi kierowały się obie strony, były zupełnie różne. Dla Warszawy owa – jak mówiono – „linia 26 stycznia” stawała się kanonem polityki, chociaż Piłsudski nie bez racji mówił swoim współpracownikom, że nie przetrwa ona dłużej niż pięć lat. Nie było jednak lepszej formy porozumienia z Niemcami, a cały paradoks polegał na tym, że osiągnięto je w okresie rządów Hitlera, marzącego o *Lebensraum* na Wschodzie. Dla Berlina podpisanie układu z Polską miało charakter doraźny i taktyczny. Wódz III Rzeszy potrzebował czasu i spokoju na wschodniej granicy, aby wzmocnić swoją władzę wewnątrz i przygotować się do ekspansji zewnętrznej. Na Zachodzie, a zwłaszcza nad Sekwaną, oraz na Wschodzie deklarację przyjęto chłodno. Polskę oskarżano o złamanie frontu izolacji III Rzeszy na arenie międzynarodowej. Faktycznie trudno o takowej izolacji mówić, skoro do Berlina ustawiała się kolejka chętnych do rozmów, a na jej przedzie stali Francuzi.

Obawiano się także, że Polska, podpisując układ z Niemcami, celowo i świadomie kieruje rewizjonizm hitlerowski ku krajom położonym na południowym wschodzie: Austrii, Czechosłowacji i dalej na Bałkany.

Przy okazji polsko-niemieckiej deklaracji warto poruszyć problem tzw. wojny prewencyjnej lub nawet działań prewencyjnych, które strona polska miała proponować Francji przeciwko Niemcom krótko po objęciu władzy przez Hitlera. Wszelkie pogłoski na ten temat były zresztą podczas spotkań z dyplomata-
mi państw obcych stanowczo dementowane przez Becka. Nie oznacza to bynajmniej, że krążąc po dyplomatycznych salonach, czy bardziej w ich kuluarach, nie miały one realnych podstaw. Po co zatem je rozsiewano? Wszak Piłsudski nie miał złudzeń, że Francja owiana duchem Locarno i pacyfizmu nie podejmie tego typu propozycji i odmówi wspólnej z Polską akcji zbrojnej przeciw Niemcom. O wiele rozsądniejszy wydaje się pogląd, że właściwym adresatem owych sygnałów był Hitler, a forma akcji niczym innym, jak rodzajem wywieranej nań presji, aby jak najszybciej zasiadł z Polakami do obrad. Nie było przecież rzeczą przypadku, że pogłoski o wojnie prewencyjnej ze szczególną intensywnością krążyły od stycznia do kwietnia 1933 r., a zatem w okresie bezpośrednio poprzedzającym rozmowę Wysocki–Hitler, a następnie jesienią 1933 r., a zatem przed spotkaniem Lipski–Hitler.

Niezwykle groźnym wydarzeniem dla polskiej dyplomacji był zgłoszony w marcu 1933 r. przez Mussoliniego projekt tzw. paktu czterech, z udziałem Włoch, Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec. Zawierał on w sobie jawne przesłanki dyktatu mocarstw, które poza strukturami Ligi Narodów miały rozstrzygać o kwestiach dotyczących mniejszych państw. Można na ów projekt spojrzeć jeszcze inaczej – mocarstwa swoje problemy chciały rozwiązywać kosztem krajów mniejszych i słabszych, bez

pytania ich o zgodę, a nawet o zdanie. Być może projekt Mussoliniego, który zamierzał w ten sposób zaspokoić swoje mocarstwowe ambicje był najlepszym dowodem skrajności panujących w Europie. Wszak z jednej strony mocarstwa nie pozwalały nawet przesunąć przecinka w pakcie Ligi Narodów czy też innych wynikających z niego dokumentach, a z drugiej strony te same mocarstwa za chwilę cały system ligowy gotowe były obalić. Projekt paktu czterech zapowiadał dyktat monachijski, a nawet jałtański, gdzie mocarstwa rozstrzygały o losie innych bez ich udziału. Dla Polski był on groźny z jeszcze innego powodu. Mussolini, zgłaszając swój pomysł, rozpowiadał jednocześnie w kuluarach o konieczności rewizji granicy polsko-niemieckiej, a zwłaszcza negatywnie wypowiadał się o tzw. korytarzu, czyli o Pomorzu. Nic zatem dziwnego, że Warszawa zareagowała stanowczo. Nowo mianowany ambasador w Rzymie, Jerzy Potocki, uzgadniając wcześniej swój krok z Beckiem, ostentacyjnie podał się do dymisji. Swoją misję, która miała się przyczynić do wzmocnienia więzów pomiędzy Italią i Polską, nie bez racji uznał za bezprzedmiotową. Projekt paktu czterech spowodował największe napięcie w stosunkach polsko-włoskich w okresie międzywojennym. Na szczęście przygotowywany pakt nie wszedł w życie nawet w złagodzonej formie.

W lutym 1934 r. Beck pojechał z oficjalną wizytą do Moskwy. Efektem owej podróży było przedłużenie paktu o nie-agresji o 10 lat, do 31 grudnia 1945 r., i podniesienie poselstw obu krajów do rangi ambasad. Polityka „równych odległości” święciła triumfy. Być może błędem Becka było to, że nie poczekał jeszcze kilku dni, aby zostać przyjętym na Kremlu przez samego Stalina, sprawującego już w tym czasie niepodzielną, dyktatorską władzę w ZSRR.

Już współcześni, ze szczególnym wskazaniem na Stanisława Cata-Mackiewicza, zarzucali Beckowi, że sam

złamał politykę „równych odległości”, nadmiernie zbliżając się do Berlina, oddalając tym samym od Moskwy. Czy rzeczywiście tak było? Posługiwanie się w tym przypadku kategoriami własnych – rzekomych czy urojonych – sympatii polskiego ministra (wobec Niemiec, a nawet ideologii faszystowskiej) lub antypatii (do ZSRR i komunizmu w bolszewickim wydaniu) jest bezprzedmiotowe. Beck był zbyt rozsądnym politykiem, aby nie umieć oddzielić racji stanu państwa od własnego „widzi mi się”. Mierzenie owych sympatii czy antypatii częstotliwością wizyt w Moskwie, gdzie był jako szef dyplomacji tylko raz, i Berlinie, gdzie bywał przy różnych okazjach wielokrotnie, też do niczego nie prowadzi. Warto natomiast pamiętać, że najpierw Piłsudski, a po jego śmierci Beck wielokrotnie i konsekwentnie odrzucali składane w mniej lub bardziej zawoalowanej formie niemieckie propozycje wspólnego marszu na Wschód i realizowanie jakichś wspólnych interesów na Ukrainie kosztem Pomorza, Śląska czy Gdańska. Tego typu pomysły, oczywiście nie tylko z własnej inicjatywy, zgłaszał już w grudniu 1933 r. prezydent Senatu Wolnego Miasta Gdańska Hermann Rauschning, a potem często powtarzał chętnie przyjeżdżający do Białowięży na polowania premier Prus Hermann Göring.

Jeszcze za życia Piłsudskiego polityka „równych odległości” została poddana niełatwej próbie. Po opuszczeniu przez Niemcy Ligi Narodów, w Moskwie opracowano projekt wielostronnego paktu, który krępowałby Hitlera, a jednocześnie otwierałby ZSRR drogę na genewskie salony. Projekt ten został przedstawiony Francuzom pod koniec 1933 r. W Paryżu go doprecyzowano, a minister spraw zagranicznych Jean Louis Barthou stał się jego wielkim orędownikiem. Do historii przeszedł on pod nazwą koncepcji paktu wschodniego. Jeszcze w trakcie przygotowań do ogłoszenia projektu, w kwietniu 1934 r., Barthou udał się z oficjalną wizytą do Polski. Był zresztą

pierwszym szefem dyplomacji francuskiej, który to uczynił! W trakcie rozmów z Barthou poruszono cały szereg aktualnych zagadnień politycznych, nie omijając spraw trudnych, jak chociażby stosunek obu sojuszników do Niemiec. Piłsudski nie bez racji przekonywał przy tym swojego rozmówcę, że Francja wcześniej czy później pójdzie na dalsze ustępstwa wobec III Rzeszy. Sam projekt paktu wschodniego dyplomacja francuska przedstawiła stronie polskiej pod koniec maja 1934 r. Zakładał on podpisanie wielostronnego porozumienia o wzajemnej pomocy, obejmującego takie państwa, jak Polska, Niemcy, ZSRR, Czechosłowacja, Litwa, Łotwa, Estonia i Finlandia, oraz zawarcie dwustronnego układu między Paryżem i Moskwą, wedle postanowień którego Sowietci staliby się gwarantem granicy francusko-niemieckiej (a zatem paktu reńskiego), natomiast Francja gwarantowałaby ów multilateralny pakt obejmujący osiem wymienionych wyżej państw. Wszystko to miało być wkomponowane w pakt Ligi Narodów, co zapowiadało rychłe już wprowadzenie ZSRR do Genewy przy walnym udziale dyplomacji francuskiej. Polska, oficjalnie we wrześniu 1934 r., powiedziała tej koncepcji stanowcze nie! Przyczyn odmowy było wiele. Przede wszystkim Piłsudski z Beckiem obawiali się, że pakt wschodni skutecznie godzi w zasady polityki „równych odległości”, a jej filary w postaci układu z ZSRR i Niemcami zostaną w najlepszym razie zepchnięte na plan dalszy. W Warszawie takim państwom jak Czechosłowacja i Litwa nie chciano udzielać żadnych dodatkowych gwarancji poza tymi, które wpływały z paktu Ligi Narodów. Zadawano pytanie, dlaczego w koncepcji tej nie uwzględniono innego sąsiada ZSRR, a mianowicie Rumunii? Oglądano się na reakcję Berlina, gdzie doskonale zdawano sobie sprawę, że koncepcja paktu wschodniego w gruncie rzeczy jest wymierzona przeciw III Rzeszy. Pytano wreszcie, jak ów projekt można pogodzić

z paktem Ligi Narodów, skoro Niemcy i ZSRR nie są jej członkami? Nad Wisłą stawiano ponadto zasadną wszak kwestię – w jaki sposób Sowietci mieliby przyjść z pomocą napadniętej Litwie czy Czechosłowacji, skoro z krajami tymi nie mają wspólnej granicy? Odpowiedź nasuwała się sama. W pierwszym przypadku musieliby przejść przez Wileńszczyznę, w drugim przez Małopolskę Wschodnią. Opinia Piłsudskiego, która zresztą stała się dyrektywą dla Becka na następne lata, była zupełnie jasna – „raz wejdą, już nigdy nie wyjdą”. Ponadto nie bez racji obawiano się, że pakt wschodni posłużyłby Paryżowi do przerzucenia zobowiązań sojuszniczych wobec Polski na Sowietów, a tego nikt – może poza grupką komunistów – nad Wisłą nie chciał.

Pokłosiem koncepcji zgłoszonej przez Barthou było wejście ZSRR do Ligi Narodów ze stałym miejscem w Radzie, francusko-sowiecki pakt o wzajemnej pomocy (2 maja 1935 r.), pozbawiony jednakże konwencji wojskowej, oraz takiż pakt zawarty z Sowietami dwa tygodnie później przez Czechosłowację. Do obu tych układów dyplomacja polska odniosła się z dużą powściągliwością, dostrzegając w nich osłabienie sojuszu z Francją i wzrost roli ZSRR na arenie europejskiej.

Odrzucenie przez Polskę koncepcji paktu wschodniego, do którego dyplomacja francuska powracała jeszcze wielokrotnie (acz w zmodyfikowanej formie) w 1935 r., pogorszyło stosunki na linii Warszawa–Paryż oraz Warszawa–Moskwa. Ani nad Wisłą, ani nad Sekwaną nie chciano jednakże wyrzekać się sojuszu zawartego w 1921 r. Miał on swoją praktyczną wartość dla obu partnerów. Piłsudski był tego świadom i nakazał alians ten utrzymywać w mocy, chociaż wiedział, że w Paryżu żadna ważna decyzja w zakresie polityki międzynarodowej nie zostanie podjęta bez uprzedniej akceptacji Londynu. Dlatego też nakazał Beckowi inicjowanie przy każdej nadarzającej się okazji działań

zmierzających do zbliżenia z Wielką Brytanią. Wierny uczeń realizował tę politykę od wiosny 1935 r., kiedy to podejmował w Warszawie lorda Tajnej Pieczęci, a w niedalekiej już przyszłości szefa dyplomacji brytyjskiej, sir Anthony'ego Edena.

Źle przyjęto na arenie międzynarodowej fakt wypowiedzenia przez Polskę traktatu o ochronie praw mniejszości narodowych, czyli tzw. małego traktatu wersalskiego, który przez lata tak mocno dał się Warszawie we znaki. Stało się to 13 września 1934 r., ledwie na pięć dni przed wejściem ZSRR do Ligi Narodów. Krok ten był w pełni uzasadniony, bo pomni doświadczeń ze skargami niemieckimi dyplomaci polscy obawiali się, że teraz strona sowiecka będzie korzystać z owego dokumentu, aby ingerować w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Był to zarazem dowód samodzielnej, niezależnej polityki polskiej, która dbając o własne interesy, odważnie występowała wbrew woli mocarstw. Wszak prawnego położenia mniejszości narodowych wypowiedzenie tego traktatu w niczym nie zmieniło. Były one regulowane konstytucją Rzeczypospolitej i innymi przepisami wewnętrznymi. Po tym fakcie i po powrocie Becka z Genewy Piłsudski uroczyście poczęstował swojego ministra kieliszkiem tokaju, co zdarzało mu się niezwykle rzadko i przy zupełnie wyjątkowych okazjach.

Kolejną próbą dla Becka było zajęcie przez Niemców w sobotę 7 marca 1936 r. zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej. Ten dzień tygodnia Hitler wybrał nieprzypadkowo, czekając w wielkim napięciu na reakcję mocarstw i licząc po cichu, że do poniedziałku nastroje opadną. Rzeczywiście, intuicja nie zawiodła Führera. Sprawy mogły potoczyć się jednak różnie i Beck musiał dostosować taktykę do rozwoju wydarzeń. Jeszcze tego samego dnia po południu wezwał do siebie ambasadora francuskiego Leona Noëla i oznajmił mu, że w zaistniałej sytuacji i w ramach sojuszu, gdyby doszło do starć zbrojnych,

Polska wypełni swoje zobowiązanie. Minister poprosił także ambasadora, aby przekazał to stanowisko swemu rządowi. W poniedziałek 9 marca podobną deklarację sojuszniczą już w Paryżu potwierdzili nasi przedstawiciele dyplomatyczni władzom cywilnym i wojskowym. We Francji jednak mało kto miał ochotę ostro i otwarcie występować przeciw Hitlerowi. Górze brał wszechogarniający pacyfizm, by nie powiedzieć defetyzm. Wedle źródeł francuskich deklaracja złożona przez Polaków nie została nawet przedstawiona członkom francuskiego gabinetu. Beck, dokładnie informowany przez ambasadę w Paryżu, musiał mieć świadomość takiej postawy jeszcze przed kryzysem. Jednakże nie ulega wątpliwości, że w przypadku czynnego wystąpienia Francji Polska stanęłaby u jej boku. Z drugiej jednak strony minister Beck osobiście podyktował komunikat, upubliczniony później przez Agencję „Iskry”, w którym odpowiedzialnością za kryzys nadreński obarczono Francję. Identycznie sprawę przedstawiała strona niemiecka, traktująca jako pretekst do zajęcia Nadrenii ratyfikację przez senat francuski traktatu o wzajemnej pomocy z Sowietami z maja 1935 r. Po co zatem owa podwójna gra Becka, który wykonał ukłon tak pod adresem Paryża, jak i Berlina? Odpowiedź w gruncie rzeczy jest prosta. Sytuacja, do jakiej doszło w Nadrenii, była dla szefa polskiej dyplomacji wielce niewygodna, bo w zasadzie wymagała od niego opowiedzenia się, po której stronie stoi: czy po stronie sojuszniczej Francji, czy też po stronie Niemiec, trzymając się „linii 26 stycznia”. Rzecz w tym, że Beck w ogóle nie chciał i nie zamierzał się opowiadać w sposób ostentacyjny. Koszty takiej jawnej postawy byłyby dla Polski zbyt duże – albo utrata sojuszu francuskiego, albo gwałtowne pogorszenie stosunków z zachodnim sąsiadem. Dobrze wiedział, że sytuacja nie jest na tyle zaogniona, aby doszło do konfliktu zbrojnego. Upewniała go w tym polityka ugodowości prowadzona od lat

przez Francję. Grał zatem na dwie strony. Nie chciał rezygnować z sojuszu z Francją, bynajmniej nie chciał również łamać „linii 26 stycznia”, wszak nie bez trudu wypracowanej. Dobrym komentarzem do tej sytuacji będą jego własne słowa: „nie mówi się w czasie pokoju tego, co się będzie robić w czasie wojny”. W marcu 1936 r. sytuacja do wojny jeszcze nie dojrzała, a wkrótce zamieszanie wokół remilitaryzacji Nadrenii ugrzęzło w jałowych dyskusjach.

Postawa Polski w okresie kryzysu nadreńskiego przyniosła bardzo wymierny efekt w postaci ożywienia sojuszu z Francją. W sierpniu 1936 r. przyjechał do Warszawy szef Sztabu Generalnego armii francuskiej gen. Maurice Gamelin. Krótko potem rewizytował go gen. Edward Śmigły-Rydz, dając tym samym wyraz chęci aktywniejszego osobistego udziału w polskiej polityce zagranicznej. 6 września 1936 r. podpisano w podparyskim Rambouillet układ, na mocy którego Francja udzieliła Polsce pożyczki w wysokości 2 mld franków. Suma ta została później zwiększona o kolejne 600 mln franków. Pieniądze, których zresztą strona polska nie zdołała do wybuchu wojny w pełni wykorzystać, przeznaczono na cele obronne (m.in. Centralny Okręg Przemysłowy), zakup sprzętu wojskowego oraz rozbudowę linii kolejowej łączącej Wybrzeże ze Śląskiem.

W latach 1932–1939 dyplomacja polska zaktywizowała swoje stosunki z krajami skandynawskimi i bałtyckimi. Piłsudski i Beck uważali ten region za szczególnie interesujący, nie tylko ze względu na kwestie gospodarcze, ale także, a może nawet przede wszystkim, ze względu na przekonanie o politycznej stabilności krajów nordyckich, a zatem traktowanie ich jako czynnika, z którym warto wejść w bliższe kontakty. Stabilizację północnej Europy przeciwstawiano w Warszawie niestabilnej sytuacji geopolitycznej panującej na południe od Karpat. Beck chętnie i stosunkowo często odwiedzał takie kraje jak Łotwa, Estonia,

Szwecja czy nawet Norwegia. Nawiązał bardzo dobre kontakty z szefem dyplomacji szwedzkiej Rickardem Sandlerem, którego uważał za jednego z najwybitniejszych polityków swej epoki. W szerszej koncepcji aktywność Polski w tym rejonie wiązała się z szukaniem przeciwwagi dla Sowietów, z jednej strony, i Niemiec, z drugiej. W dalekich, choć niezbyt skonkretyzowanych planach myślano nawet o realizacji idei tak zwanego „Międzymorza”, stworzenia w Europie – przy aktywnym udziale Polski – systemu powiązań pomiędzy państwami znajdującymi się między ZSRR i III Rzeszą. Nie był to zresztą projekt nowy, bo jego załączki znaleźć możemy już w latach 20., w postaci chociażby idei związku bałtyckiego, a inną formę kontynuacji w dobie II wojny światowej w wykonaniu rządu gen. Władysława Sikorskiego.

Rok 1937 był tylko z pozoru spokojny. Tak naprawdę szybkim tempem szły zbrojenia niemieckie. Hitler nie przestawał jednakże zapewniać Becka o trwałości „linii 26 stycznia”. W listopadzie 1937 r. podpisano polsko-niemiecką deklarację w sprawie traktowania mniejszości narodowych, która zresztą nie nakładała na Warszawę żadnych dodatkowych zobowiązań międzynarodowych. Nie udało się natomiast uzyskać od Hitlera uznania statutu Wolnego Miasta Gdańska. Było to bardzo wymowne! Rok 1937 to również apogeum czystek, które Stalin przeprowadzał w aparacie partyjnym, państwowym, w Armii Czerwonej, a nawet w strukturach filaru władzy, jakim było NKWD. W stolicach wielu krajów, nie wyłączając Warszawy, górę brał pogląd, że ZSRR pogrąża się w wewnętrznym chaosie, osłabia swój potencjał, a co za tym idzie, przez najbliższy okres nie będzie odgrywać na arenie międzynarodowej znaczącej roli. W dłuższej perspektywie ten tok myślenia, będący udziałem wielu dyplomacji, nie tylko polskiej, okazał się błędny.

Już początek 1938 r. zapowiadał daleko idące przewarżenie na arenie międzynarodowej. 12 marca Hitler przy-

łączył Austrię do Niemiec. Zachowanie Becka było ostentacyjnie spokojne. Wydarzenie to nie stanowiło dla polskiej dyplomacji zaskoczenia, a pomny doświadczeń lat ubiegłych, Beck wiedział, że nie wywoła ono stanowczej reakcji mocarstw czy też Ligi Narodów. Wracając z Włoch, szef dyplomacji polskiej kilka dni po Anschlussie przejechał przez Wiedeń, gdzie odbył rozmowę z namiestnikiem Hitlera, Arthurem Seyss-Inquartem, po czym najspokojniej w świecie nakazał przekształcenie poselstwa RP w Austrii w jeden z wielu konsulatów funkcjonujących na terenie III Rzeszy, dostosowując się tym samym do rozwoju sytuacji.

Z perspektywy Warszawy istotniejszą sprawą było uregulowanie stosunków z Litwą, które dokonało się niemalże równoległe z akcją Hitlera wobec Austrii. Przyczyną i zarazem pretekstem akcji dyplomatycznej było zastrzelenie przez Litwinów żołnierza Korpusu Ochrony Pogranicza, Stanisława Serafina, który w pogoni za uciekinierem o kilka metrów przekroczył granicę. Za namową Becka postanowiono wystosować do Kowna ultimatum, którego termin szef polskiej dyplomacji celowo przedłużył do 19 marca (dzień imienin Piłsudskiego) i które zawierało tylko jeden postulat – nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Pozornie było to niewiele, faktycznie zaś bardzo dużo, bo równało się żądaniu zweryfikowania przez władze litewskie stosunku do państwa polskiego i rezygnację z prowadzonej od blisko 20 lat polityki wobec Warszawy. Środkiem nacisku był w tym przypadku wyjazd marsz. Śmigłego-Rydza do Wilna i gremialne wnoszenie hasła: „Wodzu, prowadź na Kowno”. Akcja dyplomatyczna prowadzona za pośrednictwem placówek obu krajów w Tallinie przyniosła pożądaný efekt – Litwini przyjęli polski warunek. Co więcej, w krótkim czasie stosunki między obu krajami uległy normalizacji do tego stopnia, że obie armie wysyłały na staże do sąsiadów swoich

oficerów, a w maju 1939 r. oficjalną wizytę nad Wisłą złożył głównodowodzący armią litewską, gen. Statys Raštikis. Kowno zachowało w tragicznym wrześniu 1939 r. postawę neutralną wobec Polski, chociaż wywierano nań rozmaite naciski, choćby w sprawie zajęcia Wileńszczyzny. Akcja nawiązania stosunków z Litwą odbiła się szerokim echem w Europie. Mocarstwa zachodnie potępiały formę jej przeprowadzenia. Gorsze było jednak to, że w niektórych kręgach dyplomatycznych ultimatum Warszawy wobec Kowna wiązano z Anshlussem, głosząc dodatkowo krzywdzącą tezę o współdziałaniu Polski i Niemiec w dziele demontażu systemu wersalskiego.

Drugim ważnym wydarzeniem roku 1938 był dokonany w Monachium rozbiór Czechosłowacji i zajęcie Zaolzia przez Polskę. Beck ponownie z ostantacyjnym spokojem podszedł do fali dyskusji, jaka już późną wiosną 1938 r. przelała się przez Europę na temat dalszych losów Czechosłowacji i zamieszkiwanego przez mniejszość niemiecką Sudetenlandu, który Hitler chciał włączyć do Rzeszy. Beck, podobnie jak wcześniej Piłsudski, uważał Czechosłowację za twór sztuczny, pozbawiony historycznego umocowania, na zewnątrz pozornie demokratyczny, a faktycznie będący państwem policyjnym. Drażniło go bezkrytyczne podejście Beneša do wszelkich inicjatyw proponowanych przez Francję, Anglię czy ZSRR. Niepokoiła zaś polityka czechizacji stosowana wobec Polaków na Zaolziu, popieranie przez Pragę irredenty ukraińskiej wymierzonej w Polskę, tolerowanie ośrodka Kominternu działającego w stolicy Czechosłowacji i prowadzącego akcję antypolską, wreszcie udzielanie azylu uciekinierom politycznym, takim jak Wincenty Witos czy Wojciech Korfanty. Pamiętano o niechętniej postawie Pragi wobec zmagającej się z bolszewikami Rzeczypospolitej w 1920 r. Beneš nie pozostawał zresztą dłużny i do szefa polskiej dyplomacji odnosił się z widoczną niechęcią. Trudno jednakże

zgodzić się z tezą, że Beck jesienią 1938 r. kierował się owymi uprzedzeniami i animozjami, podejmując zasadnicze decyzje. Warto podkreślić, że przed południem 30 września 1938 r., po otrzymaniu informacji o decyzjach podjętych w Monachium, rozważał z całą powagą możliwość udzielenia sąsiadom zbrojnej pomocy, jeśli Praga podjęłaby decyzję o walce, której zresztą pragnęła większość czechosłowackiego korpusu oficerskiego. Beck i inni polscy przywódcy wiedzieli dobrze, że połączony potencjał armii polskiej i czechosłowackiej byłby nie-małą, a do tego świetnie uzupełniającą się siłą. O kapitulacji Pragi wobec brutalnych postulatów Hitlera, zgłaszanych przy potakiwaniu Anglików i Francuzów, zadecydowały władze polityczne z Benešem na czele, który chronił tym samym narody zamieszkujące Czechosłowację przed rozlewem krwi.

Beck kierował się jesienią 1938 r. dwiema zasadniczymi przesłankami – zamiarem naprawienia ewidentnej krzywdy, jaką było zajęcie Zaolzia przez Czechów w 1919 r., oraz chęcią obrony praw mniejszości polskiej w Czechosłowacji. Wielokrotnie i stanowczo podkreślał, że Warszawa będzie się dopominać dla Polaków takich regulacji prawnych, jakie uzyska mniejszość niemiecka. W tym przypadku bezwzględnie stawiano znak równości. Akcentując zainteresowanie dyplomacji polskiej sytuacją na południe od Karpat, minister dawał sygnały, że chętnie przyjąłby zaproszenie do Monachium. Jego sugestie nie zostały jednakże uwzględnione i na konferencję nie pojechał. Tym bardziej zdał sobie sprawę, że druga okazja do upomnienia się o prawa Polski do Zaolzia szybko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, się nie nadarzy i należy podjąć energiczną akcję dyplomatyczną, a następnie wojskową. Poparły go gremia decyzyjne z prezydentem Ignacym Mościckim i generalnym inspektorem sił zbrojnych marsz. Śmigłym-Rydzem na czele, i niemalże cały gabinet ministrów. Zastrzeżenia co do formy

przeprowadzenia akcji, nie negując wszak jej słuszności, wyrażał jedynie wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski. 21 września 1938 r. Beck skierował do Pragi pismo, w którym zażądał „pewnego wyrównania linii” i wypowiedział fragment polsko-czechosłowackiej umowy likwidacyjnej z 1925 r., dotyczącej problemów mniejszościowych. Czesi odpowiedzieli 25 września, proponując rozpoczęcie negocjacji na tematy sporne i zapowiadając ważny list od Beneša do prezydenta Mościckiego. List ten dotarł do Warszawy dopiero 26 września, przy czym opóźnienie to nie było przypadkowe, a akcja została zawczasu uzgodniona między Pragą i Moskwą. Wcześniej bowiem do stolicy Polski dotarła nota sowiecka, utrzymana w ostrym tonie i grożąca wypowiedzeniem paktu o nieagresji z 1932 r., gdyby Rzeczpospolita podjęła agresywne kroki wobec południowego sąsiada. Odpowiedź polska na notę sowiecką była równie ostra i stanowcza.

W obliczu decyzji podjętej podczas konferencji monachijskiej Beck wystosował 30 września 12-godzinne ultimatum do Pragi, żądając odstąpienia Polsce zamieszkanym przez mniejszość polską terenów Śląska Cieszyńskiego i przeprowadzenia na korzyść Rzeczypospolitej korektur granicznych na Spiszu i Orawie. Krótco po południu 1 października polskie ultimatum zostało przyjęte, a oddziały Wojska Polskiego dowodzone przez gen. Władysława Bortnowskiego w ciągu kilku następných dni zajęły oddane Polsce tereny. Doszło przy tym do zgrzytu w stosunkach z Niemcami, którzy pragnęli zająć część Zaolzia z węzłem kolejowym w Boguminie. Po krótkich perswazjach Hitler ustąpił, zapewne głęboko przekonany, że niebawem teren ten i tak znajdzie się w jego rękach. Rozgłos, po części autentyczny, po części zaś inspirowany przez czynniki rządowe, oraz przedstawienie zajęcia Zaolzia jako wielkiego sukcesu Rzeczypospolitej były Beckowi bardzo

nie na rękę. Szef dyplomacji zdawał sobie sprawę z tego, że polska akcja spotka się potępieniem mocarstw zachodnich, szukających usprawiedliwienia dla ustępliwej wobec Hitlera polityki monachijskiej. Najgłośniej potępiali ją grabarze Czechosłowacji, po raz kolejny sugerując, że musiała być ona wcześniej skoordynowana z akcją Berlina, na którą sami dali przyzwolenie.

Jednoznaczna ocena posunięć dyplomacji polskiej wobec Czechosłowacji jesienią 1938 r. nie jest możliwa. Z perspektywy historycznej można podkreślać jej krótkowzroczność. Wszak zapoczątkowany w Monachium rozpad południowego sąsiada pozwalał III Rzeszy okrążyć od południa Polskę i zagarnąć nie mały potencjał gospodarczy oraz militarny Czech i Moraw. Czy jednak w 1938 r. Beck czy ktokolwiek inny był w stanie zmusić czechosłowackich polityków do podjęcia decyzji o zbrojnym oporze? Zapewne gdyby doszło do wojny niemiecko-czechosłowackiej znalezienie wyjścia byłoby o wiele łatwiejsze, a rozwiązanie wszystkich spornych problemów między Warszawą i Pragą dokonałoby się inną drogą. Kiedy jednak wiadomo już było, że Beneš skapituluje wobec żądań Hitlera, popartych biernością Anglii i Francji, czy można było nie podjąć działań w celu obrony Polaków mieszkających w Czechosłowacji i pozostawić ich na łasce czy niełasce Hitlera?

W drugiej połowie października 1938 r. Beck udał się z wizytą do Bukaresztu w celu namówienia sojuszników do inspirowanej przez Budapeszt akcji dalszego rozbioru Czechosłowacji, a dokładnie oderwania od niej, a następnie podzielenia między Węgry i Rumunię Rusi Podkarpackiej. Propozycja ta została jednak stanowczo odrzucona przez Rumunów. Jaki był cel owej dyplomatycznej podróży polskiego ministra? Wychodził on z założenia, że dalszy rozkład Czechosłowacji jest nieunikniony i trudno mu się przeciwstawić. Od dawna teren Rusi Podkarpac-

kiej uważano w Warszawie za zupełnie luźno związany z Pragą. Beck był zatem zdania, że jak najszybciej należy doprowadzić do poszerzenia odcinka granicznego z sojuszniczą Rumunią i uzyskać wspólną granicę z zaprzyjaźnionymi Węgrami. W tym dostrzegał wzmocnienie bezpieczeństwa Polski od południa. Tym razem trudno w jego działaniu nie dostrzec jednak wyraźnej niechęci wobec pogiętej już w Monachium Czechosłowacji. Wspólną granicę z Węgrami Polska uzyskała w marcu 1939 r. na skutek arbitrażu wiedeńskiego. Nie pozostawało to bez znaczenia w okresie kampanii wrześniowej, gdyż Węgrzy odmówili Niemcom prawa do korzystania z ich terytorium podczas akcji militarnej przeciw Polsce.

* *

Przełom w stosunkach polsko-niemieckich nastąpił 24 października 1938 r. Tego dnia szef dyplomacji III Rzeszy Joachim von Ribbentrop wezwał ambasadora Józefa Lipskiego i zażądał od niego uzyskania zgody Warszawy na szereg ustępstw, w tym włączenia Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy oraz budowy eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez terytorium Pomorza. Było już wiadomo, że Polska stanie się kolejnym państwem na celowniku Hitlera. Warszawa nie chwaliła się przed światem żądaniami niemieckimi, ale mocarstwa szybko się o nich dowiedziały. Nad Wisłą z całą odpowiedzialnością przestudiowano warunki postawione przez Ribbentropa i z całą stanowczością je odrzucono. W ciągu najbliższych miesięcy, do marca 1939 r., były one zresztą wielokrotnie powtarzane i tyleż samo razy odrzucane. Beck osobiście uczynił to 5 stycznia 1939 r. podczas spotkania z Hitlerem w Berchtesgaden i pod koniec tego miesiąca w trakcie rozmów z Ribbentropem w Warszawie. Szef polskiej dyplomacji stawiał sprawę jasno

– „chwiejne stanowisko z naszej strony prowadziłyby nas w sposób nieunikniony na równię pochyłą, kończącą się utratą niepodległości i rolą wasala Niemiec”.

Wydawało się natomiast, że udało się doprowadzić do odprężenia w stosunkach z ZSRR, mocno wszak nadwyrężonych po kryzysie czechosłowackim. 28 listopada 1938 r. publicznie potwierdzono wszystkie dotychczasowe umowy podpisane przez Polskę i Sowiety, a nawet uzgodniono zasady zwiększenia obrotów handlowych i rozwiązania spraw konsularnych. Szybko miało się jednak okazać, że nie jest to trwały kurs Moskwy, a jedynie działanie o charakterze taktycznym.

Dosyć nieoczekiwanie w końcu marca 1939 r. strona brytyjska zwróciła się do Warszawy z pytaniem, czy nie będzie miała nic przeciwko udzieleniu przez Wielką Brytanię jednostronnych gwarancji niepodległości Rzeczypospolitej? Propozycja ta została przyjęta i odpowiednie oświadczenie premier Neville Chamberlain złożył w Izbie Gmin 31 marca. Warto podkreślić, bo będzie to miało swoje znaczenie w latach II wojny światowej, że Brytyjczycy gwarantowali nam niepodległość, natomiast nie gwarantowali granic. Zastanówmy się nad motywami kroku podjętego przez Londyn. Grała tu bez wątplenia swoją niemałą rolę stara, tradycyjna i wciąż aktualna polityka *balance of power*. Nad Tamizą nikt już nie miał wątpliwości, że po zagarnięciu Austrii, Czech i Moraw (w połowie marca 1939 r.), uzależnieniu od Berlina Słowacji i wchłonięciu Kraju Kłajpedy (także w marcu 1939 r.), III Rzesza tak bardzo urosła w siłę, że stała się zagrożeniem dla równowagi w Europie i trzeba podjąć działania co najmniej neutralizujące Hitlera. Z drugiej strony owe gwarancje udzielone Polsce nie były niczym innym, jak formą dyplomatycznego nacisku, kompletnie nieskutecznego wobec Führera. Wydaje się, że zbyt daleko posuniętym jest dosyć popularny pogląd o jakoby

makiawelicznym zagranium Londynu, który dając Polsce gwarancje, tym samym wskazał Hitlerowi pierwszy cel ataku, odsuwając to niebezpieczeństwo od Zachodu. Trudno natomiast nie zgodzić się z tezą, że Führer mógł się spodziewać ataku ze strony Polski w przypadku, gdyby sam uderzył na państwa Europy Zachodniej, podobnie jak przewidywać mógł bierność ze strony państw Europy Zachodniej wówczas, gdy obiektem jego agresji będzie Polska. Doświadczenia Czechosłowacji z 1938 r. były tu wymowne. Zatem najpierw należało wyeliminować Polskę, a jeszcze wcześniej możliwie skutecznie izolować ją na arenie międzynarodowej. Do wykonania tego ostatniego zadania potrzebny był udział ZSRR. Tymczasem Moskwa, a właściwie sam Stalin, już w styczniu 1939 r. wysłała do Berlina pierwszy sygnał, że porozumienie obu totalitarnych reżimów jest możliwe. Rozmowy niemiecko-sowieckie, początkowo na niskim szczeblu, rozpoczęto wiosną. Niemalą rolę odegrał w nich Georgij Astachow, kierujący ambasadą sowiecką w Berlinie.

Wróćmy jednak do polityki polskiej. Wbrew pozorom decyzja o przyjęciu brytyjskich gwarancji i przekształceniu ich w gwarancje dwustronne, do czego Beck doprowadził w trakcie wizyty w Londynie (3–6 kwietnia 1939 r.), nie była łatwa. Nie możemy zapominać, że szef polskiej dyplomacji postępował wedle wskazówek nieżyjącego od czterech lat Piłsudskiego, który pozostawał dla niego najwyższym autorytetem. Nigdy wcześniej dyrektywy zmarłego Marszałka nie były sprzeczne wobec siebie. Tym razem jednak tak właśnie było. Z jednej strony zbliżenie do Wielkiej Brytanii, a nawet przekształcenie gwarancji w sojusz, było osiągnięciem jakże pożądanym przez dyplomację polską, z perspektywy lat 20. czy nawet roku 1935 wydającym się niezwykle trudnym, wręcz nieosiągalnym. Z drugiej zaś, uzyskanie tego zbliżenia było równoznaczne z zerwaniem innej

wytycznej Piłsudskiego, „linii 26 stycznia”, a w gruncie rzeczy pożegnaniem z polityką „równych odległości”, czy może bardziej precyzyjnie – marzeniami o jej odbudowie. Inaczej niż w okresie kryzysu nadreńskiego w 1936 r., gdy można było jeszcze grać na dwie strony, tym razem trzeba było wybierać i jasno się określić, czy idzie się z Hitlerem przeciwko Zachodowi, czy też idzie się z Zachodem przeciwko Hitlerowi?! Zmuszał do tego rozwój wydarzeń. Tę kluczową decyzję Beck winien był uzgodnić z Mościckim i Śmigłym. Na dobrą sprawę podjął ją sam, bo gwarancje jednostronne przekształcił w dwustronne bez porozumienia z Warszawą. Zgodę najwyższych czynników w państwie uzyskał *post factum*. Swoistym paradoksem historii było to, że Polska była jednym z nielicznych w Europie krajów rządzonych autorytarnie, które świadomie i z przekonaniem wybrały drogę sojuszu z demokracjami zachodnimi.

Na konsekwencje tego wyboru nie trzeba było długo czekać. 28 kwietnia 1939 r. Hitler wypowiedział w Reichstagu polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy z 1934 r. oraz niemiecko-brytyjski układ morski z 1935 r. Z kolei 5 maja Beck wygłosił w polskim parlamencie swoje słynne przemówienie, w którym mówił o tym, że Polska nie da się odepchnąć od Bałtyku i że nie zna pojęcia honoru za wszelką cenę. Z sympatią do tych słów odnieśli się nawet przeciwnicy polityczni ministra oraz osoby postronne. Swoją drogą warto przypomnieć, że wiele lat wcześniej nie kto inny jak David Lloyd George powiedział, że „wielkie mocarstwo [Anglia – przyp. M.W.] nie zna pojęcia honoru za wszelką cenę”. Chyba już nigdy nie dowiemy się, czy Beck inspirował się słowami tak nie lubianego nad Wisłą brytyjskiego polityka, czy też był to zbieg okoliczności.

W maju 1939 r. odnowiono przymierze militarne z Francją, podpisując protokół, w którym sojusznik zobowiązywał się do rozpoczęcia 15 dni po przeprowadzeniu powszechnej mobili-

zacji ofensywy na froncie zachodnim. Paryż uzależnił jednakże wprowadzenie w życie tego protokołu od podpisania układu politycznego. Wielce symptomatyczne było zaś to, że z zawarciem umowy politycznej Francuzi konsekwentnie zwlekali aż do września 1939 r., oglądając się przy tym na Londyn.

W lecie 1939 r. Polska, wbrew wysiłkom dyplomatycznym, stawała się coraz bardziej przedmiotem w rozgrywce między mocarstwami. Stroną rozdającą karty w tej grze była Moskwa. Stalin znalazł się w komfortowej sytuacji. Mógł szantażować Niemców rozmowami z Francuzami i Anglikami, a tych ostatnich negocjacjami z III Rzeszą. Tak też czynił, wyciągając jak najwięcej korzyści dla siebie. Kiedy wydawało się, że jest całkiem możliwe podpisanie francusko-angielsko-sowieckiego układu politycznego, Moskwa zażądała uzupełnienia go o konwencję wojskową, skutecznie grając na czas. Wreszcie kiedy i w tym zakresie była szansa osiągnięcia porozumienia, marsz. Kliment Woroszyłow zażądał zgody Warszawy na przemarsz wojsk sowieckich przez jej terytoria, bynajmniej Polaków do stołu obrad nie zapraszając. Beck twardo i stanowczo odpowiedział ambasadorom państw sprzymierzonych akredytowanym w Warszawie, że warunek sowiecki „redukuje Polskę do roli obiektu martwego”, a rząd polski nie może dopuścić do traktowania swojego „terytorium jako przedmiotu negocjacji między państwami trzecimi”. Ostatecznie ustalono, iż na wypadek agresji niemieckiej Warszawa byłaby gotowa zasiąść do stołu obrad z Sowietami w celu wypracowania życzliwego porozumienia. Delegacja francusko-angielska miała domagać się od Moskwy konkretnego planu współpracy przeciw III Rzeszy.

Tymczasem sprawy toczyły się za plecami Polaków. Francuzi już 21 sierpnia z własnej inicjatywy upoważnili gen. Josepha Doumenca do złożenia oświadczenia, że Warszawa zgadza się na przemarsz wojsk sowieckich przez swoje terytorium, co

nie było zgodne z prawdą, ale oddaje dobrze tendencję ratowania pokoju za wszelką cenę – tym razem kosztem Rzeczypospolitej. Doumenc poinformował o tym stanowisku Woroszyłowa następnego dnia. Wówczas strona sowiecka, dalej grając na zwłokę, zażądała odpowiedzi na pytanie, czy o tym stanowisku wiedzą rządy brytyjski, polski i rumuński. Tym sposobem Stalin dalej przewlekał jałowe pertraktacje, z niecierpliwością oczekując przybycia delegacji niemieckiej z Ribbentropem na czele.

23 sierpnia 1939 r. stanął między ZSRR i III Rzeszą jawny pakt o nieagresji, który został uzupełniony o wiele ważniejszym tajnym protokołem, dzielącym Polskę na dwie części wzdłuż rzek Narwi, Wisły i Sanu oraz wyznaczający strefy wpływów w Europie Wschodniej. Sam pakt o nieagresji był niczym innym jak tylko kwiatkiem do kożucha, a sens układu zawierał się w tajnym protokole. Dzięki sekretarzowi ambasady niemieckiej w Moskwie Hansowi von Herwarthowi treść owego protokołu Amerykanie poznali już następnego dnia. Nikt jednak nie przekazał go stronie polskiej, o niczym nie został poinformowany urzędujący w Moskwie ambasador Wacław Grzybowski. Inna sprawa, że posiadanie tego typu informacji najpewniej w niczym nie zmieniłoby tragizmu sytuacji. Można by co najwyżej głośno krzyknąć. Zapewne byłby to głos wołającego na pustyni...

Ostatnim ważnym dokumentem podpisanym przez polskich dyplomatów przed rozpoczęciem działań wojennych był zawarty w Londynie pakt o wzajemnej pomocy z Wielką Brytanią (25 sierpnia 1939 r.). Był on dopełnieniem gwarancji dwustronnych wynegocjowanych wiosną. Dla Brytyjczyków pakt z Polską był jednakże niczym innym jak kolejnym dyplomatycznym naciskiem na Berlin, aby zaniechał agresywnych planów. Zachęcał też Polaków do stawiania zbrojnego oporu, dając tym samym Francji i Anglii czas na lepsze przygotowanie się do ewentualnego konfliktu z III Rzeszą. Praktyczny jego efekt

polegał na tym, że Hitler na krótko się zawahał i przesunął datę ataku na Polskę z 26 sierpnia na 1 września. Patrząc z dłuższej perspektywy, pakt otworzył drogę do współpracy politycznej i militarnej z Wielką Brytanią w czasie II wojny światowej.

Warto dodać, że pokój za wszelką cenę próbował ratować w ostatnich dniach sierpnia także papież Pius XII za pośrednictwem nuncjusza w Warszawie Mgr. Filippo Cortesiego, proponując oddanie Niemcom Gdańska i Pomorza. Tego typu propozycje przypominały konferencję monachijską, z tą tylko różnicą, że teraz miejsce Czechosłowacji zajęłaby Polska. I tym razem z ust Becka padło stanowcze „nie”.

1 września 1939 r. rozpoczęła się agresja hitlerowska przeciwko Rzeczypospolitej.

* *

Kto wie, czy za ostatni, wcale nie miały sukces dyplomacji polskiej kierowanej przez ministra Becka nie należy uznać wypowiedzenia 3 września 1939 r. Niemcom wojny przez Wielką Brytanię, a kilka godzin później przez Francję, do czego ani Londynowi, ani zwłaszcza Paryżowi nie było pilno. Trzeba było niemałych wysiłków ze strony akredytowanych nad Tamizą i Sekwaną dyplomatów polskich, a zwłaszcza ambasadora Juliusza Łukasiewicza, aby ten pozornie oczywisty obowiązek sojuszniczy został wypełniony. W ten sposób umiędzynarodowiono samotny bój Polaków. W gruncie rzeczy w tym właśnie fakcie szukać należy zachowania ciągłości państwa polskiego i legalizmu jego władz na wychodźstwie. Miał rację Beck, pisząc już z Rumunii do swojego przyjaciela i zarazem współpracownika, ambasadora przy Kwirynale Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, że bardzo mu zależało na tym, aby sprawa polska nie była znowu sprowadzona do poziomu komitetów, tak jak to było w czasach poprzedniej wojny światowej

i funkcjonowania Komitetu Narodowego Polskiego, a została utrzymana na poziomie rządu.

Na koniec rozważań wypada odnieść się do jeszcze jednej, zasadniczej wszak kwestii, podnoszonej zresztą w literaturze naukowej, pamiętnikarskiej i publicystyce od wielu dziesięcioleci. Dziś wydaje się ona zresztą już raczej oczywistą, aczkolwiek wciąż wywołuje dyskusje. Jest nią odpowiedź na pytanie, czy była alternatywa dla polskiej polityki w latach 30., a zwłaszcza w przededniu II wojny światowej. W literaturze Polski Ludowej przedstawiano ją prosto – trzeba było szukać przyjaciół blisko, a nie daleko, a zatem należało wejść w układy sojusznicze z ZSRR i wraz z nim podjąć walkę przeciw hitlerowskim Niemcom. Za kwestię bezdyskusyjną i oczywistą uznawano fakt, że Sowiety od początku do końca rzeczywiście chciały walczyć przeciw III Rzeszy. Z drugiej strony podnoszono opcję odwrotną. Należało zatem przyjąć propozycję Hitlera wspólnego marszu na Wschód. Nie doszłoby do zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow. W ten sposób uniknięto by ogromu strat, a nawet można byłoby to czy owo zyskać, np. na Ukrainie. Gdyby Hitler zaczął przegrywać, można by wycofać się z tego układu i wystąpić przeciw Rzeszy. Tu podawano przykłady takich państw jak Rumunia, Węgry a nawet Włochy. Źródłem pierwszego poglądu była ideologia, zaś drugiego znajomość późniejszych wydarzeń, których nawet najbardziej przenikliwe umysły nie były w stanie przewidzieć w 1938 czy 1939 r. Nie wdając się w szersze polemiki, które zresztą były już podejmowane wielokrotnie, warto zwrócić uwagę tylko na jeden aspekt. Przyjęcie przez Polskę jednej z wyżej przedstawionych opcji, przy słusznym założeniu, że konflikt światowy nie mógł ominąć Rzeczypospolitej, włączonej między dwa państwa totalitarne, musiało skutkować bolesnymi cesjami terytorialnymi bądź na rzecz ZSRR, bądź

na rzecz III Rzeszy. Nie było wątpliwości, a ilustrowały to choćby wydarzenia z 1920 r., że w pierwszym przypadku chodziło o tereny na wschód od Bugu (linia Curzona), zaś w drugim, co równie dobrze ilustrowały wydarzenia z lat 1938–1939, co najmniej o Pomorze oraz Gdańsk, a niewykluczone również, że o Górny Śląsk i Wielkopolskę. Czy jakkolwiek rząd Rzeczypospolitej, niezależnie od barw politycznych, może z wyjątkiem grupki komunistów realizujących polecenia płynące z Moskwy, byłby skłonny pójść na terytorialne ustępstwa, które w gruncie rzeczy były prostą drogą do utraty podmiotowości i niezależności? Pytanie to jest aż nadto retoryczne.

Wojciech Morawski

GOSPODARKA II RZECZYPOSPOLITEJ

Dzieje gospodarcze II Rzeczypospolitej mogą być przedmiotem dumy narodowej. W krótkim czasie zintegrowano gospodarczo trzy bardzo różne organizmy gospodarcze, przezwyciężono inflację i zrealizowano kilka imponujących inwestycji, z Gdynią i Centralnym Okręgiem Przemysłowym na czele. Zarazem jednak polityka gospodarcza Polski miała charakter konserwatywny, co utrudniało zmniejszanie obszarów biedy i niedostatku.

Bilans otwarcia – dziedzictwo zaborów i wojny światowej

Rozwój kapitalizmu na ziemiach polskich przypadł na okres zaborów, co odcisnęło się na gospodarce II Rzeczypospolitej. W tym czasie nastąpiło uprzemysłowienie ziem polskich, dokonały się towarzyszące industrializacji procesy urbanizacyjne, rozwinęła się nowoczesna sieć transportowa, zlikwidowany został system feudalny, co zasadniczo zmieniło stosunki społeczne na wsi, umożliwiając awans społeczny i gospodarczy warstwom plebejskim.

Najlepiej uprzemysłowionym (co nie znaczy najbardziej rozwiniętym pod względem cywilizacyjnym) był zabór rosyjski. Ziemie polskie były najlepiej rozwiniętą gospodarczo częścią imperium rosyjskiego. Przez większą część XIX w. polski przemysł miał w związku z tym do swojej dyspozycji ogromny ry-

nek rosyjski. Już w pierwszej połowie XIX w. na północ od Gór Świętokrzyskich, w Zagłębiu Staropolskim (Starachowice, Ostrowiec Świętokrzyski, Skarżysko-Kamienna) rozwinął się przemysł ciężki. Z czasem wzrosło znaczenie położonego tuż przy zbiegu granic trzech zaborów Zagłębia Dąbrowskiego (Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec, Będzin). Największym ośrodkiem przemysłu włókienniczego była Łódź oraz pobliskie miasta: Pabianice, Zgierz, Aleksandrów czy Żyrardów. W Okręgu Białostockim, na tzw. Ziemiach Zabrzanych, czyli terenach bezpośrednio włączonych do Rosji, rozwinął się przemysł włókienniczy. Ważnym ośrodkiem przemysłowym stała się również Warszawa. Ale rozwój gospodarczy nie był jedynym wyznacznikiem sytuacji w zaborze rosyjskim. Najpóźniej spośród wszystkich części Polski, bo dopiero w 1864 r., przeprowadzono tu reformę uwłaszczeniową. Władze rosyjskie reglamentowały też, ze względów strategicznych, rozwój sieci kolejowej (zwłaszcza na bardziej rozwiniętym, zachodnim brzegu Wisły). Tylko w dwóch miejscach: w Warszawie i w Dęblinie, linie kolejowe przekraczały Wisłę. Obowiązywał też całkowity zakaz budowy mostów na Wiśle powyżej Dębłina i poniżej Modlina. Oznaczało to, że aż do czasów I wojny światowej takie miasta, jak Płock czy Włocławek nie mogły zbudować sobie mostów. Zabór rosyjski poniósł też największe straty podczas wojny. Nie tyle na skutek działań wojennych, ile na skutek ewakuacji rosyjskiej w 1915 r., kiedy to zakłady przemysłowe w Królestwie Polskim ogołocoło z maszyn.

Zabór pruski był zapleczem rolniczym Niemiec, co przesądzało o jego dość słabym uprzemysłowieniu. Rolnictwo stało tam na wysokim poziomie, kraj pokryty był gęstą siecią linii kolejowych i cywilizacyjnie przewyższał pozostałe zabory. Odrębną pozycję miał uprzemysłowiony okręg górnośląski, włączony do Polski w 1922 r. Formalnie nie zaliczano go jed-

nak do zaboru pruskiego, bo przed rozbiorami nie należał do Polski. Na ziemiach zaboru pruskiego nie toczyły się działania wojenne, więc nie było tam bezpośrednich zniszczeń.

Galicja, czyli zabór austriacki, była ubogą i peryferyjną częścią monarchii habsburskiej. Była to też prowincja przeludniona, w której występował największy „głód ziemi”. W Zagłębiu Krakowskim, w bezpośrednim sąsiedztwie Górnego Śląska, rozwinęło się górnictwo węgla kamiennego. Poza tym Galicja była jedną ze światowych kolebek przemysłu naftowego. Atutem Galicji była autonomia, którą cieszyła się w obrębie Austro-Węgier. Dzięki temu dysponowała kadrami administracyjnymi, które po 1918 r. znalazły zatrudnienie również w innych zaborach. Front rosyjski przetoczył się przez wschodnią część kraju dwukrotnie: w latach 1914 i 1915, powodując znaczne zniszczenia.

W pierwszych latach niepodległości jednym z podstawowych wyzwań stojących przed II Rzeczpospolitą była zatem unifikacja kraju. Trzeba było zintegrować trzy bardzo różne organizmy gospodarcze, zastąpić ich tradycyjne powiązania gospodarcze nowymi i zdobyć nowe rynki zbytu. Dobrą ilustracją problemów, które stanęły przed władzami polskimi, mogą być zadania w dziele integracji sieci kolejowej. W 1918 r. nie istniały bezpośrednie połączenia kolejowe łączące Warszawę z Poznaniem, ze Lwowem czy z Krakowem. Nie było też linii kolejowej łączącej Śląsk z Wybrzeżem. Równie głębokie były podziały w sferze systemów prawnych, tradycji, nawyków czy stosunku do państwa.

Wojna, inflacja i hiperinflacja (1918–1923)

W listopadzie 1918 r. na skutek klęski państw centralnych Polska odzyskała niepodległość. Jednak okres gospodarki

wojennej trwał aż do wiosny 1921 r. W tym czasie problemy gospodarcze pozostawały w cieniu wymogów militarnych. Wpływało to przede wszystkim na sprawy walutowe.

U progu niepodległości jednym z najpilniejszych zadań władz skarbowych Rzeczypospolitej była unifikacja walutowa kraju. W obiegu znajdowały się bowiem waluty państw zaborczych, marki polskie emitowane przez utworzoną w 1917 r. w Warszawie Polską Krajową Kasę Pożyczkową, ostruble, ukraińskie griwny i karbowańce oraz liczne „waluty” emitowane przez władze lokalne. Kursy ich były płynne, co jeszcze bardziej pogłębiało chaos.

Spośród walut będących w obiegu tylko marka polska nie była używana w żadnym innym państwie. Istniały też spore zapasy wydrukowanych i gotowych do puszczenia w obieg marek polskich. Już 11 listopada 1918 r. przeprowadzono „polonizację” PKKP. Usunięto zatrudnionych tam Niemców, zastępując ich personelem polskim. Dekret Naczelnika Państwa z 7 grudnia 1918 r. czynił z PKKP polską instytucję emisyjną. Rozwiązanie takie było jednak traktowane jako tymczasowe.

W lutym 1919 r. minister skarbu Józef English przygotował projekt ustawy, na mocy której przyszła polska instytucja emisyjna miała nosić nazwę Bank Polski, a przyszłą polską walutą miał być „lech”, dzielący się na 100 groszy. 28 lutego 1919 r. sejm przyjął ten projekt, zmieniając jedynie nazwę „lech” na „złoty”. Mając takie pełnomocnictwo, ministerstwo skarbu zamówiło w Wiedniu druk banknotów złotych, emitowanych przez Bank Polski. Złote pojawiły się w obiegu dopiero w 1924 r. Tajemnica polega na tym, że banknoty te rzeczywiście były wydrukowane w 1919 r. i przez pięć lat czekały w skarbcu na puszczenie w obieg.

Wróćmy jednak do problemu unifikacji walutowej. Wstępem do tej operacji był wydany w marcu 1919 r. zakaz przywozu

do Polski z zagranicy środków pieniężnych państw zaborczych. Następnie wprowadzono markę polską jako drugą, obok dotychczas tam funkcjonującej, walutę. Proces przechodzenia na marki, jako jedyną walutę, zakończył się w Wielkopolsce w listopadzie 1919 r., a w Galicji i części Królestwa Polskiego okupowanej wcześniej przez Austrię w marcu 1920 r. Postanowienia dotyczące Wielkopolski zaczęły obowiązywać również na Pomorzu w momencie przejścia go przez Polskę w lutym 1920 r. W kwietniu 1920 r. wprowadzono markę polską w polskiej części Śląska Cieszyńskiego. W kwietniu 1920 r. pozbawiono ruble praw obiegu w Polsce. W lipcu 1921 r. rozciągnięto to postanowienie na obszar Kresów Wschodnich. W polskiej części Górnego Śląska po podziale w 1922 r. marka niemiecka obowiązywać miała jeszcze przez 15 lat. Tak stanowiła polsko-niemiecka Konwencja Górnośląska z maja 1922 r. Ale już kilka miesięcy później, w listopadzie 1922 r., rząd polski, powołując się na fakt, że marka niemiecka podlega znacznie szybszej inflacji niż polska, wprowadził tam markę polską jako jedyną walutę.

Unifikacja waluty była przedsięwzięciem delikatnym pod względem politycznym. Przeprowadzenie jej w sposób dyskryminujący którąś z dzielnic mogło podsycić i tak silne separatyzmy. Dlatego z reguły stosowano przedwojenny oficjalny kurs wymiany, przyjmując, że marka polska jest odpowiednikiem marki niemieckiej, choć często nie odpowiadało to już realnym wartościom wycofywanych z obiegu walut. Dodatkowo utrudniał całe przedsięwzięcie fakt, że wprowadzano walutę z założenia tymczasową, podlegającą ponadto szybkiej deprecjacji. W tej sytuacji szybkie i niewywołujące konfliktów ujednoczenie waluty należy uznać za sukces.

Opóźnienie wprowadzenia złotego wynikało z przekonania, że reforma walutowa, jeśli nie ma być tylko zmianą

nazwy waluty, musi być poprzedzona zrównoważeniem budżetu. Wiele przyczyn złożyło się na niemożność spełnienia tego warunku w pierwszych latach niepodległości. Systemy podatkowe w poszczególnych dzielnicach znacznie się od siebie różniły. Poza Galicją nie było polskiego aparatu skarbowego. Płatnicy zdemoralizowani byli sytuacją, w której świadczyli na rzecz obcych państw. Nie istniał mechanizm zapewniający waloryzację świadczeń w warunkach chaosu walutowego i szybkiej deprecjacji właściwie wszystkich walut będących w obiegu na ziemiach polskich. Szanse na stabilizację przekreślały też trwające działania wojenne.

Od grudnia 1919 r. do listopada 1920 r. stanowisko ministra skarbu piastował, po raz pierwszy, Władysław Grabski. Próbował uporządkować gospodarkę budżetową, dzieląc dochody oraz wydatki na zwyczajne i nadzwyczajne. Wydatki zwyczajne miały być pokryte zwyczajnymi dochodami (podatkami, dochodami z przedsiębiorstw państwowych i monopoli). Wydatki nadzwyczajne natomiast, jako przejściowe, miały być pokrywane nadzwyczajnymi dochodami (pożyczkami wewnętrznymi i zagranicznymi). Licząc się, ze względu na trwającą wojnę, z wydatkami nadzwyczajnymi, Grabski czynił starania o pożyczkę zagraniczną. Planował oprzeć reformę walutową na pożyczce amerykańskiej i dochodach z eksportu drewna. Tymczasem inflacja nie ustępowała i w przeddzień ofensywy kijowskiej za dolara płacono 160 marek. Dramatyczne okoliczności wojny 1920 r. przekreśliły wszelkie szanse stabilizacji. W lipcu 1920 r. Rada Obrony Państwa wyłączyła wydatki wojskowe z normalnej gospodarki budżetowej. Trudno zresztą czynić z tego zarzut. Trwała wojna i przede wszystkim nie wolno było jej przegrać.

Koniec wojny i podpisanie pokoju w Rydze zmieniły charakter inflacji polskiej. Dotychczas przyrosty emisji pienią-

dza były mniejsze od deficytów budżetowych. Inaczej mówiąc, maszyny drukarskie PKKP pracowały całkowicie na pokrycie deficytów budżetowych. W 1921 r. proporcje te się odwróciły: przyrosty emisji stały się większe od deficytów budżetowych. Oznaczało to, że rząd zaczął traktować inflację jako metodę nakręcania koniunktury i narzędzie pomocne w odbudowie gospodarczej kraju. Reformę walutową odkładano w imię dwóch założeń, które traktowano jak dogmat: że poprzedzić ją musi stabilizacja budżetu i że nie jest ona możliwa bez pomocy zagranicznej. Ważną zmianą było natomiast uwolnienie w czerwcu 1921 r. cen i zniesienie kartek. Zakończył się w ten sposób okres inflacji utajonej, polegającej na tym, że towary były trudno dostępne. Inflacja stała się jawna. Nikt nie blokował cen, nie było problemu z dostępem do towarów. Sklepy były pełne, tylko było w nich coraz drożej.

Pierwotne przyczyny inflacji, czyli wielkie deficyty budżetowe spowodowane przez wojnę, znikły w 1921 r. Jeśli nie doszło już wówczas do stłumienia inflacji, to z dwóch powodów. Po pierwsze – wytworzył się rodzaj błędnego koła. Deficyt budżetowy nakręcał inflację, ale inflacja z kolei, zmniejszając realną wartość dochodów państwa i równocześnie zmuszając do stałego zwiększania wydatków, uniemożliwiała zrównoważenie budżetu. Zduszenie inflacji wymagało przeprowadzenia dwóch reform: skarbowej, równoważącej budżet, i walutowej, porządkującej system monetarny.

Druga przyczyna, dla której trudno było zakończyć inflację, była jeszcze poważniejsza. Otóż inflacja, obok oczywistych wad, miała też zalety. Nakręcała koniunkturę, ponieważ popyt był wyższy od podaży. Ułatwiała też eksport dzięki inflacyjnej premii eksportowej. Polegała ona na tym, że ceny i płace krajowe rosły, ale wolniej niż kursy obcych walut. Z czasem doprowadzało to do sytuacji, w której kraj objęty inflacją sta-

wał się konkurencyjny na rynkach międzynarodowych dzięki niskim kosztom produkcji. Równocześnie inflacja skuteczniej niż jakiegokolwiek cła chroniła przed importem. Nie było sensu sprzedawać czegokolwiek na rynku, na którym ceny były (w porównaniu z zagranicą) śmiesznie niskie, a na dodatek pieniądź słaby i mocno podejrzany. Poza tym inflacja, poprzez szybki spadek wartości wszelkich zobowiązań, praktycznie uniemożliwiała bankructwo. W latach 1918–1923 w Polsce prawie nie odnotowywano bankructw. Posypały się one za to obficie po reformie Grabskiego, kiedy to okazało się, co były warte naprawdę rozmaite przedsięwzięcia.

Z punktu widzenia robotników sytuacja wyglądała tak: inflacja powodowała spadek płac realnych, ale równocześnie dzięki dobrej koniunkturze mało bezrobocie. Robotnicy byli potrzebni, a to oznaczało, że mogą stawiać warunki. Od początku 1921 r. w Polsce prowadzono systematyczną statystykę strajków. Wynika z niej, że przez kolejne lata inflacji rosła liczba strajków. Co ważniejsze, rósł procent strajków wygranych. Ten ostatni wskaźnik załamał się dopiero wraz z załamaniem koniunktury w połowie 1923 r. Tak więc wśród powszechnych narzekań na inflację potężne siły społeczne milcząco godziły się na jej kontynuowanie.

Od września 1921 r. do czerwca 1922 r. ministrem skarbu był Jerzy Michalski. Naprawę skarbu państwa chciał oprzeć na „ożywieniu gospodarczym”. Pod tym enigmatycznym określeniem ukrywał się m.in. zamach na 8-godzinny dzień pracy i inne zdobycze socjalne. Zwróciło to przeciw niemu całą lewicę. Równowagę budżetową chciał Michalski osiągnąć, podnosząc podatki. Wydaje się, że atak Michalskiego na zdobycze socjalne ułatwił zadanie lewicy. Czołowa jej siła – Polska Partia Socjalistyczna – nie dojrzała jeszcze do poparcia stabilizacji walutowej. Korzyści, jakie odnosili z inflacji robotnicy, były

ciągle jeszcze zbyt duże. Obrona inflacji jako takiej stawiałaby jednak PPS w niezręcznej sytuacji. Broniąc zdobyczy socjalnych, partia ta występowała w swojej naturalnej roli. Michalskiemu udało się przejściowo ustabilizować markę, ale po załamaniu się jego planów w sejmie skupił się na staraniach o uzyskanie pożyczki zagranicznej na cele stabilizacji i, podobnie jak jego poprzednicy, nic w tej sprawie nie wskórał. Mimo to polityka Michalskiego była najpoważniejszą przed reformą Grabskiego próbą opanowania inflacji.

Jedną z pierwszych decyzji wybranego pod koniec 1922 r. prezydenta, Stanisława Wojciechowskiego, było zorganizowanie w styczniu 1923 r. w Belwederze narady wszystkich dotychczasowych ministrów skarbu. Oczekiwano od nich przedstawienia koncepcji walki z inflacją. Najlepiej przygotowanym okazał się Władysław Grabski i on właśnie otrzymał tekę ministra skarbu w rządzie Władysława Sikorskiego. Grabski widział konieczność przeprowadzenia dwóch reform: skarbowej i walutowej. Ponieważ źródłem inflacji był deficyt budżetowy, najpierw należało przeprowadzić pierwszą z nich, usuwając przyczynę, następnie drugą, usuwając skutki. Równowagę budżetową zamierzał osiągnąć, zmniejszając wydatki, głównie wojskowe, oraz likwidując dotacje do kolei. W pierwszych latach niepodległości państwo utrzymywało taryfy kolejowe na niskim poziomie, traktując to jako pomoc w odbudowie gospodarczej kraju. Teraz taryfy miały wzrosnąć tak, by kolej nie wymagała dotacji. Przede wszystkim jednak Grabski zamierzał zwiększyć dochody poprzez waloryzację podatków. Dotychczas podatki były naliczane i następnie płacone według wartości nominalnej, co w warunkach inflacji zachęcało do opóźniania wpłat i powodowało, że budżet uzyskiwał zawsze mniej, niż zakładano. Teraz podatki miały być liczone według złotego miernika, opartego na indeksie cen hurtowych. W praktyce zaczęto je liczyć we frankach

szwajcarskich, co, przy okazji, przesądzało o parytecie przyszłej polskiej waluty. Sejm uchwalił ustawę w takim kształcie dopiero w grudniu 1923 r. Reformę skarbową Grabski planował na trzy lata, przewidując, że w tym czasie budżet będzie w niewielkim i ciągle malejącym stopniu wspomagany inflacyjną emisją pieniądza. W większości deficyty miały być pokrywane przez pożyczki zagraniczne oraz nadzwyczajny podatek majątkowy, z którego w ciągu trzech lat Grabski planował uzyskać 600 mln przyszłych złotych. Reformę walutową, jak już wspomniano, planowano przeprowadzić dopiero po zakończeniu wdrażania reformy skarbowej i zrównoważeniu budżetu.

Grabskiemu udało się utrzymać stabilny kurs marki. W maju 1923 r. doszła do władzy centroprawicowa koalicja Chjeno-Piasta z Wincentym Witosem na czele. Witos zaproponował Grabskiemu pozostanie w rządzie. Grabski zgodził się pod warunkiem akceptacji przez rząd jego programu i taką obietnicę uzyskał. Zmiana rządu w Polsce zbiegła się jednak z gwałtownym załamaniem marki niemieckiej, która spadając, pociągnęła za sobą w czerwcu również markę polską. Grabski opanował sytuację, ale wydarzenia te popszyły jego stosunki z kolegami z rządu, którzy podejrzewali go o celową grę, obliczoną na podkopanie autorytetu nowej koalicji. W tej sytuacji w czerwcu 1923 r. Grabski podał się do dymisji.

Gospodarka polska zwolna wchodziła w fazę hiperinflacji, czyli inflacji rosnącej tak szybko, że nie nakręcającej już koniunktury. Mimo szybkiego wzrostu cen, produkcja zaczęła spadać, a bezrobocie rosnąć (zaczęło rosnąć już w marcu 1923 r.). Ekonomisci lokują granicę, od której zaczyna się hiperinflacja, gdzieś w okolicach 50 proc. miesięcznie. Ale ważniejsze od procentów są pewne zjawiska występujące podczas hiperinflacji: zamiera kredyt i handel. Kredyt, najprościej rzecz ujmując, w normalnych czasach udzielany według zasady „masz dla

mnie towar, to zostaw, ja będę miał pieniądze za trzy dni, to ci zapłacę”, w czasie hiperinflacji zamiera, bo nikt nie wie, ile pieniędzy straci na wartości przez te trzy dni. Wyobraźmy sobie z kolei, że jesteśmy właścicielami sklepu, a ceny na towar, który sprzedajemy, rosną z godziny na godzinę. Racjonalnym zachowaniem będzie zamknięcie sklepu, bo sprzedanie czegokolwiek oznacza stratę, jeśli nie możemy za uzyskane pieniądze sami od razu czegoś kupić. Ten zamknięty sklep to oczywiście nasz problem, ale nie tylko nasz. Zwróćmy uwagę na to, że przestajemy zamawiać nowy towar. Gdzieś tam ktoś z tego powodu traci pracę. I jeszcze jedna zmiana, związana z hiperinflacją: wzrost cen krajowych wyprzedza wzrost kursu obcych walut. Zanika inflacyjna premia eksportowa i kraj traci uprzywilejowaną pozycję w handlu międzynarodowym.

Inflacja, jak już wspomniano, obok wad ma też zalety i są duże grupy społeczne, które na niej zyskują. Hiperinflacja już tych zalet nie ma, i nikomu, poza garstką spekulantów, nie przynosi korzyści. Z inflacją można żyć bardzo długo. Z hiperinflacją już nie. Kiedy do niej dojdzie, reforma walutowa staje się konieczna. Po I wojnie światowej prawie wszystkie kraje europejskie dotknęła inflacja. Jednak tylko w nielicznych doszło do hiperinflacji. Do grona tego należały: Niemcy, Austria, Węgry, Polska, ZSRR i Wolne Miasto Gdańsk. Były to, poza naszym krajem i pogrążoną w rewolucji Rosją, państwa, które przegrały wojnę. O przynależności Polski do tej grupy zdecydowała przede wszystkim wojna polsko-radziecka w 1920 r. i jej finansowe konsekwencje.

W październiku 1923 r. hiperinflacja osiągnęła rekordowy poziom (360 proc. miesięcznie). Doprowadziła do napięć społecznych, których kulminacją były wydarzenia krakowskie w listopadzie 1923 r. Wojsko starło się tam z robotnikami, w wyniku czego zginęły 32 osoby. Ostre konflikty społeczne i destabilizacja polityczna nieuchronnie zresztą towarzyszyły hiper-

inflacji. W tym samym czasie w Niemczech, gdzie hiperinflacja była jeszcze gwałtowniejsza niż w Polsce, miał miejsce pucz monachijski Hitlera i komunistyczne powstanie w Hamburgu. W takiej atmosferze upadał rząd Chjeno-Piasta, czemu towarzyszyła powszechna świadomość, że dla kolejnego gabinetu reforma gospodarcza będzie zadaniem numer jeden.

Reformy Władysława Grabskiego (1924)

Po upadku rządu Chjeno-Piasta w grudniu 1923 r. powstał rząd z Władysławem Grabskim na czele. Grabski poza funkcją premiera objął w nim również tekę ministra skarbu. Nowy szef rządu był już znaną postacią na polskiej scenie politycznej. Premierem został już po raz drugi (po raz pierwszy krótko w 1920 r.), ministrem skarbu po raz trzeci. (Poprzednio pełnił tę funkcję zaledwie pół roku wcześniej i przedstawił wówczas projekt reformy skarbowej i walutowej). Ale pod koniec 1923 r. kraj pogrążył się już w hiperinflacji. Dlatego Grabski zmienił poglądy w sprawie kolejności działań. Teraz obie reformy trzeba było przeprowadzać równocześnie. Ponadto w pierwszej połowie 1923 r. Grabski zakładał trzyletni okres stopniowego równoważenia gospodarki. Teraz nie było na to czasu. Trzeba było działać natychmiast. 11 stycznia 1924 r. sejm udzielił nadzwyczajnych pełnomocnictw, na mocy których rząd (formalnie prezydent) mógł przez sześć miesięcy wydawać dekrety z mocą ustaw.

Reforma skarbową mogła być oparta na dwóch uchwalonych już ustawach: o podatku majątkowym z sierpnia 1923 r. i o waloryzacji podatków z grudnia 1924 r. Rząd zamierzał też sprzedać część majątku państwowego. Planowano również zorganizowanie nowych monopolii – spirytusowego, solnego i zapalczanego (obok obowiązujących już loteryjnego,

tytoniowego i eksploatacji gazu ziemnego), które traktowano jako ewentualne zabezpieczenie przyszłych pożyczek zagranicznych.

Redukcją wydatków administracyjnych miał kierować Nadzwyczajny Komisarz Oszczędnościowy Stanisław Moskałowski, rychło obdarzony przez wystraszonych urzędników przewiskiem „Moskalini”. W krótkim czasie zwolnił on 29 tys. pracowników państwowych.

Równolegle do reformy skarbowej toczyły się prace nad reformą walutową. Pierwszym zadaniem było ustabilizowanie marki polskiej. Na polecenie Grabskiego PKKP w styczniu 1924 r. podjęła interwencję giełdową, czyli skup marek polskich za obce waluty, żeby zrównoważyć podaż z popytem. Dzięki temu udało się ustabilizować kurs marki na poziomie nieco przewyższającym 9 mln marek za dolara. Był to przełom psychologiczny, gdyż znaczna część społeczeństwa uwierzyła w skuteczność stabilizacji. Trwały przygotowania do wprowadzenia złotego. Zgodnie z ówczesnymi poglądami postanowiono utworzyć bank centralny w formie spółki akcyjnej, aby w ten sposób uniezależnić go od władz politycznych. W marcu 1924 r. rozpoczęto subskrypcję akcji Banku Polskiego SA, w wyniku której milion stuzłotowych akcji znalazło się w rękach 176 tys. akcjonariuszy.

W kwietniu Bank Polski rozpoczął działalność. Pierwszym prezesem został Stanisław Karpiński. 28 kwietnia 1924 r. Bank Polski podjął emisję nowej waluty – złotego polskiego. Złoty został zrównany z frankiem szwajcarskim. Wynikał z tego kurs 5,18 złotego za 1 dolara. Marki polskie wymieniono na złote w relacji 1,8 mln marek za 1 złotego. Ich wycofywanie trwało do lipca 1924 r. Złoty miał być emitowany w systemie Gold Exchange Standard, tzn. w skład jego pokrycia miało wchodzić złoto i waluty obce wymienialne na złoto. Pokrycie nie mogło być niższe niż 30 proc.

Bank Polski emitował banknoty. Rząd nie mógł zwracać się do niego o dodatkową emisję w przypadku pojawienia się deficytu budżetowego. Mógł sobie jednak radzić inaczej. Obok banknotów Banku Polskiego w obiegu miał się znajdować bilon, którego emisję pozostawiono w rękach Ministerstwa Skarbu. Ustawowo ograniczono rozmiary tej emisji do 9,5 zł na osobę. Później podwyższono ten limit do 12 złotych na osobę. Rząd miał też prawo emitować bilety skarbowe (zwane też biletami zdawkowymi) do sumy 150 mln zł.

Ważnym elementem reform Grabskiego była konsolidacja bankowości państwowej. Grabski wyznawał poglądy liberalne i nie uważał za wskazane rozbudowywanie sektora państwowego w gospodarce. Nieco inaczej patrzył na bankowość. Uważał, że bankowość prywatna powinna sobie poradzić z zaspokojeniem potrzeb gospodarki w zakresie kredytu krótkoterminowego, ale w dziedzinie odbudowy po latach inflacji kredytu długoterminowego niezbędna będzie aktywność państwa. Grabski odziedziczył po poprzednikach kilka osłabionych przez inflację państwowych banków, które teraz wzmocnił i zreorganizował. Sektor państwowy miał się odtąd składać z trzech instytucji: założonych w 1919 r. Państwowego Banku Rolnego i Pocztowej Kasy Oszczędności oraz Banku Gospodarstwa Krajowego, utworzonego przez Grabskiego w maju 1924 r. z połączenia trzech mniejszych banków galicyjskich.

Reformy Grabskiego wpisywały się w szerszy proces powojennej stabilizacji walutowych w Europie. W listopadzie 1923 r. komisarz walutowy Rzeszy Hjalmar Schacht wprowadził nową walutę – rentenmarkę, co zakończyło hiperinflację w Niemczech. W październiku 1923 r. wprowadzono guldena w Wolnym Mieście Gdańsku. Stabilizacja walutowa w Austrii, dzieło kanclerza Ignacego Seipela, przypadła na 1922 r., utworzono wówczas Österreichische Nationalbank, ale nową walutę – szylinga

– wprowadzono dopiero w grudniu 1924 r. Na Węgrzech program stabilizacyjny Istvána Bethlena przyniósł efekty w marcu 1924 r. Powstał wówczas Magyar Nemzeti Bank, ale dopiero w listopadzie 1925 r. wprowadzono nową walutę – pengő.

Sukces Grabskiego stawiał go wśród wymienionych reformatorów, pamiętać jednak należy, że wszystkie pozostałe stabilizacje walutowe odbyły się dzięki pomocy międzynarodowej. Tylko polska reforma opierała się wyłącznie na zasobach wewnętrznych. Było w tym coś z czynienia cnoty z konieczności. W ówczesnej sytuacji politycznej Polska mogła dostać pożyczkę zagraniczną na stabilizację jedynie pod warunkiem uelastycznienia stanowiska w sprawie rewizji granicy zachodniej na korzyść Niemiec. Jeśli chcieliśmy uniknąć rozmów na temat rewizji granic, nie należało w tym momencie prosić o pomoc finansową.

Kryzys poinflacyjny (1925–1926)

Przewyciężenie inflacji przez Władysława Grabskiego na początku 1924 r., choć konieczne, pociągało za sobą również skutki negatywne. Za stabilizację waluty Polska płaciła typowym kryzysem poststabilizacyjnym. Nagle na wszystko zaczyna brakować pieniędzy, ciężar długów staje się realny i zaczynają się mnożyć bankructwa.

Kończą się nadzwyczajne ułatwienia, z jakich korzysta kraj ogarnięty deprecjacją pieniądza. Znikła inflacyjna premia eksportowa, pogorszyła się koniunktura i wzrosło bezrobocie. Wiele firm, które w okresie inflacji bezkarnie rozwijało nadmierną ekspansję, w obliczu twardych reguł stabilnej gospodarki musiało zbankrutować. Kryzys poststabilizacyjny trwał do 1926 r. Było to zjawisko nieuniknione. Podobny kryzys przechodziły wszystkie kraje wychodzące z inflacji, co jednak nie zmniejszało

stopnia społecznych frustracji. Właśnie dlatego ci, którzy wyprowadzali swoje kraje z inflacji, nie zostawali ulubieńcami opinii publicznej, częściej odsądzano ich od czci i wiary. W atakach na Grabskiego przodował PSL „Piast”, gdzie określenia „grabszczyzna” używano jako najgorszego wyzwiska.

Już w 1925 r. nad osiągniętą z takim trudem stabilizacją gospodarczą zaczęły się gromadzić czarne chmury. Podatek majątkowy, niebacznie podwyższony przez sejm, okazał się niemożliwy do ściągnięcia. Znow pojawił się deficyt budżetowy. Ponadto rozpoczęła się groźna dla gospodarki polskiej wojna celna z Niemcami. W 1925 r. wygasły traktatowe zobowiązania Niemiec do stosowania w handlu z państwami Ententy (w tym Polski) klauzuli najwyższego uprzywilejowania. Niemcy, dotychczas główny partner handlowy Rzeczypospolitej, rozpoczęły z Polską wojnę celną. W szczególności dotknęła ona eksportu polskiego węgla. Celem Niemiec było doprowadzenie do załamania gospodarczego Polski, co w efekcie miało skłonić rząd polski do podjęcia rozmów na temat rewizji granicy polsko-niemieckiej. Na dłuższą metę Niemcy przegrały wojnę celną. Nie dość, że spodziewany efekt polityczny nie nastąpił, to jeszcze znacznie zmniejszyła się gospodarcza zależność Polski od Niemiec. Doraźnie jednak wojna, godząc w polski eksport, rujnowała bilans handlowy.

Rząd, ratując budżet, uciekał się do emisji skarbowej, tzn. biletów skarbowych i bilonu. Emisja ta w 1924 r. nie osiągnęła jeszcze dozwolonych rozmiarów i tkwiły w niej pewne rezerwy. Popołniono jednak niezręczność, wypłacając w marcu 1924 r. całe pobory pracownikom państwowym bilonem. Poderwało to zaufanie do bilonu i wywołało zjawisko dwuwalutowości. W oficjalnych cedułach większości giełd polskich ogłaszano jako kurs złotego jego oficjalny parytet, nieoficjalnie jednak wiadomo było, że kursy banknotów i bilonu zaczęły się różnić. Za banknot

trzeba było bilonem płacić nieco więcej, niż wynosił jego nominal. Jako jedyna odnotowała to oficjalnie giełda wileńska. Zjawisko to, określane niekiedy mianem „drugiej inflacji polskiej” lub „inflacji bilonowej”, niewiele miało wspólnego z prawdziwą inflacją. Powinniśmy jednak pamiętać o ówczesnych nastrojach społecznych. Po dramatycznych doświadczeniach hiperinflacji społeczeństwo bardzo nerwowo reagowało na każdy objaw destabilizacji waluty.

Latem 1925 r. kurs złotego się zachwiał. Za dolara płacono 5,80–6,00 złotego, przy oficjalnym parytecie 5,18. Bank Polski bronił złotego poprzez interwencję giełdową oraz restrykcje kredytowe. Te ostatnie jednak godziły w interesy banków prywatnych, i to w momencie, kiedy ich klienci, zaniepokojeni spadkiem złotego, zaczęli wycofywać wkłady. We wrześniu 1925 r. rozpoczęła się kryzys bankowy.

Podwójny kryzys: walutowy i bankowy, zachwiał pozycją Grabskiego. Jesienią 1925 r. cały dorobek stabilizacji gospodarczej wydawał się przekreślony. We wrześniu 1925 r., po kolejnym załamaniu złotego, Grabski zażądał od prezesa Banku Polskiego Stanisława Karpińskiego interwencji giełdowej. Interwencja taka polega na skupowaniu na giełdzie własnej waluty za waluty obce po to, by zrównoważyć podaż i popyt. Karpiński odmówił Grabskiemu, stwierdzając, że nie będzie marnował resztek zasobów dewizowych na działania, w których sens ani skuteczność nie wierzy. Konflikt z Karpińskim był bezpośrednią przyczyną dymisji Grabskiego w listopadzie 1925 r.

W listopadzie 1925 r. powstał rząd Aleksandra Skrzyńskiego, w którym stanowisko ministra skarbu objął Jerzy Zdziechowski. Rząd Skrzyńskiego opierał się na szerokiej koalicji – od prawicowej Narodowej Demokracji po Polską Partię Socjalistyczną. Zdziechowski zdecydował się na zaniechanie prób przywrócenia złotemu kursu sprzed kryzysu. Nazwał tę

politykę „poszukiwaniem gospodarczego kursu złotego”. Było to uzasadnione tym bardziej, że dzięki załamaniu waluty znów pojawiły się korzystne warunki dla polskiego eksportu. Jeśli jednak polityka taka nie miała prowadzić do powrotu prawdziwej inflacji, to musiały jej towarzyszyć wysiłki na rzecz zrównoważenia budżetu. Zdziechowski uzyskał zgodę socjalistów na redukcję płac pracowników państwowych o 5 proc. na okres trzech miesięcy (od stycznia do marca 1926 r.). W zamian wprowadził wysokie cła wywozowe na żywność. Doprowadziło to do spadku cen i kosztów utrzymania, przez co robotnicy nie odczuli skutków obniżki. Była to koncepcja wychodzenia z kryzysu kosztem rolnictwa, co zwróciło przeciw rządowi zarówno stronnictwa chłopskie, jak i środowiska ziemiańskie. W lutym 1926 r. pojawiły się pierwsze oznaki poprawy koniunktury. Zaczęła rosnąć produkcja i spadało bezrobocie. Ale socjaliści źle czuli się w koalicji z prawicą. Obawiali się agitacji komunistów, którzy oskarżali ich o „zgniły kompromis”. Kiedy w marcu 1926 r. Zdziechowski poprosił ich o przedłużenie umowy na kolejny miesiąc, jeszcze się zgodzili, ale bardzo niechętnie. W kwietniu odrzucili następną tego rodzaju prośbę i rząd Skrzyńskiego upadł. W maju powstał drugi rząd Chjeno-Piasta z Wincentym Witosem na czele. Dla całej lewicy, pamiętającej niechlubny koniec poprzedniego gabinetu w tym składzie w 1923 r., było to jawne wyzwanie. W tej sytuacji 12 maja 1926 r. Józef Piłsudski rozpoczął przewrót wojskowy.

Pierwsze lata rządów sanacji (1926–1929)

Historyczne szczęście sanacji polegało na tym, że objęła ona władzę w momencie poprawy koniunktury. W 1926 r. zakończył się kryzys poinflacyjny i rozpoczął się okres dobrej koniunktury. Program stabilizacyjny rządu Skrzyńskiego stworzył podstawy do osiągnięcia równowagi budżetowej. Złoty, który przeżył

gwałtowne załamanie w 1925 r., został ustabilizowany na nowym poziomie i nawet dramatyczne wydarzenia związane z zamachem majowym nie spowodowały już jego dalszego spadku. Spadek wartości waluty ułatwił natomiast eksport i poprawił bilans handlowy. Strajk górników brytyjskich wiosną 1926 r. otworzył przed Polską nowe rynki eksportowe (głównie w państwach skandynawskich) i spowodował, że Niemcom nie udało się osiągnąć celów, które sobie stawiali, wszczynając z Polską wojnę celną w 1925 r. Zmieniła się też na korzyść Polski sytuacja międzynarodowa. Mocarstwa zachodnie w 1925 r. w Locarno gotowe były do ustępstw wobec Niemiec w obawie, że będą one zacieśniać współpracę z ZSRR zapoczątkowaną w Rapallo w 1922 r. Układ radziecko-niemiecki z kwietnia 1926 r. rozczarował je jednak i spowodował, że życzliwiej patrzeć zaczęły na Polskę. Wszystkie te zmiany nie były zasługą nowej ekipy, ale mogła je ona zapisać na swoje konto.

W pierwszych miesiącach po zamachu majowym kontynuowano politykę gospodarczą poprzednich rządów, której głównymi celami była stabilizacja waluty i osiągnięcie równowagi budżetowej. W Polsce przebywała, zaproszona jeszcze przez rząd Skrzyńskiego, misja doradców ekonomicznych pod przewodnictwem Amerykanina Edwina W. Kemmerera. Program gospodarczy rządu ogłoszony w listopadzie 1926 r. przez ministra skarbu Gabriela Czechowicza opierał się właśnie na wskazaniach Kemmerera. Dzięki pracom komisji Kemmerera w październiku 1927 r. Polska uzyskała pożyczkę w wysokości 62 mln dolarów i 2 mln funtów. Na niej oparta została reforma, zwana drugą stabilizacją. Złoty uległ oficjalnej dewaluacji o 42 proc. w stosunku do parytetu z 1924 r. Jego kurs wynosił obecnie 8,91 złotego za dolara. Pokrycie emisji zwiększono do 40 proc., przy czym w $\frac{3}{4}$ miała być ona pokryta złotem. Wycofano też z obiegu bilety skarbowe, których emisją

ratował budżet Władysław Grabski podczas kryzysu 1925 r. Po stabilizacji pokrycie złotego wyniosło faktycznie 72 proc., co uczyniło polską walutę jedną z najmocniejszych w Europie.

Pożyczkę stabilizacyjną można było wykorzystać na dwa sposoby. Można było znacznie poszerzyć obieg pieniężny, zachowując jego dotychczasowe zasady, lub wzmocnić pieniądź, zachowując rozmiary jego obiegu. Wybrano drugie rozwiązanie, co miało poważne konsekwencje społeczne. Szerszy obieg pieniężny ułatwiłby mobilność społeczną i otwierał możliwości awansu. Silny, ale trudno dostępny pieniądź petryfikował strukturę społeczną i ograniczał możliwości awansu. Z tego punktu widzenia decyzje podjęte w 1927 r. miały zdecydowanie konserwatywny charakter. Efekt deflacyjny wzmocniany był przez politykę tworzenia rezerw budżetowych, czyli wycofywania z obiegu nadwyżek budżetowych, które się w tym czasie pojawiły.

Dobra koniunktura w latach 1926–1929 stwarzała szansę modernizacji kraju. Symbolem tego kierunku polityki gospodarczej stał się Eugeniusz Kwiatkowski, w latach 1926–1930 minister przemysłu i handlu. To właśnie wtedy intensywnie budowano Gdynię, podjęto budowę linii kolejowej Śląsk–Gdynia (tzw. magistrali węglowej), zbudowano zakłady azotowe w Mościcach (dziś część Tarnowa) oraz liczne zakłady przemysłu spożywczego czy zbrojeniowego. Udzielono też ulg podatkowych firmom, które zdecydowałyby się na inwestowanie w tzw. trójkącie bezpieczeństwa: w widłach Wisły i Sanu. Industrializacja była uważana za główny cel programu modernizacji.

Wielki kryzys (1930–1935)

W 1929 r. w Stanach Zjednoczonych rozpoczął się kryzys, który przeszedł do historii pod mianem „wielkiego”. Jego wyjątk-

kowość nie polegała na tym, że miał tak szeroki zasięg geograficzny, ani na tym, że objął wszystkie gałęzie gospodarki. Już od połowy XIX w. kryzysy miały podobne cechy. Wyjątkowa była głębokość załamania gospodarczego. Kryzysy wcześniejsze przynosiły spadek produkcji rzędu 8–12 proc. Wielki kryzys spowodował spadek rzędu ok. 40 proc. Jeszcze bardziej wyjątkowe było jednak to, że wystąpiły zjawiska, z którymi nie mógł sobie poradzić mechanizm rynkowy. W efekcie nastąpiło odejście od liberalnej polityki gospodarczej. W wielu krajach zaczęto stosować politykę interwencjonizmu państwowego, dokonywała się też etatyzacja poszczególnych gospodarek narodowych. Zarówno handel międzynarodowy, jak i inwestycje kapitałowe poza granicami państw macierzystych uległy skurczeniu. Nasiliły się tendencje autarkiczne, czyli dążenie do samowystarczalności gospodarczej.

Bezpośrednio przed wybuchem kryzysu głoszone poglądy, że kryzysy nadprodukcji należą już do przeszłości. Nadzieje takie wiązano z monopolizacją. Wierzano, że monopoliści, kontrolując podaż, dostrzegą zawczasu niebezpieczeństwo nadprodukcji i zmniejszą produkcję. Rzeczywiście zmniejszyli produkcję zawczasu i „na zapas”, w stopniu większym, niżby tego dokonał mechanizm rynkowy. W ten sposób nie doszło do spadku cen artykułów przemysłowych. Wystąpił natomiast spadek produkcji i bezrobocie, i to znacznie większe niż podczas poprzednich kryzysów. Zmienił się zatem zestaw objawów kryzysu, ale nie uniknięto samego zjawiska. Właśnie dlatego kryzys w krajach przemysłowych przyniósł tak wysoki spadek produkcji. Trwał natomiast dość krótko, już w 1933 r. zarysowała się poprawa koniunktury.

Nie cała gospodarka była jednak zmonopolizowana. Istniał również potężny sektor drobnotowarowy, gdzie żaden pojedynczy producent nie miał wpływu na rozmiary podaży. Kła-

sycznym i najważniejszym przykładem takiej gałęzi gospodarki było rolnictwo. Rolnicy mieli pewne zobowiązania finansowe, takie jak podatki czy spłata kredytów, z których musieli się wywiązywać. Kryzys nadprodukcji doprowadził do wzrostu wartości pieniądza, dlatego względny ciężar tych zobowiązań wzrósł. Doszło do nadprodukcji w rolnictwie, ceny rolne spadły. Rolnicy, chcąc wywiązać się z zobowiązań, musieli zwiększać produkcję i sprzedaż swoich wyrobów. Rolnictwo reagowało na spadek cen zwiększeniem podaży. W tym właśnie punkcie zawiódł mechanizm rynkowy. To, co robili monopolisci, było brutalne, ale zgodne z logiką rynku. W obawie przed spadkiem cen zmniejszali podaż. Z makroekonomicznego punktu widzenia było to racjonalne i przybliżyło wyjście z kryzysu. Rolnicy, zwiększając podaż w miarę spadku cen, kierowali się swoją indywidualną racjonalnością, z punktu widzenia makroekonomicznego było to jednak działanie samobójcze, oddalające perspektywę wyjścia z kryzysu. Właśnie dlatego kryzys w krajach rolniczych charakteryzował się nie tyle spadkiem produkcji, ile spadkiem cen, i trwał bardzo długo – do 1935 lub nawet 1936 r. Polska z punktu widzenia opisanych procesów została doświadczona podwójnie: kryzys trwał tak długo, jak w krajach rolniczych, ale spadek produkcji też mieliśmy iście „amerykański”. To ostatnie zjawisko było przede wszystkim skutkiem wycofywania z Polski kapitałów zagranicznych, które w warunkach złej koniunktury miały tendencję do „repatriacji”.

Piłsudczycy w pierwszej połowie lat 30. prowadzili tradycyjną politykę gospodarczą oraz deflacyjną politykę walutową. Wynikała ona, po części, z niechęci Piłsudskiego do eksperymentów w tej dziedzinie (Piłsudski był przekonany, że silny pieniądz jest wizytówką silnej gospodarki), po części z przekonania, że kryzys, mający zewnętrzne wobec Polski źródła, najlepiej po prostu przeczekać. Podejmowano jedynie ograniczone

działania, zmierzające np. do oddłużenia rolnictwa. Temu celowi miał służyć kolejny bank państwowy, założony w 1933 r. Bank Akceptacyjny SA. Rząd, zaniepokojony rozwarciem się nożyc cen na niekorzyść artykułów rolnych, próbował też skłonić kartele do obniżenia cen artykułów przemysłowych, niewiele jednak w tej sprawie uzyskał. W wielu wypadkach rząd wspierał upadające firmy, zastępując w nich wycofujący się kapitał prywatny. W ten sposób rosły rozmiary koncernu BGK i dokonywał się, trochę mimowolnie, proces etatyzacji (upaństwowienia) gospodarki.

W latach wielkiego kryzysu rząd polski prowadził politykę deflacyjną. Polegała ona na utrzymywaniu przedkryzysowego parytetu waluty i jej wymienialności na złoto oraz na redukowaniu wydatków budżetowych w miarę malejących wpływów. Za polityką taką przemawiały obawy przed nawrotem inflacji i względy prestiżowe. Te ostatnie w założeniu zdecydować miały (ale nie zdecydowały) o bardziej przychylnym nastawieniu kapitału zagranicznego. Obawy przed inflacją były irracjonalne z ekonomicznego punktu widzenia, bowiem kryzys nadprodukcji, polegający na spadku cen, raczej wzmacnia pieniądź. Obawy te były jednak faktem społecznym, i to nie tylko w Polsce. Wiele państw europejskich przeżyło w latach 20. inflacje i uraz po nich pozostał. Stosunkowo najmniejszy był on w Wielkiej Brytanii, która w latach 20. nie doświadczyła inflacji. Dlatego właśnie ona jako pierwsza odeszła od wymienialności na złoto i zdewaluowała swoją walutę w 1931 r. W ślad za nią zrobiły to inne kraje, które utworzyły blok szterlingowy. Jego przeciwwagą miał być utworzony w 1933 r. złoty blok, skupiający państwa, które nadal wymieniały swoją walutę na złoto. W jego skład weszły: Francja, Belgia, Holandia, Szwajcaria, Włochy i Polska. W orbicie bloku znalazła się też Litwa i Albania. W niektórych przypadkach członkowie bloku byli wierzycielami innych krajów, opłacało

im się zatem utrzymywać solidną walutę. W przypadku krajów biedniejszych, do których można zaliczyć Polskę, Litwę i Albanie, w grę wchodziły raczej względy prestiżowe. Problemem bloku był stały odpływ złota poza kraje członkowskie. Mając wysokie koszty produkcji, kraje bloku nie były konkurencyjne w dziedzinie handlu zagranicznego. Dlatego złoty blok stopniowo się kurczył. W 1934 r. wycofały się z niego Włochy, w 1935 r. Belgia. Blok rozpadł się ostatecznie wiosną 1936 r., kiedy swą politykę walutową zmieniła Francja.

Kryzys doprowadził do ogromnego regresu w handlu międzynarodowym. Wszystkie państwa broniły się przed importem, co oznaczało, że bardzo trudno było cokolwiek wyeksportować. Wzrosły bariery celne, a zawieszanie wymienialności kolejnych walut utrudniało dokonywanie rozliczeń. Rząd polski popierał eksport poprzez system premii eksportowych. Stosowano też dumping, czyli obniżanie cen dóbr eksportowanych i rekompensowanie tego wyższymi cenami wewnętrznymi, byle tylko zdobyć rynki zagraniczne. W ten sposób Polska wspierała m.in. eksport cukru i węgla. Upowszechniły się też w tym okresie umowy clearingowe. Przewidywały one handel na zasadzie zerowego salda bilansu płatniczego. Partnerzy mieli wzajemnie importować dokładnie tyle, ile wyeksportowali. Znikał w ten sposób problem regulowania salda, co, przy niewymienialności walut, było istotne. Atrakcyjność umów polegała na tym, że gdy zmniejszał się handel międzynarodowy, zapewniały one określony poziom eksportu. Eksport ten nie był jednak źródłem dewiz. Była to prymitywna forma handlowania, gdyż „każdy z każdym” musiał mieć zrównoważone saldo. Nie można było np. nadwyżki w handlu z jednym krajem skonsumować większym importem z innego kraju.

Lata interwencjonizmu państwowego (1936–1939)

Przełomowe znaczenie wielkiego kryzysu w dziejach gospodarczych świata polegało na tym, że zachwiała się liberalna wiara w to, że mechanizm rynkowy poradzi sobie ze wszystkim. Skoro rolnicy na spadek cen reagowali zwiększeniem produkcji, to oznaczało, że mechanizm rynkowy zawiódł i ktoś powinien go wesprzeć. Dlatego w tym właśnie czasie narodziła się doktryna interwencjonizmu państwowego, czyli bezpośredniej interwencji państwa w gospodarkę w imię nakręcania koniunktury. Nie należy interwencjonizmu mylić z etatyzmem, czyli taką sytuacją, w której państwo występuje jako właściciel zakładów przemysłowych. Interwencjonizm i etatyzm mogą, ale nie muszą, iść ze sobą w parze. Teoretyczne podstawy interwencjonizmu stworzył ekonomista brytyjski John M. Keynes. Interwencjonizm polegał na tym, że państwo pobudzało popyt, nie powiększając przy tym podaży. Tradycyjnymi metodami takiej polityki były roboty publiczne, dzięki którym ludzie zarabiali pieniądze, nie produkując równocześnie dóbr rynkowych, czy też płacenie rolnikom za dobrowolne ograniczenie produkcji. W latach 30. ukształtowały się dwa wzorcowe modele interwencjonizmu. W Stanach Zjednoczonych prezydent Franklin D. Roosevelt w ramach polityki zwanej New Deal (Nowy Ład) starał się ożywić gospodarkę poprzez powiększanie popytu konsumpcyjnego. W III Rzeszy Adolf Hitler próbował osiągnąć ten sam cel poprzez kreowanie popytu dla przemysłu zbrojeniowego.

W Polsce polityka gospodarcza mogła się zmienić dopiero po śmierci Piłsudskiego w 1935 r. i rozpadzie złotego bloku rok później. W okresie kryzysu Eugeniusz Kwiatkowski, który naraził się Piłsudskiemu, nie pełnił żadnych funkcji państwowych. W 1935 r. objął eksponowaną funkcję wicepremiera i ministra

skarbu. Zainicjował w ramach Planu Czteroletniego budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. COP zlokalizowany był w widłach Wisły i Sanu. Taką lokalizację uzasadniały względy strategiczne (spora odległość zarówno od granicy niemieckiej, jak i radzieckiej), ale również duże przeludnienie i ukryte bezrobocie na wsi galicyjskiej. Jego realizację podjęto w 1937 r. Wielu inwestycji nie zdołano ukończyć przed wybuchem II wojny światowej. W ramach COP zbudowano m.in.: zakłady lotnicze (PZL) w Mielcu i Rzeszowie, fabrykę opon w Dębicy, elektrownie wodne w Rożnowie i Myszkowicach, hutę w Stalowej Woli, fabryki: samochodów ciężarowych w Lublinie, karabinów w Radomiu i Starachowicach itd. Była to największa, obok budowy Gdyni, inwestycja II Rzeczypospolitej. Kwiatkowski nakreślił też perspektywiczny 15-letni plan rozwoju Polski, który nie wyszedł jednak poza fazę wstępnego szkicu.

Rozpad złotego bloku w 1936 r. był okazją do zmiany polskiej polityki walutowej. Na tym tle doszło do konfliktu między Eugeniuszem Kwiatkowskim a prezesem Banku Polskiego Adamem Kocem. Koc uważał, że Polska powinna zawiesić wymienialność złotego na złoto, zdewaluować go i dołączyć do bloku szterlingowego. Kwiatkowski był zwolennikiem utrzymania kursu i wymienialności waluty, a wprowadzenia jedynie reglamentacji dewizowej, czyli obowiązku odsprzedawania Bankowi Polskiemu obcych walut. Konflikt zakończył się zwycięstwem wicepremiera i dymisją Koca. Po 1936 r. złoty nadal był jedną z najmocniejszych walut w Europie, zachował wymienialność na złoto.

W latach 1936–1939 dochodziło do konfliktów między Kwiatkowskim a sferami wojskowymi. Były one efektem dekompozycji obozu rządzącego i rosnącego dystansu między grupą „zamkową”, skupioną wokół prezydenta Mościckiego, z którą związany był Kwiatkowski, a grupą skupioną wokół generalnego

inspektora sił zbrojnych marszałka Rydza-Śmigłego. Wojsko miało swój własny, 6-letni plan modernizacji sił zbrojnych, nieskoordynowany, co widać z samej różnicy terminów, z budową COP-u. Spory te zaważyły w jakimś stopniu (z pewnością nie decydującym) na przygotowaniach kraju do wojny. Przejawem konfliktu było też utworzenie odrębnego od budżetu Funduszu Obrony Narodowej, pozostającego w dyspozycji władz wojskowych.

Sprawa reformy rolnej

Istnienie wielkiej własności ziemskiej, z jednej strony, i przeludnionej wsi obciążonej dużym ukrytym bezrobociem, z drugiej, powodowało, że reforma rolna była jednym z najbardziej palących problemów. Sejm przyjął uchwałę o reformie rolnej w 1919 r. Przewidywała ona parcelację majątków za 50-proc. odszkodowaniem. Latem 1920 r., w najgorętszym okresie wojny polsko-radzieckiej, sejm przyjął ustawę o wykonaniu reformy w kształcie ustalonym rok wcześniej. W 1921 r. weszła jednak w życie konstytucja marcowa, gwarantująca nienaruszalność własności prywatnej. W tej sytuacji ustawa z 1920 r., jako sprzeczna z konstytucją, traciła moc.

Sprawa wróciła w 1925 r., kiedy to uchwalono drugą ustawę o reformie rolnej. Wprowadzała ona zasadę stopniowej i dobrowolnej parcelacji do wysokości 200 tys. hektarów rocznie za 100-proc. odszkodowaniem. Rząd miał interweniować w przypadku niewypełnienia tego limitu. Ale i ten zapis pozostał tylko na papierze, co obiecał konserwatystom Piłsudski podczas wizyty w Nieświeżu w 1926 r. Główną przyczyną takiej powściągliwości władz polskich była obawa przed skutkami bardziej radykalnej reformy rolnej na Kresach Wschodnich. W specyficznych warunkach narodowościowych i społecznych tam

panujących ziemia przechodziłaby z rąk polskich w białoruskie i ukraińskie. Częściowo przeciwdziałać temu miała ustawa o osadnictwie wojskowym z 1920 r., gwarantująca pierwszeństwo w otrzymaniu ziemi zasłużonym weteranom, a dopiero w drugiej kolejności – okolicznej ludności. Rozpatrując sprawę w kategoriach utraconych szans, można stwierdzić, że bardziej radykalna reforma rolna poszerzyłaby rynek wewnętrzny i złagodziłaby, zapewne, skutki wielkiego kryzysu.

Silny złoty z lat 30. był przedmiotem dumy ówczesnych Polaków. Tak silny pieniądź sprzyjał jednak bardziej utrwalaniu istniejących stosunków społecznych niż pobudzaniu mobilności obywateli. Przesądzał zatem o konserwatywnym charakterze całej polityki gospodarczej. Silny złoty był też elementem propagandy. Dużą wagę przykładano wówczas do przedsięwzięć prestiżowych, obliczonych na budowanie wizerunku kraju prężnego i szybko się rozwijającego. Nie powinniśmy z góry dyskredytować tego ostatniego motywu. Odbudowa poczucia dumy narodowej po klęskach to zadanie poważne. W latach 60. Francja pod rządami de Gaulle'a postępowała podobnie. Stąd wzięły się dwa pozornie sprzeczne ze sobą, ale równocześnie prawdziwe stereotypy, jakie II Rzeczpospolita po sobie pozostawiła. Z jednej strony – realna, głęboka bieda. Z drugiej – równie realne symbole sukcesu: świetne samoloty, z bombowcem „Łoś” na czele, Luxtorpeda, flotylla transatlantyków, czy wreszcie łatwa do ośmieszenia, ale wielka misja cywilizacyjna, jaką była budowa na polecenie premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego drewnianych toalet, zwanych „sławojkami”.

Szymon Rudnicki

POLSKA MOZAIKA SPOŁECZNA



Rzeczpospolita była państwem odbudowywanym po stu kilkudziesięciu latach nieistnienia. Było to już niewątpliwie nowe państwo, które miało nowe granice i społeczeństwo ukształtowane w XIX w. w trzech zaborach. Każdy z nich miał inny system prawny, gospodarczy, szkolnictwa, inną walutę, rozstaw szyn kolejowych itd., a także inne doświadczenia historyczne, inny system wartości, inną mentalność. Jednym z podstawowych zadań, które postawiło sobie państwo, było zniwelowanie owych różnic, stworzenie jednolitego systemu prawnego, oświatowego i warunków rozwoju kultury ogólnonarodowej. (Przed wojną nie używano takich pojęć, jak społeczeństwo obywatelskie czy naród polityczny).

Warto jednak postawić pytanie, czy dla wszystkich grup społecznych niepodległość była sprawą najważniejszą. Po ustaleniu granic zadaniem państwa polskiego powinna być asymilacja państwowa mniejszości narodowych, czyli skłonienie ich członków do respektowania jego instytucji i przepisów. Dążenie do ich asymilacji narodowej utrudniło lub wręcz uniemożliwiło realizację tego zadania. Tym bardziej, że niektóre grupy nigdy nie pogodziły się z faktem, że znalazły się w Polsce, wszystkie natomiast pragnęły demokratycznego państwa. I to się udało. System prawny, stworzony przez Sejm Ustawodawczy, był jednym z najbardziej

demokratycznych w Europie. Wyrazem tego była konstytucja, obowiązująca od marca 1921 r.

Dla niepodległości Polacy gotowi byli oddać życie, czego dowiedli w powstaniach i w walkach toczonych na wschodzie. Gorzej było z ich identyfikacją z państwem, rozumianą jako akceptacja dla jego instytucji. Jak powiedział Piłsudski jeszcze przed I wojną światową: „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała grosze wydatków i dwie krople krwi”. Oczekiwania wobec nowego państwa ze strony różnych grup społecznych były zresztą wykluczające się. Chłopi i robotnicy żądali zmian, klasy posiadające zachowania *status quo*. Prowadziło to do napięć społecznych, nieraz ostrych.

Chłopi spodziewali się reformy rolnej, robotnicy poprawy warunków życiowych, a fabrykanci zmiany ustaw socjalnych i większych zysków. Całkowite zaspokojenie wszystkich postulatów było niemożliwe. Ale pewne kompromisowe działania zostały podjęte. Podejmowano mianowicie próby przeprowadzenia reformy rolnej, stworzono prawodawstwo pracy i opieki socjalnej, przeciw którym występowali jednak wielcy właściciele ziemscy i fabrykanci, odnosząc w ciągu następnych lat sukcesy.

Mniejszości domagały się równego traktowania i konstytucja im to zapewniała, ale praktyka nieraz daleko od tego odbiegała. Znany był dowcip: Czym się różni Konstytucja 3 maja od konstytucji marcowej? Konstytucję 3 maja obchodzi się raz do roku, a konstytucję marcową codziennie.

Na społeczeństwo odbudowywanego państwa oddziaływały czynniki zarówno je integrujące, jak i dezintegrujące. Przy czym poza dyskusją jest, że elementy integrujące, takie jak poczucie narodowe, świadomość wspólnej wielowiekowej historii i kultura narodowa, przeważały wśród Polaków.

Przede wszystkim było to społeczeństwo o różnym stopniu rozwoju, o odmiennym stopniu modernizacji. Różnice występowały nie tylko między zaborami, ale i wewnątrz zaborów. Mieliśmy obszary o rozwiniętej strukturze kapitalistycznej, jak Wielkopolska, w której rolnictwo osiągnęło poziom porównywalny z najbardziej rozwiniętymi regionami Rzeszy, i zarazem Polesie, o gospodarce prawie naturalnej. Jednocześnie w Królestwie były tereny o podobnym stopniu rozwoju rolnictwa co Wielkopolska. Na wsi przetrwały też niektóre pozostałości społeczeństwa stanowego. Pod tym względem wyróżniała się Galicja, która z kolei poziomem demokracji i wolności oraz rozwojem kultury narodowej zdecydowanie wyprzedzała pozostałe zabory.

Przywołać musimy dane statystyczne. Według Małego Rocznika Statystycznego Polska liczyła w 1921 r. 27,4 mln mieszkańców, a w przededniu II wojny światowej osiągnęła liczbę 35,1 mln mieszkańców, czyli jej zaludnienie zwiększyło się prawie o 30 proc. Ludność miejska w tym okresie wzrosła z 6,59 mln do 8,8 mln, czyli o 33 proc. W dalszych rozważaniach będziemy posługiwać się w zasadzie wynikami spisu ludności z 1931 roku. Zarówno oba spisy (1921 i 1931), jak i dane dotyczące stratyfikacji społecznej dają nam tylko przybliżony obraz. Dlatego piszący najczęściej posilkują się słowem „około”.

Polska była krajem rolniczym. Na wsi mieszkało w 1921 r. około 14,5 mln osób, a w przededniu II wojny światowej – 17,4 mln osób, a więc około połowy ogółu mieszkańców. Można ich było z grubsza podzielić na trzy kategorie: chłopci posiadający gospodarstwa, bezrolni wraz z robotnikami folwarcznymi i wielcy właściciele ziemscy.

Chłopi mieli świadomość swej odrębności społecznej i kulturowej. Rodzaj zajęcia i tryb życia tworzył z nich grupę sto-

sunkowo jednolitą. Wyraźne jednak były na wsi podziały wynikające ze stanu posiadania. Inną pozycję miał chłop bogaty, inną właściciel małego gospodarstwa, a jeszcze inną chłop bezrolny. Przeważały gospodarstwa małe lub karłowate – gospodarstwa do 2 ha stanowiły 29 proc. wszystkich gospodarstw rolnych. Następną grupą gospodarstw, o powierzchni 2–5 ha, to kolejne 32,6 proc. W sumie na ponad 60 proc. gospodarstw przypadało zaledwie 14 proc. ogólnego areалу ziemi. Na początku lat 20. chłopci posiadali zaledwie 52 proc. gruntów rolnych. Potem sytuacja nieco się poprawiła, dzięki likwidacji serwitutów i parcelacji. O ubóstwie większości chłopów świadczy fakt, że jedynie niecałe 10 proc. z nich korzystało z pracy najemnej.

Chłopi, nie tylko w Polsce, obawiali się wszelkich zmian. Tworzyli zamkniętą społeczność wioskową o swoistym systemie wartości, którą cechował tradycjonalizm, niemający wiele wspólnego z konserwatyzmem politycznym. Chłopi byli przywiązani do religii, ale jednocześnie – np. na wsi galicyjskiej – od czasu I wojny światowej, kiedy to kler podjął walkę z rodzącym się ruchem ludowym, silny był w tej grupie antyklerykalizm. W okresie międzywojennym antyklerykalna była zwłaszcza młodzież skupiona w „Wiciach”. W poszczególnych regionach kraju zróżnicowany był stosunek wsi do dworu. Przykładowo, tradycja współpracy z dworem na wsi wielkopolskiej sięgała jeszcze okresu walki przeciwko germanizacji. W Wielkopolsce też najlepiej funkcjonowały spółdzielnie, kółka rolnicze itp., na których czele na ogół stał ziemianin lub ksiądz. Niechęć wsi do dworu najmocniej ujawniała się na Kresach Wschodnich, ale tam dochodziły dodatkowo podziały narodowościowe, bo przeważnie ziemianami byli Polacy, a chłopami Ukraińcy i Białorusini.

Na wsi równolegle przebiegały dwa procesy. Z jednej strony wieś ubożała. Wpływał na to spadek znaczenia rolnictwa

na rzecz przemysłu w gospodarce narodowej, ale przede wszystkim rozdrobnienie gospodarstw, spowodowane wysokim przyrostem naturalnym. Im dalej na wschód, tym ubóstwo wsi bardziej rzucało się w oczy. Widać to wyraźnie na przykładzie spożycia cukru. W 1937 roku spożycie na jednego mieszkańca w województwach zachodnich wyniosło 17,8 kg, w centralnych 12,9 kg, w południowych 8,4 kg, a w północno-wschodnich 6,1 kg. We wsiach białoruskich zimą dzieci nie zawsze mogły wyjść na dwór z powodu braku obuwia. Stałym zjawiskiem było niedojadanie. Z drugiej strony, dzięki parcelacji rósł areal ziemi chłopskiej. W ciągu dwudziestu lat w ręce włościan przeszło drogą przymusowej i dobrowolnej parcelacji oraz likwidacji serwitutów 3270 tys. ha ziemi. Ale zaspokoilo to głód ziemi tylko w minimalnym stopniu. Zdawano sobie sprawę, że nawet podział całej ziemi nie zlikwiduje problemu przeludnienia wsi. Rozwiązaniem było uprzemysłowienie kraju i związana z nim urbanizacja.

Brak ziemi i brak wykształcenia najbardziej hamowały modernizację wsi. 21,3 proc. mężczyzn i 33,4 proc. kobiet mieszkających na wsi nie umiało czytać i pisać. Nawet jeżeli w woj. poznańskim analfabetami było tylko 8,5 proc. mężczyzn i 9,7 proc. kobiet, to w woj. poleskim była to większość mieszkańców – 34,7 proc. mężczyzn i 71,4 proc. kobiet. Trzeba jednak przyznać, że państwo podjęło wysiłek, by poprawić sytuację i zanotowało na tym polu znaczne osiągnięcia, szczególnie w odniesieniu do młodzieży.

Był okres, kiedy chłopom powodziło się stosunkowo nieźle. Problemem był głód. W czasie I wojny światowej i zaraz po niej miasto wyprzedawało się, by zdobyć pożywienie, co przyczyniło się do względnej prosperity wsi. Były i inne lata pomyślne. Lecz w latach kryzysu nożyce cen, tzn. różnica między cenami towarów przemysłowych a produktami rolnymi,

znacznie się rozszerzyły. W związku z tym chłopci musieli więcej sprzedać, by zapłacić podatki i opędzić swoje potrzeby. Wieś zatem maksymalnie ograniczyła zakupy. Przysłowiowe dzielenie zapalki na czworo naprawdę miało miejsce w okresie kryzysu. Im dalej na wschód, tym mniej towarów sprzedawano i kupowano. Tam gospodarstwa zbliżały się prawie do samowystarczalności. Rzutowało to negatywnie na produkcję przemysłową i rzemieślniczą.

Osobną grupą byli chłopci bezrolni i robotnicy rolni. Tych ostatnich było wcale niemało. Z rodzinami liczyli około 800 tys. ludzi, z tego ponad połowa zatrudniona była w gospodarstwach o powierzchni ponad 50 ha. Robotnicy rolni stanowili warstwę przejściową między chłopami i proletariatem. Im nowocześniejsza była gospodarka, tym więcej zatrudniała robotników rolnych. Wielkopolska i Pomorze zatrudniały 30 proc. wszystkich robotników rolnych. Najwyższą kategorią robotników rolnych był ordynariusz, którego zatrudniano w majątku na stałe, przy czym umowa była odnawiana co rok. Nazwa pochodziła od tego, że obok gotówki, część wynagrodzenia – ordynarię – otrzymywał w naturze. Liczniejszą grupą byli robotnicy sezonowi. Nierzadko do pracy wykorzystywano także, praktycznie bezpłatnie, ich żony oraz dzieci jako tzw. posyłkę. W pierwszych latach niepodległości dochodziło do ostrych spięć między robotnikami rolnymi a wielkimi właścicielami, którzy nie chcieli uznać ich prawa do własnej organizacji i starań o poprawę bytu. W konsekwencji dochodziło do strajków, nabierających czasami charakteru strajku „czarnego”, podczas których odmawiano nawet obsługiwaną bydła. Wielkim sukcesem Związku Zawodowego Robotników Rolnych było wywalczenie umów zbiorowych. Faktem jest, że robotnikom rolnym powodziło się czasami lepiej niż małorolnym chłopom. Ziemiańscy twierdzili nawet, że ordy-

nariusze żyją na poziomie 10-hektarowych chłopów. Ale niższe kategorie robotników rolnych żyły w wielkiej nędzy, szczególnie ci, którzy byli zatrudniani przez chłopów.

Jak już wspomniano, wieś była przeludniona. Obliczano, że około 3 do 8 mln jej mieszkańców można było zaliczyć do ludzi „zbędnych”, tzn. takich, którzy nie byli potrzebni w procesie produkcyjnym, a stanowili obciążenie dla gospodarstw. Tak rozbieżne dane wynikały z zastosowania różnych metod obliczeń. Przeludnienie powodowało, że wieś w znacznej mierze przejadała swoje dochody, co zamykało drogę do inwestowania w gospodarstwa. To z kolei hamowało rozwój produkcji pozarolniczej. Tak czy inaczej, część tej masy ludzi – głównie młodzież – napływała do miast, zrywając z rodziną. W mieście powiększali armię bezrobotnych lub chwyтали się najprostszych i najgorzej płatnych zajęć, powodując obniżanie i tak niskich zarobków. W dwudziestolecium międzywojennym początkowo wysoki przyrost naturalny uległ zmniejszeniu – rodziny chłopskie stawały się mniej liczne, ale problem przeludnienia nie został rozwiązany.

To, co powiedziano wyżej, nie oznacza, że wieś pogrążyła się w całkowitej stagnacji. Zmieniało się budownictwo wiejskie, mimo wspomnianego analfabetyzmu zwiększało się czytelnictwo. Związane to było z rozwojem szkolnictwa. Powoli zmieniła się kultura życia codziennego. Coraz więcej rodzin wiejskich jadło z osobnych talerzy i używało metalowych sztućców, zmieniały się również kanony higieny. Rósł także udział chłopów w życiu politycznym, wyrażający się w przynależności do partii i udziale w wyborach. Największe strajki, w tym o charakterze politycznym, miały miejsce na wsi. Chłopi tradycyjnie z nieufnością odnosili się do każdej władzy oraz do obcych, do których zaliczali także „miastowych”. Dlatego w partiach ludowych zaufaniem cieszyli się przywódcy

będący chłopami lub synami chłopskimi. W opinii chłopów, władza zawsze działała na ich niekorzyść. Odnoszono się niechętnie nawet do robotników, których przecież znaczna część wywodziła się ze wsi. Prawie za fanaberie uznawano 8-godzinny dzień pracy oraz ubezpieczenia społeczne. Z biegiem lat, a szczególnie w okresie kryzysu, opinie te uległy złagodzeniu.

Wszyscy badacze wyróżniają odrębną kategorię tworzoną przez wsie drobnoszlacheckie. Stanowiły one enklawy w morzu chłopskim na Mazowszu, Podlasiu i Kresach Wschodnich. Ich mieszkańcy na ogół żyli jak chłopci, ale podkreślali swoją odrębność, kultywowali tradycje szlacheckie, w tym formy towarzyskie. Małżeństwo z chłopką uznawano za mezalians. Jeszcze do niedawna w okolicach Tykocina można było zobaczyć kobiety pracujące na polu w rękawiczkach. W latach 30. na Kresach Wschodnich próbowano potomków szlachty przekonać, że są zrutenizowanymi Polakami i powinni wrócić do polskości. Służyć temu miał Związek Szlachty Zagrodowej, który zrzeszał około miliona członków.

Osobną grupę mieszkańców wsi stanowili wielcy właściciele ziemscy. Wśród nich wyróżnić można ziemiaństwo i arystokrację. Liczbę ziemian wraz z rodzinami szacuje się mniej więcej na sto tysięcy osób. Ta stosunkowo niewielka grupa miała niezależnie od tego znaczne wpływy. Łączyły ziemian stosunki rodzinne i sąsiedztwo. Jednak i ta grupa była bardzo zróżnicowana. Decydował nie tylko posiadany majątek, ale też historia rodziny i jej koligacje. Żadna inna grupa społeczna nie przywiązywała takiej wagi do swojej genealogii. Wśród ziemian poczuciem odrębności, a nieraz i wyższości, wyróżniała się arystokracja, z której szeregów rekrutowali się najwięksi posiadacze ziemscy. Wystarczy powiedzieć, że około jednej trzeciej własności ziemskiej znalazło się w posiadaniu sześciu rodzin. Jeżeli ziemianie byli grupą

jednolitą narodowo, to już wśród wielkiej własności Polacy stanowili 82 proc. Po 1918 r. pojawił się problem wielotysięcznej rzeszy ziemian pozbawionych majątków w wyniku zmiany granic na wschodzie. Nie mieszcząc się już w kategorii wielkich właścicieli ziemskich, kulturowo i obyczajowo nadal pozostawali związani ze swoją warstwą.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego ziemiaństwo nadal było przekonane o swojej szczególnej roli i krzywdzie, jaka je spotkała. Na skutek parcelacji przymusowej lub dobrowolnej straciło bowiem około 20 proc. ziemi (3 mln ha), w tym jednak aż $\frac{1}{3}$ gruntów ornych. Część ratowała się sprzedażą lasów. Nie rozwiązywało to jednak problemu i ziemiaństwo coraz bardziej zadłużało się, do czego przyczyniała się dekoniunktura w rolnictwie i stosunkowo wysokie podatki. W końcu lat 30. zadłużona była większość ziemian, chociaż ziemiaństwo nadal należało do grupy o największych dochodach. Najbogatsi ziemianie inwestowali w przemyśle, uzyskując tam wcale pokaźne zyski.

Po odzyskaniu niepodległości wielcy właściciele ziemscy stracili swą dawną pozycję majątkową i społeczną. Prestiż społeczny tej grupy zmniejszył się, ponieważ społeczeństwo demokratyzowało się i rodziła się nowa elita. Powszechne głosowanie w zasadzie przekreślało szanse ziemiaństwa odegrania większej roli politycznej. Po przewrocie majowym pojawiła się nowa elita, w dużej mierze rekrutująca się z kręgów peowiacko-legionowych i – jak mówiono wówczas, nawiązując do liczby brygad legionowych – najliczniejsza czwarta brygada, czyli ludzie, którzy dołączyli do sanacji już po przewrocie.

Ziemiaństwo traciło dominującą pozycję w kulturze narodowej, choć jego styl życia zachował ogromną siłę przyciągania. Ziemiaństwo wciąż narzucało sposób zachowania, model stosunków towarzyskich, nieraz anachroniczny w społeczeń-

stwie kapitalistycznym. W polskiej kulturze pozostało wiele elementów kultury szlacheckiej. Przykładem może być kodeks Bożewicza, lansujący anachroniczne formy rozstrzygania spraw honorowych. W salonach arystokracji spotykali się snobujący politycy i dyplomaci. Ale też wielu członków tej grupy podejmowało działalność w zawodach inteligenckich (w 1932 r. wśród 198 pisarzy 52 miało pochodzenie ziemiańskie), tworząc kulturę inteligencko-szlachecką.

Niezależnie od tego wielu ziemian oddawało się z poświęceniem pracy społecznej. Walczyli z analfabetyzmem, pracowali nad podniesieniem kultury osobistej i gospodarczej wsi, zajmowali się dobroczynnością. Ziemianie, obok przemysłowców, byli tą grupą, która posiadała pieniądze i skłonna była do mecenatu w wielu dziedzinach, z najtrwalszą jego formą – fundacjami. Z tego okresu najbardziej znana jest fundacja rodziny Władysława Zamoyskiego z Kórnika. Bogate zbiory ziemian stanowią dziś podstawę wielu muzeów, z Muzeum Czartoryskich w Krakowie na czele, zbiorami Raczyńskich w Rogalinie, itd.

Na ogół, kiedy mówimy „proletariat”, mamy na myśli robotników zatrudnionych w przemyśle. Jak na kraj wielkości Polski było ich stosunkowo niewiele. Wielki i średni przemysł zatrudniał maksymalnie 800 tys. osób, choć następował powolny wzrost liczebności klasy robotniczej i przesunięcia na rzecz bardziej nowoczesnych gałęzi przemysłu. Jednak ów wzrost liczebny był mniejszy niż przyrost naturalny, co znaczyło, że odsetek robotników przemysłowych malał w stosunku do ogółu ludności kraju. Poza przemysłem najwięcej robotników zatrudnionych było w rzemiośle. Ogólna liczba robotników, jak szacowano, wzrosła z 3570 tys. w 1925 r. do 5 mln w 1939. Pod koniec kryzysu liczbę bezrobotnych szacowano mniej więcej na milion, a dodatkowo 900 tys.

młodych ludzi nie mogło znaleźć pierwszej pracy. Wielu robotników pracowało w niepełnym czasie pracy.

W przemyśle zdecydowana większość zatrudnionych, prawie 80 proc., to Polacy, pozostali to Żydzi pracujący w warsztatach rzemieślniczych i przemyśle spożywczym. Fachowcy używali w stosunku do siebie określenia „rzemieślnicy”, „robotnikami” nazywając pracowników niewykwalifikowanych. Istniało zresztą kilka grup pośrednich, takich jak robotnicy zatrudnieni w drobnym przemyśle, w handlu itd. Do arystokracji robotniczej zaliczali się m.in. maszyniści kolejowi. Polscy robotnicy skupieni byli w stosunkowo niewielu ośrodkach. Największymi były Górný Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie. Ośrodkami przemysłu włókienniczego były przede wszystkim Łódź i okolice oraz Białystok. Dodać można jeszcze Warszawę, jako ośrodek przemysłu metalowego, i na tym prawie wyczerpalibyśmy ośrodki przemysłowe. Nieco zmian wprowadziła budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego w drugiej połowie lat 30. Mniej więcej tak samo liczną grupę, jak robotnicy przemysłowi, stanowiła służba domowa. Już ten podział wskazuje, że musiały istnieć znaczne różnice w mentalności między robotnikami *sensu stricto* a służącymi. O grupie robotników wiejskich – fornali była już mowa. Według danych Instytutu Gospodarstwa Społecznego zaledwie 5,4 proc. robotników ukończyło szkołę powszechną. Jeszcze mniej miało za sobą szkołę zawodową. Nawet w Warszawie 10 proc. ludności stanowili analfabeci.

Ważną zmianą w okresie II Rzeczypospolitej było powstanie na terenie całego kraju organizacji zawodowych. Drugą doniosłą zmianą było wprowadzenie jednolitego ustawodawstwa socjalnego, w tym 8-godzinnego dnia roboczego, ubezpieczenia na wypadek bezrobocia, ustaw dotyczących bezpieczeństwa i higieny pracy, urlopów. Znacznie polepszyło

to warunki pracy i dopiero ustawa z 1933 r. pozbawiła część robotników ochrony. Nie do pozazdrosczenia był jednak los bezrobotnych. Prowadzone przed wojną badania socjologiczne wskazują na postępującą degradację społeczną ludzi przez czas dłuższy pozostających bez zatrudnienia. Bez pomocy nie daliby sobie rady. Ciekawym zjawiskiem była świadczona w różnych formach pomoc zatrudnionych kolegów, utrwalająca solidarność robotniczą.

W odróżnieniu od chłopów, robotnicy nie stworzyli jednolitego środowiska kulturalnego. Zjawiskiem typowym było mieszanie się elementów kultury robotniczej i drobnomieszczańskiej. Obserwowano różnice w zależności od ośrodka, gałęzi przemysłu i statusu społecznego klasy robotniczej. Podobnie jak w innych grupach społecznych, także wśród robotników rósł poziom wykształcenia, a wraz z nim udział w kulturze ogólnonarodowej i masowej. Szczególną wagę do podnoszenia poziomu samoświadomości i poziomu kulturalnego przywiązywały partie robotnicze i klasowe związki zawodowe.

Mieszczañstwo w Polsce zawsze było słabe i pod tym względem w II Rzeczypospolitej nie zaszły istotne zmiany. Z gospodarki drobnotowarowej, do której zaliczamy rzemiosło i handel, utrzymywało się około 25 proc. ludności miejskiej. Byli to przeważnie Żydzi, a na ziemiach zachodnich Niemcy. Istniały całe miasteczka, jak Brzeziny niedaleko Łodzi, gdzie znaczna część ludności utrzymywała się z krawiectwa. Najbiedniejsi byli chałupnicy. Podobnie jak gospodarstwa rolne, warsztaty rzemieślnicze były zazwyczaj „przedsiębiorstwami” rodzinnymi; podobny charakter miał handel. W 1938 r. już prawie $\frac{2}{3}$ sklepów zaliczano do IV, najniższej kategorii. Drobnomieszczañstwo było stosunkowo odporne na zmiany koniunkturalne. W latach kryzysu nie likwidowano warsztatów i sklepów, ale trwano w nich z braku innego zajęcia.

Można powiedzieć, że w II Rzeczypospolitej rozwojowi liczebnemu drobnomieszczaństwa towarzyszyła jego pauperyzacja.

Konkurencja wielkiego przemysłu, konkurencja wewnątrzwarstwowa, do której przyczyniał się nacisk ludności przenoszącej się ze wsi do miast oraz występowanie zjawiska podobnego jak na wsi – zbędności, powodował ubożenie i poczucie klęski, a w związku z tym radykalizację poglądów. Za głównego konkurenta mieszczaństwo polskie uznawało Żydów i stosowało coraz brutalniejsze metody walki z żydowskim mieszczaństwem. W latach 30. wzrosła liczba polskich sklepów, czemu towarzyszył proporcjonalnie mniejszy ubytek sklepów i warsztatów żydowskich oraz zwiększająca się nędza żydowskich mas.

Podobnie jak ziemiaństwo, sfrustrowana była, stosunkowo nieliczna, burżuazja. W Polsce tylko 37 tys. osób miało dochód powyżej tysiąca złotych. Jedyne 100 tys. zarabiało ponad 500 złotych. Ale wśród nich poczesne miejsce zajmowali ludzie wolnych zawodów, bliżsi inteligencji niż burżuazji. O stanie polskiej gospodarki świadczy też minimalna liczba 92 osób, które do oligarchii finansowej zaliczyli Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski. Zwraca uwagę znaczna reprezentacja wśród oligarchów przedstawicieli rodzin arystokratycznych.

Na stanie gospodarki odbiły się lata wielkiego kryzysu, upadło wtedy wiele zakładów przemysłowych. A przecież kryzysowymi były i inne lata. Jak obliczają historycy zajmujący się gospodarką, lata dobrej koniunktury to tylko połowa istnienia II Rzeczypospolitej. Rozwój burżuazji w Polsce utrudniało państwo. Po przewrocie majowym szybko wzrósł udział państwa w sektorze bankowym i przemyśle. Państwo było największym przedsiębiorcą, a w niektórych gałęziach gospodarki wręcz monopolistą. Janusz Żarnowski stawia w związku z tym interesującą tezę, że burżuazja stała się raczej grupą nacisku niż grupą panującą.

Inteligencja była grupą, która przewodziła w walce o niepodległość, a w niepodległym państwie otworzyły się przed nią nowe drogi awansu. Znaczna jej część była zatrudniona w aparacie państwowym. Dziesiątki tysięcy inteligentów w szkolnictwie, służbie zdrowia, sądownictwie itd.; do inteligencji można też zaliczyć korpus oficerski. Procesy te dotyczyły prawie wyłącznie inteligencji etnicznie polskiej.

Janusz Żarnowski, autor kilku książek na temat inteligencji, do grona pracowników umysłowych zaliczył wraz z rodzinami 600–700 tys. osób. Do właściwej inteligencji, posiadającej odpowiednie wykształcenie i zajmującej się zajęciami typowymi dla inteligencji, Żarnowski zalicza zaledwie ok. 250 tys. osób, albowiem jeszcze na początku lat 30. około 45 proc. pracowników umysłowych miało wykształcenie podstawowe lub niepełne wyższe. Wśród inteligencji największą grupę stanowili nauczyciele, lekarze, wyżsi urzędnicy, ludzie wolnych zawodów. Inteligencja wywodziła się z warstwy zubożałych właścicieli ziemskich. Później grupa ta w coraz większym stopniu zastępowana była przez ludzi wywodzących się już w kolejnym pokoleniu z inteligencji lub z tzw. plebsu, czyli ze środowisk drobnomieszczańskich, chłopskich i, w najmniejszym stopniu, robotniczych. Wzrosła też jej pozycja społeczna w stosunku do czasów przedwojennych. Jednocześnie jednak można było zaobserwować w tej warstwie proces wyobcowania społecznego. Nieprzypadkowo Józef Chałasiński pisał o swoistym „intelligenckim getcie”. Podobnie jak inne klasy, inteligencja była zróżnicowana. W tym środowisku najszybciej postępował proces emancypacji kobiet. Towarzyszyła temu większa tolerancja obyczajowa. Inteligencja była też najliczniejszym konsumentem kultury.

W społeczeństwie II Rzeczypospolitej występowały znaczne różnice kulturowe i obyczajowe. Największy zasięg miała

kultura wiejska, zwana na ogół, za ówczesnymi etnografami, ludową. Cechował ją własny system wartości, wzorce zachowań, własna estetyka, wyrażająca się w wytworach zwanych sztuką ludową. Im bardziej na wschód, tym wieś stawała się coraz bardziej zacofana gospodarczo i cywilizacyjnie. W mieście dominowała kultura drobnomieszczańska, wielokrotnie wyśmiewana w literaturze, poczynając od „dulsczyzny” Zapolskiej do Tuwimowskich „strasznych mieszczan w strasznych mieszkaniach”. Za określeniami tymi kryła się pogarda dla typowego dla kultury mieszczaństwa tradycjonalizmu i zakłamania w sprawach obyczajowych, dla zachowań wzorowanych na podrzędnej literaturze. Kulturze tej hołdowała jednak część inteligencji i burżuazji. Odrębną kulturę reprezentowało ziemiaństwo, którego styl życia próbowała naśladować część inteligencji. Jednak wielu inteligentów aspirowało do kultury wyższej i to właśnie ta grupa odgrywała największą rolę kulturotwórczą. Jej kultura, język, zachowanie stawały się wzorcem ogólnonarodowym, normą ogólnopaństwową. Jak wynika z badań Antoniny Kłoskowskiej, w II Rzeczypospolitej powstawała również kultura masowa. Choć wciąż pozostawała kulturą rozproszoną, wyrastającą z tradycji lokalnych. Rozwój kultury masowej hamowała struktura społeczna, a szczególnie takie jej cechy, jak dominacja ludności wiejskiej, analfabetyzm, zróżnicowanie etniczne państwa.

Czytelnictwo prasy było ograniczone przez jej ceny oraz brak nawyku czytania. To samo odnosi się do książek. Stale rosła liczba tytułów czasopism, nieproporcjonalnie jednak w stosunku do nakładów. Na 182 dzienniki, które ukazywały się w 1931 r., tylko 2 przekraczały nakład 100 tys. egzemplarzy, a dalsze 20 – 20 tys. egzemplarzy. Jedynie kilka tytułów czasopism katolickich miało znaczne nakłady. Trzeba pamiętać, że w dwudziestoleciu międzywojennym nie było takich nośników

kultury, jak telewizja, a i radio nie było jeszcze ogólnodostępne, choć już wówczas stawało się najbardziej masowym środkiem przekazu. Pod koniec lat 30. liczbę odbiorników szacowano na 900 tys. Zwiększała się też produkcja filmowa i uczestnictwo w życiu teatralnym. Oczywiście kino miało dziesięciokrotnie więcej widzów niż teatr. Chodzenie do kina stawało się jednym z popularniejszych sposobów uczestnictwa w kulturze masowej. Kino zrobiło kolejny krok naprzód z chwilą udźwiękowania filmów. Pojawiły się też filmy oświatowe i dokumentalne.

Integracja kulturowa następowała przede wszystkim dzięki szkole i wojsku, które nie były jednak w stanie doprowadzić do homogenizacji kultury w skali kraju. Pod względem kulturowym podziały można mnożyć. Osobną grupę, z własną kulturą, stanowili Kaszubi. Poczucie odrębności mieli także Ślązacy, z których część nie wiedziała, czy jest bliższa Niemcom, czy Polakom. Zjawisko to występowało również na południu Polski, gdzie część mieszkańców Orawy miała problemy z samookreśleniem, oraz na Kresach Wschodnich, gdzie używano nawet pojęcia tutejszości.

Organizacją, która obok państwa miała największy wpływ na społeczeństwo, były kościoły różnych konfesji. Powszechnie się przyjmuje, że religią Polaków jest katolicyzm. Pojawiła się nawet zbitka Polak-katolik. Najdobitniej ujął to Roman Dmowski, pisząc w 1927 r., że „katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości [...], ale tkwi w jej istocie”. Pisząc to, miał na uwadze jedynie Kościół rzymskokatolicki, nie brał pod uwagę grekokatolików i wyznawców obrządku wschodniego. Nie wziął również pod uwagę, że byli Polacy ewangelicy. W 1931 r. 8 proc. podających polski za swój język ojczysty nie uznało się za katolików. Poza tym katolikami byli Litwini i część Białorusinów. Kościołem narodowym Ukraińców galicyjskich stał się Kościół grekokatolicki. Katolicyzm wyznawało również

16 proc. Niemców, chociaż wśród nich przeważały wpływy kościołów protestanckich. Ukraińcy na Wołyniu, podobnie jak większość Białorusinów, wyznawali prawosławie. Własną religię mieli Żydzi, podzieleni na chasydów i ortodoksów.

Ponad 90 proc. Polaków uznawało katolicyzm za swoją religię i to ona w przeważającej mierze kształtowała ich światopogląd, zachowanie i wpływała na kulturę. Większość badaczy podkreśla jej ludowy charakter, w którym przewagę miała obrzędowość nad refleksją. Również władze państwowe uznawały szczególną rolę Kościoła katolickiego. Kościół przez sieć parafii docierał do wszystkich wiernych. Współpracował z różnymi organizacjami kościelnymi, które obejmowały praktycznie prawie wszystkich wiernych. Był też Kościół katolicki największym wydawcą prasy. Jak obliczał ks. Urban, w 1929 r. ukazywało się rocznie około 20 mln egzemplarzy religijnych miesięczników i tygodników. Tylko sam „Rycerz Niepokalanej” miał nakład sięgający 400 tys. egzemplarzy. Większość partii i obozów politycznych, chcąc skorzystać z wpływów Kościoła, podkreślała przywiązanie do religii. Tylko jedna marginesowa grupa polityczna – komuniści – kontestowała katolicyzm. Jak już wspomniano, antyklerykalizm występował wśród chłopów. Z partii politycznych cechował on socjalistów.

Polska była zróżnicowana także pod względem narodowościowym. Podobnie jak w wypadku podziałów społecznych, również dane o strukturze narodowościowej mają charakter przybliżony. Na ogół władzy zależało, by pomniejszyć liczbę niepolskich mieszkańców. Mniejszości narodowe stanowiły jedną trzecią ludności. Według szacunków Jerzego Tomaszewskiego 64,7 proc. mieszkańców II Rzeczypospolitej było Polakami, ok. 16 proc. Ukraińcami, 9,8 proc. Żydami, 6,1 proc. Białorusinami, a 2,4 proc. Niemcami. Na pozostałe mniejszości przypadał więc 1 proc. mieszkańców.

Ale na Kresach Wschodnich były obszary, gdzie to Polacy stanowili mniejszość. Na południowym wschodzie kraju mieszkali Ukraińcy, grupa o silnej świadomości narodowej. Świadczą o tym wpływy organizacji nacjonalistycznych, chociaż część z nich swoją przyszłość widziała w związku z Polską. Ukraińcy stanowili także większość mieszkańców Wołynia. Łuk Karpat zamieszkiwały nieliczne grupy etniczne: Bojkowie, Łemkowie, Huculi, kultuwujące własną kulturę. Na północnym wschodzie mieszkali Białorusini, między południowymi i północnymi kresami państwa szeroki pas zamieszkiwała ludność zróżnicowana narodowo, tzw. tutejsi, mający problemy z określeniem swej przynależności etnicznej. Nie tylko „tutejszych”, ale i pozostałych mieszkańców tych terenów władze uznawały za „magę etnograficzną” i liczyły na ich szybką polonizację. Wobec tych mniejszości prowadzono politykę, która przypominała politykę pruską wobec Polaków.

Większość Ukraińców i Białorusinów to chłopci, dla których, bardziej jeszcze niż dla Polaków, najważniejsza była ziemia. Jednak, akcja kolonizacyjna prowadzona przez władze nie dawała szans na powiększenie swego stanu posiadania. Polacy stanowili liczący się procent mieszkańców Kresów, większość lokalnego ziemiaństwa i inteligencji, a także ludności większych miast.

Po Ukraińcach drugą co do wielkości mniejszością byli Żydzi. Dla wielu była to nie tylko mniejszość narodowa, ale religijna. Żydzi mieszkali głównie w miastach i zajmowali się rzemiosłem i handlem. Mieszkali na całym terytorium państwa, ale były regiony takie jak Wielkopolska, gdzie ich prawie nie było, i takie jak Warszawa, w której stanowili jedną trzecią ludności. Szczególnie wielu Żydów mieszkało w małych miasteczkach, na Kresach Wschodnich nierzadko do 70 proc. mieszkańców. Żydzi byli mniejszością najbardziej zróżnicowa-

ną. Wielu z nich żyło w skrajnej nędzy. Jednocześnie krążyły mity o ich bogactwie. Ale na liście 200 najbogatszych Polaków, którą sporządził Zbigniew Landau, Żydów prawie nie ma.

Na zachodzie Polski mieszkało około 700 tys. Niemców. Byli znaczącą grupą wśród przemysłowców Górnego Śląska, ziemiaństwa Wielkopolski i Pomorza, a także wśród chłopów tych terenów. Ta grupa narodowościowa miała poczucie degradacji, ponieważ z zaborców stali się grupą mniejszościową. Niemcy utrzymywali ścisły kontakt z Berlinem, skąd otrzymywali pomoc i zachętę do trwania na ziemiach polskich. Osobną grupą byli Niemcy z Łodzi, którzy w większości czuli się lojalnymi obywatelami Polski. Niewielkie enklawy niemieckie znajdowały się również na Wołyniu. Ponadto w Polsce mieszkali Czesi, Litwini, Ormianie, Tatarzy, Romowie.

Napięcia narodowościowe były dla państwa znacznie groźniejsze niż klasowe. Wystarczy przypomnieć, że na przełomie lat 1918 i 1919 w Galicji Wschodniej Ukraińcy walczyli o stworzenie swego państwa. Silne nastroje antypolskie istniały też wśród ludności niemieckiej. Charakterystycznym jest fakt, że w drugiej połowie lat 30. procent członków NSDAP wśród mniejszości niemieckiej w Polsce był większy niż w samej Rzeszy.

Państwo preferowało interesy społeczeństwa polskiego, co siłą rzeczy oznaczało dyskryminację ludności niepolskiej. Do Żydów, mimo że byli mniejszością najbardziej lojalną wobec państwa polskiego, bardzo wielu Polaków odnosiło się wrogo. Narodowa Demokracja jeszcze przed I wojną światową wzywała do bojkotu gospodarczego Żydów, a prasa pisała o nich jako o czwartym zaborcy i żądała całkowitej separacji. Znaczna część inteligencji, w tym młodzież akademicka, podjęła walkę o „spolszczenie” inteligencji. Żądano m.in. ograniczenia lub zakazu dostępu dla Żydów do wyższych

studiów oraz do pewnych zawodów. Doprowadzono do tego, że odsetek studentów wyznania mojżeszowego spadł w okresie 1928–1938 z 20,4 do 7,5 proc., a odsetek grekokatolików z 2 do 1,6 proc. Wiele organizacji społecznych nie przyjmowało Żydów. Walka z Żydami przybierała nieraz drastyczne formy. Po 1935 r. część haseł endeckich przejęła sanacja, a państwo poparło je odpowiednimi ustawami i postulatami przymusowej emigracji. Podobne metody, jak w stosunku do Żydów, zastosowano we Lwowie wobec Ukraińców – na uczelniach organizowano „dni bez Ukraińców”.

Polityka dyskryminacji miała negatywne skutki dla państwa. I tak w 1922 r. powstał Blok Mniejszości Narodowych, który połączył wszystkie mniejszości, mimo że miały one różne priorytety. W 1930 r. władze, stosując zasadę odpowiedzialności zbiorowej, przeprowadziły pacyfikację Galicji Wschodniej, a w 1938 r. zniszczyły 108 cerkwi i kaplic prawosławnych. Działań tego typu było więcej, co rzutowało także na stosunki z sąsiednimi państwami.

W całym dwudziestoleciu międzywojennym trwały procesy zarówno integrujące, jak i dezintegrujące społeczeństwo. Zaczniemy od tych pierwszych. Trzeba je rozpatrywać w dwóch aspektach: interesu narodu polskiego i interesu państwa. Model pierwszy preferowała endecja, drugi – sanacja.

Rolę integracyjną – zarówno pod względem języka, kanonu kultury, jak i modelu wychowawczego – odgrywała oświata. Trzeba było przywrócić polski charakter szkolnictwu w zaborach pruskim i rosyjskim. Od początku trzeba było podjąć walkę z analfabetyzmem (w pierwszych latach istnienia państwa, zamieszkiwało je ok. 6 mln analfabetów). Nie wystarczały kursy. Jediną skuteczną metodą zwalczania analfabetyzmu było wprowadzenie powszechnego nauczania początkowego. Nie udało się tego do końca osiągnąć i w roku szkolnym 1935/1936

zaledwie 88,3 proc. dzieci uczęszczało do szkoły. Obliczano, że poza szkołą pozostawało około miliona dzieci, większość na terenach wschodnich. Jednak w młodszych rocznikach powoli analfabetyzm zanikał.

Po przewrocie majowym władze oświatowe preferowały wzór wychowania państwowego mającego na celu wychowanie świadomego obywatela, polskiego patrioty. Jednak w końcu lat 30., w obliczu zagrożenia wojną, pojawiała się coraz więcej elementów wychowania narodowego. Wobec mniejszości słowiańskich prowadzono politykę polonizacji. Liczba publicznych szkół ukraińskich zmniejszyła się w ciągu 15 lat z 2835 do 420. Jeszcze gorzej wyglądało szkolnictwo białoruskie. Działania te wywoływały sprzeciw rodziców, ale jednocześnie rosła wśród mniejszości znajomość języka i kultury polskiej. Szczególnie widoczne to było w wypadku Żydów.

Państwo posiadające wiele milionów obywateli kształciło na wyższych uczelniach zaledwie 40–50 tys. ludzi. Biorąc jednak pod uwagę, że do odzyskania niepodległości szkolnictwo wyższe istniało tylko w Galicji, zorganizowanie trzech uniwersytetów i kilku innych szkół wyższych było niemałym osiągnięciem.

Obok szkoły ważną funkcję w procesach integracyjnych odgrywało wojsko. Stworzenie z rozmaitych formacji wojskowych, które powstały podczas wojny i w okresie tworzenia się państwa, jednolitej armii było znacznym osiągnięciem. Wojsko też od początku podjęło funkcję dla siebie nietypową, tzn. walkę z analfabetyzmem. Jak podaje Piotr Stawecki, w marcu 1921 r. na 303 tys. szeregowców przypadało 33 tys. analfabetów i 60 tys. półanalfabetów. Dodatkowym problemem było, że wielu żołnierzy z Wielkopolski umiało czytać i pisać wyłącznie po niemiecku. W zwalczaniu analfabetyzmu dorosłych wojsko odniosło znaczne sukcesy. Przyczyniało się ono także do

likwidacji uprzedzeń dzielnicowych, tworząc oddziały złożone z rekrutów z różnych regionów.

Wojsko integrowało żołnierzy pochodzenia niepolskiego choćby poprzez naukę języka polskiego, ale stawało się też przedmiotem krytyki ze strony niektórych przedstawicieli mniejszości. Zarzucano mu, że jest elementem polityki wyznaczenia. Na dodatek korpus oficerski i podoficerski był praktycznie jednolity narodowo i nieraz zarzucano mu stosowanie dyskryminacji narodowej w stosunku do żołnierzy. Za złe miano też wojsku praktykę służby daleko od domu, w ramach której Niemców wysyłało na Kresy Wschodnie, a żołnierzy stamtąd na zachód.

Dezintegrująco na polską część społeczeństwa działały napięcia społeczne, nieraz niezwykle dramatyczne. Do takich zaliczyłbym starcia między robotnikami a wojskiem w Krakowie w 1923 r., czy też strajki chłopskie z lat 1932 i 1937, podczas ich tłumienia zginęło kilkuset chłopów. Trudno określić szkody, które przyniósł przewrót majowy w dziedzinie ustrojowej, poprzez narzucenie systemu autorytarnego ze wszystkimi jego ujemnymi stronami. Na pewno znaczna część społeczeństwa czuła się odsunięta od wpływu na państwo, od możliwości swobodnego wyrażania swojej opinii. Dezintegrująco działały też takie zjawiska w gospodarce, jak bezrobocie i poczucie zębności.

W całym okresie II Rzeczypospolitej struktura zawodo-wo-społeczna uległa stosunkowo niewielkim zmianom. Przesuwanie się ludności ze wsi do miast i wzrost udziału przemysłu w strukturze gospodarczej były stosunkowo niewielkie. Do dziś toczą się wśród historyków dyskusje, czy Polska pod względem produkcji osiągnęła poziom sprzed I wojny światowej, czy też jej się to nie udało. Rozrastała się natomiast „służba publiczna”. Choć i tu możemy powiedzieć, że odsetek inteligentów wśród

zatrudnionych był mniejszy niż w wielu państwach Europy, co było jeszcze jednym świadectwem niedorozwoju gospodarczego i społecznego państwa. Jednak dwie rzeczy były uderzające. O stosunkowo małej liczbie studentów już pisaliśmy. Druga sprawa, o której należy wspomnieć, to bezrobocie inteligencji, które, w odróżnieniu od koniunkturalnego wzrostu bezrobocia wśród robotników, nosiło charakter strukturalny, ponieważ stale było bezrobotnych ponad 100 tysięcy. To ostatnie zjawisko stało się przyczyną mitu o nadprodukcji inteligencji.

Gdybyśmy chcieli dokonać bilansu stosunków społecznych w II Rzeczypospolitej, nie byłby on jednoznaczny. Były sprawy, które udało się rozwiązać i takie, których nierozwiązanie ciążyło w następnych latach.

Początki II Rzeczypospolitej nie były łatwe. Należało ujednoczyć wszystkie dziedziny życia – poczynając od prawa, poprzez stworzenie wspólnego pieniądza, do szerokości szyn kolejowych. Procesu tego nie ułatwiały dające o sobie znać niechęci między zaborami. Np. w zaborze pruskim z przekąsem mówiono o „Galicjanach z Kongresowy”, mając na myśli urzędników przysyłanych z terenu byłego zaboru rosyjskiego. W mniemaniu miejscowych był to pośledni gatunek urzędników, bo trzeba pamiętać, że polski aparat urzędniczy miała tylko Galicja. Jednocześnie integracja państwa postępowała w sposób zadziwiający, biorąc pod uwagę rozległość problemów i długotrwałość rozbiorów.

Zasadniczy układ sił społecznych nie uległ większym zmianom. Z jednym wyjątkiem – osłabieniu uległa rola ziemiaństwa. Znaczna część społeczeństwa zaczęła je postrzegać jako relikwyt dawnej epoki. Sanacja mówiła o konieczności wytworzenia nowej elity. W tym samym kierunku szły pomysły wywodzące się z obozu narodowego. Przykładem tego może być projekt wielostopniowej Organizacji Politycznej

Narodu. Postulat nowej elity został w pewnej mierze zrealizowany. Rekrutowała się ona przede wszystkim z obozu legionowo-peowiackiego i po części z ludzi młodych, wykształconych i wychowanych już w Polsce niepodległej. Ta ostatnia grupa nie była obciążona życiem pod zaborami. Po przewrocie majowym proces demokratyzacji społeczeństwa został jednak zahamowany.

Z trzech podstawowych zadań, jakie stały przed Polską, tzn. wywalczenie granic, reforma rolna i ułożenie stosunków z mniejszościami narodowymi, w pełni zrealizowano tylko pierwsze. Rozpoczęto, z przeszkodami, realizację drugiego. Jednak, aby je zrealizować, musiało dojść do rewolucji, a takie rozwiązanie nie odpowiadało nawet socjalistom. Trzeci z wymienionych problemów nie tylko nie został rozwiązany, ale pod koniec lat 30. uległ ponownemu zaostrzeniu. Władza potrafiła zrazić do siebie wszystkie mniejszości narodowe. Zaogniły się stosunki z mniejszościami słowiańskimi i Żydami. W moim przekonaniu wrogość do Żydów osiągnęła poziom najwyższy w historii Polski. Znaczna część Niemców, czując poparcie III Rzeszy, sama dążyła do konfrontacji.

Niewątpliwie jednak czynniki integrujące społeczeństwo przeważały nad dezintegrującymi. Decydował o tym przede wszystkim sam fakt mieszkania we wspólnym państwie i możliwość swobodnego poruszania się po nim. Podobny efekt dała wymiana inteligencji między zaborami. Niestety, nie znamy skali migracji i dotyczy to nie tylko inteligencji, lecz w ogóle przepływów ludnościowych, ale sam fakt jej istnienia pozostaje bezdyskusyjny. Integrująco działało również powstanie ogólnopolskich partii politycznych i organizacji społecznych, które organizowały ogólnopolskie zjazdy, konferencje, wycieczki itp. Dobrym przykładem może być Związek Harcerstwa Polskiego, którego drużyny organizowały obozy w różnych częściach Pol-

ski, w programie których znajdowało się miejsce na kontakty z miejscową ludnością. Podobnie oddziaływał sport, w tym np. rozgrywki ligowe. Trudno określić, jaką rolę w integracji społecznej odegrało przyznanie kobietom pełnych praw obywatelskich i otworzenie przed nimi drzwi do szkół wszystkich szczebli. Rolę integrującą odegrała również Poznańska Wystawa Krajowa, którą odwiedziło setki tysięcy ludzi. Czynników takich można rzecz jasna wymienić nieporównanie więcej.

Rozpoczęta w XIX w. modernizacja Polski postępowała naprzód, a proces budowania świadomości narodowej Polaków w dwudziestoleciu międzywojennym został zakończony. Unowocześniało się rolnictwo, po wygaśnięciu kryzysu gospodarczego ruszyła modernizacja przemysłu. Rozwinęła się kultura ogólnonarodowa. Ogromnym sukcesem było wykształcenie młodego pokolenia, wychowanego w duchu patriotyzmu. Wojna przeszkodziła w pełnym wykorzystaniu tych osiągnięć, ale owocowały one również w następnych okresach naszych dziejów.

BIOGRAMY

Prof. dr hab. Andrzej Chojnowski, profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, członek Rady Naukowej Polskiego Słownika Biograficznego (od 2005), Rady Muzeum Historii Polski (od 2006), wiceprzewodniczący Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej (od 2007). Opublikował m.in.: *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921–1939* (1979), *Piłsudscy u władzy. Dzieje Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem* (1986), *Ukraina* (1997), *Izrael* (2001).

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba, profesor w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, badacz dziejów XIX i XX w. Opublikował m.in.: *Sacrum i rewolucja* (1992); *Józef Piłsudski historyk wojskowości* (1993), *Imperium korupcji w Rosji i w Królestwie Polskim 1861–1917* (1995), *Polacy w służbie Moskali* (1999), *Historia Polski 1795–1918* (2000), *III Rzeczpospolita – raport specjalny* (2005), *Historia powszechna. Wiek XIX* (2008).

Prof. dr hab. Krzysztof Kawalec, profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego, naczelnik Delegatury IPN w Opolu (od 2007), badacz dziejów Polski XX w. i historii polskiej myśli politycznej. Opublikował m.in.: *Narodowa Demokracja wobec faszyzmu 1922–1939. Ze studiów nad dziejami myśli politycznej obozu narodowego* (1989), *Roman Dmowski (1864–1939)* (2002).

Prof. dr hab. Piotr Łossowski, profesor w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk i Collegium Civitas, znawca dziejów Polski i Europy Środkowo-Wschodniej w XX w., a szczególnie historii krajów bałtyckich. Opublikował m.in.: *Stosunki polsko-litewskie 1918–1920* (1966), *Litwa a sprawy polskie, 1939–1949* (1982), *Po tej i tamtej stronie Niemna. Stosunki polsko-litewskie 1883–1939* (1985), *Zerwane pęta: Usunięcie okupantów z ziem polskich w listopadzie 1918 r.* (1986), *Litwa* (2001).

Prof. dr hab. Wojciech Morawski, profesor Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, badacz dziejów pieniądza. Opublikował m.in.: *Polityka gospodarcza rządu Aleksandra Skrzyńskiego* (1990), *Bankowość prywatna w II Rzeczypospolitej* (1996), *Zarys powszechnej historii pieniądza i bankowości* (2002), *Kronika kryzysów gospodarczych* (2003), *Od marki do złotego. Historia finansów II Rzeczypospolitej* (2008).

Prof. dr hab. Tomasz Nałęcz, profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, poseł na Sejm II i IV kadencji, wicemarszałek Sejmu IV kadencji, badacz dziejów Polski pierwszej połowy XX w. Opublikował m.in.: *Polska Organizacja Wojskowa 1914–1918* (1984), *Józef Piłsudski. Legendy i fakty* (1986, wspólnie z Darią Nałęcz), *Irredenta polska* (1992), *Spór o kształt demokracji parlamentarnej w Polsce 1921–1926* (1994).

Dr hab. Andrzej Nowak, profesor w Instytucie Historii Uniwersytetu Warszawskiego, kierownik Pracowni Dziejów Rosji i ZSRR w Instytucie Historii PAN w Warszawie, redaktor naczelny dwumiesięcznika „Arcana”. Opublikował m.in.:

Polska i trzy Rosje. Studium polityki wschodniej Józefa Piłsudskiego (2000); *Od imperium do imperium. Spojrzenia na historię Europy Wschodniej* (2004), *Historia politycznych tradycji. Piłsudski, Putin i inni* (2007).

Prof. dr hab. Szymon Rudnicki, profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, badacz historii Polski XX w., szczególnie dziejów parlamentaryzmu oraz Żydów polskich. Opublikował m.in.: *Działalność polityczna konserwatystów polskich 1918–1926* (1981), *Obóz Narodowo-Radykalny. Geneza i działalność* (1985), *Żydzi w parlamencie II Rzeczypospolitej* (2003), *Równi, ale niezupełnie* (2009).

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja, profesor w Instytucie Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego, dyrektor oddziału wrocławskiego IPN (od 2000). Zajmuje się historią Polski XX w., szczególnie dziejami myśli politycznej, dziejami Wrocławia i „Solidarności”. Opublikował m.in.: *Orientacja austro-polska w latach I wojny światowej* (1992), *Józef Piłsudski* (1995), *Tymczasowa Rada Stanu* (1999), *Dolnośląski Marzec '68. Anatomia protestu* (2006).

Dr hab. Mariusz Wołos, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; specjalista w zakresie historii dyplomacji i stosunków międzynarodowych; od 2007 stały przedstawiciel Polskiej Akademii Nauk przy Rosyjskiej Akademii Nauk i dyrektor Stacji Naukowej PAN w Moskwie. Opublikował m.in.: *Generał dywizji Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Biografia wojskowa* (2000), *Francja – ZSRR. Stosunki polityczne w latach 1924–1932* (2004).